

Brockway Connie

Ostatni sezon

Lady Lydia jest królową londyńskich salonów, do czasu gdy dowiaduje się, że cała jej fortuna przepadła, a ona sama może się pożegnać z dotychczasowym życiem, o ile nie znajdzie sobie bogatego męża.

Ned Lockton, który właśnie powrócił z dalekich podróży, wydaje się rozwiązaniem jej problemów. Jego legendarny majątek i niepokojący uśmiech przyprawiają Lydię o gwałtowne bicie serca. Nie przeczuwa jednak, po co ów spadkobierca znakomitego rodu naprawdę przybył do Londynu...

Marzec 1816

Lepiej niech pani przejrzy uważnie te dokumenty, lady Lydio - powiedział Robert Terwilliger, starszy wspólnik Królewskiego Banku Londyńskiego, do wyjątkowo pięknej kobiety, która siedziała po drugiej stronie biurka.

Piękność bez entuzjazmu wzięła do ręki plik papierów i zaczęła je przeglądać, dzięki czemu Terwilliger mógł obserwować ją uważnie.

W dwudziestym czwartym roku życia, a zatem w wieku, gdy większość panien uchodziła już za nieco przywidłe i na progu staropanieństwa, lady Lydia Eastlake nie miała najmniejszego zamiaru rezygnować ze swojej pozycji w wielkim świecie: nie tylko w dalszym ciągu należała do grona „Niezrównanych”, którą to nazwą zaszczycono najśłynniejsze piękności, ale też zajmowała wśród nich niekwestionowane pierwsze miejsce.

Nawet Terwilliger, który bynajmniej nie zaliczał się do znawców mody, choć jego trzy dorosłe córki usilnie starały się oświecić go w tym względzie, potrafił docenić szyk Lydii Eastlake. Okrycie z surowego jedwabiu, bramowane szmaragdowozieloną falbaną, otulało wdzięcznie jej kształtną postać, a spod wiosennego czepeczka, strojnego w piórka, listki i kwiaty, wyglądały lśniące kędziory o barwie karmelu. Owe połyskliwe loki otaczały twarz o doskonale foremnych rysach: stanowczej brodzie, prostym nosku, ciemnych łukach brwi i wysokich kościach policzkowych.

Najbardziej jednak w tej twarzy przyciągały oczy - podłużne, z ciemnymi rzęsami, nieco skośne, co dodawało im egzotycznego uroku. Tęczówki miały tak głęboki odcień błękitu, że wydawały się fiołkowe. Powiadano, że nawet najodporniejszy z mężczyzn mógł się zatracić w nich bez reszty, zniewolony ich pięknem.

Robert Terwilliger do najodporniejszych nie należał. A trzeba byłoby wyjątkowego mocarza, by poskromić damę o charakterze lady Lydii Eastlake! Bywała uparta i pobłażała swoim zachciankom - a równocześnie potrafiła każdego rozbroić, oczarować i skłonić do śmiechu. Co gorsza zaś, była kobietą absolutnie niezależną.

Osiągnęła pełnoletność już trzy lata temu i nie znajdowała się pod opieką żadnego mężczyzny - ojca, brata, stryja, męża czy opiekuna.

Robert Terwilliger nie miał przyjemności znać rodziców lady Lydii - stanowisko jej osobistego bankiera przejął po swoim ojcu - wiele jednak o nich słyszał. Ich historia była przecież powszechnie znana.

Po śmierci starszego brata Ronald Eastlake stał się dziedzicem ogromnej fortuny, której podstawę stanowiły posiadłości ziemskie, przechodzące z pokolenia na pokolenie. Majątek rozrósł się też dzięki temu, że brat Ronalda nie miał nic przeciwko inwestowaniu pieniędzy w przemysł i handel. Eastlake'owie stali się zatem właścicielami wielkiego przedsiębiorstwa okrętowego.

Śmierć męża pozwoliła Julii, bratowej Ronalda, wstąpić ponownie w związek małżeński. To, że Ronald i Julia byli w sobie od pewnego czasu zakochani, nie ulegało wątpliwości. Gdy tylko minął

okres żałoby, Ronald skłonił wdowę po bracie, by uciekła z nim do Francji, gdyż brytyjscy duchowni nie byli skłonni połączyć tej pary węzłem małżeńskim, powołując się na ich powinowactwo, i wywlekali biblijne zastrzeżenia przeciw „poślubieniu żony brata swego”, a zatem i wdowy po bracie.

Na szczęście, francuscy księża byli bardziej światli.

Pobrawszy się na kontynencie, zakochana para - dysponując olbrzymią fortuną, a równocześnie obawiając się, że w Anglii ktoś mógłby zakwestionować legalność ich małżeństwa - postanowiła nie wracać do ojczyzny, by nie narażać się na podobne ryzyko. Narodziny córki po niespełna roku umocniły jeszcze Eastlake'ów w tym postanowieniu.

Zdaniem naocznych świadków, a było ich wielu, życie na obczyźnie niezmiernie odpowiadało Eastlake'om. Byli znani i podziwiani w międzynarodowych kręgach towarzyskich jako olśniewająca para globtroterów w wielkim stylu, słynących z beztroski i tolerancji. Dokądkolwiek się udawali, zabierali ze sobą córkę. Bawiła na europejskich dworach, poznawała też odległe przyczółki brytyjskiego imperium.

Choć rodzice Lydii byli ogólnie znaną, bogatą i wciąż zakochaną w sobie parą, zdaniem Terwilligera nic nie usprawiedliwiało karygodnej lekkomyślności, jaką wykazali w sprawie przyszłości swojego dziecka. Być może wydawało im się, że będą żyli wiecznie, zawsze młodzi i silni, i nie nękały ich wątpliwości co do tego, gdyż nie poczynili żadnych kroków, by zapewnić córce stosowną opiekę,

gdyby przydarzyło im się coś złego. A właśnie tak się stało: zginęli oboje w tragicznym wypadku, jadąc powozem.

I tak oto w czternastym roku życia lady Lydia stała się dziedziczką jednej z największych fortun w Anglii, w dodatku niezwiązanej prawem majoratu. Cały ten majątek należał wyłącznie do Lydii, mogła zrobić z nim, co tylko chciała, nieskrępowana obowiązkiem zachowania bogactwa dla następnych pokoleń. Ponieważ dziewczynka nie miała rodziny, przeszła pod opiekę Korony i książę regent osobiście wyznaczył jej na opiekuna jednego ze swoich krewnych. Sir Grimley, starszy pan, był kuzynem nieszczęsnego króla Jerzego III. Potraktował on z całą powagą odpowiedzialność za majątek lady Lydii, ale osobiście nie kontaktował się ze swoją podopieczną. Biedna dziewczynka, która do niedawna była mile widzianym gościem na dworach wielu europejskich władców, żyła teraz samotnie w Sussex, w jednym z domów należących do sir Grimleya. Opłacana przez niego służba stanowiła jedyne jej towarzystwo.

Gdy Lydia ukończyła szesnaście lat, jej matka chrzestna (a zarazem przyjaciółka z lat dziecięcych jej zmarłej matki), Eleanor, wdowa po księciu Grenville, wzięła zapowiadającego się na prawdziwą piękność podlotka pod swoje skrzydła i przedstawiła Lydię u dworu. Od tego dnia obie zostały serdecznymi przyjaciółkami. Nie poróżniło ich nawet to, że doszedłszy do pełnoletności, Lydia odziedziczyła ogromny majątek, oswobodziła się od wszelkich nakazów i zakazów i od tej pory kierowała się jedynie własną

zachcianką. Szła pod tym względem dokładnie w ślady swych zmarłych rodziców, by jednak uczynić pewne ustępstwo na rzecz konwenansów - zatrudniła niejaką panią Cod jako damę do towarzystwa.

Terwilliger zerknął teraz na siedzącą u boku lady Lydii panią Cod: była to mała, okrągłutka kobietka o kędzierzawych, rudych włosach. Miała zwyczaj to wysuwać, to znów cofać brodę, co zdumiewająco upodobniało ją do kuropatwy muskającej dziobem piórka.

Zaraz po dwudziestych pierwszych urodzinach Lydia przedstawiła wszystkim Emily Cod - swoją nieodłączną towarzyszkę i przyzwoitkę. Utrzymywała, że dama owa jest jej owdowiałą kuzynką drugiego stopnia. Plotka głosiła jednak, że lady Lydia wyciągnęła Emily Cod z zakładu dla obłąkanych, zamiast poszukać sobie innej, bardziej odpowiedzialnej przyzwoitki, nieprzymykającej nieustannie oczu na swe obowiązki.

Istotnie, Emily Cod była niezwykle pobłażliwa dla żywej i niezależnej Lydii. Zawsze łagodna, pozbawiona krytycyzmu, posiadała pewną nieocenioną (zwłaszcza z punktu widzenia podopiecznej) zaletę: skłonność do częstego zapadania w sen w pozycji siedzącej, sztywno wyprostowana. Miała też, niestety, kłopotliwy zwyczaj wynoszenia drobnych przedmiotów z domów, które odwiedzały. Ta słabostka Emily była w towarzystwie przedmiotem nieustannych plotek i dała zapewne początek opowieści o rzekomym pobycie pani Cod w domu dla obłąkanych.

- O czym właściwie mają mnie przekonać te wszystkie liczby, panie Terwilliger? - spytała nagle lady Lydia, odrywając wzrok od leżących na jej kolanach dokumentów.

- No cóż...

Dostrzegła kierunek jego spojrzenia i wdzięcznym ruchem ręki zbyła wszelkie wątpliwości bankiera.

- Nie mam tajemnic przed Emily, panie Terwilliger. Zna o wiele więcej moich sekretów niż pan!

- Jak sobie pani życzy, milady. - Bankier wciągnął głęboko powietrze w płuca i zaraz je wypuścił. - A zatem... jest pani zrujnowana.

Lydia poruszyła się, zaskoczona - i wybuchnęła uroczym śmiechem.

- Byłam pewna, że nie brakuje panu poczucia humoru! Prawie już straciłam nadzieję, że sam się pan z tym zdradzi... a mimo to nadal w pana wierzyłam!

Spojrzał na nią zbity z tropu.

- Ależ... ja wcale nie żartuję, lady Lydio - wyjąkał. - Mówię poważnie. Jest pani zrujnowana.

Lydia spokojnie wyciągnęła rękę i odebrała swojej towarzyszce przycisk do papieru, ukrywany przez nią na kolanach. Terwilliger nawet nie zauważył, że starsza pani ściągnęła ten drobiazg z jego biurka. Emily uśmiechnęła się przepaszająco.

- I to dlatego nalegał pan, bym wymówiła się od zaproszenia na obiad i spotkała z panem tu, w pańskim gabinecie? Czy nie można było przelożyć tego na kiedy indziej? - zdziwiła się lady Lydia.

Bankier przyjrzał się jej uważnie, usiłując dociec, czy dotarło do niej w pełni znaczenie jego słów. Lady Lydia nigdy nie miała głowy do rachunków, ale nie była głupia. Gdyby tylko zechciała, bez wątpienia potrafiłaby rozeznać się w sprawach finansowych. Mógł więc tylko domyślać się, że jego klientka po prostu nie chce uwierzyć w to, co powiedział.

I czemu właściwie miałyby w to wierzyć? Jej fortuna wydawała się niewyczerpana!

Przypomniał sobie pierwsze spotkanie z lady Lydią przed trzema laty, gdy weszła w posiadanie swego pozornie niemającego granic bogactwa, a on przedstawił jej niezbędne rozliczenia. Jego klientka miała wówczas dwadzieścia jeden lat, była prześlizną, niesłychanie bogatą sierotą. Niestety, jako uczciwy człowiek i bankier Terwilliger musiał przyznać, iż jego opieka nad powierzonym mu kapitałem nie zakończyła się sukcesem, wiedział, że niewłaściwie pokierował sprawą.

Podobne błędy popełniło jednak wielu bankierów i maklerów w tych okropnych, niezwykle trudnych czasach. Z pewnością nie tylko on ponosił winę! Rynek papierów wartościowych staczał się w przepaść. Ceny gruntów spadały, koszta utrzymania rosły. Od trzech lat szalały inflacja i recesja. A na dodatek lady Lydia była rozrzutna. Nieprawdopodobnie, karygodnie rozrzutna.

- Pozwoli pani, milady, że spróbuję to wytłumaczyć innymi słowami. Pani majątek przestał istnieć. Została pani po prostu bez grosza.

- Bez grosza? - powtórzyła lady Lydia, wymawiając te słowa tak, jakby były dla niej niezrozumiałe, ale miały jakiś niemiły posmak. - Co pan przez to rozumie?

- Bez grosza jak każdy, kto nie ma pieniędzy. Prawdę mówiąc, w chwili obecnej ma pani jedynie długi.

Postukał palcem w gruby plik rachunków, leżących przed nim na biurku.

Znane całemu światu fiołkowe oczy rozjaśniły się nagle, jakby coś dotarło do lady Lydii i najwyraźniej ją rozbawiło.

- Rozumiem! Chodzi panu o mój nowy powozik.

Na jej ustach pojawił się znowu zniewalający uśmiech i Terwilliger musiał naprawdę wziąć się w garść, by nie ulec czarowi swojej klientki. Czuł, że sama silna wola tu nie wystarczy. Dobrze wiedział, na czym polega jego obowiązek: lady Lydia nie może opuścić jego gabinetu, nie uświadomiwszy sobie w pełni swojego położenia. Zbyt długo pozwolił jej żyć w błogiej nieświadomości.

- Słowo daję, po prostu nie mogłam się oprzeć pokusie! - Wyděła uroczo usteczka. - Ten powozik ma żółte koła, panie Terwilliger. Żółciutkie jak żonkile!

- Nie idzie tylko o powozik, lady Lydio - odparł. - Pani fundusze zostały całkowicie wyczerpane.

Zmarszczyła czoło, nieco zaniepokojona tym, że czarujący grymas nie skłonił bankiera do odwołania poprzednich słów.

- Jak to, wyczerpane? Jak bardzo?

- Nie licząc spacerowego stateczku i nowego powozu, w ciągu ostatnich trzech miesięcy kupiła pani sześć obrazów i fortepian dla jakiegoś muzyka...

- To utalentowany kompozytor! Instrument był mu niezbędny.

- Zawsze znajdzie się jakiś muzyk czy inny artysta albo wyjątkowo utalentowany rzemieślnik, albo jeszcze ktoś inny, kto zasługuje na wsparcie... a pani zawsze skłonna jest udzielić mu pomocy - odparł ze zniecierpliwieniem Terwilliger.

Była to jedna z przyczyn, dla których tak martwiła go świadomość, że lady Lydia zmierza ku nieuchronnej ruinie. Dziewczyna, choć rozrzutna, impulsywna i rozpieszczona, była również wyjątkowo szczodra i potrafiła docenić zalety i talenty innych.

Jakże umiała się cieszyć życiem! Jej radość z powodu jakiegoś nic nieznaczącego kwiatka była równie żywiołowa jak zachwyt, z jakim podziwiała dzieło słynnego malarza. W towarzystwie lady Lydii człowiek żył intensywniej - więcej dostrzegał, silniej wszystko odczuwał.

Bankier mówił jednak dalej:

- W ciągu ostatnich trzech lat kazała pani na nowo zaprojektować swój park w Devonshire, o powierzchni ośmiuset akrów. Ponadto łożyła pani szczodłą ręką na liczne organizacje charytatywne: na

pomoc dla byłych żołnierzy, na wdowy i sieroty wojenne, a także... - Tu sprawdził coś w dokumencie leżącym na jego biurku z dala od innych. - Pokryła pani, wyłącznie z własnych funduszków, koszt ekspedycji naukowej do Afryki Północnej, zorganizowanej przez Królewskie Towarzystwo Naukowe w celu odnalezienia zatopionej Atlantydy.

Podniósł wzrok na Lydię, jakby w nadziei, że tym razem jego klientka zaprzeczy. Nie zaprzeczyła.

- Przedstawiono mi przekonujące dowody na to, że właśnie w tym miejscu powinien się znajdować zatopiony kontynent - wyjaśniła nieco afektowanym tonem. - Proszę, niech pan mówi dalej.

- Czy muszę jeszcze mówić o tym, że utrzymuje pani przez okrągły rok całą służbę w trzech rezydencjach? Czy mam wspominać o pani koniach, sukniach, czepkach, biżuterii, cotygodniowych dniach otwartych dla tłumu gości, a także wszelkich innych przyjęciach i balach...

- Nie - przerwała mu gładko Lydia. - Nie musi pan mówić dalej. Nie zrozumiał mnie pan, panie Terwilliger. Nie pytałam pana, w jaki sposób wyczerpałam fundusze, tylko w jakim stopniu zostały wyczerpane!

Słyszając to, Terwilliger mruknął z irytacją:

- Ze szczętem!

Przyjrzała mu się bacznie i, nie dostrzegając z jego strony najmniejszego wahania, oświadczyła:

- W takim razie sprzedam gospodarstwo rolne w Derbyshire.

- Już zostało sprzedane.

Zmarszczyła brwi.

- Doprawdy? Kiedy to się stało?

- Trzy miesiące temu. Napisałem do pani i zapytywałem w liście, z czego zamierza pani ufundować ekspedycję, mającą na celu odnalezienie Atlantydy. Odpowiedziała pani, żebym sprzedał, co uznam za konieczne. Uczyniłem to. Przesłałem pani przez umyślnego akt sprzedaży, a pani go podpisała.

- A tak... Przypominam sobie. Ale przecież z tej sprzedaży powinno zostać jeszcze trochę pieniędzy?

Pokręcił głową.

- W takim razie trzeba będzie sprzedać jeden z domów.

- Wszystkie zostały już wystawione na sprzedaż, ale do tej pory nie zgłosił się żaden kupiec. Obawiam się, że w ogóle nikt się nie zgłosi. W obecnych czasach mało kto chce kupować dom bez przylegających doń gruntów.

- Wobec tego sprzedajmy kopalnię węgla! - stwierdziła stanowczo Lydia. - Nigdy mi się zresztą nie podobała.

- Niestety, złoża zostały wyczerpane.

- Mniejsza z tym! - odparła Lydia tonem osoby wysłuchującej dla świętego spokoju czyichś urojonych pretensji. - Proszę wobec tego sprzedać papiery wartościowe.

Bankier poruszył się niespokojnie.

- Odkąd wojna się skończyła, papiery wartościowe spadły w cenie. Starąłem się postępować rozważnie... ale zawiodłem pod tym względem. Pani akcje nie mają już żadnej wartości.

Wreszcie pękł mur, którym fortuna i wysoka pozycja społeczna odgradzały lady Lydię Eastlake od rzeczywistości. Jej uśmiech zbladł.

- Niech więc pan każe Honeycuttowi sprzedać moje udziały w Indyjskiej Flocie Handlowej - oświadczyła.

Honeycutt zarządzał przedsiębiorstwem okrętowym, stanowiącym fundament potęgi Eastlake'ów.

Terwilliger spojrział w milczeniu na swoją klientkę.

- No więc? - spytała niecierpliwie.

- Rzecz w tym... - zająknął się speszony - że nie ma już żadnej floty.

Lady Lydia zmarszczyła brwi.

- Musi przecież istnieć! Gdy ostatnio o niej słyszałam, gotowała się do powrotu z Indii, i to z ogromnym ładunkiem.

- Dwa tygodnie temu wszystkie pięć statków zagarnęli piraci ze wschodnich wybrzeży Afryki.

- Co takiego?!

- Informowałem panią o tej sprawie. Pisałem dwukrotnie. Prosiłem o spotkanie, ale pani...

- A co z załogami? - przerwała mu blada ze strachu.

- Pani towarzystwo przewozowe dysponowało wystarczającym kapitałem, by zapłacić żądany okup - zapewnił ją pospiesznie bankier i Lydia odetchnęła z ulgą. - Nikt nie postradał życia, ale statki wraz z

całym ładunkiem przepadły. Szkoda, że nie czytała pani moich listów - zakończył z lekkim wyrzutem.

- Ja też tego żałuję - szepnęła. - Nigdy bym się nie upierała przy tym powoziku!

Terwilliger przyglądał się jej zgnębiony. Powtarzał sobie, że robił, co w jego mocy, ale mógł jej służyć jedynie radami, które lady Lydia z reguły ignorowała. I choć skłonny był przyznać, że jego rady niewiele były warte, każdy ze znanych mu ludzi interesu, bankierów i inwestorów popełniał podobne omyłki i nie potrafił przewidzieć trudności finansowych, jakie spadły ostatnio na ich kraj.

Przede wszystkim zresztą to lady Lydia była winna swojemu fatalnemu położeniu. Jej energia przypominała ogień, który płonie olśniewająco, ogrzewa i zachwyca swoim blaskiem, ale może też okazać się siłą niszczycielską. A mimo to każdy boleje na myśl, że taki płomień będzie musiał zgasnąć.

- Rozumiem - szepnęła w końcu Lydia. - Co da się jeszcze zrobić?

Terwilliger nie mógł teraz próbować wykrętów, nic dobrego by z tego nie wynikło.

- Cały pani majątek, zarówno ruchomy, jak i nieruchomy, przestał istnieć. W trakcie jego likwidacji okaże się zapewne, że przedmioty, stanowiące pani osobistą własność, wystarczą nie tylko na spłacenie długów, ale że pozostanie dość pokaźna sumka, która - przy umiejętnym zarządzaniu - powinna wystarczyć pani na... dostatnie życie.

- O! To brzmi zachęcająco - zauważyła lady Lydia i poweselała. -
Co dokładnie ma pan na myśli?

- Przypuszczam, że może pani liczyć na jakieś dwieście pięćdziesiąt funtów rocznie. Wystarczy to na wynajęcie niewielkiego domku w mieście, zatrudnienie kucharki i pokojówki. Może nawet kamerdynera.

- Dobry Boże! - jęknęła lady Lydia, opadając na fotel. - A zatem jestem w skrajnej nędzy.

Mówiła to całkiem poważnie, a bankier zgodził się z nią, że w wielkim świecie - jedynym, jaki знаła - istotnie będzie uchodzić za nędzarke. W całym swoim dotychczasowym życiu Lydia nie zaznała podobnego losu. Nawet pod dachem sir Grimleya żyła jak księżniczka, otoczona zbytkiem i wygodami.

- Czy będę mogła zatrzymać przy sobie Emily?

- Obawiam się, że nie. Może pani Cod powróci tam, skąd ją pani zabrała? - podsunął Terwilliger, uśmiechając się przeproszająco do Emily.

Zamrugnęła nerwowo i zacisnęła ręce złożone na podołku.

- Dobry Boże! Terwilliger, mówi pan tak, jakbym znalazła Emily w jakiejś jamie pod kamieniem i mogła wetknąć ją z powrotem! Ona tam nie wróci, nie ma mowy!

W głosie Lydi brzmiała niezłomna determinacja i żelazna wola. Któż by pomyślał, że beztroska piękność z wielkiego świata może posiadać takie cechy charakteru? Skulona u boku przyjaciółki Emily odetchnęła. Jej drgające nerwowo palce znieruchomiały.

- W takim razie nie zatrudni pani kamerdynera - skonstatował bankier.

Lady Lydia rozważała przez chwilę jego werdykt.

- Nie sądzę, bym mogła żyć w takich warunkach.

Terwilliger był tego samego zdania.

- Wiele osób radzi sobie jakoś bez szefa służby.

- Nie - odparła, kręcąc głową. - Bardzo mi przykro. Nie mogę żyć w nędzy. Zbyt wielu ludzi polega na mnie - choćby wszelkiego rodzaju rzemieślnicy, dostawcy win, kupcy i tak dalej...

Bankier uznał to za wyraźną przesadę.

- Mają przecież innych klientów! - zaproponował.

Zmarszczyła brwi, raczej strapiona niż urażona.

- Chyba nie docenia pan roli, jaką odgrywam, panie Terwilliger. Nie jestem pierwszą lepszą osobą z towarzystwa. Jestem... - szukała właściwego określenia - instytucją, która wydaje patenty!

Czyżby kpiała sobie z niego? Miewała dość osobliwe żarty.

- Jeśli zjem obiad w jakiejś restauracji, staje się ona modna - tłumaczyła mu Lydia z odrobiną zniecierpliwienia. - Jeśli podam gościom na przyjęciu taki a nie inny gatunek wina, w ciągu tygodnia właściciel składu win otrzyma na nie więcej zamówień niż przez ostatnich pięć lat, a właściciel winnicy będzie miał zabezpieczony byt co najmniej na dziesięciolecie! Jeśli użyję jakichś perfum, od razu zaczną się cieszyć popularnością, a ich wytwórca zbije majątek. Podobnie sprawy się mają z jedwabiem na moje suknie, z muzykami, których wynajmę na wieczorek muzyczny, z kompozytorem, u

którego zamówię sonatę. Albo z modystką, hodowcą koni, wytwórcą mebli lub dywanów...

Urwała i obserwowała bacznie, czy do jej rozmówcy dociera w pełni znaczenie tych słów.

Bankier spostrzegł ze zdumieniem, że lady Lydia mówi prawdę. Znow nawiedziła go niepokojąca myśl, że pozornie lekkomyślna piękność doskonale zna prawa rządzące światem, w którym żyła. Istotnie, była czymś w rodzaju instytucji wydającej patenty. Nie brakowało, co prawda, ludzi wprowadzających taką czy inną modę, ale nikt z wyjątkiem Beau Brummella nie wywarł tak ogromnego wpływu na poglądy i gusty ogółu jak lady Lydia Eastlake. Umiała pociągnąć za sobą tłumy. Ludzie tłoczyli się do sklepów, które odwiedzała, a po południu ustawiali się wzdłuż Rotten Row, by choć rzucić okiem na lady Lydię przejeżdżającą w powoziku.

I nie chodziło tylko o to, że była śliczna i dowcipna. W wielkim świecie nie brakło pięknych i niegłupich kobiet. Jej wielbicielom nie imponował również ekstrawagancki sposób życia lady Lydii. Chodziło raczej o to, że była taka niezależna i że szczęście tak jej sprzyjało... jak świadczyły pozory. Nic dziwnego, że fascynowała przedstawicieli wszystkich warstw społecznych - od najwyższej do najniższej. Istoty takie jak ona były rzadko spotykane i niezwykle jak syreny!

- No i cóż, panie Terwilliger?

- Mogę udzielić tylko jednej rady: powinna pani znaleźć sobie bogatego męża.

- Miałabym wyjść za mąż?!

Wydawała się tak zaskoczona, jakby zaproponował, by zajęła się sprzedażą kwiatów w Covent Garden.

Przytaknął stanowczo.

- I szkoda, że nie zdecydowała się pani na to kilka lat wcześniej. Złączyłaby pani swoją fortunę z inną, równej wielkości, i poślubiła człowieka orientującego się w sprawach finansowych, znającego prawa ekonomii... Rozważny, uczciwy, troskliwy mąż, pochodzący ze świetnego rodu, mógłby powiększyć pani majątek, nie skąpiąc przy tym żonie pieniędzy na wszelkie jej zachcianki.

- No właśnie: wydzielałby mi łaskawie pieniądze należące do mnie! - Lydia wzdrygnęła się lekko. - Ale chyba rzeczywiście powinnam pomyśleć o małżeństwie - zakończyła.

- Czyżby sprawy stały aż tak źle? - jęknęła cicho Emily.

- Obawiam się, że tak, moja droga. Trzeba stawić czoła faktom... a fakty mówią same za siebie. Muszę wyjść za mąż - podsumowała ponuro.

Łatwiej to powiedzieć, niż tego dokonać! - pomyślał ze smutkiem bankier.

- O cóż znów chodzi, panie Terwilliger? - spytała lady Lydia, dostrzegając posepny wyraz jego twarzy. - Czyżby ziemia się rozstała i pochłonęła moją londyńską rezydencję?

- Czy mogę mówić otwarcie? - spytał.

Obawiał się posunąć zbyt daleko, ale miał trzy córki, które wydał dobrze za mąż, i był przekonany, że zna się nieźle na kojarzeniu

małżeństw. Choć nie należał do sfer, w których obracała się lady Lydia, zakładał, że w gruncie rzeczy wybór odpowiedniego towarzysza życia wszędzie opiera się na podobnych zasadach - czy będą to arystokraci, czy też nie. Przede wszystkim jednak pragnął udzielić swojej klientce dobrej rady, gdyż czuł się częściowo odpowiedzialny za fatalne położenie, w którym się obecnie znalazła.

- Oczywiście!

- Przez całe lata, lady Lydio, odrzucała pani oświadczyzny najznamienitszych i najbogatszych przedstawicieli arystokracji. Nie sądzę, by któryś z nich zechciał się narazić na upokorzenie, ponawiając propozycję.

- Bez wątpienia znajdzie się jeszcze kilku dżentelmenów, którzy do tej pory nie starali się o moją rękę - stwierdziła sucho lady Lydia.

- To prawda - odpowiedział spokojnie Terwilliger. - Biorąc jednak pod uwagę rozliczne zalety tych, którym dała pani kosza, wątpię, by adorator... nieco gorszej kategorii mógł mieć nadzieję na łaskawszą odpowiedź od tej, jaką otrzymali lepsi od niego. Obawiam się, milady, że uchodzi pani za piękność nie do zdobycia!

- Wątpi pan, by ktokolwiek oświadczył się jeszcze o moją rękę?

Terwilliger odchrząknął, starając się znaleźć złoty środek między szczerością a delikatnością.

- Sądzę, że mężczyźni, którzy odpowiadaliby pani wymaganiom, są równie dumni jak pani, lady Lydio. Jeśli rozniesie się wieść, że straciła pani majątek, każdy odgadnie, co skłania panią do małżeństwa.

- Przecież każdy się żeni lub wychodzi za mąż, by polepszyć swoją sytuację - odparła Lydia. - Czy to pod względem finansowym, czy towarzyskim. Mogę nie wnieść temu przyszłemu małżonkowi w posagu bogactwa, ale nadal wywodzę się ze starego i szacownego rodu!

- Niewątpliwie, ale sposób, w jaki odnosiła się pani do zalotników przez te wszystkie lata, utwierdził świat w przekonaniu, że uważa się pani za istotę wyższą nad takie rachuby. Zyskała pani reputację osoby, która kieruje się jedynie własnym upodobaniem i nie dba o zdanie innych.

- I rzeczywiście tak jest... a raczej było - poprawiła się Lydia.

- No właśnie, tym się pani kierowała. Znajdą się teraz tacy, którym sprawi złośliwą satysfakcję, że musi pani obniżyć wymagania dotyczące małżeństwa. Może to również uradować któregoś z odrzuconych zalotników lub jakąś pani rywalkę. - Terwilliger szukał jak najsubtelniejszych określeń, ale w końcu sformułował myśl tak, jak na bankiera przystało: - Będą się starali obniżyć pani wartość w oczach potencjalnych pretendentów do pani ręki!

Tak nikczemne postępowanie napełniło Lydię niesmakiem, ale równocześnie zaintrygowało ją.

- W jaki sposób mogliby tego dokonać?

- Wyśmiewając pani poprzednie wypowiedzi jako pretensjonalne frazesy i sugerując, że jest pani w rozpaczliwej sytuacji.

- Bo jestem!

- Cóż za szczerłość!... Wątpię jednak, by wielu mężczyzn pragnęło żony będącej przedmiotem kpin znajomych. Mało kto chciałby też odgrywać rolę ostatniej deski ratunku, której chwyta się zrozpaczona kobieta.

Lydia rozważyła te gorzkie słowa.

- Rozumiem. Nikt tego nie pragnie.

- Proszę nie rozumieć opacznie moich słów, lady Lydio! - dodał pośpiesznie bankier. - Bez wątpienia otrzyma pani wiele propozycji małżeńskich, gdy rozejdą się pogłoski, że interesuje panią zamążpójście. Ale dżentelmeni, którzy pośpieszą z oświadczeniami, zapewne nie będą należeć do grona tych, wśród których mogła pani wybierać przed kilkoma laty.

- A jacyż to dżentelmeni, pańskim zdaniem, ruszą teraz w zaloty?

- No cóż... - zaczął ostrożnie. - Przypuszczam, że ci, których w zupełności zadowoli znakomite nazwisko i herb, jakie wniesie im pani w posagu, albo tacy, którym zależy na spłodzeniu syna i spadkobiercy. .. a wiedzą, że zostało im niewiele czasu.

- Ach tak! - odparła. - Inaczej mówiąc, nowobogaccy, których nie zrazi mój brak majątku, albo starcy, równie zdesperowani jak ja!

- Przede wszystkim oni - przyznał z niechęcią.

- To jest absolutnie nie do przyjęcia - oznajmiła Lydia.

- Oczywiście! - wtrąciła pani Cod, przytakując energicznie.

- Co pani przez to rozumie? - spytał Terwilliger.

- Nie wyjdę za nieokrzesanego nuworysza, choćby mnie obsypywał nie wiadomo jak zdobytym złotem. I nie będę zadowalać stojącego nad grobem starca!

- Nie sędzę, by sytuacja przedstawiała się aż tak rozpaczliwie. Bez wątpienia, nie zabraknie krzepkich, młodych właścicieli... nieco mniejszych majątności. Będą w siódmym niebie, jeśli ich pani nieco ośmieli!

- Jak okazażnych majątności, pańskim zdaniem?

Bankier nie zamierzał jej okłamywać. Nawet w najwyższych kręgach, w których obracała się lady Lydia, małżeństwa były zawierane głównie po to, by podeprzeć jakąś nadwerezoną potęgę albo stworzyć nowe bogactwo. Bardzo rzadko dwoje ludzi pobierało się z innych względów.

- Znacznie mniejsze od tych, którymi pani dysponowała.

- W takim razie i to nie wchodzi w rachubę. Jeśli już muszę wyjść za mąż, oczekuję, że przynajmniej będę mogła żyć na tej samej stopie co dotychczas!

Terwilliger nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Lady Lydia przemawiała takim tonem, jakby sądziła, że może wybierać i przebierać.

- Kto wie o moich kłopotach finansowych? - spytała.

Bankier uniósł dłoń.

- Ogólnie wiadomo, że prawie każdy, kto należy do eleganckiego towarzystwa, ma jakieś długi. Nie straciła pani majątku na oczach wszystkich, podczas jednego wieczoru przy zielonym stoliku! Nie ma

pani ani jednego długu, który byłby przedmiotem plotek, lady Lydio. Cała pani fortuna rozsypała się, że tak powiem, po bardzo rozległym polu. Pieniądze albo utknęły gdzieś głęboko, albo uleciały z wiatrem.

- A ja cieszyłam się każdą chwilą, rozrzucając je pełnymi garściami! - odparła i znów się uśmiechnęła. - Jak wiele osób wie o zagładzie naszej floty?

- Na razie jeszcze nikt. Kiedy wyjdzie to na jaw, możemy się spodziewać wyjątkowo przykrych konsekwencji dla wszystkich zainteresowanych... z naszym bankiem włącznie. Ja oczywiście zachowam dyskrecję, ale plotki pojawią się już niebawem.

- Kiedy powrócą do kraju wykupieni członkowie załogi?

- No cóż... Wysłaliśmy po nich statki, ale podróż wokół przylądka to długa wyprawa. Potrwa, moim zdaniem, jakieś trzy lub cztery miesiące.

Lydia zastanowiła się przez chwilę.

- Potrzebny mi cały sezon, panie Terwilliger, podczas którego nikt nie będzie wiedział, że jestem w rozpaczliwej sytuacji.

- Dlaczego tak pani na tym zależy?

Lady Lydia podniosła się z fotela.

- Bo chciałabym, żeby mój przyszły mąż, zanim dowie się o fatalnym stanie moich finansów, doszedł do wniosku, że jestem dla niego wymarzoną towarzyszką życia. A wówczas zareaguje na złe nowiny jedynie lekkim rozczarowaniem.

Bankier wpatrywał się w lady Lydię zbity z tropu.

- Kimże jest ów przyszły mąż, milady?

- Cóż to za pytanie, panie Terwilliger! - mknęła, dając znak swojej damie do towarzystwa, by także wstała. - Będę to wiedziała dopiero wówczas, kiedy go spotkam!

2

W tym samym czasie w Josten Hol - sto dwadzieścia trzy mile na północny wschód od Londynu, na wybrzeżu Norwich, w pobliżu małego miasteczka Cromer - toczyła się narada na podobny temat.

Kapitan Ned Lockton, niedawno w wieku dwudziestu ośmiu lat zwolniony ze służby we flocie Jego Królewskiej Mości, siedział w bibliotece, w domu swoich przodków i spoglądał na członków najbliższej rodziny: starszego brata, Marcusa Locktona, hrabiego Josten, jego żonę Nadine oraz owdowiałą siostrę, panią Beatrice Hickston-Tubbs.

W pokoju znajdowało się również dwóch naburmuszonych osiemnastolatków, którzy pozowali na zblazowanych dandysów. Chłopcy byli do siebie tak podobni, że nie ulegało wątpliwości, iż łączy ich bliskie pokrewieństwo. Był to Harry, pierworodny Jostena i Nadine, oraz syn Beatrice, Phillip, pieszczotliwie zwany przez rodzinę Pipem. W tej chwili nikt z dorosłych nie był zbyt czule nastawiony do żadnego z wyrostków. Reszta dzieci - dwudziestojednoletnia Mary, córka Beatrice, i piętnastoletnie bliźniaki, młodszy synowie hrabiostwa - wykazując znacznie więcej rozumu niż obaj starsi chłopcy, nie

uwikłała się w rodzinny skandal i wołała nie brać udziału w naradzie rodzinnej.

Beatrice popatrzyła z niepokojem na swego wysokiego, rudowłosego syna, po czym z równą troską zmierzyła wzrokiem jasnowłosego eleganta, Harry'ego. Tacy ładni, niewinnie wyglądający chłopcy! Że też wplątali się w kabałę - tylko dlatego, że mają w sobie tyle życia! Cóż, wszyscy Locktonowie płci męskiej byli z natury porywczy, dumni i... może troszkę zbyt pewni siebie.

Spojrzenie Beatrice padło z kolei na Neda, brata młodszego od niej i od Jostena o dwadzieścia lat. Ned nie był podobny do reszty rodziny, nie odznaczał się też słynną gwałtownością uczuć ani zarozumiałstwem Locktonów. I tym lepiej, bo gdyby odziedziczył te rodzinne cechy, nigdy by się nie zgodził na rolę, którą mu teraz wyznaczyli.

- Nie ma innego wyjścia. Musisz znaleźć sobie posażną pannę i ożenić się z nią czym prędzej! - oznajmił Josten swoim najbardziej władczym tonem, który robił zazwyczaj piorunujące wrażenie.

Zrobiłby i teraz, gdyby rozmówcą hrabiego nie był kapitan Ned Lockton. Ned nie wyglądał wcale na przejętego lękiem. Gdybyż przynajmniej okazywał beznamiętną, dumną niewzruszoność w stylu Beau Brummella czy lorda Alvanleya... ale gdzie tam! - myślała Beatrice. Ned po prostu puszczał to wszystko mimo uszu. Na jego przystojnej twarzy nie było ani cienia urazy czy oburzenia. Wydawał się po prostu znacznie bardziej zajęty jabłkiem, które obierał, niż całą tą naradą rodzinną.

- Słuchasz mnie, Ned? - zagrzemiał hrabia, a jego ogorzałe oblicze, równie przystojne jak twarz brata, przyoblekło się w surowość, godną patriarchy rodu.

Uśmiech wygiął kształtne usta Neda i sprawił, że na jego ogorzałym policzku pojawił się nieoczekiwanie dołek. Niezwykle ujmujący dołek! - pomyślała Beatrice, raczej z ulgą niż z aprobatą. Miejmy nadzieję, że wkrótce zacznie budzić słodki niepokój w damskich sercach!

Wyrwawszy się czternaście lat temu z domu, by zaciągnąć się do królewskiej floty, Ned nigdy nie miał okazji zająć należnego mu miejsca w wielkim świecie. Idąc za radą swego ojca chrzestnego, admirała lorda Nelsona, chłopak wybrał służbę na morzu, choć rodzina chciała mu kupić patent oficera konnicy. Do dziś Beatrice żywiła z tego powodu urazę do brata.

Jeśli już ktoś życzy sobie unosić się patriotycznym zapałem, mógłby przynajmniej dobrze się przy tym prezentować - w pasowej kurtce ze szkarłatną szarfą! Oficerowie królewskiej floty nie mieli nawet obowiązku noszenia mundurów, przebywając na lądzie. Zdaniem Beatrice było to karygodne niedopatrzenie ze strony admiralicji. Ned w mundurze wywierałby na dziewczętach piorunujące wrażenie!

Beatrice obserwowała krytycznie młodszego brata. Nie знаła go tak dobrze, jak zapewne powinna rodzona siostra... Przebywał w rodzinnym domu zaledwie od tygodnia, a w poprzednich latach widziała go tylko parę razy, gdy oczekiwał na lądzie na nowy przydział na taki czy inny okręt.

I, szczerze mówiąc, Beatrice nie zwracała wówczas uwagi na to, jak jej brat się prezentuje. Wszyscy Locktonowie byli wprost nieprawdopodobnie przystojni, toteż uważała powierzchowność brata za coś oczywistego. Teraz jednak była zadowolona, że gorące słońce Morza Śródziemnego nie wypaliło mu włosów, tylko dodało im złocistego blasku, a cera nie została raz na zawsze spieczona, lecz przyjemnie zbrązowiła. Nie było to może szczytem mody, ale lepiej być śniadym, niż przypominać wyciągniętego z wrzątku raka.

Bogu dzięki, rysy Neda nie poniosły uszczerbku w żadnej morskiej bitwie. Nikt nie byłby w stanie rozwiązać obecnych problemów rodziny, gdyby nie jego zapierająca dech uroda. Te dołki w brodzie i w policzku, gąszcz ciemnych rzęs przesłaniających czyste, szaroniebieskie oczy... Nos rzymski, czoło pogodne, a postura godna Adonisa w rozkwicie młodości!

Byłoby lepiej, rzecz jasna, gdyby ta godna bóstw olimpijskich uroda łączyła się z olimpijskim temperamentem, jak u Marcusa. Młode damy lubią nieokiełznanych mężczyzn... Swoją drogą, jak sobie ten uprzejmy, dobroduszny Ned radził jako kapitan na okręcie pełnym nieokrzęsanych prostaków? Beatrice zauważyła jednak, jakie zainteresowania wzbudził jej młodszy brat wśród dam z Cromer. Należy mieć nadzieję, że zrobi równie dobre wrażenie na londyńskich elegantkach. Po prostu muszą zwrócić na niego uwagę...

- Inaczej nic nie wskóra! - mruknęła pod nosem.

Ned podniósł na nią wzrok.

- Kto i czego nie zdoła dokonać, Beatrice?

- Ty! Uratować rodzinnego majątku! - ryknął Josten. - A o czym to rozmawiamy, jak ci się zdaje? Powiedziałem ci przecież wyraźnie, że jesteśmy w fatalnej sytuacji finansowej. Myślałem, że dotarło już do ciebie, iż musisz sobie znaleźć bogatą żonę!

- Nie miej mi za złe mojej tępoty, ale kiedy ostatnim razem byłem w domu, rodzinna fortuna wydawała się w jak najlepszym stanie. Co jej aż tak zaszkodziło?

- Spytaj raczej, co nie zaszkodziło, Neddie! - jęknęła Nadine, wymachując rozpaczliwie koronkową chusteczką. Jasne loki otaczały twarz równie uroczo, jak wówczas gdy brali ślub z Marcusem. - Inwestycje zawiodły, ustawy zbożowe uniemożliwiły zyski z gospodarstwa, dzieciom brakuje najpotrzebniejszych rzeczy...

- Jakich? - przerwał jej Ned, spoglądając z zainteresowaniem na bratanka i siostrzeńca.- Pod jego wzrokiem zapadli się głębiej w fotele. Zapowiedziano im surowo, żeby się nie odzywali, co w normalnych okolicznościach potraktowaliby jako wyzwanie. Z natury bardzo wymowni, pod łagodnym, lecz przenikliwym wzrokiem Neda jakoś bez trudności zachowywali milczenie.

- No cóż, sam rozumiesz... - odparła Nadine, uciekając wzrokiem w bok. - Mam na myśli rzeczy, które młodym ludziom wydają się niezbędne.

Na jej miękkich, pulchnych policzkach wykwitły jaskrawe rumieńce. Ned patrzył na nią łagodnie.

- Na przykład co? - nie ustępował.

- Daj spokój, Ned! - warknął z irytacją Josten. - Rzecz w tym, że diabli wzięli nasz przysłowiowy „garnek pełen złota”. Nie został nam nawet dziurawy nocnik! Czy to ważne, jak do tego doszło?

- No cóż... jeśli to ja mam znaleźć bogatą żonę i odzyskać w ten sposób straconą fortunę, chciałbym przynajmniej wiedzieć, jak przepadła.

Choć w głosie Neda nie słyhać było oskarżycielskiego tonu, Nadine pobladła, a jej oczy napełniły się łzami.

- Nie bądź taki, Neddie!

- Bardzo cię przepraszam, nie miałem zamiaru cię przerazić. Byłem po prostu ciekaw, gdzie się podział nasz rodzinny nocnik.

Mimo powagi sytuacji Beatrice nie mogła się powstrzymać i zachichotała. Ned z pewnością nie zdawał sobie sprawy z tego, jak zabawnie to zabrzmiało! Nigdy nie był żartownisiem, w każdym razie dawniej. Locktonowie słynęli z urody i porywczosci, ale nie z dowcipów. Josten rzucił siostrze spojrzenie pełne wyrzutu. Przestała się śmiać, przypomniawszy sobie, o jak ważnych sprawach dyskutują.

- Zachowujesz się egoistycznie! To wojna tak ci spaczyła charakter. Był z ciebie kiedyś taki słodki chłopczyk. - Nadine pociągnęła nosem. - Myślałam, że oficerska służba wyrobiła w tobie poczucie obowiązku i zdolność do poświęceń. Twoja rodzina znalazła się w wyjątkowo trudnej sytuacji, hrabiowska fortuna wymknęła się spadkobiercom z rąk i przepadła. Biedny Pip, synek Beatrice, nie będzie nawet mógł należeć do klubu, jak prawdziwy dżentelmen... a nieszczęsnej Mary przypadnie ciężki los żony bogatego kupca...

- No, no, z pewnością nie będzie aż tak źle! - odezwała się Beatrice. Nie zamierzała pozwolić, by ktoś wygłaszał ponure przepowiednie dotyczące jej dzieci!

Nadine zignorowała wypowiedź szwagierki.

- A ty jesteś jedyną osobą, która mogłaby nas ocalić - i odmawiasz! Och!

Zakryła twarz rękami i szlochała dalej.

- Czyżbym naprawdę odmówił? Słowo daję, nie przypominam sobie tego.

Na twarzy Neda malowało się najwyższe skupienie. Niekiedy w podobnych sytuacjach Beatrice zastanawiała się, czy rana w nodze, która sprawiła, że porzucił służbę, mogła wpłynąć fatalnie na stan jego władz umysłowych?... A może - i ta ewentualność była najbardziej niepokojąca - Ned po prostu kpił sobie z nich?

Czy to możliwe, by jej młodszy braciszek wyrósł na takiego cynika? Wydawało się to niepodobieństwem. Kiedy i gdzie mogły się w nim rozwinąć podobne cechy? W każdym razie ona nigdy przedtem ich nie dostrzegła! Był zawsze miłym chłopcem, o tyle młodszym od reszty rodzeństwa. .. I miał zwyczaj długo zastanawiać się nad wszystkim. Prawdę mówiąc, jedynym impulsywnym postępkim Neda, jaki zapamiętała, było zaciągnięcie się do marynarki.

A może wcale nie znała go dobrze, tak jak jej się zdawało? Była już mężatką, gdy nieoczekiwanie pojawił się na świecie. Przez całe lata żyli jednak pod jednym dachem: Marcus, odziedziczywszy po

ojcu tytuł hrabiego, nalegał, by siostra - niezbyt zamożna wdowa z dwojgiem dzieci - wróciła do Josten Hol.

Jak przez mgłę Beatrice przypominała sobie małego Neda - słodkiego, zamkniętego w sobie chłopczyka, prawdziwego odmieńca w rodzinie, która zwykła w dramatyczny sposób dawać upust gwałtownym uczuciom. Pamiętała również, że często - a może zawsze? - Ned pozostawał spokojny w obliczu niezliczonych rodzinnych tragedii. Był chłodny, ale nie sarkastyczny! Przecież by zauważyła, gdyby któryś z jej braci objawiał takie skłonności!

- Zrobisz to dla nas? - dopytywała się Nadine, zerkając na Neda, choć zakryła sobie twarz rękoma. Oczy szwagierki, jak to spostrzegła Beatrice, były suche. - Znajdziesz sobie bogatą żonę?

- No cóż... Jeszcze się nie dowiedziałem, czemu właściwie miałbym tak postąpić... Nie mówię, że tego nie zrobię - dorzucił pospiesznie, gdy odsłonięta już całkiem dolna warga bratowej zaczęła drżeć - ale nic na to nie poradzę, że zżera mnie ciekawość!

Czekał, uśmiechając się zachęcająco - najpierw do Nadine, potem do Beatrice, a wreszcie do Marcusa. Żadne z nich nie było w stanie wytrzymać dłużej jego otwartego spojrzenia.

- To wszystko przez hazard! - wybuchnął w końcu Josten. - Jeśli chcesz koniecznie wiedzieć, przez brak szczęścia w kartach!

- Ach tak. - Ned pokiwał głową. - Bardzo ci współczuję, Marcus.

- To nie ja! - zaprzeczył gwałtownie Josten. - A w każdym razie w niewielkim stopniu. To synalek Bei, Pip...

- Razem z twoim Harrym! - odcięła się Beatrice, jak zawsze stając w obronie syna.

- Wielkie nieba! - mruknął Ned. - Nie miałem pojęcia, że można razem przegrywać w karty!

- Nie pleć głupstw! - fuknął Josten z twarzą zaczerwienioną od gniewu i wstydu, choć wolałby umrzeć, niż przyznać się do tego. - Nie grali we dwóch. I nie doprowadzili nas do bankructwa w ciągu jednej nocy... Ani nawet przez tydzień czy dwa! Trwa to już dobry rok, a jeszcze nas całkiem nie puścili z torbami.

- Czyżby? Jak to miło słyszeć, że młode pokolenie wykazuje tyle powściągliwości - zauważył Ned, ponownie spoglądając na bratanka i siostrzeńca.

Pip, z twarzą niemal tak ogniście czerwoną jak jego włosy, obgryzał paznokieć, Harry bezmyślnie przerzucał kartki żurnala „La Belle Assablée”.

- Bogu dzięki! - stwierdził Marcus. - Dzięki temu będziesz miał czas na szukanie bogatej panny, zanim wszyscy dowiedzą się, że jesteśmy bankrutami. Harry zapewniał mnie, że nikt do tej pory nie podliczył dokładnie, ile i komu są winni, bo wtedy... hm...

- Pokazano by im drzwi? - podpowiedział Ned.

- Nikt by się nie ośmielił! - zagrzemiał Josten.

- A zatem ich młodzieńcze długi po prostu sobie rosły i rosły, czy tak?

- No cóż... tak właśnie było, Neddie - westchnęła Nadine. - A ponieważ to już czwarty sezon naszej kochanej Mary, po prostu musi

mieć całkiem nową garderobę, żeby mogła nadal olśniewać urokiem młodości...

W głosie Nadine nie było nawet cienia wyrzutu, mimo to Beatrice poczerwieniała. Wstydziła się za córkę. Cała rodzina była zgodna co do tego, że Mary powinna przyjąć oświadczyzny lorda Bortona, swego - jak dotąd - jedyne go konkurenta. Ale uparta dziewczyna odmówiła mu, oświadczając, że nie mogłaby mieszkać pod jednym dachem z niezamężną szwagierką. Beatrice, która od piętnastu lat żyła z bratową w idealnej harmonii, po prostu nie pojmowała, o co córce chodzi!

Małżeństwo Mary z Bortonem nie mogło wszakże wybawić Locktonów z obecnej trudnej sytuacji. Zakochany sąsiad miał oczywiście dość pieniędzy, by utrzymać żonę i przyszłe potomstwo, nie był jednak aż takim krezusem, by ocalić od katastrofy Josten Hol i wszystkich jego mieszkańców. Ale przynajmniej jedna osoba z rodziny stanęłaby dzięki temu na pewnym gruncie!

- A młodzi ludzie, którzy chcą zrobić dobre wrażenie w eleganckim świecie, też muszą być należycie wyposażeni - dodała mentorskim tonem Nadine. - Nie chciałbyś przecież, by uznano Jostena za skąpca, a Harry'ego i Phillipa za prowincjuszy!

- Ależ skąd, dobry Boże! - zgodził się potulnie Ned.

- A poza tym nie tylko Harry i mój Pip padli ofiarą bezlitosnych oszustów i straszliwego pecha - wtrąciła Beatrice. - Chodzą słuchy, że wkrótce sam Brummell będzie musiał uciekać za granicę!

- Kogo, u diabła, obchodzi Brummell! - burknął Josten. - Nam zależy tylko na dobrym imieniu Locktonów!

- Oczywiście - przytaknął Ned i znów skierował wzrok na obu wyrostków. - A jeśli już o tym mowa, to zważywszy, że zawdzięczamy obecne kłopoty Harry'emu i Pipowi, może by raczej któryś z nich złożył na ołtarzu rodziny swoją kawalerską wolność?

W pokoju zaległa cisza, wszyscy stali jak porażeni gromem. Nadine zbladła, Josten jeszcze bardziej poczerwieniał. Niebieskie oczy Harry'ego omal nie wyskoczyły z orbit, a Pip mocował się z krawatem, który nagle przemienił się w stryczek. Tylko Ned wydawał się całkowicie opanowany. Jak zawsze.

- Nie! - zdołał wykrztusić Pip.

- Nie! - zapiszczał chwilę później nieswoim głosem Harry.

- Oni są na to za młodzi! - jęknęła Nadine.

- To jeszcze dzieci! - wtrąciła swoje trzy grosze Beatrice.

- Żaden ojciec przy zdrowych zmysłach nie pozwoli, by któryś z nich kręcił się koło jego córek! - orzekł Josten.

Tylko oświadczenie hrabiego wzbudziło zainteresowanie Neda. Kapitan uniósł pytająco brew.

- Prawdę mówiąc, obu chłopców relegowano z Eton i wszyscy o tym wiedzą. Zdobyli opinię niepoprawnych urwisów, a ich głupie psoty nie wywarły najlepszego wrażenia w towarzystwie. W żaden sposób nie udało się zdobyć dla nich zaproszeń na przyjęcie w Almack's. Szczerze mówiąc, za młodu sam nie byłem od nich lepszy - przyznał hrabia.

Beatrice wiedziała wprawdzie, że brat zachowywał się nieco przyzwoiciej, ale w tej materii wołała zachować milczenie.

- Nie wątpię, że kiedyś będą mogli poprawić się i zawrzeć małżeństwa przynoszące im chlubę, ale trzeba na to sporo czasu. Rzecz w tym, że czasu nie mamy ani trochę. Zresztą, nie wszystkie nasze kłopoty wynikły z winy chłopców - mówił dalej posepnym tonem Josten. - Zbiory nie spełniły oczekiwań, a przekłete pieniądze rozeszły się diabli wiedzą na co!

Biedny Marcus! Zupełnie się nie znał na gospodarstwie ani na rachunkach. Głowa go bolała, kiedy wczytywał się w gryzmoły przysyłane mu przez natrętnych wierzycieli, rzucał je więc w ką.

Na szczęście Ned nie zamierzał spierać się z bratem o to, jakie szanse mają chłopcy na zawarcie - wszystko jedno kiedy - dobrego małżeństwa. Ograniczył się do kiwnięcia głową. Josten perorował dalej, uznawszy to skinienie za przyznanie mu racji.

- Sezon rozpocznie się na dobre za kilka tygodni. Pojedź do Londynu wcześniej, obstaluj sobie kilka surdutów, spodnie, buty... Tak, wiem, że długie spodnie ani wysokie buty nie były w Almack's dopuszczalne, ale Wellington tak się właśnie nosił, a Harry powiada, że już się to przyjęło. Potrzebujesz też porządnego wierzchowca! Czujesz się już dość dobrze, by dosiąść konika, jak się patrzy? Młode damy lubią szykownych jeźdźców, prawda, Nadine?

- Jeszcze jak!

- Powiedzmy, że mogę się pokazać konno na Rotten Row i że utrzymam się w siodle - odparł kapitan.

- Do licha, Ned! Nie chodzi tylko o to, żebyś nie spadł z konia! - warknął Josten, przemierzając pokój tam i z powrotem.

Beatrice obserwowała go z pewnym niepokojem. Kiedy Josten gryzł się czymś, przybierał władcze pozy i wybuchał gniewem. Robiło to imponujące wrażenie, ale w tym przypadku Marcus chyba przesadził. Ned przecież nawet mu nie przeczył!

- Chodzi o to, jak się prezentujesz na koniu! - oświecił młodszego brata hrabia. - Zawsze chodzi o to, jak się wygląda. Jak cię widzą, tak cię piszą, rozumiesz?

- No pewnie! - mruknął Harry, zgadzając się w pełni z ojcem.

- Milcz, smarkaczu! - poskromił syna Josten, po czym założył ręce do tyłu i zakołysał się na piętach. - Pojedziesz do Londynu, Ned. I zatrzymasz się w naszej londyńskiej rezydencji, razem z chłopcami.

- Nie! - zaprotestowali zgodnym chórem Harry, Phillip i Ned.

- Nie! - powtórzył jeszcze raz kapitan. - Zbyt przywykłem do osobnej kwatery.

- Doskonale, wynajmij sobie jakieś mieszkanie. Nadine i Beatrice z pewnością wybiorą się do Londynu wraz z Mary, chociaż dziewczyna zaklina się, że wolałaby spędzić sezon w Brighton. Przypuszczam, że i ja będę musiał pokazać się w mieście.

Powiedział to bez cienia entuzjazmu. Choć miał niegdyś przydomek „Niezrównanego” w gronie złotej młodzieży, z biegiem czasu stał się zdeklarowanym domatorem. Nadine nie miała nic przeciwko temu.

Wydawała się zupełnie zadowolona, spędzając okrągły rok na wsi. Podobnie rzecz się miała z Beatrice, aczkolwiek wszyscy troje woleliby pewnie, żeby w Josten Hol było lepsze ogrzewanie.

- Wpadnij raz i drugi do mojego klubu, pokaż się w kilku najmodniejszych miejscach, przyjmij kilka zaproszeń, żeby młode, wrażliwe, marzące o zamążpójściu damy mogły ci się przyjrzeć, a potem wybierz jedną z nich i postaraj się, żeby się w tobie zakochała!

- I sądzisz, że do tego potrzebny mi nowy surdut?

Znowu w łagodnych oczach Neda pojawił się jakiś niepokojący błysk, ale zaraz znikł. Gdybyż tylko Ned miał w sobie więcej ognia! - pomyślała posepnie Beatrice. Byłoby wtedy, doprawdy, na co popatrzeć.

- Oczywiście! Żadna kobieta przy zdrowych zmysłach nie pozwoli, żeby jej córka zadawała się z oberwańcem, byle kapitanem w stanie spoczynku! Żeby zostać przedstawionym właściwej pannie, takiej, z jaką masz się ożenić dla dobra rodziny, powinieneś wyglądać jak ideał konkurenta, rozumiesz? Jak bohater, który właśnie wrócił z wojny!

Entuzjazm Marcusa wyraźnie osłabł. Pozostało już tylko zniecierpliwienie.

- Dobry Boże, Neddie, czyżbyś sam o tym nie wiedział? Nie powinienem pozwolić, żebyś zaciągnął się do marynarki! Trzeba było nalegać, byś najpierw nabrał trochę ogłady. Wielki świat jest bezlitosny, mój chłopcze! Pełno w nim machinacji i fałszu, nikt nie mówi tego, co myśli, i trzeba wiedzieć, co to wszystko naprawdę oznacza! - Jego zasepiony wzrok nieco się rozjaśnił. - Trochę to męczące.

Na twarzy Neda ukazał się jakiś dziwny wyraz, gdy dostrzegł troskę starszego brata.

- Nie martw się o mnie, Marcus! Poradzę sobie. Tylko czy nie wydaje ci się, że to, co mam robić, będzie dokładnie tym samym, co przed chwilą krytykowałeś? Czy nie uważasz za nieuczciwe udawanie kogoś, kim się wcale nie jest?

- Nieuczciwe? Nie mów mi takich impertynencji! - Josten był wyraźnie urażony. - Nie ma nic nieuczciwego w zastanawianiu się, jak mógłbyś wpaść w oko posażnej pannie. I jak, u licha, zakochałaby się w tobie, gdybyś nie został jej przedstawiony?

Na ustach Neda pojawił się lekki uśmiech.

- Założmy, że udałoby mi się zawrzeć znajomość z taką damą. Czemu jednak miałyby wyjść za mnie, golca bez grosza przy duszy? Co by jej z tego przyszło?

Za męża odpowiedziała oburzona Nadine:

- Jak to co? Wyszłaby przecież za Locktona z Josten Hol! Zostałaby bratową hrabiego! Dobrze pamiętam, jaka sama byłam przejęta, gdy Josten zwrócił na mnie uwagę.

Nic dziwnego! - pomyślała Beatrice. Nadine miała wprawdzie wielki posag, ale nie mogła się poszczycić arystokratycznymi przodkami. Bea naprawdę pokochała szczerze bratową, ale jej rodzina - choć całkiem przyzwoita - nie dorastała do pięt Locktonom z Josten Hol. Nadine nigdy nie zapominała o tym, jakie szczęście ją spotkało, toteż nigdy nie trzeba jej było tego przypominać. A Marcus kochał swoją żonę równie szczerze i głęboko, jak Paul kochał ją, Beatrice.

- Posażna panna może równie dobrze wydać swoje pieniądze na nasze potrzeby, jak na cokolwiek innego. Po to przecież dziewczętom daje się posagi, Neddie - perorowała Nadine, podczas gdy Josten spoglądał na nią czule - żeby mogły ofiarować je swoim małżonkom. Sama wniosłam Locktonom dwadzieścia tysięcy funtów, kiedy wyszłam za Jostena.

- No właśnie! - potwierdził hrabia i skinął głową. - Z pewnością znajdują się dziesiątki bogatych panien, którym nawet się nie śniło o takim szczęściu. Ale pamiętaj... - Tu zniżył głos do konspiracyjnego szeptu. - Gdyby cię ogarnęły wątpliwości w tym względzie, wiedz, że zdecydowanie wolałbym bratową, która sepleni, od kupieckiej córki. Ale na zezowata się nie zgodzę! - Zastanowił się chwilę. - W każdym razie nie z takim zezem, żeby był widoczny z drugiego końca pokoju.

Zamiast odpowiedzieć bratu, Ned ugryzł kęs jabłka i zaczął go energicznie chrupać. Co też w niego wstąpiło?

- Rozumiesz już teraz, czego od ciebie oczekujemy? Musisz tylko znaleźć sobie pannę, pozalecać się do niej, poślubić ją, skonsumować, co trzeba, a potem przywieźć ją tutaj.

- Razem z pieniędzmi - dodał Ned.

- A na co innego można by je lepiej wydać? - obruszyła się Beatrice. - Tak dziwnie się zachowujesz, Ned! Czyżbyś nas nie kochał?

- Ależ kocham - mruknął zaskoczony kapitan. - Jak mi Bóg miły, kocham!

Josten podchwycił natychmiast te słowa.

- Oczywiście, że nas kochasz! A zatem, twoim obowiązkiem jest pojechać do Londynu; kupić sobie nową garderobę i udowodnić, jaki z ciebie bohater wojenny! Przekonasz się, wszystkie panny to zauważą!

3

Lydia wypła łyk czerwonego wina, rada, że kieliszek nie drży w jej ręku, zdradzając, jak bardzo jest zdenerwowana.

- A zatem mam tylko dwa wyjścia: poślubić najbogatszego mężczyznę, jakiego zdołam skłonić do oświadczeń, albo nadal cieszyć się wolnością, żyjąc w niedostatku. A ściślej mówiąc, w nędzy.

Udało się! Wypowiedziała te słowa doskonale obojętnym tonem, wiedziała jednak dobrze, że nie jest jej to wcale obojętne. Czuła skurcz w żołądku, nie mogła zaczerpnąć głębiej powietrza... Po raz pierwszy, odkąd dzięki Eleanor wróciła z ponurego wygnania w Sussex do błyskotliwego towarzystwa, w którym obracała się od urodzenia, Lydia czuła się niepewna i zalękniona. Podstawę jej dotychczasowej pewności siebie stanowiło pozornie niewyczerpane bogactwo. Okazało się jednak, że można je wyczerpać, a prawdę mówiąc, należało już ono do przeszłości.

Prosto z gabinetu Terwilligera Lydia uciekła, choć każdy, kto by ją obserwował, użyłby zwrotu „udała się bez pośpiechu”, do swojej londyńskiej rezydencji, gdzie miała spotkać się przy obiedzie z najserdeczniejszymi przyjaciółkami i wymienić z nimi najnowsze

ploteczki. Nie podejrzewała, że najbardziej szokująca z nich będzie dotyczyła jej samej!

Rozglądała się teraz po swym czarującym salonie, czekając, aż przyjaciółki oswoją się nieco z nowiną, którą je uraczyła. Był to ulubiony pokój Lydii - pełen światła, wytworny, oryginalnie urządzone. Lydia osobiście wybrała herbaciane draperie, rozwieszane teraz na białoniebieskich ścianach, a także puszysty perski dywan. Wraz z Eleanor przed dwoma laty, na dorocznej wystawie Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych, zdecydowały się na malowniczy pejzaż, który wisiał obecnie nad kominkiem. Również we dwie odkryły na targu w Wenecji, dokąd udały się zimą, zaraz po debiucie towarzyskim Lydii, porcelanową figurynkę stojącą teraz na bocznym stoliku. Lydia od razu poznała, że posążek jest dziełem Carracciego.

W domu jej opiekuna w Sussex pełno było cennych dzieł sztuki - pamiątek z podróży, które sir Grimley odbywał w młodości. W ciągu dwóch lat, jakie Lydia przeżyła pod jego dachem, zapoznała się dokładnie z całą kolekcją, wyrabiając sobie w ten sposób zarówno oko, jak i dobry gust. Prawdę powiedziawszy, nie miała nic innego do roboty „na wygnaniu”, jak zawsze określała czternasty i piętnasty rok swojego życia, spędzone na prowincji. Wtedy właśnie, pogrążona w rozpacz po niespodziewanej śmierci ukochanych rodziców, tak pełnych życia, Lydia była przekonana, że straciła bezpowrotnie wszystko, co stanowiło dotychczas jej świat.

Gdy była jeszcze z rodzicami, przenosząc się nieustannie z jednego niezwykłego miejsca do drugiego, wierzyła, że cały świat jest olśniewająco piękny i pełen radości, a zamieszkujący go ludzie to istoty dowcipne, światłe i czarujące. Śmierć rodziców położyła kres tym złudzeniom. W Sussex Lydia miała do czynienia niemal wyłącznie z przedmiotami (co prawda wykonanymi po mistrzowsku, ich zalety nauczyła się doceniać). Martwe przedmioty nie mogły jednak zastąpić jej towarzystwa ludzi, a już z pewnością nie rodziców!

Spojrzenie Lydii przesunęło się po twarzach trzech zaproszonych na obiad przyjaciółek. Były to: Eleanor, księżna Grenville - matka chrzestna Lydii, młoda mężatka, Sarah Marchland - towarzyska jej zabaw dziecinnych oraz - ma się rozumieć - niezmiennie słodka i łagodna Emily Cod. Rodzina Sarah posiadała we Francji majątek, który graniczył z jedną z licznych siedzib Eastlake'ow, obie dziewczynki bawiły się więc niekiedy ze sobą.

Później odnowiły znajomość, gdy równocześnie zostały przedstawione na angielskim dworze. Wprawdzie Lydia zaprzyjaźniła się z wieloma damami z towarzystwa, ale tylko te trzy kobiety wzbudziły jej zaufanie i stały się powiernicami jej sekretów. Co prawda na ogół nie miewała sekretów aż do dziś.

- A zatem, którą z tych dwóch ewentualności wybrałybyście, moje drogie, wolność czy bogactwo? - spytała lekko Lydia.

Przysięgła sobie nie zdradzić, nawet przed przyjaciółkami, jak bardzo nią wstrząsnęły rewelacje Terwilligera. Znana była przecież z zimnej krwi. Wszyscy o tym wiedzieli i podziwiali ją za to.

Prawdę mówiąc, Lydia nie umiała już reagować spontanicznie, od urodzenia uczono ją panowania nad sobą. Mogła utracić fortunę i pozycję w świecie, ale z pewnością nie utraci twarzy!

- Nie mów głupstw, Lydio! Musisz oczywiście wyjść za mąż - odezwała się Eleanor, a w jej głęboko osadzonych oczach, przysłoniętych ciężkimi powiekami, błysnęło zniecierpliwienie. Czas pozbawił ją legendarnej niegdyś urody, pozostawiając jedynie wykwinną, smukłą sylwetkę, we włosach koloru dymu błyskały już srebrne nitki, ale bogactwo księżnej i jej niezawodny gust sprawiały, że bez trudu przyciągała ogólną uwagę. - Cóż ci przyjdzie z wolności, jeśli nie będzie stać cię na to, by wykorzystała ją jak należy, zajmując się czymś pasjonującym, udając się w niezwykłą podróż lub zawierając cenne znajomości?

- Zawsze przecież będę miała was - odpowiedziała łagodnie Lydia.

- Oczywiście. - Eleanor odstawiła kryształowy kieliszek. - Ale z pewnością czułabyś się okropnie, czepiając się cudzej kłamki i korzystając z zaproszeń, których nie mogłabyś odwzajemnić z braku niezbędnych funduszy.

„Czepiając się cudzej kłamki”... To pogardliwe określenie rozbrzmiało gromkim echem w całym pokoju. Była to bezlitosna ocena jej położenia, ale przynajmniej Eleanor mówiła szczerze. Lydia potrafiła to docenić. Miała do swojej chrzestnej matki absolutne zaufanie od chwili, gdy przed ośmiu laty zadebiutowała w towarzystwie pod jej opieką. A choć stosunki między nią a Eleanor

uległy z czasem wyraźnej zmianie (przyjaźniły się obecnie jak równa z równą), Lydia w dalszym ciągu bardzo sobie ceniła rady księżnej.

Dla Eleanor ich przyjaźń miała równie wielkie znaczenie. Księżna Grenville od dawna otoczona była pochlebcami, ale brakowało jej prawdziwych przyjaciół. Dlatego właśnie, a także ze względu na Lydię, przyjęła do bardzo wąskiego kręgu swoich zaufanych jej przyjaciółki, Sarah i Emily. Wywołało to liczne komentarze w eleganckim świecie i nietrudno się domyślić czemu. Niemłoda, powściągliwa, szczupła księżna i okrągłutka, dziecinna, nierozważna Sarah Marchland nie stanowiły dobranej pary. A co wspólnego mogła mieć z księżną pozbawiona piątej klepki wdowa?

Niekiedy dziwiła się tej przyjaźni nawet Lydia.

- Masz rację - odpowiedziała teraz chrzestnej matce. - Nie sądzę jednak, by taka sytuacja była gorsza niż zależność od własnego męża!

- To jednak co innego - odezwała się Sarah, wybierając najsmakowitsze ze stosu łakoci, piętrzących się na stoliku obok niej. Pulchniutka Sarah, z cerą jak śmietanka i aksamit, z jasnymi włosami i pastelowo niebieskimi oczyma, sama przypominała wyjątkowo smakowitą galaretkę: masa słodczy i nic konkretnego, w co można wbić zęby! Lydia musiała z przykrością przyznać, że taka opinia, choć złośliwa, nie była daleka od prawdy. - Mężowie mają wobec nas pewne zobowiązania!

- Mężowie szanują te zobowiązania jedynie wówczas, gdy są niezwykle uprzejmi - odezwała się Emily z głębi swego ulubionego fotela.

Z dala od bacznie ją śledzących, nieprzychylnych oczu, w towarzystwie osób, do których miała zaufanie, Emily Cod stawała się znacznie mniej nerwowa. Nie przejawiała wówczas żenującej skłonności do przywłaszczania sobie cudzych rzeczy.

- Masz rację, Emily - przytaknęła Eleanor. - Mąż Sarah jest tak uprzejmy, że przymyka oczy na różne jej wybryki. Nie wszystkie małżeństwa są równie udane.

Eleanor mówiła to bez ironii. Pochowała swego książęcego małżonka przed dziesięcioma laty i - jak wieść głosiła - podlała kwiatki na jego grobie zawartością swego nocnika. Bez ostentacji, oczywiście. Eleanor zawsze słynęła z dyskrecji.

- Gerald nie żałuje pieniędzy, bylebym się trzymała z dala od... - Sarah zawahała się, a potem zakończyła dość kulawo: - ...jego gospodarstwa.

Lydia mogłaby przysiąc, że przyjaciółka zamierzała pierwotnie powiedzieć coś całkiem innego.

- To właśnie chciałam ci doradzić, Lydio - ciągnęła dalej Sarah. - Wyjdź za bogatego, uprzejmego dżentelmena, który wie, kiedy powinien być nieobecny!

Podobnie jak wiele innych osób, Gerald Marchland popełnił omyłkę, uznawszy pulchną, ładniutką Sarah za panienkę z natury potulną i łagodną. W rzeczywistości miał z nią skaranie boskie. Nawet jako dziecko pozwalała sobie na eskapady, które wywoływały wiele pełnych oburzenia komentarzy. Niewinna skłonność do łakomstwa,

której folgowała, stanowiła jedynie zapowiedź nadmiernych apetytów innego rodzaju.

Było publiczną tajemnicą, że Sarah ma wielu adoratorów. Na szczęście Gerald, równie drętwy, jak Sarah była rozpasana, nie przepadał za wielkim światem i najchętniej przebywał na wsi, z dala od Londynu. Sarah przysięgała, że taka sytuacja odpowiada im obojgu. Ale choć zawsze wydawała się szczerą, Lydia podejrzewała, że jest wiele spraw, które przyjaciółka ukrywa przed nią, Eleanor i Emily. Bez wątpienia dobrze wie, że jej pomysły nie przypadłyby im do gustu.

Ostatnimi czasy Lydia nabrała wątpliwości, czy istotnie małżeństwo przyjaciółki jest tak udane, jak utrzymywała. Z każdym rokiem Sarah stawała się coraz bardziej nieposkromiona i nieostrożna, jeśli chodzi o dobór wielbicieli. Coraz częściej napomykała też o swojej odrazie do Geralda.

- Myślę, że masz słuszność.

- Co do wyjścia za mąż czy też wyboru odpowiedniego męża? - spytała Sarah i, bardzo ukontentowana, podwinęła nogi pod siebie.

- Jednego i drugiego - odparła Lydia.

- Oczywiście, że Sarah ma słuszność! - orzekła Eleanor.

- A ty, Emily, co o tym myślisz?

Emily ze skruszoną miną zajrzała do swego woreczka. Lydia dobrze znała ten wyraz twarzy i postanowiła sprawdzić po wyjściu gości, czy jej przyjaciółce nie udało się jednak zwędzić czegoś w trakcie wizyty u Terwilligera. Zbyt silne napięcie nerwów często było

przyczyną drobnych kradzieży Emily. Zawsze przywłaszczała sobie jedynie drobiazgi bez wartości.

Po każdym takim incydencie przytłaczały ją wyrzuty sumienia. Często utrzymywała, że nie pamięta, by zabrała te przedmioty. Umarłaby chyba ze wstydu, gdyby przyłapano ją na gorącym uczynku i nazwano złodziejką. Mało zresztą prawdopodobne, by doszło do czegoś podobnego. Ilekroć Lydia odkrywała, że jej przyjaciółka znowu coś sobie „pożyczyła”, tylekroć odsyłała zgubę właścicielom wraz z listem, w którym przeproszała za „swoje roztargnienie”, dołączając do przeprosin jakiś czarujący prezencik.

Nikt ani razu nie poczuł się urażony - była przecież słynną Lydią Eastlake! Wysoka pozycja zawsze zapewniała przywileje, ale jeśli jest się ogólnie znaną osobistością, ma się ich jeszcze więcej!

Emily zacisnęła mocno sznurki woreczka i podniosła wzrok na przyjaciółki.

- Mówiłyście coś? Przepraszam, zamyśliłam się.

- Dyskutowałyśmy właśnie o tym, czy Lydia powinna znaleźć sobie męża - odpowiedziała Sarah, biorąc do ust kolejną czekoladkę z nieco kleistym nadzieniem. - I chciałybyśmy wiedzieć, co ty o tym myślisz?

- Nic nie myślę! Nie chcę myśleć! - prawie krzyknęła Emily.

- Przepraszam - wymamrotała Sarah, zbita z tropu tą nieoczekiwaną gwałtownością.

- Chyba sobie przypomniała swojego męża - wyjaśniła Eleanor.

- Pewnie że tak! - przytaknęła Emily. - Nie chcę o nim myśleć.
Już nie żyje!

To właśnie mąż Emily oddał ją do zakładu dla obłąkanych, w którym później znaleźli ją doradcy prawni Lydii. Poszukiwali osób mogących rościć sobie pretensje do majątku Eastlake'ów, i nieoczekiwanie natrafili na Emily, daleką krewną Lydii ze strony matki. Gdy powiadomili o tym Lydię, ta natychmiast przybyła, by zobaczyć się z ową rzekomą wariatką.

Lydia nie miała pojęcia, kogo tam spotka. Z pewnością jednak nie oczekiwała, że ujrzy małą kobietkę o słodkiej twarzy, która przywita się z nią tak nieśmiało. Strażniczka powiadomiła lady Eastlake, że mąż oddał Emily do zakładu z powodu jej kleptomanii i zaraz potem zniknął z powierzchni ziemi. Ściślej rzecz biorąc, pan Cod wypadł za burtę statku, którym usiłował zbiec przed ścigającymi go ofiarami jego oszukańczych inwestycji.

Podobno był w chwili zgonu kompletnie pijany. Ofiary jego oszustw podzieliły się resztką pieniędzy, jakie po sobie zostawił. Kierownictwo domu dla obłąkanych zatrzymało Emily Cod „z chrześcijańskiego miłosierdzia”, a raczej - jak podejrzewała Lydia - by wykorzystywać ją jako bezpłatną siłę roboczą.

Mimo że Emily istotnie cierpiała na kleptomanie, Lydia postanowiła zabrać kuzynkę do siebie. Pierwotnie wcale nie miała takiego zamiaru, ale była z natury skłonna do podejmowania szybkich decyzji, zwłaszcza pod wpływem silnych emocji, nie zastanawiając się nad konsekwencjami. Rozpaczliwe położenie, w jakim znajdowała

się Emily, nieludzki postępek jej męża, widoczna dezorientacja biedaczki, niepojmującej, jakim sposobem znalazła się w takiej sytuacji - wszystko to skojarzyło się Lydii z jej wspomnieniami sprzed lat. Ona też była opuszczona przez wszystkich, zdezorientowana i zrozpaczona po śmierci rodziców, dopóki nie przyszła jej z pomocą Eleanor.

Lydia wiedziała, co to znaczy utracić wszystko i żyć w pustce, na wygnaniu. I pojmowała, czym może być druga szansa - wyzwolenie z nieznośnej sytuacji. Kiedy Eleanor wyciągnęła ją z domu sir Grimleya, przysięgła sobie korzystać z każdej chwili życia, ale nigdy nie uważać szczęścia za coś pewnego i oczywistego.

Ponieważ nikt nie płacił zakładowi dla obłąkanych za opiekę nad Emily, nikt też nie protestował, gdy Lydia podpisała dokumenty niezbędne do zabrania stamtąd krewnej. Podjęta bez zastanowienia decyzja okazała się szczęśliwym zrzędzeniem losu dla nich obu: Emily odzyskała wolność, Lydia znalazła stałą towarzyszkę. Ona pogodziła się ze słabostkami kuzynki, ta zaś w niczym nie ograniczała wolności Lydii.

- O tak! - powtórzyła Emily z satysfakcją. - Nie żyje!

- Wiesz co, Emily? - odezwała się Sarah z przebiegłą miną. - Twoja przykra historia dopomogła mi znaleźć znakomite rozwiązanie kłopotów Lydii! Domyślasz się, co mam na myśli, kochanie?

Lydia domyślała się, ale przekorny diablik (który tak często odwodził ją od postanowienia, że będzie poważna i skromna, wskutek

czego wiele osób uważało, że nie jest zdolna do należytej powagi) ani rusz nie chciał dać za wygraną!

- No cóż, Sarah, to doprawdy niezła myśl: wyjdę za jakiegoś sympatycznego jegomościa, namówię go, by pożegłował ze mną do Włoch, a potem wypchnę go za burtę!

Sarah przez chwilę spoglądała w osłupieniu na przyjaciółkę, zanim się zorientowała, że Lydia tylko się z nią przekomarza.

- Nic podobnego! Chodzi o to, że może warto by było wyjść za kogoś... słabowitego.

- Jakiegoś staruszka?

Sarah wzruszyła ramionami.

- Wszystko jedno, w jakim wieku, byle nie żył zbyt długo!

- Nie mów głupstw! - ofuknęła ją Eleanor. - Lydia nie może wyjść za... za kogoś chorego na francuską chorobę, byle był bogaty! Ani za starca jedną nogą w grobie!

- Nie mogę? - mruknęła pod nosem Lydia.

Z pewnością nie poślubiłaby kogoś chorego na francę, ale gdyby tak wyjść za staruszka? Bardzo sędziwego staruszka?

- Nie! - sprzeciwiła się kategorycznie Eleanor. - Musisz mieć na względzie swoją reputację, Lydio! Od ośmiu lat stanowisz niedościgły wzór dla wszystkich młodych kobiet, które marzą o niezależności!

- Phi! - odparła Lydia. - Nigdy nie starałam się być wzorem dla innych. Jeśli rozczaruję kogoś swoją decyzją zamążpójścia, nic mnie to nie obchodzi. Nie będę dostosowywać swych planów życiowych do czyichś naiwnych wyobrażeń o mojej osobie!

Nie była jednak całkiem obojętna na opinie. Przyjemnie jest być sławną osobistością! Doskonale się czuła pośrodku sceny: to było dla niej wymarzone miejsce. Od najmłodszych lat uczono ją, jak wywierać dobre wrażenie, jak bawić towarzystwo, jak być dowcipną, ujmującą, śliczną i pełną życia, gdyż wszystkim się to podobało. Rodzice byli zachwyceni, mogąc się nią pochwalić, ona zaś bez trudu potrafiła każdego oczarować.

W dzieciństwie nagrodą za to była możliwość towarzyszenia rodzicom - ekstrawaganckim obieżyświatom - w ich podróżach. Przedstawiali ją książętom i księżniczkom, poznawała sławnych ludzi... Krótko mówiąc, wiodła bajeczne życie - pełne radosnego podniecenia i wszelkiego zbytku.

Do takiego życia była przyzwyczajona. Innego nie знаła. Jej powołaniem było jak najdoskonalsze odgrywanie roli niezrównanej Lydii Eastlake, podobnie jak hrabia Liverpool grał rolę premiera. Kimże by była, gdyby ją tego pozbawiono? W głębi serca obawiała się, że odpowiedź na to pytanie nie przypadłaby jej do gustu.

- Musisz wyjść za kogoś, kto jest wzorem doskonałości - mówiła Eleanor. - Kogoś, kto ma tyle pieniędzy, ile ty miałaś. I dorównuje ci pozycją. Arystokratę, piastującego jakieś wysokie stanowisko. A w dodatku takiego, który uszanuje twoją niezależność!

- Jak to łatwo powiedzieć, trudniej jednak wykonać! - stwierdziła cierpko Lydia i w odpowiedzi na pytające spojrzenie Sarah wyjaśniła przyjaciółce: - Ktoś mi niedawno powiedział, że ci, którym dałam już raz kosza, nie ponowią oświadczyń, a ci, którzy nie ubiegali się

jeszcze o moją rękę, nie zechcą się narazić na upokorzenie. Uprzedzono mnie również, że gdy się rozejdzie wieść, iż nic już nie posiadam, nie mam co liczyć na żadnego z bogatych, dumnych i odpowiednich dla mnie konkurentów.

Popatrzyła na swoje przyjaciółki.

- Prywatnie możemy przyznać się do tego, że zawieramy małżeństwa dla korzyści - pieniędzy lub wyższej pozycji społecznej. Nikt jednak nie przyzna się do tego publicznie. I czepiamy się rozpaczliwie nadziei, że ktoś zapragnie po prostu nas samych. - Lydia mówiła to niby obojętnie, ale każde słowo potraçało najwrażliwsze struny jej serca. - A im wyższą ktoś zajmuje pozycję i większą posiada fortunę, tym bardziej na to liczy. Żaden dżentelmen nie chce myśleć, że jego zaloty są mile przyjmowane tylko ze względu na zawartość jego kiesy!

Jak zresztą można poznać kogoś tak dalece, żeby mieć pewność, że właśnie jego pragnie się poślubić? Że właśnie ten ktoś jest godzien naszego szacunku, że tylko jego bliskość będzie dla nas zawsze miła i pożądana? Wzajemna miłość jej rodziców wzrastała przez całe lata!

Jeśli Lydia chciała być ze sobą szczerą, musiała przyznać, że właśnie tego rodzaju wątpliwości sprawiły, iż nie przyjęła żadnej z propozycji małżeńskich, którymi ją zasypywano. Obawiała się, że popełni taką samą omyłkę jak jej matka, gdy wychodziła za mąż po raz pierwszy. Albo tego, że poślubiwszy kogoś, przekona się poniewczasie, że wcale go nie kocha, tak jak Sarah. Lub też - co

gorsza - zostanie żoną człowieka, którym będzie mogła tylko gardzić, jak Eleanor. Albo wreszcie trafi na kogoś takiego jak mąż Emily!

A jednak, nie da się zaprzeczyć, Lydia chciała wyjść za mąż. Pragnęła takiego wzajemnego zrozumienia i głębokiego uczucia, jakie łączyło jej rodziców. Marzyła o namiętnej miłości, którą często dostrzegała w oczach ojca, gdy spoglądał na matkę. Pragnęła zakosztować takiego samego bogactwa uczuć, szczerych i nieskrywanych! A jednak nigdy nie miała pewności, czy którykolwiek z mężczyzn, ubiegających się o jej rękę, obdarzy ją nimi. Ani czy ona poczuje coś podobnego.

Lata mijały, a Lydia czekała. Nic jej nie ponaglało do szybszego podjęcia decyzji. Była zadowolona, prawdę mówiąc, że może się nadal cieszyć niezależnością, z której słynęła. Teraz jednak wszystko się zmieni. I w jakimś sensie Lydia poczuła ulgę, że wreszcie będzie musiała zdecydować się na coś, czego zawsze pragnęła. A przynajmniej na coś, co mogło okazać się spełnieniem jej marzeń.

- Co chcesz zrobić? - spytała Sarah.

Lydia uniosła brwi.

- Utrzymać na razie w sekrecie swoje kłopoty finansowe.

- Słusznie! - zgodziła się Eleanor. - Musisz zdobyć poważnego konkurenta, zanim wszyscy się dowiedzą, w jakim jesteś położeniu.

- Radzisz jej okłamać kogoś, by skłonić go do małżeństwa? - spytała Sarah.

Nie wydawała się specjalnie zgorszona tym rozwiązaniem.

- Skądże znowu! - zaproponowała Lydia. - Nie poślubiłabym nikogo, nie wyjawisz mi przedtem, że jestem bez grosza.

- Bardzo rozsądnie - przytaknęła Eleanor. - Kłamstwo tego rodzaju mogłoby się wydać jeszcze przed ślubem... a choćby i po ślubie, mąż mógłby postarać się o unieważnienie małżeństwa opartego na oszustwie. A nawet gdyby postanowił nie wywoływać skandalu, mógłby z czystej złośliwości wydzielać żonie nędzne grosze na osobiste wydatki.

- Mężczyźni potrafią być strasznie mściwi! - przyznała Sarah, a jej jasne oczy pociemniały.

- A ponieważ Lydia chce wyjść za mąż, żeby nie żyć w nędzy - kontynuowała Eleanor - takie kłamstwo wcale by się jej nie opłacało, prawda?

- Ale... - Sarah wydawała się trochę zdezorientowana - jeśli nie zamierzasz mi wyznać, że jesteś bez grosza, a równocześnie nie chcesz kłamać. Ojej, nic już nie rozumiem!

Sarah nigdy nie była specjalnie lotna. Lydia wstała z miejsca i usiadła obok niej.

- Powiadomię mojego wielbiciela o swoich kłopotach finansowych, kiedy mi się oświadczy. Zapewnię go, że w tej sytuacji nie zamierzam trzymać go za słowo - wyjaśniła cierpliwie przyjaciółce. - Gdyby się rozmyślił, będzie czuł się zobowiązany do zachowania przy sobie tego, co wyjawiałam mu w zaufaniu. Ustąpi zatem miejsca następnemu, niepodejrzewającemu niczego konkurentowi. To kwestia honoru, rozumiesz? Gdyby jednak nie

zmienił zdania, poznawszy przed ślubem moją sytuację, nie mógłby potem żywić do mnie żadnych pretensji.

- Myślisz, że ktoś zechce się z tobą ożenić, chociaż się dowie, że nie masz ani grosza?

- Mam nadzieję, że tak. Nawet jeśli nie posiadam majątku, mogę się jeszcze poszczycić znakomitym pochodzeniem. I ten, kto mnie poślubi, odniesie pewne korzyści. Dobrze wiem, że moje nazwisko figuruje w dalszym ciągu na pierwszym miejscu w księgach zakładów; dżentelmeni we wszystkich klubach nadal zakładają się - i to wysoko - o to, kiedy i za kogo ostatecznie wyjdę za mąż - odparła Lydia z większą pewnością w głosie, niż czuła ją w sercu. - Najcenniejszym moim atutem jest to, czym obdarzył mnie wielki świat: rozgłos i poważanie. Czy to wystarczy, dopiero się okaże. Jeśli jednak dobrze rozegram karty, mój przyszły mąż, zanim jeszcze dowie się o moich trudnościach finansowych, dojdzie do wniosku, że nie brak mi innych zalet mogących wzbogacić nasz związek.

Lydia zamilkła na chwilę, jakby się zastanawiała.

- Myślę, że umiem pokierować rozmową przy stole, nie przyniosę mężowi wstydu, towarzysząc mu w otwartym powozie, i okażę się gościnną i taktowną panią domu, prawdziwą podporą dla dżentelmena o dużych ambicjach towarzyskich.

Sarah kiwnęła głową pełną zrozumienia.

Żadna z nich, pomyślała Lydia i coś ją zakłuło w sercu, nie wspomniała nawet, że ktoś mógłby oświadczyć mi się po prostu z

miłości. Coś podobnego nie zdarzało się w świecie, do którego należały.

- Zaczniemy naszą kampanię od rozpuszczenia wieści, że podczas ostatniej zimy poglądy lady Lydii Eastlake na życie uległy pewnej zmianie - rozważała na głos Eleanor.

Najwyraźniej przemyślała sprawę przez ten czas, gdy Lydia wyjaśniała Sarah, jak sprawy się przedstawiają.

- Możecie powiedzieć, że poczułam się samotna - podsunęła Lydia.

- Brednie! - orzekła Emily.

- Emily ma rację - poparła ją Eleanor. - W kobiecie samotnej nie ma nic pociągającego! Powiemy, że odezwał się w tobie instynkt macierzyński i zapragnęłaś dzieci.

- O tak! - szepnęła Sarah dziwnym głosem. - Dzieci... to każdy zrozumie!

Każdy z wyjątkiem bezdzietnej Eleanor, pozbawionej potomstwa Emily, i Sarah, która co prawda urodziła dwoje dzieci, ale nigdy się nimi nie zajmowała! - pomyślała Lydia z ironią.

- Musisz mi pożyczyć swego młodszego synka, żebym mogła gruchać do niego na oczach wszystkich! - stwierdziła.

- Nie mogę! Gerald nigdy go od siebie nie puści - odparła lakonicznie Sarah.

- W takim razie ktoś inny ze znajomych musi mi pożyczyć niemowlę! - obstawała przy swoim Lydia.

- Masz jeszcze bardziej makiaweliczne pomysły niż ja! - mruknęła z podziwem Eleanor. - Czasami obawiam się, że przyjaźń ze mną nie wyszła ci na dobre.

- Wręcz przeciwnie! Wiele zyskałam pod twoim wpływem, Eleanor. Gdyby nie ty, kuliłabym się teraz przerażona w kącie i ani by mi było w głowie obmyślanie nowej garderoby, co - jak sama przyznasz - jest znacznie przyjemniejszym sposobem spędzania czasu. Muszę dbać o to, by nie stracić opinii najszykowniejszej kobiety w całym Londynie!

- Ale czy stać cię na takie wydatki? - spytała Sarah i poczerwieniała z zakłopotania. - Jesteś przecie bez grosza. Mogę ci oczywiście pożyczyć, ile tylko...

- Nie! - odmówiła kategorycznie Lydia i również się zaczerwieniła. Po chwili odezwała się spokojniejszym tonem: - Nie, bardzo ci dziękuję. Zrobię to, co robią wszyscy: będę kupowała na kredyt w nadziei na przyszłe zyski. A jeśli to nie wystarczy, sprzedam coś z obrazów, antyków albo biżuterii. Nikt się nawet nie zorientuje, że czegoś się pozbyłam!

- A co będzie, jeśli mimo wszystko nikt ci się nie oświadczy? - spytała cicho Emily.

- No cóż - odparła Lydia, zdecydowana nie wybiegać myślą dalej niż do końca lata. - Przynajmniej będę jeszcze miała ten ostatni złoty sezon!

Eleanor zaczęła do chwili, gdy Lydia pożegnała się z wychodzącą Sarah, i przywołała do swego boku Emily.

- Musimy zrobić wszystko, żeby Lydii się powiodło! Bywa czasem zbyt pochopna w swoich opiniach i uczuciach.

- Istotnie. Ale przeważnie trafia w sedno.

- To zbyt poważna sprawa, by zdać się na intuicję!

Emily była tego samego zdania.

- Co chcesz, żebym zrobiła?

- Liczę na to, że dowiesz się jak najwięcej o kandydatach do jej ręki. Potrafisz zebrać wiadomości, o których reszta z nas nie ma pojęcia!

Emily skinęła głową potakująco. Ludzie na ogół nie zastanawiali się nad tym, że nie zawsze ktoś, kto ma zamknięte oczy, musi spać! Nadstawiała więc uszu i korzystała nieraz z lekkomyślności osób, pozwalających sobie na zbyt wielką szczerość w obecności tych, których mieli za nic. Emily kochała Lydię i zrobiłaby dla niej wszystko, co tylko mogła.

Cała sytuacja była w najwyższym stopniu niepokojąca. Emily stanęły znów przed oczami sceny z jej nieszczęśliwego małżeństwa i chwila, gdy mąż pozostawił ją w zakładzie dla obłąkanych w Brislington.

Poczuła skurcze żołądka, ręce zaczęły jej drżeć. Nie chciała o tym myśleć. Nie będzie o tym myśleć! Musi skupić się na Lydii i na tym, jak ważne jest dla nich wszystkich, żeby wyszła za kogoś, kto nie przypomina Coda ani księcia Eleanor, ani męża Sarah. Za kogoś, kto pozwoli im wszystkim nie rozstawać się i żyć szczęśliwie razem, tak jak przez ostatnie trzy lata.

Emily wzdrygnęła się, uprzytamniając sobie, jak egoistyczne są jej pragnienia. Ale z Eleanor i Sarah sprawy przedstawiały się podobnie. Eleanor nie miała na świecie nikogo bliskiego prócz Lydii. A Sarah potrzebowała Lydii równie mocno, bo tylko ona zawsze dobrze o niej myślała, bez względu na to, co robiła. Emily nie знаła nikogo prócz Lydii, kto wybaczałby jej zwariowane kradzieże, od których nie potrafiła się powstrzymać. Nikogo, kto by uważał, że mimo to Emily jest coś warta.

Nie, Eleanor nie musiała jej tłumaczyć, jak wielkie niebezpieczeństwo im grozi. Emily znacznie lepiej niż Eleanor zdawała sobie sprawę z tego, jakie ogromne znaczenie może mieć dla nich to, kogo Lydia wybierze sobie na męża!

4

Kwiecień 1816

Przypadek sprawił, że złotnik, monsieur Roubalais, udał się akurat do domu na drugie śniadanie i pozostawił sklep pod opieką swojej synowej Berthe. Nie mógł więc osobiście powitać Lydii. W ciągu kilku ostatnich tygodni Terwilliger umożliwił jej, i to w bardzo dyskretny sposób, sprzedaż znacznej części rzeczy należących do jej majątku osobistego. Jednakże Lydia nie była pewna, czy zdoła rozstać się - raz na zawsze - ze swym garniturem z ametystów. Postanowiła więc, że po prostu zastawi ametysty, a te pozostaną u monsieur Roubalais do chwili, gdy będzie mogła je wykupić.

Roubalais, niegdyś nadworny złotnik króla Francji, parał się również sprzedażą antyków. Jego sklep odgrywał także - od czasu do czasu i w ścisłej tajemnicy - rolę lombardu dla wielkich tego świata. W tym właśnie celu Lydia udała się do nieznanego jej prawie Cheapside. W tej dzielnicy sklep nikomu nie rzucał się w oczy, co zapewniało panu Roubalais liczną klientelę, przede wszystkim spośród francuskich emigrantów. Korzystali jednak z jego usług również angielscy dżentelmeni z najlepszego towarzystwa, którym akurat zabrakło gotówki. Odwiedzali sklep monsieur Roubalais także i ci, którzy liczyli na to, że ubiją za bezcen złoty interes. Wszyscy zresztą mieli na to chrapkę, bogaci czy biedni.

Lydia planowała od kilku dni wyprawę do Cheapside. Opracowała każdy najdrobniejszy szczegół, włącznie z miejscem, gdzie pozostawi powóz, i z liczbą lokajów, jakich weźmie do ochrony. Postanowiła też, co włoży na siebie, by nie za bardzo wyróżniać się w otoczeniu. Nie przewidziała tylko jednego: że Roubalais w południe wróci do domu na obiad. Cóż za irytujące niedopatrzenie!

Każda chwila spędzona w sklepie monsieur Roubalais'go zwiększała ryzyko, że ktoś rozpozna słynną lady Lydię; jej zaś z całą pewnością nie zależało na tym, by rozeszło się po mieście, iż widziano ją w lombardzie. Dałoby to początek nieuniknionym spekulacjom na temat jej majątku. Przede wszystkim jednak prawdziwa dama w żadnym wypadku nie mogła udać się do lombardu, a Lydia była damą w każdym calu.

Aż do dziś! - pomyślała smętnie.

- Cóż, będę musiała przyjść innym razem - mruknęła.

Synowa złotnika zaproponowała.

- Ależ skąd, madame! Nie mogę pozwolić, by zadawała sobie pani tyle fatygi! - zapewniła i pospiesznie zdjawszy obszerny, nieco przybrudzony fartuch, pozostawiła go na oparciu krzesła. - Pójdę po mego teścia i zaraz go tu sprowadzę.

- Nie ma pośpiechu...

- To niedaleko, kilka domów stąd. Monsieur Roubalais nigdy by mi nie wybaczył, gdyby się dowiedział, że raczyła nas pani odwiedzić, a ja go nie wezwałam!

- Nie warto mu nawet wspominać o mojej wizycie - próbowała ją powstrzymać Lydia. - Chciałam tylko, by wycenił garnitur z pereł i ametystów. To własność... jednej z moich przyjaciółek.

Synowa złotnika była dobrze wyszkolona w rodzinnym fachu. Na jej twarzy nie pojawił się nawet cień powątpiewania, gdy usłyszała kłamstewko Lydii.

- Ależ oczywiście! Bardzo proszę zaczekać chwilę i rozejrzeć się po sklepie. Sprowadzę ojca za kilka minut, słowo daję!

Zanim Lydia zdążyła zaprotestować, Berthe wybiegła ze sklepu, wołając przez ramię:

- Niemowlę dopiero co zasnęło, nie powinno się obudzić aż do mego powrotu!

- Niemowlę? - powtórzyła jak echo Lydia, ale Berthe już nie było.

Pospieszne oględziny sklepu potwierdziły jej słowa. Dziecko rzeczywiście spało w pustej szufladzie pękatej komody. Lydia nie

miała pojęcia, jakiej jest płci ani ile miesięcy sobie liczy. Nie miała zresztą najmniejszej ochoty dowiadywać się tego. Małeństwo wydawało się całkiem zadowolone. W zabawnej bańce śliny migotała tęcza, delikatne jak pajęczyna rzęsy opadały na różowe, nieco umorusane policzki, a kocyk przykrywający małe ciało unosił się i opadał w rytm oddechu dziecka.

Lydia przyklękła obok niego i wpatrywała się w małą istotkę. Jeśli kogoś poślubi, będzie miała obowiązek wydać na świat przynajmniej jednego takiego malucha. A może i więcej? Ta myśl wydała się jej niepokojąca. Nie wiedziała o dzieciach absolutnie nic! Nawet wtedy, gdy sama była dzieckiem, żyła zawsze w świecie dorosłych.

Miała nadzieję, że po urodzeniu własnego dziecka nabierze do niego sympatii. Zakładała, że obowiązki rodzicielskie są przyjemniejsze, jeśli lubi się swoje dzieci, niż wówczas, gdy nic się do nich nie czuje. Jej rodzice byli do niej szczerze przywiązani i wcale tego nie ukrywali.

Być może podobnie będzie z jej uczuciami do dzieci, które wyda na świat. Zwłaszcza, jeśli okażą się ładne, grzeczne i inteligentne. A jeżeli nie? Czy będzie je kochać nawet wówczas? Czy ona sama byłaby kochana, gdyby urodziła się jako niezgrabny stworek, fukający i kolący jak jeż?

Z szuflady doleciał do niej przenikliwy, słodkavo-kwaśny zapach i położył kres fascynacji dzieckiem. Lydia podniosła się pospiesznie i odsunęła od komody. Wpadła przy tym niechcący na stojącą za nią

drabinę, która się zachwiała. Lydia odwróciła się błyskawicznie i podtrzymała ją, tak iż nie groziła już upadkiem. Mimo woli powędrowała spojrzeniem w stronę półek, zajmujących całą ścianę. Z najwyższej coś załśniło wspaniałym błękitem.

Bardzo chciała zaspokoić swoją ciekawość, zawahała się jednak. Była co prawda znana z impulsywności, ale pozwalała sobie na nią wyłącznie w wytyczonych przez wielki świat granicach. Przesadzanie konno płotów? Jak najbardziej! Poufale przekomarzenia z książętami? Nieraz jej się to zdarzyło. Ale myszkowanie po zakurzonych półkach w lombardzie? Takich rzeczy się po prostu nie robi!

A właściwie czemuż by nie? Nikt przecież nie wiedział, że tu jest. Cóż złego mogłoby z tego wyniknąć? Raz jeszcze nienasycona ciekawość Lydie w połączeniu z jej impulsywnością sprawiły, że zapomniała o wszelkiej ostrożności.

Rozejrzała się dokoła i dostrzegła roboczy fartuch porzucony przez Berthe Roubalais. Nie zastanawiając się dłużej, włożyła go na siebie, podwinęła rękawy i zaczęła się wdrapywać po drabinie. Okazała się ona jeszcze bardziej chwiejna, niż sądziła. Przyszło jej więc do głowy, że nie był to może najmądrzejszy pomysł, ale nogi same pięły się po szczeblach i zanim Lydia się spostrzegła, dotarła na samą górę. A tam, wciśnięta za pleśniejące kartonowe pudło, błyskała kusocielko urzekająca orientalna czara! Oczy Lydie rozszerzyły się na widok zachwycającego znaleziska. Poznała, że to niewątpliwie chiński wyrób. Czyżby Kangksi? Musi przyjrzeć się dokładniej...

Chwyliła za brzeg pudła, zasłaniającego czarę, i szarpnęła nim na próbę. Spleśniały karton pękł. Przestraszona cofnęła raptownie rękę i niechcący potrąciła srebrny świecznik, który potoczył się na sam brzeg półki. Lydii zaparło dech. Odsunęła się jeszcze bardziej, ale świecznik poleciał w dół, zawadził o rondo jej kapelusza, strącił go Lydii z głowy, burząc przy tym kunsztowną fryzurę, i z hukiem uderzył o podłogę.

Lydia wstrzymała dech i modliła się o to, żeby niemowlę się nie obudziło. Ale spało dalej.

Odetchnęła z ulgą i odgarnęła włosy z czoła. Zbyt późno zorientowała się, że ma brudną rękę i rozmazała brud po twarzy.

- Do diabła!

Spojrzała znów na czarę, nadal stojącą na półce nad jej głową. Połyskiwała kusząco. Lydia wyprostowała się, stanęła na palcach i odsunęła na bok rozdarte pudło. Zahaczyło o coś i w żaden sposób nie mogła dosięgnąć ukrytej za nim czary. Nie odważyła się pociągnąć znowu, żeby pudło nie rozleciało się do reszty. Musi po prostu przesunąć drabinę...

Dzwonek nad wejściem do sklepu zabrzączał bez troski, obwieszczając czyjeś przybycie. I niemal w tej samej chwili odezwał się głęboki męski głos:

- Bardzo przepraszam...

Lydia obejrzała się przez ramię i popatrzyła w dół. Bezpośrednio pod nią stał, z kapeluszem w rękę, wysoki, barczysty dżentelmen. Słońce lśniło na jego złotych włosach.

Był to niewątpliwie jeden z najpiękniejszych mężczyzn, jakich w życiu widziała. Rysy twarzy miał mocne, jak wykute w kamieniu: długi, prosty nos, szerokie usta, kwadratowa, dokładnie wygolona broda, a w niej... czyżby? A jakże - dołek! Lydia zawsze miała słabość do mężczyzn z dołkiem w brodzie. Jej ojciec także mógł się nim pochwalić. On również był niezwykle przystojny.

Twarz nieznanego dżentelmena wydawała się sympatyczna, ale pełna rezerwy. Jego wyprostowana sylwetka świadczyła raczej o wojskowej przeszłości niż o zwyczaju zadzierania nosa.

- Czy mogłaby mi pani pomóc? - spytał.

Lydia uświadomiła sobie nagle, że nie tylko ona gapi się na nieznanego jak głupiutka panna sklepowa na przystojnego klienta, ale na dodatek on najwyraźniej bierze ją za sklepową pomoc! Nic dziwnego: włosy w nieładzie, stary, brudny fartuch roboczy, zakrywający elegancką suknię... Nawet na twarzy miała smugi brudu.

W jednej chwili Lydia się opamiętała. Nie może pozwolić, żeby dżentelmen oglądał ją w tak oplakany stanie - w dodatku w lombardzie! Po pierwsze dlatego, że nikt dotychczas nie widział lady Lydii Eastlake tak ubrudzonej. (Nie dlatego, że nigdy się nie brudziła, ale nie pozwoliła, by ktoś niepowołany przyłapał ją w takiej sytuacji!)

A po drugie dlatego, że damy nie zawierają podejrzanych transakcji z byle kim i nie oddają biżuterii do lombardu. A ponieważ godność osobista lady Lydii należała obecnie do nielicznych skarbów, jakie jej jeszcze pozostały, nie pozwoli, by ktoś ją tej godności pozbawił!

Nie było więc innej rady: musi udawać osobę, za którą wzięła ją nieznajomy. Zdobyła się na miły, uprzejmy uśmiech i zaczęła schodzić z drabiny.

- Tak, psze pana! Najmocniej przepraszam! Chciałam tu ino trochę posprzątać - powiedziała bardzo z siebie zadowolona. Zdawało jej się, że mówi jak prosta dziewczyna, rdzenna mieszkanka Londynu, aczkolwiek prawdziwa Berthe Roubalais nie wyrażała się przecież w taki sposób. Zeskoczyła z ostatniego szczebla na podłogę i wytarła ręce w fartuch. - Czem mogię służyć?

Nieznajomy podszedł bliżej. Teraz, gdy z powrotem stała na podłodze, widziała wyraźnie, że jego oczy były szaroniebieskie jak lód na wiosnę, przysłonięte smolistymi rzęsami. W dodatku uśmiechał się, porażając wprost swoim urokiem.

Któż to taki? Lydia знаła każdego, kto zaliczał się do śmietanki towarzyskiej; jego jednak nigdy do tej pory nie spotkała. I mogłaby się założyć, że żadna z jej przyjaciółek również nie zawarła z nim znajomości. Z pewnością wspomniałyby jej o kimś, kto odznacza się tak niezwykłą urodą! A jednak ten człowiek miał maniery dżentelmena, jego surdut zaś z całą pewnością był dziełem niezrównanego Westona!

- Mówiono mi, że można tu dostać ładne spacerowe laski. Chciałbym je obejrzeć.

- Laski? - powtórzyła jak echo Lydia.

Nie miała pojęcia, czy Roubalais ma na sprzedaż laski. Wiedziała za to z pewnością, że mieli je Littner i Cobb z St. James Street.

- Tak. Najlepiej z gałką ze srebra lub kości słoniowej.

- Ach tak... - Rozejrzała się dokoła, jakby w obawie, że ktoś ich podsłucha, i przysunęła się bliżej do nieznanego. Ta nieoczekiwana maskarada zaczęła ją naprawdę bawić! - Niech pan posłucha! Cosik panu powiem, choć może nie wypada... - Przyjrzała się uważnie nieznanemu. - Ale chyba porządny z pana gość, od niedawna w mieście, i w ogóle...

Na sekundę w szaroniebieskich oczach pojawiło się zdumienie, ale uśmiech nieznanego pozostał swobodny i obojętny.

- Daję słowo, że naprawdę ze mnie porządny gość - zapewnił solennie. Na jego twarzy widoczne było lekkie rozbawienie. - I rzeczywiście jestem od niedawna w mieście. Jakim cudem to pani odgadła?

Bo gdyby tak nie było, z pewnością ktoś by mi już o tobie opowiedział! - pomyślała Lydia. Uśmiechnęła się szelmowsko i wyjaśniła:

- To bez ten surdut: nowiutki, prosto z igły! Nic a nic nieznoszony. Buty i spodnie tak samo. I pański kapelusz nie ucierpiał jeszcze od naszej londyńskiej mgły!

- Co za spostrzegawczość! Intrygująca z pani osóbka.

Lydia skinęła głową. Ucieszyło ją to, że go zainteresowała, podobnie jak on wzbudził jej ciekawość. Wysoki, smukły, ubrany według najnowszej mody, mógł bez trudu uchodzić za przedstawiciela londyńskiej elity, gdyby nie to, że - mimo wszystko - nie wyglądał na londyńczyka! Cerę miał zbyt ogorzałą, spojrzenie zbyt szczere,

wysoką postać po żołniersku wyprostowaną i budzącą mimowolny respekt.

- Cóż dostrzegł pan we mnie szczególnego? - spytała Lydia, zdając sobie sprawę z tego, że znowu gapi się na niego.

Tym razem jednak nie miało to większego znaczenia, gdyż Berthe, pomocnica sklepowa, której rolę odgrywała, z pewnością nigdy w życiu nie widziała kogoś takiego jak ten nieznajomy. Co prawda, lady Lydia Eastlake również, ale ona przecież by się tak nie gapiała!

- Dziwnie się pani wyraża: to jak prosta dziewczyna, to znów jak wykształcona dama.

Do licha! Lydia poczuła, jak krew napływa jej do twarzy. Nie mogła odgadnąć z tonu głosu, czy nieznajomy się z nią przekomarza, czy mówi poważnie.

- Staram się mówić aligancko! - odparła, prostując się dumnie na całą wysokość - pięć stóp i cztery cale. - Mój wuj powiada, że dobra panna sklepowa powinna mówić jak prawdziwa dama!

- Ach tak... - Nieznajomy skinął głową. - To oczywiście wszystko wyjaśnia. Wróćmy więc do tego, co zamierzała mi pani powiedzieć, jako że porządny ze mnie gość, od niedawna w Londynie!

- No cóż... Prawdę powiedziawszy, nima u nas... - Tu poprawiła się ostentacyjnie, dumna ze swojej chytryści: - Chciałam powiedzieć, że nie ma u nas tak wielkiego wyboru lasek, jak u Littnera i Cobba na St. James Street.

No! To powinno załatwić sprawę: pozbędzie się nieznajomego, zanim wrócą Berthe i Roubalais. Uświadomiła sobie jednak, że wcale nie ma ochoty wypychać go za drzwi. A i jemu jakoś się nie spieszyło do wyjścia.

- Doprawdy? - spytał. - Bardzo to uprzejmie z pani strony, że poinformowała mnie pani o tym... nawet z uszczerbkiem dla interesów swego pryncypała.

- To nie mój pryncypał! - wypaliła Lydia bez zastanowienia, po czym dodała pospiesznie: - ...ino mój wujek. Sprzedaje całą masę różnych różności: antyków i biżuterii, i tak dalej. Zapewniam pana, że nie zrobi mu różnicy, jak ktoś tam nie kupi jednej laski! - Pohamowała się i, dygnawszy, dodała .. .bez urazy wielmożnego pana!

- Jest pani, doprawdy, niezwykle dla mnie uprzejma - odpowiedział. - Ale zanim udam się na St. James Street, z przyjemnością kupię coś w sklepie pani wuja. Co by mi pani mogła polecić?

Co mogłaby mu polecić? Nie miała zielonego pojęcia. Bardzo wątpliwe, by zainteresowały go przyniesione przez nią ametysty, chyba że w grę wchodzi jakaś dama?

- Mamy piękny garnitur z pereł i ametystów. Być może spodobałby się... pańskiej żonie?

- Niestety, nie mam żony - odparł.

Jeden kącik jego ruchliwych ust lekko drgnął. Nieznajomy bez trudu domyślił się, czemu zadała to pytanie.

Lydia pokraśniała, zwłaszcza że zorientowała się, iż uprzejma rezerwa, na którą od początku zwróciła uwagę (podobnie jak na jego imponującą postawę), jest prawdopodobnie cechą nabytą, być może nawet bezwiednie, a pod ujmującą powierzchownością nieznanego kryje się znacznie więcej, niż pozwala dostrzec przystojna twarz o łagodnym wyrazie.

- A zatem nie klejnoty. Raczej jakiś drobiazg dla mnie - mówił tymczasem klient. - Coś, co by się i pani spodobało.

- Mnie?

- Tak - odparł, zakładając ręce do tyłu. - Właśnie pani.

Wielkie nieba! Czyżby zamierzał z nią flirtować? Lydia poczuła się urażona, że dżentelmen pozwala sobie na umizgi do niej, jak do jakiejś panny sklepowej, a zarazem podniecona, że zrobiła na nim wrażenie nawet w takim przebraniu!

Nie wiedziała, co o nim myśleć. A jeśli posunie się zbyt daleko? Jakie okropne by to było dla obojga - musiałyby przecież wówczas wyjawić, kim naprawdę jest!

Na twarzy Lydii odbił się niepokój, gdyż spojrzenie nieznanego złagodniało. Nie był to już lód na wiosnę, ale mgła o zmierzchu.

- Nie ma powodu do obaw, panienko - powiedział uspokajająco. - Chcę tylko poznać pani zdanie, a nie obrazić jakąś niestosowną propozycją!

Spłonęła ognistym rumieńcem. Teraz naprawdę poczuła się zawstydzona. Biedny człowiek, oczywiście, że z nią nie flirtował!

Ktoś taki jak on nigdy by się nie narzucił porządnej dziewczynie, ciężko pracującej na swoje utrzymanie.

- Wcale się nie obawiam - zapewniła go. - Zastanawiałam się tylko, co panu pokazać... - Musi koniecznie coś wymyślić! Ależ się wplątała w bezsensowną kabałę. Jej spojrzenie padło nagle na drabinę - i przyszedł jej do głowy pewien pomysł. - Tam, na górnej półce, stoi wspaniała orientalna czara, która mogłaby pana zainteresować...

- To brzmi obiecująco - zauważył.

- O, tam! Zaraz ją dla pana zdejmę.

Stawiała już stopę na pierwszym szczeblu, gdy opalona ręka - szeroka, o długich palcach, bardzo męska - chwyciła za żerdź tuż nad jej dłonią. Lydia odwróciła się raptownie i omal nie zderzyła z nieznajomym. Był taki wysoki! Musiała zadrzeć głowę do góry, by mu spojrzeć w oczy. Z tej odległości widziała wyraźnie rudawą obwódkę wokół szaroniebieskich tęczęwek.

- Ta drabina nie wydaje mi się zbyt pewna - wyjaśnił.

Lydia cofnęła się o krok, potknęła się o drabinę i poczuła, że jest śmieszną niezdara, jękającą się i rumieniącą jak piętnastoletnia debiutantka. Jej przyjaciele pękliby ze śmiechu, gdyby ją teraz zobaczyli!

- To miłe z pańskiej strony, ale nic mi nie będzie - oświadczyła i zaczęła się wspinać, udając, że nie dostrzega podtrzymującego drabinę ramienia. Niestety, wspinała się ze zbytnim pośpiechem.

Stopa jej się poślizgnęła i Lydia straciła równowagę. Nie zdążyła nawet krzyknąć, bo mocne ręce już objęły ją w pasie i zręcznie

ściągnęły z drabiny. Na chwilę przyłgnęła do szerokiej, twardej piersi nieznajomego. Przez jedną sekundę, która wydawała się Lydii nieskończonością, pozostała w jego uścisku, wpatrzona w szaroniebieskie oczy. Coś błysnęło w ich głębi. Czy to on wstrzymał dech, a może ona? Tak, to jej zabrakło tchu, gdy stawiał ją lekko na ziemi, po czym wypuścił z uścisku. Nie dostrzegła na jego twarzy nic oprócz przelotnego zainteresowania.

- Pani pozwoli, że ją wyręcę - odezwał się z całym spokojem.

Gdybyż to samo można było powiedzieć ojej sercu! Trzepotało jak szalone.

Nie czekając na przyzwolenie Lydii, wyminął ją i sam wszedł na drabinę. Nie musiał wspinać się tak wysoko jak ona, a potem wystarczyło mu wyciągnąć długie ramię, by pochwycić czarę i zdjąć ją z półki.

Kim ten człowiek był?

Wrócił z czarą i podał ją Lydii.

- O nią pani chodziło? - spytał.

- Tak - odparła.

Odebrała od niego porcelanowe cacko i skupiła na nim całą uwagę. Cóż za piękny okaz!

Początkowo zajęła się studiowaniem kolekcji sir Grimleya, ponieważ w jego wielkim, ponurym domu nie było nic innego, na czym mogłaby skupić uwagę, a towarzystwa dotrzymywała jej wyłącznie służba wynajęta przez opiekuna. Z czasem jednak poczuła prawdziwe zainteresowanie pięknymi przedmiotami. Niewiele osób

wiedziało o tej fascynacji Lydii. Wytworna dama nie musi, doprawdy, być ekspertem w dziedzinie sztuki!

Teraz więc wyrobione oko Lydii przesuwano się po wygiętym brzegu czary, skomplikowanym wzorze, odcisniętym w kaolinowej glince, pod błękitno-białą glazurą, po otworkach w podstawie naczynia... We własnym domu Lydia miała wiele podobnych okazów.

- Chińska - mruknęła pod nosem. - Kang-ksi, jeśli się nie mylę. Od razu można poznać: wyraźny wpływ islamu, natłok postaci...

- Widzę, że jest pani prawdziwą znawczynią.

- Jedynie zapaloną miłośniczką - odparła skromnie.

Było to prawdziwe cudo. I w doskonałym stanie. - To wyjątkowo piękny okaz.

- Unikatowy, moim zdaniem.

W głosie nieznanego brzmiała pewność. Lydia podniosła na niego oczy. Przyglądał się jej bacznie.

- Zna się pan na chińskiej porcelanie?

- Prawdę mówiąc, nie - przyznał. - Ale potrafię docenić prawdziwy skarb, jeśli go zobaczę. Tak, sądzę, że znalazłem dokładnie to, czego chciałem.

- Nie jest to zabytek sprzed wieków. Nie ma nawet stu lat, jeśli się nie mylę. Ale, mimo wszystko, to rzadki okaz - powiedziała Lydia. I nie mogąc oprzeć się pokusie, zażartowała: - Może się okaże, iż nie stać pana na taki skarb?

- Wcale bym się nie zdziwił, gdyby tak było.

Uśmiechnął się nieco krzywo i cierpko.

- W takim razie chyba lepiej spytać o cenę, zanim ten drobiazg panu przypadnie do serca!

- Obawiam się, że ostrzeżenie przyszło zbyt późno - odparł.

Lydia roześmiała się.

- Jest pan zbyt szczery i dlatego bezbronny. Ktoś mniej uczciwy niż ja mógłby wykorzystać pańską otwartość!

Udał, że kłania się aż do ziemi.

- O pani, zdaję się na twoją łaskę i niełaskę! Mam nadzieję, że lepsza strona pani charakteru weźmie górę.

- O! - Figlarnie pogroziła mu palcem. - Zakłada pan, że ta lepsza strona istnieje... A co, jeśli jestem bezgranicznie interesowna?

- Czyżby istotnie tak było? - spytał i Lydia umilkła.

Popatrzyła na niego ze zdumieniem.

Pytał całkiem serio. I najwyraźniej oczekiwał od niej poważnej, szczerzej odpowiedzi. Nie wiedziała, jak na to zareagować. Ludzie z jej świata prowadzili zawsze konwersację pół żartem, pół serio. Nie domagali się uczciwej odpowiedzi - chodziło przecież tylko o słowne igraszki!

Poczuła, że pieką ją policzki. Znowu czymś ją zadziwił, tym razem nie doskonałymi manierami czy urodą. Zapragnęła dowiedzieć się nie tylko, kim jest, ale - jakim jest człowiekiem.

- A zatem, panienko?

Nie miała zamiaru odpowiedzieć na pytanie, czy jest interesowna, czy nie - zwłaszcza teraz, gdy postanowiła zrezygnować ze swojej niezależności, żeby zapewnić sobie bogactwo.

- Doprawdy nie wiem, na ile wycenił ten przedmiot mój wuj! -
wykręciła się.

- Ach tak? W takim razie zaczekam na niego.

Na te słowa Lydia znów uniosła raptownie głowę.

- Nie!... To znaczy, wuj ostrzegł mnie, że nie będzie go dość
długo, zapewne kilka godzin. Nie może pan marnować całego
popołudnia!

- Tak pani sądzi? Przecież tu jest tyle do odkrycia... Tyle uroczych
niespodzianek!

Lydia poczuła, że ogarniają ją panika. Gdyby ten człowiek
zorientował się, że odgrywała przed nim rolę ubogiej sprzedawczyni,
uznałby ją za oszustkę, niecną awanturnicę, kogoś w rodzaju Caroline
Lamb, która wystawiała się przez całe lata na pośmiewisko, biegając
za Byronem!... A w dodatku wszystkim by o tym opowiedział. Z
pewnością! Mężczyźni zawsze rozsiewali pikantne ploteczki. O Boże,
nie!

Może powinna odwołać się do lepszej strony jego natury?

Gdyby wyznała mu wszystko, być może jako dżentelmen
poczułby się zobligowany do zachowania tajemnicy? Ale w dalszym
ciągu uważałby ją za nieznośną, postrzeloną dziewczuchę. Nie chciała,
żeby tak o niej myślał!

I w tym właśnie momencie dziecko Berthe - przez wszystkich
zapomniane, mokre i głodne niemowlę, które obudziło się, gdy
świecznik spadł na ziemię, i od tej pory przez całe piętnaście minut

zawzięcie ssało swoją stopkę - doszło do wniosku, że ma już dość tego bezproduktywnego trudu i zaczęło wrzeszczeć.

- Cóż to takiego, na litość boską?! - zdumiał się nieznajomy.

- Dziecko! - burknęła Lydia.

Wyminęła nieznajomego i podbiegła do pękatej komody. Niemowlę miało strasznie wykrzywioną czerwoną buzię, a jego krzyk wyrażał najgłębsze oburzenie.

Lydia bez wahania sięgnęła do wnętrza szuflady i schwyciła dziecko wraz z kocykiem, którym było owinięte.

- Cicho już, cicho, moje ty maleństwo! - przemawiała czule, dotykając ustami spoconej główki.

Rozwrzeszczało się jeszcze głośniej.

Lydia spojrzała bezradnie na nieznajomego. Wydawał się taki wszechpotężny, ale był równie zaniepokojony jak ona.

- Czy to pani dziecko? - spytał.

- Dobry Boże, nie! - wybuchnęła. - To coś... należy do mojej kuzynki.

- To coś? - powtórzył jak echo.

- No, dziecko. Niemowlę! - wyjaśniła z irytacją Lydia. - I co ja mam teraz zrobić?!

Zdumienie nieznajomego przeszło w rozbawienie.

- Nie mam pojęcia. Nie mam ani żony, ani dzieci!

Niemowlę odwróciło główkę, przylgnęło zaślinionymi usteczkami do brody Lydii i zacisnęło na niej bezzębne dziąsła. Lydia zastygła w przerażeniu.

- Och! - jęknęła drżącym głosem. - Dlaczego ono to robi?!

- Chyba jest głodne - stwierdził nieznajomy z całą powagą.

- To nie ulega wątpliwości - odparła cierpko Lydia. -
Najwyraźniej usiłuje mnie pożreć!

- Niezupełnie. Przypuszczam, że biedactwo... - Na szczupłe policzki nieznajomego wypłynął lekki rumieniec. - Szuka matczynej piersi...

- To wiem! - warknęła Lydia i się zarumieniła.

- Ale co to właściwie jest? - spytał nieznajomy.

Lydia popatrzyła na niego, całkiem zbita z tropu. Niemowlę nadal atakowało jej brodę.

- Dziecko, cóż by innego?!

- No, chłopczyk czy dziewczynka? Pani ciągle mówi „ono”.

- O! Jaka ja niemądra. To - zdecydowała na chybił trafił -
chłopczyk!

Przełożyła niemowlę na drugie ramię, uniemożliwiając mu dalsze bezskuteczne ssanie jej brody. Głośno wyraziło protest.

- Trzeba nim potrząsnąć - doradził jej nieznajomy. - Tylko ostrożnie!

- Podobno nie ma pan dzieci?

- Za to nie brak mi bratanków i siostrzeńców. Niania zawsze nimi potrząsała, kiedy płakali.

Lydia usiłowała przekrzyczeć krzyk niemowlęcia:

- Co pan powiedział?

- Nieważne! - odkrzyknął nieznajomy. - Niech nim pani potrząśnie. Leciutko!

Lydia nie zdążyła skorzystać z tej rady, gdyż Berthe wpadła do sklepu tylnymi drzwiami i podbiegła do niej. Ręce miała drapieżnie wyciągnięte, a wyraz oczu doprawdy niepokojący.

- Moje maleństwo!

Wyrwała niemowlę z ramion Lydii. Mały Roubalais natychmiast się uspokoił. Jego zawrozenie przeszło w czkawkę - najwyraźniej był to dowód, że dziecko odczuło ulgę. Groźne błyski (Lydia pojęła już, że to wyraz gotowej na wszystko miłości macierzyńskiej) znikły z oczu Berthe, gdy zorientowała się, kogo omal nie zaatakowała. Krew odpłynęła jej z twarzy.

- O Boże! Błagam pokornie o wybaczenie.

- Spodziewam się, kuzynko! - przerwała jej Lydia. - Obiecałaś wrócić znacznie wcześniej!

Berthe już otwierała usta, by coś powiedzieć, ale spostrzegła, że Lydia prawie niedostrzegalnie kręci głową. Zamknęła je więc.

- Czy wuj już zjadł obiad? - spytała z ożywieniem Lydia.

- Wuj? - powtórzyła z wahaniem Berthe.

- A któż by? - Lydia zdobyła się na śmiech. - Słowo daję, macierzyństwo całkiem odebrało ci rozum, kuzynko! Strach pomyśleć, co z tobą będzie po drugim dziecku! Mam wrażenie, że bierzesz mnie za jakąś wielką damę! - pomyśleć tylko! Jakaż dama wybrałaby się, choćby do sklepu, ubrana tak jak ja?! - Spojrzała

wymownie na roboczy fartuch i brudne ręce. - Co też by ludzie o niej pomyśleli!

- Co...? No tak! - wyjąkała Berthe, zaczynając wreszcie rozumieć, o co chodzi. - Masz świętą rację, kuzynko! Macierzyństwo całkiem mnie ogłupiło. Ale chciałam ci powiedzieć, że ojciec jest już w drodze do sklepu. Możesz wyjść od razu! Z przyjemnością obsłużę tego dżentelmena.

Sprytna dziewczyna! - pomyślała Lydia i odetchnęła z ulgą.

Berthe nie tylko powiadomiła ją, że Roubalais wyszedł już z domu, ale umożliwiła jej natychmiastowe wyjście ze sklepu, by mogła zatrzymać złotnika po drodze.

- Bardzo ci dziękuję! - szepnęła szczerze wdzięczna.

Zerknęła na nieznanego. Spoglądał na nią z niepojętą czułością. Ręce miał założone do tyłu.

Lydia nie wątpiła, że wkrótce znów go zobaczy. Wszystko przecież świadczyło o tym, że należał do tego samego świata co ona! Była jednak przekonana, iż nieznanomy nie pozna jej przy następnym spotkaniu. Wystarczy pozbawić damę modnych fatalaszków i przenieść w całkiem inne otoczenie, a nikt nie domyśli się, że to istota z tej samej sfery co oni! Tak właśnie toczy się świat... ten, w którym żyła.

Berthe wyraźnie dała jej do zrozumienia, że powinna się pospieszyć. A jednak coś ją tu zatrzymywało.

- Mam nadzieję, że uda się panu zdobyć swój skarb - zwróciła się do nieznanego.

- Dziękuję! Zrobię wszystko, żeby go sobie zapewnić - odparł z całą powagą.

Miał urzekające oczy.

- Lepiej się pospiesz, zanim twój obiad całkiem wystygnie - popędzała ją Berthe. - Wiesz przecie, jak matka potrafi zrzędzić!

- Wiem! Dziękuję. Życzę panu miłego dnia! - powiedziała Lydia i nie czekając na odpowiedź nieznajomego, wybiegła ze sklepu, by zatrzymać po drodze monsieur Roubalais i zamienić z nim kilka słów.

5

Ned patrzył, jak lady Lydia Eastlake wymyka się ze sklepu tylnymi drzwiami, i uśmiechał się szeroko.

Bogu dzięki, że tej kobiecie nie brak pieniędzy i nie musi zarabiać na swoje utrzymanie! Z aktorstwa nigdy by nie wyżyła. Ani trochę nie umiała udawać. Każda jej myśl natychmiast odbijała się na wyrazistej twarzyczce. Najpierw rozbawienie, potem wyraźne zadowolenie, a po nim lęk, na szczęście krótkotrwały, że swym sposobem mówienia - okropne połączenie wielkoświatowej afektacji z jakąś pseudo-gwarą, którą nikogo by nie zmyliła! - zdradziła, iż nie jest osobą, za którą się podawała. Następnie poczucie triumfu, gdy uznała, że zmyliła rozmówcę swoim wyjaśnieniem, później jednak rosnący niepokój po powrocie prawdziwej sprzedawczyni - i wreszcie paniczny strach, który popchnął ją do ucieczki.

Doprawdy, wielka szkoda! Tak dobrze się bawiła, udając pannę sklepową. Szczerze mówiąc, dziecinna radość, jaką sprawiała jej ta

komedyjka, zrobiła na kapitanie równie silne wrażenie, jak zapierająca dech w piersi uroda lady Lydii. Było w tej beztroskiej radości coś, co chwyciło go za serce i zmusiło, by przyłączył się do zabawy. Ta kobieta odurzała, zupełnie jak szampan!

Ned zorientował się, kim ona jest, gdy tylko zeskoczyła z drabiny. Musiałby być ostatnim półgłówkiem, żeby jej nie poznać! W każdej gazecie i magazynie ilustrowanym roiło się od jej podobizn, tak samo jak od szczegółowych relacji, w jakim przyjęciu wzięła udział, kiedy się na nim zjawiała i w czym towarzystwie. Uwieczniono ją nawet na niektórych taliach kart, nadając jej rysy królowej karo. W Akademii Królewskiej niedawno wystawiono jej portret, dzieło sir Thomasa Lawrence'a. Największy zachwyt budziły oczy lady Lydii - żadna inna kobieta nie miała oczu tak niezwyklej barwy!

Doprawdy, był to niespotykany odcień błękitu - głęboki szafir z domieszką fioletu, jak na jaskółczych skrzydłach. Przypominała jaskółkę także płynnością ruchów i zuchwałością. Była...

- Czym mogę panu służyć?

Ned spojrzał w dół. Niziutki, wyraźnie zdenerwowany Francuz wszedł właśnie do sklepu i stał, wpatrując się w chińską czarę, którą kapitan nadal trzymał w ręku.

- Ach tak... - ocknął się Ned. - Ile to kosztuje?

Roubalais wymienił cenę, a kapitan zapłacił, nie spiesząc się. Pomocnica złotnika owijała tymczasem sprawunek w papier, tak wolno, jakby chciała zapewnić lady Lydii jak najwięcej czasu na ucieczkę. Uporawszy się z tym wreszcie, podała kapitanowi starannie

owiniętą paczuszkę. Ned miał ochotę zagadnąć ją wprost o klientkę, znaną w całym Londynie; ogarnęła go jednak litość i dał spokój. Biedna dziewczyna musiałaby albo zawieść zaufanie arystokratycznej damy, albo okłamywać w żywe oczy innego przedstawiciela wyższych sfer!

- Bardzo dziękuję - powiedział więc, zabrał błękitną czarę i uchylił kapelusza na pożegnanie.

Lady Lydia z pewnością zdążyła przez ten czas umknąć! Tak czy inaczej, Ned nie zamierzał zbliżyć się do miejsca, gdzie czekał na nią powozik na żółtych kołach. Poszedł w przeciwnym kierunku, do Klubu Boodle'a. Miał nadzieję spotkać się tam z pewnym dżentelmenem, niejakim Childe'em Smythem, do którego Harry przegrał pokaźną sumę. Ned zmarszczył brwi.

Oburzanie się na któregokolwiek z Locktonów nie miało żadnego sensu. Wszyscy odziedziczyli po przodkach identyczne cechy charakteru - byli prostoduszni, skłonni do samochwalstwa, pozbawieni silnej woli i zmysłu praktycznego. A co dziwniejsze, zupełnie tego nie rozumieli. Ned uważał to za wrodzoną wadę, coś w rodzaju krótkowidztwa, które go nawet rozczulało - choć wiedział, że jego pobłażliwość graniczy z dziwactwem. Zawsze jednak najbliżsi krewni zdumiewali go skłonnością do przechwałek i zادیornością. Oni zaś byli równie zdumieni, nie dostrzegając u Neda żadnej z tych rodzinnych cech.

Pewnego dnia, dobrze sobie podpiwszy, ojciec chrzestny Neda, admirał Nelson, oświadczył swemu chrześniakowi, że jego zdaniem

nie jest on wcale przysłowiowym „kukułczym jajem w porządnym gnieździe”. To raczej rodzina kukułek dochowała się, licho wie jakim sposobem, młodego jastrzębia! Ned bynajmniej nie czuł się jastrzębiem. A od powrotu do domu miał nieodparte wrażenie, że jest macierzyńską kwoką.

Nie pragnął zresztą, by jego rodzina stała się inna. Kochał ich ze wszystkimi wadami.

Nie zawsze tak było. Jak większość wyrostków, Ned uważał swoją rodzinę za coś, co jest takie, jakie jest, bo musi być. I właśnie dlatego zaciągnął się na okręt Nelsona. Szczerze mówiąc, chciał się wyrwać z chaosu, zamętu, kompletnego bałaganu w Josten Hol! Ale w miarę upływu lat bezwzględne dążenie Napoleona do władzy sprawiło, że to, co pierwotnie było dla niego ucieleśnieniem wielkiej przygody, zmieniło się w ciężki i bolesny obowiązek. I wówczas wspomnienie Josten Hol i bałaganiarskiej rodziny, która tam mieszkała, stało się dla Neda igłą magnesu, wskazującą mu kierunek do domu.

Cichy, spokojny chłopiec, jakim był niegdyś, nie istniał już, choć kapitan Ned zachował jego uśmiech i sposób bycia. Opanowanie przekształciło się w nieugięty stoicyzm, a wrodzona nieumiejętność okazywania uczuć okazała się nieocenioną zaletą, gdy musiał wydawać rozkazy, posyłać swoich ludzi tam, gdzie to było niezbędne, i robić to, co należało wykonać za wszelką cenę.

Nigdy nie pragnął, by jego najbliżsi poznali rzeczywistość, z jaką on musiał się stykać, albo nawet próbowali ją sobie wyobrazić. Nie

było zresztą żadnej potrzeby, by wiedzieli o tym. Ned o to przecież między innymi walczył, by jego bliscy mogli zachować swoją dziecięcą naiwność i niewinność, skłoną do zbyt wielkich słów i pustych przechwałek.

Bywały chwile, gdy tylko wspomnienie Josten Hol i myśl o rodzinie takiej, jaką miał w pamięci - pozerskiej, zadzierającej nosa i cudownie, całkowicie nieświadomej - powstrzymywała Neda od rozpacz. Bez wątpienia, gotów był zrobić dla rodziny wszystko, co tylko mógł - rozmyślał, zmierzając ku frontowemu wejściu do Klubu Boodleya, tak dyskretnemu, że niemal niedostrzegalnemu. - Nawet ożenić się z posażną panną! A właściwie czemuż by nie? Tęsknił do wszystkich tych rzeczy, za które przelewał krew. Pragnął własnego domu, potomstwa, poczucia bezpieczeństwa, niezmiennych tradycji. Najwyższy czas poślubić kobietę obdarzoną bogactwem i inteligencją - kogoś, kogo mógłby podziwiać.

Takie były jego oczekiwania i kryteria wyboru. Aż do dziś. I nagle przekonał się, że potrzebuje - a raczej pragnie z całego serca - czegoś więcej! Skinieniem głowy powitał odźwiernego, który strzegł wejścia do klubu.

Ledwie minął drzwi i znalazł się w przedsionku, ktoś zawołał do niego:

- Ned? Kapitan Ned Lockton?

Ned odwrócił się i ujrzał szczupłego mężczyznę, kilka lat od siebie młodszego, który spieszył korytarzem na jego spotkanie. Swobodę ruchów krępowało mu modne ubranie: zbyt obcisłe spodnie,

niesłychanie wcięta w pasie kamizelka oraz surdut z groteskowo poszerzonymi ramionami. Wysoki kołnierz, owinięty misternie zasupłanym niebieskim krawatem, przesłaniał dolną połowę twarzy eleganta, rudawe loki, szesane na czoło, zakrywały resztę.

- Dobry Boże! To ty, Borton? - zdumiał się Ned.

Rodzina czcigodnego George'a Bortona, należąca do zamożnego ziemiaństwa, mieszkała o jakieś dziesięć mil od Josten Hol. Kiedy obaj byli jeszcze chłopcami, George łąził zwykle za Nodem krok w krok, dopóki ten nie zaciągnął się do floty. Ostatni raz kapitan widział Bortona dwa lata temu, wkrótce po tym, jak Mary dała sąsiadowi kosza. Najwyraźniej od tamtej pory George nabrał wielkomiejskiego poluru.

- Jak się miewasz, Borton?

- Całkiem nieźle - odparł Borton, po czym spostrzegłszy, że kapitan podziwia jego strój, wyjaśnił lakonicznie: - To Hale. Słynny Paul Hale! Ale i twój krawiec spisał się znakomicie, kapitanie. Nigdy jeszcze nie widziałem tak zręcznie wywatowanych ramion!

Ned nie tracił czasu na wyjaśnianie, że wcale nie ma wywatowanych ramion.

- Nie wiedziałem, że i ty jesteś członkiem naszego klubu!

- Jeszcze nie jestem. Marcus miał przedstawić moją kandydaturę.

- O czym tu dyskutować? - obruszył się Borton i poklepał Neda po ramieniu. - Jestem w Komitecie odpowiedzialnym za właściwy nabór członków. Chodźmy! - Skinął na kręcącego się w pobliżu

lokaja. - Zaopiekuj się paczką kapitana Locktona i przynieś nam coś do picia. Porto, nieprawdaż? No właśnie, porto!

Uśmiechnął się i znowu klepnął kapitana po plecach.

- Pozwól, że cię oprowadzę po klubie. Mamy wspaniałą bibliotekę i najwygodniejsze fotele w całym Londynie. No i - gdybyś jeszcze o tym nie wiedział - możemy się też pochwalić wykuszowym oknem, zupełnie jak u White'a. - A przede wszystkim - ciągnął - żadnych kobiet! Jakże się miewa twoja siostrzenica, Mary? Jeszcze się nie zaręczyła, prawda? Oczywiście że nie! Przecież bym się dowiedział! O czym to ja mówiłem? A prawda: żadnych kobiet! Szczęśliwe królestwo mężczyzn, wyspa, do której nie docierają ich piskliwe głosy. Można nie widywać niewiast całymi tygodniami... A zatem, jak się miewa Mary?

Ned, który musiał się obywać bez towarzystwa kobiet przez większą część swego dorosłego życia, uśmiechnął się mimo woli.

- To mi przypomina mój ostatni rejs!

Borton spojrzał na niego, zbity z tropu, ale widząc, że kapitan tylko się z nim droczy, uśmiechnął się również.

- Zapomniałem, że to dla ciebie żadna atrakcja, kapitanie! W takim razie, czym mogę cię przyciągnąć do naszego klubu? Dobrym jedzeniem? Interesującym towarzystwem? Najnowszymi publikacjami? Członkiem naszego klubu jest Brummell we własnej osobie! Tyle że ostatnio rzadko się pokazuje. - Borton przyłożył palec do nosa i pochylił się do swego towarzysza. - To przez tych

natrętnych wierzycieli! - szepnął i wyprostował się. - Ale i tak jakoś się tu nie nudzimy. Zawsze można sobie pograć.

- Już o tym słyszałem - odparł Ned.

Borton się skrzywił. Był wyraźnie skonsternowany.

- Nie myśl o tym! Twój bratanek całkiem zgłupiał, żeby siadać do kart ze Smythem! To prawdziwy kapitan Sharp, oszust i szuler. Na niczym go nie przyłapano, oczywiście... ale ma na swoim koncie więcej nocy przy zielonym stoliku i morderczej gry niż niejeden dwakroć starszy od niego! Wszyscy przekonywali tego smarkacza Harry'ego, żeby się nie hazardował. Ale nic to nie dało.

- Wcale mnie to nie dziwi. Członkowie mojej rodziny nie odznaczają się, niestety, zbytym rozsądkiem.

- Ja też poczuwam się do winy... Powinienem był czuwać nad tymi dziećmi. Byli przecież dla mnie jak bracia, zanim... Zresztą, to nie ich wina, że Mary... - Borton urwał i się zaczerwienił. - Tak czy owak, czułem przez skórę, że się coś niedobrego szykuje. To się po prostu musiało tak skończyć. Nigdy jeszcze nie widziałem takich butnych żółtodziobów jak ci dwaj! I żeby chociaż mieli się czym puszyć.

- Właśnie! Odniosłem takie samo wrażenie, odnawiając z nimi znajomość. Ale w końcu to mój siostrzeniec i bratanek. Czy Smyth tu jest?

Borton zerknął na niego niespokojnie.

- Nie widziałem go.

- Nie obawiaj się, Borton. Chcę tylko spłacić dług Harry'ego.

- Tak? To ładnie z twojej strony.

- Powiedz mi, co o nim wiesz?

Borton wzruszył ramionami.

- Oprócz tego, że grywa często i wysoko, opływa w pieniądze i bardzo mu to odpowiada? A, ma jeszcze kochankę, tę samą od lat... No i kawał snoba z niego, choć w jego żyłach nie płynie błękitna krew!

Ned się uśmiechnął.

- Tak? Powiedz mi coś jeszcze!

- No cóż... Jak głosi jedna z plotek, najczęściej powtarzana tej wiosny, dziadek Smytha jest ponoć ciężko chory. Przyrzekł uczynić wnuka swoim jedynym spadkobiercą, jeśli ten się ożeni, zanim starszy pan nie pożegna się z tym światem. Fortunę ma olbrzymią i nieograniczoną majoratem. Smyth zresztą też do biednych nie należy, ale zostanie jednym z najbogatszych ludzi w Anglii, jeśli ożeni się na czas!

- Sam mówisz, że nie potrzebuje tych pieniędzy.

- Nie potrzebuje ich, żeby związać koniec z końcem, ale żeby urządzić sobie życie, jak tylko zechce - wyjaśnił Borton. - I gdyby odziedziczył taką fortunę, nikt by mu już nie wypominał, że jego przodkowie parali się handlem zaledwie cztery pokolenia wstecz! Teraz tolerują go w towarzystwie, ale wtedy przyjęliby go jak swego, a tego właśnie Smyth najbardziej pragnie.

- Dobry Boże, Borton! Jesteś niewyczerpanym źródłem wiadomości - stwierdził Ned. - Zaczynam się zastanawiać, co wiesz na mój temat!

Borton nie spieszył się ani trochę.

- Nie wiem nic, co by źle o tobie świadczyło... choć, prawdę mówiąc, właśnie to powinno wzbudzić we mnie podejrzenia!

Ned się roześmiał.

- Mam i ja swoje grzeszki. Możesz być tego pewien!

- Zupełnie sobie nie wyobrażam, jakie? Zawsze się różniłeś od reszty rodziny. Mój staruszek zwykł mawiać, że Locktonowie się urodzili w odwrotnej kolejności: najmłodszy ma najwięcej rozumu, a najstarszy ani... O, bardzo przepraszam! Znowu się zapędziłem, gdzie nie trzeba.

- Nie przejmuj się tym.

- No, dobrze. Zaraz kogoś wyślę, żeby się rozejrzał za Smythem. - Skinął na lokaja, który od razu przybiegł na wezwanie. - Postaraj się znaleźć pana Smytha. Radzę ci zacząć od pokojów, w których są te wielkie lustra. Pewnie stoi przed którymś z nich!

Lokaj nie pozwolił sobie na uśmiech, tylko pospieszył spełnić polecenie Bortona. Za to Ned rozśmiał się głośno.

- Lubi podziwiać swoje odbicie?

- Taki z niego dandys! Nie rozumiem, czemu się nie przeniesie do White'a, tylko że tam nie brakuje takich jak on. Miałby dużą konkurencję, może nawet nie zostałby przyjęty? Choć teraz, gdy zanoszą się na to, że Brummell ucieknie na kontynent przed

wierzycielami, u White'a będzie dużo wolnego miejsca w wykuszowym oknie!

- Może ty powinienes je zająć? - podsunął niewinnym tonem Ned. Borton się roześmiał.

- Kto, ja? Nie ma mowy! To prawda, lubię być modnie ubrany, ale jeśli chodzi o dandysów, na tym się nie kończy, rozumiesz? Wszystkie te ich omdlałe pozy, znudzone miny... No i ta skłonność do robienia problemu z byle czego! W ubiegłym sezonie dwu z nich omal się nie pobiło na przyjęciu u lady Devonshire. Aż tak się posprzecziali o to, które jarzyny powodują najgorsze wzdęcia! O nie, ja nie jestem dandysem, tylko człowiekiem, który lubi być dobrze ubrany! Najwyraźniej był bardzo rad z siebie.

Nagle u jego boku pojawił się służący, dzięki czemu Ned nie musiał odpowiadać na wywody swego rozmówcy. Borton wziął kieliszki z podsunętej mu tacy i dzierząc je w rękę, zaprowadził Neda do dużego, wygodnie urządzonego pokoju z puszystymi orientalnymi dywanami i z wysokimi oknami, z których roztaczał się widok na biegnącą w dole ulicę. W pokoju znajdowało się już wielu innych dżentelmenów; przeglądali gazety lub czasopisma albo spędzali czas na pogawędce przy kieliszku. Borton dostrzegł dwa wolne fotele w pobliżu marmurowego kominka i skierował się ku nim, witając po drodze znajomych skinieniem głowy.

- No i jesteśmy na miejscu, kapitanie! Siadaj. Jakże się sprawuje twoja noga? Dziarsko kroczysz, nikt by się nie domyślił, że tak ci ją poharatali! Mam nadzieję, że nie dosztukowali ci kawałka drewna?

Ned zajął wskazany przez Bortona fotel i nie pogardził kieliszkiem porto.

- Nie, nie! - uspokoił rozmówcę. - Mogę przysiąc, że wszystko to moje własne kości i mięśnie. Czuję to wyraźnie, zwłaszcza po konnej jeździe. A raczej żalosnych próbach konnej jazdy!

- Ja bym się zanadto nie spieszył, żeby całkiem wykurować nogę... Ned przechylił głowę na bok i spojrzał na niego pytająco.

- No bo skąd damy mają wiedzieć, że jesteś bohaterem wojennym, jeśli choć trochę nie utykasz?

Kapitan się roześmiał.

- Mam nadzieję, że tyje o tym powiadomisz!

Usłyszawszy to, Borton odstawił kieliszek i pochyliwszy się ku rozmówcy, pokiwał znacząco głową.

- Tu cię mam! Myślisz o małżeństwie, prawda?

- Skąd ci to przyszło do głowy? - spytał Ned i upił łyk wina.

- Nowy surdut! To świadczy o czymś więcej niż nagłe zainteresowanie modą! Każdy mężczyzna - nie mówię o dandysach - sprawia sobie nowy surdut z dwóch tylko powodów: albo chce zwrócić uwagę jakiejś damy, albo zaimponować swojemu lokajowi! Wątpię, czy masz lokaja, i wiem, żeś nieżonaty. Wynika stąd jasno, że jakaś dama wzbudziła twoje zainteresowanie.

Ned pokręcił przecząco głową, choć, szczerze mówiąc, to jedno małe słówko „dama” sprawiło, że ujrzał przed sobą jedwabiste, ciemnobrązowe loki, jasną cerę, iskrzące się fiołkowe oczy i uśmiech, którego nie mógł zapomnieć.

- W zwykłych okolicznościach doradzałbym ci ostrożność - powiedział Borton. - Chcesz się zapuścić na znacznie groźniejsze wody niż te, do których przywykłeś, kapitanie! Twoja uroda, pochodzenie i bogactwo stanowią wielką pokusę dla drapieżników żerujących w tych groźnych odmętach... Mam na myśli zwłaszcza gatunek zwany „zapobiegliwymi mateczkami"! Pożrą bez namysłu taki smakowity kąsek jak ty, kapitanie, chyba że...

- Chyba że co? - ponaglił go zaintrygowany Lockton.

- Chyba że będziesz miał w tym roku wyjątkowo dużo współzawodników. Wszystko być może, nawet to, że mężczyźni, których nigdy bym o to nie posądził, dobrowolnie popędzą do ołtarza niczym szczury z tonącego okrętu! - Borton pokiwał smętnie głową. - Zbiory zawiodły, rynek papierów wartościowych upada, żołnierze wracają do ojczyzny, gdzie nie ma dla nich pracy, a chleb ciągle drożeje. Niewielu jest takich, co by nie ucierpieli na skutek trudności gospodarczych. A nawet wśród tych, których nieszczęście nie dotknęło, rodzi się tendencja do łączenia majątków i podpierania fortun zagrożonych w tych niespokojnych czasach.

Z właściwą dla niego zmiennością nastrojów Borton poweselał. Oczy mu zabłyśły.

- Ale może się mylę, a ciebie interesują związki słodsze i bardziej ulotne od tych trwałych i praktycznych?

Ned nie był tym jednak zainteresowany. Nigdy nie miał stałej kochanki. Przede wszystkim dlatego, że brakło mu na to czasu, ale i z

tej racji, że coś się w nim buntowało na myśl o kupowaniu miłości za pieniądze.

- Zawsze miałem wrażenie, że te ulotne związki są oparte na jeszcze bardziej praktycznych podstawach niż te trwałe! - zauważył sucho.

Borton się roześmiał.

- Rozumiem! Romantyk z ciebie, Ned! A może cynik? Podejrzywałem cię o to!

- Czyżby?

- O tak! Prawdziwy bohater może być tylko romantykiem albo cynikiem. Albo kocha ponad miarę, rozumiesz, albo neguje istnienie miłości. Nawet jeśli jest pozornie obojętny, jak ty. A zatem, kim jesteś, Ned, cynikiem czy romantykiem?

Kapitan zignorował to pytanie.

- Załóżmy, dla uproszczenia dyskusji, że masz rację, a ja istotnie rozglądam się za żoną. Gdzie radziłbyś mi zarzucić sieci?

Borton z zapałem zatarł ręce.

- Mój drogi, czuję się zaszczycony, że chcesz zasięgnąć mojej rady! Zastanówmy się... Najnowsze grono debiutantek, świeżo po prezentacji u dworu, jeszcze nie dotarło na salony. Nie miałem więc dotychczas możliwości obejrzenia ich. Co się zaś tyczy tych niezamężnych młodych dam, które mam już przyjemność znać...

Przymrużył oczy i zamyślił się głęboko.

- Niech pomyślę... Powinna być utalentowana, piękna, bogata... - Rzucił Nedowi przepaszające spojrzenie. - Nie twierdzę, że

Locktonom zależy na posażnej pannie, ale zawsze przyjemniej, jeśli żona nie jest bez grosza!

Ned nie zaprzeczył.

- Może lady Deborah Gossford...?

- Fatalne zęby! - wtrącił jakiś męski głos.

Ned rozejrzał się dokoła i spostrzegł dwóch dżentelmenów, stojących w pobliżu. Tęższy z nich miał rzednące już rude włosy i potężny dziób zamiast nosa. Starszy był śniady i wyglądał na Włocha.

- Masz rację, Elton - przytaknęła Borton, obejrzawszy się przez ramię. - Ale za to cera, palce lizać!

- Rzeczywiście - zgodził się grubas.

- Lord Elton i księżę Carvelli; kapitan Lockton, do niedawna z floty Jego Królewskiej Mości - dokonał prezentacji Borton. - Usiłuję sobie przypomnieć wszystkie panny, które się nadają do żeniaczki.

Ned podniósł się z miejsca, Carvelli dał mu znak, by usiadł z powrotem. Tymczasem Borton przysunął fotel dla księcia.

- Moja siostra ma wyjątkowo piękne zęby - rzucił George, niby to od niechcienia, gdy wszyscy zajęli już miejsca. - I śliczną karnację.

- Tylko wcale jej nie zależy na zamążpójściu, Borton - stwierdził z całą pewnością Elton. - Zbyt dobrze jej u ciebie! Może nie umiałyby okręcić sobie aż tak męża wokół palca i rządzić nim jak bratem!

- Żadna panna mnie nie zechce, jak długo ona pozostanie pod moim dachem - pożalił się Borton. - Muszę ją koniecznie wydać za mąż! Może byś tak, kapitanie... - Urwał nagle i pokręcił głową. - Nie! Nie mogę ci tego zrobić, Ned. Za bardzo cię lubię!

- Diane de Mourie to bardzo ładna młoda dama - zauważył Carvelli.

- Do niczego! - odparował Elton. - To świętoszka!

- Alboż świętoszki to coś złego? - zaproponował jakiś członek klubu, podchodząc do nich i witając się z Bortonem. - Sam się ożeniłem z jedną z nich. Taka przynajmniej nie wtrąca się do rozrywek męża, nie wypytuje go, gdzie bywa i co robi w nocy, rozumiecie? Żadna świętoszka nie zdobędzie się na coś takiego, bo udają, że ich to nie obchodzi, nic a nic!

- Moje gratulacje, Toleffer! Idealnie sobie zorganizowałeś małżeństwo. A zarazem i wyrazy współczucia, bo obawiam się, że nie będzie to owocny związek! - odparował Borton, budząc ogólny śmiech w grupie dżentelmenów, która nieustannie rosła wokół nich.

Dokonano kilku dalszych prezentacji, przyniesiono następne fotele lub przysunięto je bliżej.

- A cóż powiecie o lady Anne Major-Trent? - zagadnął Elton. - Osiemdziesiąt tysięcy funtów posagu, figura jak u Wenus...

- I najbardziej irytujący śmiech w całym królestwie! - dokończył Borton.

- A może lady Margery Hicks? - podsunął jakiś dżentelmen.

- Gdybyż ją ktoś nauczył, jak się ubierać! - odparł lekceważąco jeszcze inny, po czym dodał: - Jenny Pickler zostanie w tym roku przedstawiona u dworu.

- Nie znasz jej matki?

Ned prawie już nie słuchał tego, co mówią. Jego myśli wróciły do lady Lydii i jej przezabawnych prób udawania panny sklepowej, fiołkowych oczu, zniewalającego uśmiechu. I lekkiego, sprężystego ciała, które tulił do piersi...

- A co powiecie o lady Lydii Eastlake? - spytał.

6

Efekt był taki, jakby Ned cisnął w sam środek ich grupy bombę, która zaraz wybuchnie. Przez chwilę nikt się nie odzywał. W końcu Borton wybuchnął śmiechem, inni poszli za jego przykładem.

- A to dobre! Ale ci się udało, Ned! - zaśmiewał się Borton. I nagle coś do niego dotarło. - Dobry Boże! On przecież nie żartuje! On... wielkie nieba! Zupełnie zapomniałem...

Dostrzegł zdumione miny otaczających go dżentelmenów.

- Kapitan Lockton nigdy dotąd nie brał udziału w londyńskim sezonie. On po prostu o niczym nie wie!

Wokół przebiegł szmer zrozumienia i współczucia.

- Elton, bądź tak dobry i przynieś księgę zakładów! - poprosił Borton i z jakimś kocim uśmieszkiem opadł znów na fotel.

Otoczający ich kołem mężczyźni wymieniali spojrzenia, a Ned czekał, zaintrygowany. Niebawem powrócił Elton z grubą księgą, którą bez ceremonii rzucił Bortonowi na kolana. Ten poślinił palec wskazujący i zaczął kartkować księgę, sprawdzając uważnie rok wypisany u góry każdej strony. W końcu dotarł do 1808 i, zamiast

przerzucać dalej kartki, powędrował palcem w dół strony, wzdłuż długiej kolumny oddzielnych zapisów.

- O, mam! - powiedział wreszcie i przesunął księgę tak, by kapitan sam mógł wszystko odczytać.

Następnie postukał palcem w notatkę, zamieszczoną mniej więcej w dwóch trzecich strony, licząc od góry. Zapis brzmiał jak następuje:

„Byng zakłada się z płk. Rossem - 100 gwinei do 10 - że dopiero co przybyła do miasta ślicznotka o fiołkowych oczach zaręczy się w ciągu najbliższych dwunastu miesięcy. 5 kwietnia 1808". Pod spodem znajdowała się notatka potwierdzająca, iż rzeczona kwota została uiszczona w oznaczonym terminie.

Borton wskazał następnie Nedowi umieszczony jeszcze niżej zapis:

„Brummell stawia 500 gwinei przeciw 25 gwineom lorda Butte, że L.E. nie wyjdzie za niego przed końcem sezonu. Zapłacono".

Przeczytał na głos kilka następnych zapisów, nim dotarł do końca roku, po czym przeszedł do zakładów z roku 1809, dotyczących tego, czy L.E. wyjdzie za mąż albo zaręczy się. Jednak w miarę upływu lat treść notatek ulegała pewnej zmianie.

„Lord T. zakłada się z H.H.E. - 1000 gwinei przeciw 500 - że pewna fiołkooka dama zatańczy trzykrotnie z tym samym partnerem na balu w Almack's w przyszły piątek*".

*** Według zwyczajów dworskich dama mogła zatańczyć podczas balu tylko dwa razy z tym samym partnerem, chyba że był jej mężem lub narzeczonym. Inaczej reputacja damy mogłaby ucierpieć!**

„Gen. Sneed-Worth Price stawia 50 gwinei przeciw 5 gwineom pana A. Marly, że lady L. wystąpi na przyjęciu u Devonshire'ów w żółtej sukni”.

„Brummell zakłada się z płk. D. - 2000 do 500 - że pułkownik nie zdoła skłonić lady L., by wybrała się na przejażdżkę jego powozem”.

Coraz mniej zakładów dotyczyło rychłego zamążpójścia czy zaręczyn lady Eastlake, za to coraz częściej zakładano się o to, w jakim stroju wystąpi ta piękność, o której godzinie zjawi się na balu albo przyjęciu i z kim zatańczy. Wreszcie Borton znalazł ostatni zapis i postukał weń palcem, spoglądając wymownie na Neda w trakcie czytania na głos:

- „Lord A. stawia 10 000 funtów przeciw 5000 funtów lorda Glassa, Johnstona, Barnella i Fletchera, że Ona przyjmie jego oświadczyzny”. Czy muszę ci mówić, co to za „Ona”?

- I wyobraź sobie, kapitanie - wtrącił z uśmiechem gruby Elton - że przegrał ten zakład z kretesem!

Borton westchnął i opadł na fotel.

- Za lady Lydią Eastlake zawsze uganiało się więcej zapaleńców, niż biega ich z wędką nad Tamizą! Poznałeś już osobiście tę damę?

- Nie - odparł Ned. - Widziałem tylko jej podobizny i byłem ciekaw, jaka jest w rzeczywistości.

Zebrani pokiwali głowami z uśmiechem - to frywolnym, to sentymentalnym, w zależności od ich charakteru.

- Olśniewająca kobieta!

- Dama w każdym calu.

- Niezrównana!

- Już nie tak olśniewająco młoda jak niegdyś - wtargnął w tę litanię pochwał zwodniczo jedwabisty męski głos - ale jeszcze, doprawdy, warta grzechu!

- A, to ty, Smyth! - mruknął Borton ze źle ukrywaną irytacją. - Żadna smarkula z dziecinną buzią nie może się równać z lady Eastlake, i sam o tym dobrze wiesz!

Ned wstał i się odwrócił. Elegancki dżentelmen w beżowych spodniach do kolan i granatowym żakiecie stał oparty plecami o marmurowy kominek, obracając leniwie w palcach tabakierkę z sewrskiej porcelany. Miał przystojną pociągłą twarz, a w jego artystycznie zmierzwionych ciemnych kędziorach błyskały już tu i ówdzie srebrne nitki; Ned nie sądził jednak, by nieznajomy był od niego wiele starszy. Poruszał się leniwie, z pewną afektacją. Oczy spod ciężkich powiek spoglądały obojętnie, a uśmiech był jedynie lekkim skrzywieniem ust.

A więc tak, pomyślał Ned, wygląda prawdziwy dandys!

- Jeden z lokajów przekazał mi, że chciałeś się ze mną widzieć, Borton - wycedził Smyth.

- Istotnie. - Borton również wstał. - Kapitanie Lockton, czy mogę ci przedstawić czcigodnego Childe'a Smytha? Pan Smyth - kapitan Edward Lockton.

- Miło mi pana poznać - zwrócił się uprzejmie do Smytha Ned. - Zna pan, jeśli się nie mylę, mego bratanka Harolda, lorda Locktona?

Smyth zręcznie otworzył tabakierkę jedną ręką, wzbudzając podziw części zebranych. Posypał nadgarstek odrobiną tabaki i wciągnął ją delikatnie w nozdrza, zanim udzielił odpowiedzi.

- Ach tak... młody Harry. Znam go, oczywiście.

Krąg dżentelmenów, wyczuwając intuicyjnie, że ich obecność jest zbędna, rozstąpił się na boki, pozostawiając Neda ze Smythem i Bortonem. Nie odsunęli się jednak tak daleko, by znaleźć się poza zasięgiem głosów. Nadstawili czujnie uszu.

- Zdaje się, że jest pan w posiadaniu skryptów dłużnych mego bratanka. Chciałbym pana uwolnić od tego kłopotu, jeśli łaska.

- Boże święty! - wykrzyknął Smyth z przesadnym zdumieniem po czym, zwracając się do Bortona, dodał: - Ileż taktu u tego świeżo wyciągniętego z wody kapitanka!

Ned zauważył, że Borton wierci się niespokojnie, wietrząc kłopoty. Całkiem niepotrzebnie! Jeszcze nigdy kilka słów nie spowodowało Neda tak dalece, by stracił panowanie nad sobą. Słyszał już zresztą na swój temat jeszcze mniej pochlebne opinie. I to od ludzi więcej wartych niż ten fircyk! Od towarzyszy broni, podkomendnych.

- Czyżby to było dla pana takim zaskoczeniem? - odpowiedział Smythowi. - Należało się przecież spodziewać, że dowódca okrętu wykorzysta broń, która ugodzi najcelniej.

- Broń? Nie wiedziałem, że jesteśmy w stanie wojny - wycedził Smyth udając rozbawionego. - Myślałem, że prowadzimy tylko towarzyską konwersację.

Ned się uśmiechnął.

- O, już mnie uprzedzono, że każda konwersacja w eleganckim towarzystwie to orężne starcie.

Smyth wybuchnął śmiechem.

- Święte słowa, kapitanie! Ale proszę mnie oświecić, jaką bronią najchętniej się posługujesz w słownych potyczkach?

- Taką, której przeciwnik najmniej się spodziewa - odparł Ned.

- I teraz pan jej użył?

Ned potwierdził to ruchem głowy.

Wśród zebranych zapadło milczenie; wszyscy byli zdezorientowani Smyth uniósł pytająco doskonale kształtne brwi. I nagle Borton uśmiechnął się szeroko.

- To takt! - wypalił jak uczeń, którego nagle olśniło, że zna odpowiedź na pytanie nauczyciela. - Ned miał na myśli takt! Sam zresztą przyznałeś, Smyth, że taktu mu nie brakuje!

Dyskretne śmieszki i chichoty doleciały od strony audytorium, gdy wszyscy pojęli, że Borton miał rację.

Oczy Smytha zwęziły się, usta zacisnęły. Powiedział jednak - *Touche*, panie kapitanie! Bravo! - Było to pełne wdzięku przyznanie S1ę do przegranej. Nie towarzyszył mu jednak szczery uśmiech który rozświetliłby oczy mówiącego. - Ładnie to z pańskiej strony że podjął się pan załatwienia sprawy Harry'ego, by wyręczyć brata - dodał jeszcze Smyth.

Ned nie wyprowadzał go z błędu. Było mu jak najbardziej na rękę, by dandys sądził, iż fortuna Jostenów nie ucierpiała wskutek

wybryków młokosa. Nikt nie musi wiedzieć, że to Ned płaci długi Harry'ego ze swojej kapitańskiej kiesy. Szczęściem i on, i cała jego załoga otrzymali nagrodę za zdobycie podczas wojny okrętu wroga.

Nie otrzymawszy od Neda odpowiedzi, Smyth wzruszył ramionami. Nie udało mu się zabawić siebie i innych kosztem kapitana.

- Załatwimy to więc przy sposobności.

- Pieniądze są w każdej chwili do pańskiej dyspozycji, choćby natychmiast - odparł Ned.

- Doprawdy? - zdziwił się Smyth. - Cóż za nieoczekiwany uśmiech losu! Widocznie to mój szczęśliwy dzień. A może to pan przynosi mi szczęście, kapitanie?

- Czyżby?

- Naprawdę! Niezbyt mi sprzyjało ostatnimi czasy, ale pan to odmienił za pomocą kilku słów. Miałbym ochotę zabierać pana wszędzie jako maskotkę!

Jego słowa były uroczo nonsensowne, zabawne, ale skrycie obraźliwe.

Borton poczerwieniał.

Ned uznał, że nie warto nawet odpowiadać. Wkrótce opuści progi Klubu Boodle'a i zapewne nigdy już nie zamieni słowa z tym gogusiem.

- Tam do licha! - odezwał się znowu Smyth, gdy milczenie zbyt się przedłużało. - Zabiorę pana ze sobą, kapitanie, a pan z ochotą

pomaszeruje za mną! Zamierzam odpłacić panu przysługą za przysługę.

- A cóż by to miała być za przysługa? - spytał Ned, którego już zaczynała nudzić afektacja tego mydłka.

- Słyszałem, jak dopytywał się pan o lady Lydię Eastlake.

Ned poczuł, że mu sztywnieją mięśnie pleców, z bicepsami było podobnie. Tym razem nie odpuści frantowi, jeśli powie coś niestosownego na temat lady Eastlake! Ona sama, bez wątpienia, uśmiełaby się z takiej niemądrej rycerskości. To nagłe pragnienie otoczenia jej opieką nie mogło być przecież niczym innym.

Instynkt opiekuńczy, nakazujący mu bronić i strzec bliźnich, doszedł w nim do głosu wcześniej, jeszcze w latach chłopięcych. Ned miał przecież rodzinę, której wiecznie trzeba było bronić przed nią samą. Potem doskonalił swój talent w latach gdy był kapitanem na okręcie Jego Królewskiej Mości. Tak, w owej chęci ujęcia się za tą damą nie było nic osobistego. Przecież nawet się nie poznali jak należy!

Ned się uśmiechnął.

Smyth błędnie wytłumaczył sobie jego uśmiech.

- No właśnie, tak jak przypuszczałem! Najzwyczajniejsza sprawa w świecie - powiedział protekcyjnym tonem. - W końcu to przecież słynna lady Lydia Eastlake! Podziwiana, gorliwie naśladowana, nieosiągalna... - Smyth także się uśmiechnął. - Wcale mnie nie dziwi pańskie zainteresowanie, choć widziałeś jedynie jej podobizny. Ale ostrzegam, kapitanie, podobizna nie zawsze odpowiada oryginałowi!

- Co przez to rozumiesz? - spytał Borton, marszcząc brwi.

- Lady Lydia jest osobą niekonwencjonalną. Niekiedy ma pomysły trudne do przyjęcia. O, nikt nie protestuje, przecież to słynna lady Eastlake! - Zamilkł na chwilę, jego brwi uniosły się pytająco. - Pewien jestem, że pan już słyszał... Wie pan o jej damie do towarzystwa, nieprawdaż?

- Damie do towarzystwa?

- No tak, o pani Cod. Nikt by nie tolerował jej obecności w eleganckim świecie, ale ponieważ lady Lydia traktuje ją jak swoje ulubione zwierzątko, wszyscy idziemy za jej przykładem. No cóż... biorąc pod uwagę, że lady Lydia nie tylko decyduje o najnowszej modzie, ale po prostu jest uosobieniem tego, co najnowsze i najpiękniejsze, aż dziw, że wszyscy nie przyjęliśmy do swych domów zbikowanych złodziejek! Ja z dwojga złego wolę psa: może pobrudzić mi dywan, ale przynajmniej nie ukradnie srebrnych łyżeczek w domu, gdzie nas gościnnie przyjmują.

Ostatnia uwaga Smytha nie wywołała śmieszków, na które widocznie liczył; omiółł więc zebranych spojrzeniem, w którym kryła się pogarda. Ned prawie tego nie zauważył. Zastanawiał się głęboko nad tym, co przed chwilą usłyszał.

Lydia Eastlake ma damę do towarzystwa, która jest złodziejką? Ned nie chciał dawać wiary słowom Smytha, ale bez względu na to, ile w nich było prawdy, świadczyły o tym, że lady Lydia jest osobą niezwykłą.

Smyth spoglądał wyczekująco na kapitana; najwyraźniej spodziewał się, że Ned wyrazi mu swoją wdzięczność.

- Ach tak? Jestem niezmiernie zobowiązany, panie Smyth, że zechciał pan mnie oświecić w tej materii.

Smyth wyglądał na zaskoczonego.

- Ależ nie! To nie była ta przysługa, którą panu obiecałem! Niech pan traktuje te wyjaśnienia jako dodatkową gratyfikację. Miałem na myśli coś znacznie przyjemniejszego!

- Doprawdy, zbytek łaski.

Smyth nie zwrócił najmniejszej uwagi na słowa kapitana.

- Wiem z całą pewnością, że lady Eastlake w przyszłą sobotę weźmie udział w obiedzie na świeżym powietrzu w rezydencji lady Pickler. Ta dama zamierza wprowadzić w świat swoją córkę... i jeśli owa córka choć trochę przypomina matkę, to niechże się strzeże cała londyńska socjeta! Owo przyjęcie pod gołym niebem to oczywiście jedno wielkie nudy - cedził dalej przez zęby Childe Smyth. - Lady Pickler należy do najgorszego gatunku upartych despotek, ale ma znajomości wśród protektorek, które trzęsą Almack - gdyby więc ktoś ją obraził, nie przyjmując jej zaproszenia, mógłby równie dobrze popełnić samobójstwo, bo i tak byłby już martwy dla wielkiego świata!

Jedynie śmietanka towarzyska otrzyma zaproszenie na to przyjęcie. - Oczy Smitha, pełne sennej pogardy, mówiły wyraźnie, że nikt z tu obecnych nie znajdzie się z pewnością na liście gości lady Pickler. - Ale szepnę słówko i wyczaruję dla pana, kapitanie,

zaproszenie, a zarazem możliwość zawarcia znajomości z legendarną lady Lydią. Co więcej, sam jej pana przedstawię. Jestem z nią na przyjacielskiej stopie. - Ściągnął usta w dziobek, parodiując grymas rozkapryszonej ślicznotki. -No, niechże mi pan pozwoli spełnić ten dobry uczynek! Bardzo proszę!

Jeśli nawet Childe Smyth planował jakąś niecną intrygę, Ned gotów był na wszystko. Za żadne skarby nie zrezygnowałby z okazji ponownego spotkania z Lydią!

Musiał się przekonać, czy jej oczy rzeczywiście miały barwę jaskółczych skrzydeł. I czy była równie lekka w tańcu, jak wówczas gdy pochwycił ją w ramiona, żeby nie spadła z drabiny. I czy uśmiechała się równie żywiołowo, urzekająco i kusząco, będąc po prostu sobą.

- No więc, kapitanie?

- Tak, oczywiście - odparł Ned. - Bardzo dziękuję.

- O nie, drogi kapitanie, to ja panu dziękuję! Ręczę słowem, że otrzyma pan zaproszenie. - Smyth zerknął na księgę zakładów, która nadal leżała otwarta na fotelu opuszczonym przez Bortona. - Mogę ją odnieść z powrotem do biblioteki? Przy okazji chyba sam zdecyduję się na zakład...

- Ależ oczywiście - odparł Borton. .

Pochylił się, zamknął księgę i podał Smythowi. Ten przyjął ją z zagadkowym uśmiechem i oddalił się bez zbytniego pośpiechu.

- Nie zawsze był taki - powiedział Borton, spoglądając za odchodzącym. - Nawet go kiedyś lubiłem! Ale dziadek od lat mocną

ręką urabia go na swój obraz i podobieństwo. Smyth bardzo boleje nad tym, że brak mu arystokratycznych przodków, zwłaszcza że nasza socjeta staje się pod tym względem coraz bardziej wymagająca. Coś mi się zdaje, że Childe pokumał się z dandysami, żeby umocnić pozycję w towarzystwie, a teraz szuka tylko okazji, by zrobić na wszystkich wrażenie.

Borton pokręcił niespokojnie głową.

- Nie powinieneś przyjmować od niego zaproszenia. On tylko chce zabawić się z przyjaciółmi twoim kosztem!

- Wiem o tym - odparł Ned.

- A więc czemu się zgodziłeś?!

Kapitan się uśmiechnął.

- Żeby być przedstawionym lady Lydii Eastlake, oczywiście!

W bibliotece klubu Smyth pisał coś pochylony nad księgą zakładów. Obok niego stał książę Carvelli. Smyth skończył pisanie, złożył zamaszty podpis i podał księgę Carvellemu, aby i on potwierdził własnym nazwiskiem ważność zakładu. Zapis brzmiał jak następuje:

„Childe Smyth zakłada się z księciem Carvellim - 1000 gwinei przeciw 100 - że pewien kapitan Królewskiej Floty, który przybył tu prosto z wojny, jeszcze przed końcem tego sezonu zostanie sromotnie rozgromiony ogniem ze wszystkich dział przez lady L.”

- La Belle Assemblée ochrzciła najmodniejszy w tym sezonie odcień błękitu „Pięknymi Oczami Eastlake"! - powiadomiła Lydię Eleanor, gdy jechały jej książęcą karetą na przyjęcie u lady Pickler. Chrzestna matka zmierzyła nieco ironicznym spojrzeniem najnowszą toaletę Lidii. Tak się akurat złożyło, że miała barwę fiołków. Lydia się roześmiała.

- Daj spokój, Eleanor, nie jestem aż tak zakochana w sobie! Obstałowałam po prostu suknię w kolorze heliotropu.

- No cóż, wyglądasz wspaniale! - przyznała księżna. - Zdajesz sobie przynajmniej sprawę z tego, że znów z twojej winy mam na sumieniu ciężki grzech?

- Jak to z mojej winy?

- Jestem piekielnie zazdrosna!

- A ja jestem pewna, że zwalczysz to niegodne ciebie uczucie, gdy uprzytomnisz sobie, jakie okoliczności zmuszają mnie, bym tak się stroiła, ty możesz być po prostu sobą, równie urocą jak zawsze!

- Nieznośne pochlebstwo! - stwierdziła Eleanor. - Ale przyjmuję je, jako należną mi daninę.

- Eleanor ma rację - odezwała się z kąta powozu Emily. - Wyglądasz niezwykle szykownie, Lydio!

Dama do towarzystwa miała wyraźnie podkrążone oczy. Lydia podejrzewała, że Emily nie sypia zbyt dobrze. Nigdy nie spała jak suseł, ale podjęta niedawno przez Lydię decyzja zamążpójścia spowodowała widocznie nawrót koszmarnych wspomnień. Lydia

przekonywała ją, że nie grozi jej tragiczny los przyjaciółki, ale serce nie przyjmuje logicznych argumentów tak łatwo jak umysł.

- Dziękuję za komplement, moja droga!

- Z pewnością wzbudzisz ogólny podziw - zapewniała ją Emily. - Jestem przekonana, że nim noc zapadnie, ktoś ci się oświadczy!

Emily tak się starała okazywać optymizm, że Lydia uśmiechnęła się mimo woli. Wkrótce jednak jej uśmiech zbladł. Gdybyż mogła wmówić sama sobie, że polowanie na męża jest jedynie rodzajem sportu lub zabawy towarzyskiej - podobnie jak pościg za lisem czy zbieranie truskawek w czerwcu! Ilekroć jednak zaczynała się zastanawiać nad kandydatami do swojej ręki, mimo woli przychodził jej na myśl nieznajomy dżentelmen, którego spotkała u złotnika.

Minął już tydzień od tamtej niezamierzonej maskarady w sklepie monsieur Roubalais. Przez cały ten czas Lydia obawiała się, że usłyszy plotki o tym, że ma nieślubną siostrę, zapewne półkrwi Francuzkę, która pracuje w lombardzie w Cheapside. Kiedy jednak takie pogłoski nie zaczęły krążyć po Londynie, Lydia - zamiast zapomnieć raz na zawsze o incydencie - zaczęła rozmyślać o wysokim, przystojnym nieznajomym, którego poważna mina dziwnie kontrastowała z błyskami humoru w szaroniebieskich oczach.

Oczywiście nie traktowała go poważnie jako potencjalnego konkurenta! Wyciąganie tak daleko idących wniosków z jednego krótkiego spotkania w dość szczególnych okolicznościach graniczyłoby z głupotą! Nie była przecie niedoświadczonym podlotkiem, tylko rozsądną, dobrze znającą świat kobietą!

Ale może i on pomyślał czasem o pannie sklepowej, którą ocalił od upadku z drabiny? Lydii wystarczyło zamknąć oczy, by poczuć znów obejmujące ją mocne ramiona i dotyk potężnej piersi. Czy i on niekiedy czuł jej ciało przy swoim? Nie, oczywiście że nie!... Gdyby jednak tak było, to czy leżałby bezsennie wśród nocy...

- .. .Lepiej bądź ostrożna, Lydio!

Głos Eleanor przerwał jej rozmyślenia - bezlitośnie, niczym strażnik więzienny. Brutalnie wyrwana z marzeń Lydia rozejrzała się nieprzytomnie dokoła. Emily wtuliła się w kąt powozu, oczy miała zamknięte, za to Eleanor przypatrywała się z ciekawością swojej chrzestnej córce.

- Przepraszam, mówiłaś coś? - z trudem wykrztusiła Lydia.

- Zwróciłam ci uwagę, że materiał jest bardzo delikatny; gdybyś więc przypadkiem zawędrowała do ogrodu różanego, musisz być bardzo ostrożna.

- Tak, oczywiście.

Choć suknia kosztowała mnóstwo pieniędzy, Lydia była rada, że ją obstalowała. Miesiąc temu w ogóle nie myślałaby o kosztach, a tym bardziej nie martwiłaby się nimi! Przyjęcie u lady Pickler należało do największych wydarzeń sezonu; Lydia powinna więc olśnić wszystkich urodą i elegancją. W tej sukni bez trudu osiągnie zamierzony cel!

Spod wierzchniej spódnicy z lawendowego żakonetu wypływały zwiewne fałdy cieniusieńkiej halki z bladoróżowego muślinu, ozdobionej na samym dole czterema rzędami jasnozielonego haftu i

obrzeżonej koronkową falbaną. Długie rękawy sukni były przybrane a la księżna de Berry atłasem w kolorze nieco ciemniejszej zieleni. Szeroka szarfa z tego samego materiału, związana tuż pod biustem, podkreślała najmodniejszą, podwyższoną talię. Tak cienka, że aż przezroczysta *ftchu* (ozdobna chustka), przesłaniająca głęboko wycięty dekolt, była ustępstwem na rzecz skromności. Na czubku głowy połyskiwał zielony lakierowany kapelusik, przybrany sztucznymi jeżynami i kwiatami fuksji.

- Miejmy nadzieję, że nie będzie padało - mówiła dalej Eleanor. - Lady Pickler z pewnością uprze się, żeby mimo wszystko sprowadzić gości do ogrodu. Nim tam dotrzecie, z pewnością będziesz się trzęsła z zimna w swojej cienkiej sukni, a nazajutrz rozejdą się pogłoski o ich suchotach. Lepiej weź to!

I Eleanor podała przyjaciółce kaszmirowy szal leżący na jej kolanach.

- Miałabym zasłaniać suknię? Nie ma mowy! Warto cierpieć dla idei - odparła ze śmiechem Lydia.

Wzięła jednak szal z rąk księżnej. Od początku wiosny panowało niezwykle zimno jak na tę porę roku, a Emily była ogromnie wrażliwa na przeciągi. Lydia ostrożnie otuliła delikatną welenką damę do towarzystwa.

- Śpi? - spytała Eleanor.

- Tak - odparła cicho Lydia. - Całe szczęście! Ostatnio bardzo źle sypia.

Spojrzenie Eleanor spoczęło przez dłuższą chwilę na śpiącej Emily.

- Muszę przyznać, Lydio, że postąpiłaś słusznie, powierzając Emily rolę damy do towarzystwa.

- Dziękuję! - Lydia potrafiła docenić, że księżna przyznała się do swojej pomyłki.

Początkowo nie aprobowwała nowej towarzyszkich chrzestnej córki. Lydia jednak nie była w stanie odmówić prośbie Emily, gdy ta spytała ją bardzo grzecznie i bez większej nadziei, czy kuzynka nie mogłaby jej dopomóc. Chciałaby opuścić zakład dla obłąkanych w Brislington. Ta prośba zaskoczyła Lydię. I prawdę mówiąc, zaszokowała. Po raz pierwszy Lydia uświadomiła sobie, że jej interwencja może mieć jakieś znaczenie, wpłynąć na bieg spraw - czy to ważnych, czy mniej istotnych. I że jest to przywilej, którego nie należy lekceważyć! Emily rozbudziła w Lydii pragnienie czynu.

A jednak nie było to działanie wyłącznie dobroczynne. W domu Lydii panowała pustka, potrzebowała więc kogoś, kto by dotrzymywał jej towarzystwa. Każda z obu kobiet szukała i znalazła w tej drugiej rodzinę, którą utraciła.

- Ciekawam, kto zjawi się w tym roku u Picklerów - rozmyślała na głos Eleonor. Jechały dalej w żółwym tempie.

Lydia wyjrzała przez okno. Dojeżdżali już niemal do St. James, gdzie przed laty rodzina Picklerów postanowiła się osiedlić - na pograniczu miasta i wsi.

Miasto powoli, lecz nieustannie wdzierało się na tereny wiejskie, toteż - z racji wysokich podatków i rosnących długów, a także korzystnych ofert, wprost nie do odrzucenia - to, co było niegdyś okazałą posiadłością Picklerów, zmalało tak dalece, że stanowiło już tylko niewielką część dawnej świetności. Chcąc zapobiec temu, że zostaną wyparci ze szczętem, lady Pickler kazała otoczyć swój dom wysokim kamiennym murem i poświęciła się kształtowaniu krajobrazu tej okrojonej posiadłości z taką pasją, jakby to było nadal sto akrów, a nie zaledwie dziesięć. Każdy rok przynosił nową niespodziankę - miłą lub nieprzyjemną, zależnie od wrażliwości osoby, która musiała te zmiany podziwiać.

- Zjedzie się, jak zawsze, cały tłum pochlebców, jestem tego pewna! Będą lord i lady Alvanley, Hammond-Crouttowie, Mary Sefton i Childe Smyth. Brummell został zaproszony, ale on ostatnio nigdzie się nie pokazuje - odparła Lydia, po czym wymieniła jeszcze z tuzin nazwisk, dodając na zakończenie: - Nie przewiduję większych niespodzianek, a już z pewnością nie ujrzymy tam nikogo nieznanego.

Cienkie brwi Eleanor uniosły się wysoko nad jej głęboko osadzonymi oczyma.

- Dobry Boże, moja droga! Można by pomyśleć, że znasz na pamięć listę gości!

- Bo znam! Moja pokojówka jest kuzynką pokojówki lady Pickler. I nie przypadkiem paradytuje teraz w spencerku z niebieskiej wełny, który tak ci się podobał w ubiegłym roku.

Eleanor popatrzyła na chrześnicę z uznaniem.

- Podziwiam twą pomysłowość!

- W tym sezonie postanowiłam nie pozostawiać niczego przypadkowi, Eleanor!

- W takim razie z pewnością już wiesz, że lady Pickler nie chciała cię zaprosić w tym roku na ogrodowe przyjęcie - odparła Eleanor, obserwując uważnie przyjaciółkę.

Nie, o tym Lydia nie wiedziała!

- Dlaczego? - zdumiała się. - Wiem, że stara kocica źle myśli o wszystkich, ale nigdy dotąd niczym się jej nie naraziłam!

- Bo nigdy dotąd jej córeczka nie debiutowała w wielkim świecie. Lady Pickler dobrze wie, że twa uroda przyćmi ze szczętem małą Jenny.

- Ależ nie! - zaprotestowała Lydia.

Eleanor zlekceważyła kompletnie ten protest, uznając go za nieszczerą, i miała rację. Lydia widywała już córkę Picklerów, zawsze skwa-szoną dziewczynę. Trudno się dziwić! Gdyby ona miała taką matkę, też wiecznie by cierpiała na migrenę czy coś w tym rodzaju.

- Nie ośmieliła się jednak pominąć cię przy wysyłaniu zaproszeń - mówiła dalej Eleanor. - Znalazła się po prostu między młotem a kowadłem: z jednej strony boi się, że przyjmiesz zaproszenie i przyćmisz z kretelem jej córkę, z drugiej obawia się, że nie przyjdiesz i jej przyjęcie od razu straci blask! Nawet bym jej współczuła, gdyby nie to, że w ubiegłym tygodniu słyszano, jak lady Pickler zdumiewa się, „jakim cudem stara panna przetrwała tyle lat w

centrum ogólnego zainteresowania?" Mam wrażenie, że dałaby nie wiem co, by niezwłocznie wkroczyła na scenę nowa gwiazda sezonu. Najlepiej jej córca!

- „Przetrwała...”? Wielkie nieba, z powodu tej wiedzy czuję się jak jakaś starożytność! - stwierdziła Lydia. - Ale jakim cudem dowiedziałaś się o tym, Eleanor?

- Nie ty jedna masz lojalną pokojówkę, która lubi ubrać się elegancko.

Lydia roześmiała się, ale zaraz mruknęła:

- Do licha!

Wiedziała, że czeka ją trudny sezon, jeśli będzie musiała lawirować między matkami, walczącymi jak lwice o przyszłe szczęście swoich córek. Eleanor poklepała ją pocieszająco po ramieniu.

- Przynajmniej nie odważyła się nazwać cię „królową staruszek”!

- Nie chodzi mi o to - odparła Lydia. - Może nawet ona ma rację... w pewnym sensie. Przetrwałam na szczycie bardzo długo. Wolałabym jednak, żeby jej córka została przedstawiona u dworu w przyszłym roku, kiedy zostanę już, z boską pomocą, obsadzona w nowej roli: ubóstwianej i rozpieszczanej żony lorda Krezusa!

- Cóż począć? Mała jest już po prezentacji, a ty musisz znaleźć sposób na uśmierzenie macierzyńskich obaw lady Pickler - orzekła Eleanor, jak zwykle praktyczna. - Na przykład postaraj się być mniej dowcipna. Lady Pickler nie potrafi zrozumieć żadnego dowcipu i wobec tego czuje się zagrożona. Biedactwo, ma takie brudne myśli.

Według niej wszystko, co finezyjne i dowcipne, jest po prostu nieprzyzwoite. No i strzeże wszelkimi sposobami niewinności swego dzieciątka! Z jakiegoż by innego powodu mogło dziś zabraknąć w naszym gronie Sarah, powiedz sama!

Lydia, która obserwowała z uśmiechem jakąś scenkę uliczną przez okno karety, odwróciła się raptownie.

- O czym ty mówisz? Myślałam, że Sarah nie mogła się wykręcić od wcześniejszych zobowiązań!

- Nie. Po prostu nie została zaproszona.

- Nie została zaproszona? - powtórzyła jak echo Lydia. Gardło miała tak ściśnięte, że nikt by jej chyba nie usłyszał. A niech sobie lady Pickler rozsiewa wszelkie oszczerstwa na jej temat, ale Sarah?! - To absurdalne! Każ natychmiast stangretowi zawrą...

- Nie, Lydio! - przerwała jej Eleanor, chwytając chrestną córkę za rękę. - Sarah wiedziała, że gdybyś usłyszała o tym, nie pojechałabyś na to przyjęcie. Wie także - lepiej od ciebie, jak się okazuje - że nie możesz sobie pozwolić w tym sezonie na obrażanie lady Pickler!

- Oczywiście, że mogę! - zaprotestowała z oburzeniem Lydia. - Co za bezczelność! Jak śmiała nie zaprosić Sarah po tylu latach znajomości? Każ stangretowi zatrzymać konie!

- Nie, nie zrobię tego, bo Sarah ostatnimi czasy przekroczyła już, doprawdy, wszelkie granice! Gdybyś spokojnie to rozważyła, przyznałabyś mi rację.

Lydia zacisnęła wargi, ale nie mogła się zdobyć na to, by zaprzeczyć jej słowom. Gdyby to był ktoś inny, pewnie by tak zrobiła, ale nie w tym wypadku. Eleanor miała słuszość: Sarah od roku zachowywała się jak bezmyślna awanturnica. Nie zważała ani trochę na swoją reputację, kierowała się wyłącznie zachciankami. Ostatnio wydawała się jeszcze bardziej niż zwykle roztargniona, pochłonięta lichem wie czym.

Lydia nie wiedziała, czemu przypisać taką zmianę w zachowaniu przyjaciółki, którą znała od dzieciństwa. Czuli się w jakiś sposób odtrącona, jakby Sarah umyślnie obrała drogę, na której ona nie mogła jej towarzyszyć.

- Gerald powinien przyjechać do Londynu! - mruknęła.

- To by tylko pogorszyło sprawę. Oni się nawzajem nie mogą znieść! Kłopot polega na tym, że Sarah nadal jest taka młoda... Chwilami zapominam, od jak dawna są małżeństwem. Ileż to ona miała lat, kiedy za niego wyszła? Szesnaście? A Marchland to mój rówieśnik!

- Tak... - Lydia pamiętała, jak entuzjastycznie odnosiła się z początku Sarah do tego małżeństwa. Gerald Marchland był bogaty, ustosunkowany, a jeśli czasem wydawał się nazbyt purytański, Sarah potrafiła wprawić go swoimi żarcikami w pogodniejszy nastrój. Z początku zawsze się jej to udawało. Ale nie tak łatwo czterdziestolatkowi zrezygnować z przyzwyczajień całego życia... A sztuczki młodziutkiej żony, z początku tak ujmujące, wkrótce wydały mu się wręcz niesmaczne. Sarah zaś, zamiast podziwiać jego trzeźwy

stosunek do życia, uznała męża za skończonego nudziarza. Okazali się całkowicie niedobraną parą. - Jak myślisz, czy jest nieszczęśliwa?

- Nie sądzę - odparła Eleanor po namyśle. - Chętniej by wtedy słuchała cudzych rad. Prawdę mówiąc, wydaje się ostatnio zachwycona, lekceważy wielki świat i ani myśli stosować się do jego reguł.

- Może owładnęło nią jakieś przelotne szaleństwo, które wkrótce minie? A może znowu spodziewa się dziecka? - podsunęła Lydia. - Promienieje wprost zdrowiem!

- Miejmy nadzieję, że to nie dziecko - stwierdziła sucho Eleanor. - Nie widzieli się z Geraldem od trzech miesięcy.

- Kto się spodziewa dziecka? - spytała półprzytomnie Emily.

- Nikt, moja droga - odparła Eleanor. - Snułyśmy pewne przypuszczenia, i tyle.

- To by była jedyna prawdziwa korzyść z twojego małżeństwa, kochana Lydio - oświadczyła Emily. - Bardzo chętnie kołysałabym twoje dzieciątko. - Twarz jej złagodniała. - Nigdy nie miałam własnego maleństwa, które bym mogła kołysać...

- Ja także! - odparła Eleanor, znacznie pogodniejszym tonem. Zawsze powtarzała, że nigdy nie chciała mieć dzieci.

- Wobec tego jesteśmy do siebie podobne, Eleanor - stwierdziła Emily.

Żadna z nich nie widziała nic niezwykłego w tym, że była pacjentka domu dla obłąkanych zwraca się do księżnej po imieniu.

Zresztą Emily nigdy by nie zrobiła czegoś równie niestosownego w towarzystwie!

Z wyjątkiem chwil, gdy chowała coś „przez pomyłkę” do swego woreczka, Emily była bardzo rozważna. Wychowano ją - jak to kiedyś wyraźnie oświadczyła - na damę, nie na wariatkę.

- Jesteś znacznie miłszą osobą niż ja, Emily - odparła sucho Eleanor.

- Sama nie wiesz, jak bardzo jesteś miła, Eleanor - odwzajemniła się Emily.

Księżna Grenville prychnęła pogardliwie, ale słowa Emily wyraźnie sprawiły jej przyjemność.

Kareta zatrzymała się, otwarto drzwi, lokaj pospiesznie opuścił schodki obite aksamitem. Damy wysiadły. Lydia zatrzymała się, spoglądając na granitowe schody wiodące do wspaniałej rezydencji. Jej drzwi stały otworem. Za nimi, w głównym holu, widać było niewyraźne postacie, które na coś czekały.

Na nią!

To nie próżność kazała Lydii tak sądzić, podszeptywało jej to doświadczenie. Od chwili swego debiutu była centrum powszechnego zainteresowania. Jej rodzice dobrze przygotowali ją do życia, jakie miała prowadzić: maniery miała nienaganne, zachowanie pełne wdzięku. Mając dziesięć lat, wiedziała, kiedy i jak włączyć się do rozmowy; potrafiła też uroczo milczeć. Orientowała się również, w jaki sposób zjednać sobie starą księżną lub burkliwego premiera.

Jednak pewnego razu jej rodzice wybrali się do rezydencji swoich znajomych, położonej wysoko w szwajcarskich Alpach. Powóz wywrócił się na górskiej przełęczy i oboje zginęli w przepaści. Od tego dnia wszystko się zmieniło.

Lydia, otoczona dotąd powszechną miłością, żyjąca w wytwornym świecie nieustającej przygody i radości, w jednej chwili została zepchnięta do całkiem innego świata - spłowiałych barw, tykających nieustannie zegarów i pustych korytarzy. Nie było tam niczego, co mogłoby przynieść jej ulgę w niedoli. Służba, guwernantka, nauczyciel tańca - wszyscy byli niezwykle uprzejmi. Troskliwi. I jakże dalecy!

Kiedy wreszcie pojawiła się Eleanor i wzięła Lydię pod swoje skrzydła, by mogła zadebiutować w londyńskim wielkim świecie, dziewczynka rozplakała się z ulgi i wdzięczności. A gdy została przedstawiona u dworu i ujrzała na otaczających ją twarzach dobrze jej znany wyraz aprobaty i podziwu, poczuła, że znów powróciła do swojego świata.

Dokładała starań, by wokół niej panował niezmiennie nastrój radosnego ożywienia, toczyła się błyskotliwa konwersacja, gromadzili się ludzie, ona zaś była zawsze niezbędna, oczekiwana, witana z radością. Nigdy nie popełniła największego błędu, jakim jest uznanie aprobaty wielkiego świata za coś należnego jej i oczywistego.

Teraz zaś przyszłość Lydii wisiała na włosku, a wszelkie talenty towarzyskie, którymi zawsze mogła się popisać bez najmniejszego wysiłku, opuściły ją na zawsze, a przynajmniej tak się jej wydawało.

Usta, które dotąd uśmiechały się swobodnie, nagle zeszywniały, wdzięczne ruchy stały się niezgrabne i wymuszone. Lydia przymknęła na sekundę oczy i wyobraziła sobie parę silnych ramion, które tulą ją i podtrzymują.

Poczuła natychmiast, że wraca do równowagi, a poczucie humoru - jak zawsze - spieszy jej z pomocą. Przecież nie prowadzą jej na stracenie! Sama wyrusza, by upolować sobie męża! A to, doprawdy - zapewniała samą siebie - nie może być trudniejsze niż podejmowanie decyzji tak wielkiej wagi, jak - powiedzmy - wybór odpowiedniego stroju na bal maskowy na cześć Wellingtona, gdy nastąpiło lato zwycięskiego pokoju. Z pewnością rozwiąże i ten nowy problem bez większego trudu. Tym bardziej że wiedziała dokładnie, czego oczekuje od przyszłego męża: bogactwa!

Dodawszy sobie w ten sposób ducha, Lydia odetchnęła głęboko, zebrała ostrożnie fałdy spódnicy i ruszyła za Eleanor po schodach na górę.

8

- Lady Grenville, jak miło mi panią widzieć! Panią również, lady Lydio. Wszyscy są tak uprzejmi, że nie pogardzili moim skromnym przyjęciem! - Lady Pickler, podobna do baryłki spowitej w pasiasty jedwab, zdawkowo rzuciła okiem na Emily. - A, jest i pani Cod!

Najpierw ośmiela się odmówić Sarah wstępu na to głupie przyjęcie, a teraz okazuje jawne lekceważenie Emily! Lydia wyprężyła się niczym żołnierz ruszający do bitwy

- To doprawdy zabawne nazywać „uprzejmością” coś, co wszyscy zgodnie uważamy za...

- Prawdziwą przyjemność! - wtrąciła zgrabnie Eleanor (zanim Lydia zdążyła zakończyć, jak zamierzała: „wyjątkowo przykry obowiązek”), po czym objęła ramieniem chrześnicę i obdarzyła ją niedostrzegalnym, ale bolesnym, kuksańcem.

Lady Pickler przyjęła tę pochwałę jako należny sobie hołd.

- Cóż, każdy robi, co w jego mocy, żeby sezon był jak najbardziej udany! Przyznam, że nieraz kosztuje mnie to wiele wysiłku. Czuję, że przyjdzie mi poleżeć przynajmniej tydzień w łóżku, kiedy już będzie po wszystkim! Ale cóż... państwo tak lubicie nasze ogrodowe obiadki! Jakże bym śmiała odmówić wam tej przyjemności?

- No właśnie, jak śmiałaś? - mruknęła Lydia pod nosem, robiąc przy tym niewinną minkę.

Kilku złotych młodzieńców, zebranych w drugim końcu holu, dostrzegło dopiero co przybyłe damy.

- Lady Lydia! - Na widok „Niezrównanej” zaczęli przeciskać się przez tłum.

Niestety, lady Pickler miała całkiem inne plany w stosunku do tych obiecujących kawalerów. Ujawszy zatem pod rękę zarówno Lydię, jak i Eleanor, obróciła się wraz z nimi o sto osiemdziesiąt stopni i pociągnęła je za sobą z determinacją dzielnego holownika, wypływającego na wzburzone wody. Emily podążyła ich śladem.

- Proszę nam wybaczyć... Przepraszam!... Niestety, nie możemy się zatrzymać! - szczebiotała lady Pickler do znajomych, którzy

mogliby jej pokrzyżować szyki, wdając się w rozmowę z księżną czy lady Lydią. - Nie mamy czasu na pogawędki! Jej książęca mość pragnie się przekonać, i to natychmiast, jakie nowe ulepszenia wprowadziłam w parku!

Przedarłszy się z niepożądanymi gośćmi przez ciżbę, wypełniającą hol, na stosunkowo pusty taras z widokiem na park, pani domu -z udanym żalem - pozostawiła tam trzy damy, oznajmiając im, że „musi wrócić, by przywitać się z całą resztą”. Zapewniła je, że „znajdą tu wiele wspaniałych widoków, których jeszcze nie było przed rokiem”. Niemal zepchnęła Lydię z ostatniego stopnia schodów na trawnik i z dziecięcym entuzjazmem klaszcząc w ręce, namawiała wszystkie trzy gorąco, by „zagubiły się w tej głuszy”.

- Jestem pewna, że dużo by dała, żebyśmy naprawdę się zagubiły
- mruknęła Eleanor. - i to raz na zawsze!

- Nie odczuwam najmniejszej potrzeby oglądania skutków zbrodni, jakich dopuszcza się ta kobieta na bezbronnej naturze - oświadczyła lekko zasapana Emily. - Ale widzę tu jakąś ławeczkę. Jeśli nie macie nic przeciwko temu, posiedzę sobie przez chwilę.

- Ależ oczywiście, Emily!

Tłumy zawsze przyprawiały Emily o niepokój. Lydia podejrzewała, że wiązał się on ze wspomnieniem przepelnionych sal w domu obłąkanych i chaosu, który w każdej chwili mógł tam zapanować. Nie miała jednak wiele czasu na zastanawianie się nad tym, ponieważ goście wyraźnie nie mieścili się w domu lady Pickler i

wylewali się na taras. Należało to wykorzystać i zabłysnąć przed tak licznym audytorium.

Podobnie jak aktorka przed wejściem na scenę, Lydia wyprostowała się odruchowo i wcieliła w rolę „Niezrównanej”. Witała znajomych, wyciągając do nich ręce lub darząc ich uśmiechem, oni zaś odpłacali jej tym samym. Przez następne pół godziny gawędziła, flirtowała, opowiadała zabawne historyjki i z należytą uwagą słuchała cudzych anegdotek. Przyjmowała wdzięcznie komplementy panów i odwzajemniała pochlebne uwagi ich żon i córek.

Zdołała nawet skłonić do uśmiechu Jenny Pickler, która w obecności mężczyzn zupełnie traciła mowę. Wielka szkoda - myślała Lydia - że ta mała nie uśmiecha się częściej! Dziewczyna przyciągała wzrok czarnymi jak atrament włosami, pięknie zarysowanymi brwiami i niezwykle jasną cerą. Niestety, twarz Jenny miała taki chmurny i nieprzystępny wyraz, że trudno było należycie ocenić jej urodę.

Lydia poczuła do niej instynktowną sympatię; wdała się z nią w rozmowę i odkryła, skąd się bierze ponura mina Jenny. Dziewczyna pragnęła zostać sawantką - jedną z wysoko (niektórzy powiedzieliby zbyt wysoko!) wykształconych dam, które londyńska socjeta tak zawzięcie krytykowała. Nic dziwnego, że rodzice zabronili jej wszelkich kontaktów z ośmieszanymi „niebieskimi pończochami”, jak je potocznie zwano. Chcieli przecież, żeby ich córka dobrze wyszła za mąż!

- Czemu więc zwierzasz im się ze wszystkiego? - spytała Lydia. - Zapowiadając z góry, co chcesz zrobić, prosisz się, żeby ci w tym przeszkadzono!

- Cóż innego mogłabym zrobić, lady Lydio?

- Nie pytaj nikogo o pozwolenie! Sama nigdy tego nie robię. Zmierzam prosto do celu i niech się dzieje, co chce!

Jenny Pickler zmarszczyła brwi, głęboko zastanawiając się nad tą rewolucyjną dewizą.

- To jednak nie znaczy - mówiła dalej Lydia - że masz ogłaszać całemu światu, co robisz! Odrobina dyskrecji zawsze jest wskazana. Ale możesz odwiedzać biblioteki publiczne (oczywiście zawsze z pokojówką!) albo uczęszczać na wykłady w towarzystwie jakiejś życzliwej krewnej... Zapewniam cię, moja droga, że jeśli będziesz się umiała należycie odwdzięczyć, zawsze znajdzie się jakaś niezamożna, a usłużna kuzynka! I tak oto, zanim ktoś zauważy, że jesteś zbyt wykształcona, będzie już za późno, by temu zapobiec. Po prostu rób, co sobie postanowiłaś. Nikt nie zdoła powstrzymać cię od tego, byś stała się tym, kim chcesz być!

Jenny nie wyglądała na przekonaną.

- Łatwo pani mówić! Pani sama jest kimś! Może pani robić, co chce, i nikt pani nie powstrzyma!

Dziewczyna uświadomiła sobie nagle, że ośmieliła się właśnie udzielić ostrej reprimendy lady Lydii - niekoronowanej królowej londyńskiej socjety - i zaczerwieniła się. Twarz jej znów spochmurniała.

- O tak... - szepnęła Lydia, bardziej do siebie niż do Jenny, a myśli jej powróciły do projektu, który zamierzała jak najszybciej wprowadzić w czyn. - Ale cóż... wszystko ma swój koniec.

- O czym pani mówi? - spytała podejrzliwie Jenny.

Lydia przyglądała się jej bacznie i zastanawiała głęboko. Zamierzała w ten czy inny sposób wyjawić światu, że nie miałyby nic przeciw zamążpójściu. A zatem - im prędzej, tym lepiej! Teraz mogła tego dokonać, a przy okazji wyświadczyć przysługę dziewczynie: przypadnie jej rola zwiastunki sensacyjnej wieści. Przynajmniej Jenny będzie miała o czym mówić!

Nie należało jednak wyjawiać prawdy prosto z mostu.

- Chciałam tylko powiedzieć, że... No cóż, ostatnimi czasy zastanawiałam się, czy nie warto dokonać pewnych zmian w moim życiu.

- Zamierza pani wyjechać za granicę?

- Nie, moja droga.

- A może wybudować sobie nową rezydencję? - dopytywała się Jenny.

Boże święty, i ona chce zostać sawantką? Przecież za grosz nie ma sprytu!

- Nie myślałam o tak... przyziemnych zmianach.

- Czyżby pani chciała... zmienić wyznanie?

Jenny aż zaparło dech w piersiach. Zakryła usta ręką.

- Nie - odparła Lydia. Miała ochotę potrząsnąć głupią dziewczyną, ale się powstrzymała. - Chociaż jeśli zdecyduję się na to,

o czym myślę, rzeczywiście będę musiała coś zmienić. Przede wszystkim nazwisko! - powiedziała z naciskiem.

Przez sekundę Jenny patrzyła na nią, nie pojmując niczego. Potem mgła najwidoczniej się rozviała i w oczach dziewczyny błysnęło zrozumienie.

- Och... Ojej! - jęknęła.

I nagle, zdając sobie sprawę z tego, jak cenną uzyskała wiadomość, rozpromieniła się tak, że jej twarz nabrała wreszcie życia.

- Tak przyjemnie, doprawdy, było porozmawiać z panią, lady Lydio! Z całą pewnością dostosuję się do pani rad co do mego rozwoju umysłowego... Ale chyba nie powinnam zabierać pani więcej cennego czasu...

Nie czekała nawet na potwierdzenie z ust Lydii, tylko odwróciła się na pięcie i popędziła prosto do matki. Lady Pickler pojawiła się właśnie w drzwiach wiodących na taras.

- Widzę, że zdecydowałaś się rzucić bombę w sam środek przyjęcia!

- Czyżby to było aż tak oczywiste, Eleanor? - spytała Lydia, patrząc na Jenny, która dotarła do matki.

- O tak! Wątpię, by coś innego mogło skłonić tę małą do poszukiwania, i to z takim zapalem, towarzystwa matki. A zatem albo zwierza się jej właśnie z tego, że ktoś prosił ją o rękę... albo powiadamia lady Pickler, że ty chciałabyś usłyszeć podobną propozycję. - Księżna przechyliła głowę na bok. - Uważasz, że to rozsądne posunięcie?

- Zdecydowanie tak! Lady Pickler to jedna z największych plotkarek w eleganckim towarzystwie. Wieść rozniesie się szybciej, niż gdybym zamieściła ogłoszenie w „Timesie”.

Kładąc matce rękę na ramieniu i szepcząc jej coś do ucha, Jenny skłoniła lady Pickler, by oddaliła się nieco od grupy pochlebców. Lydia mogła bez trudu domyślić się, co do siebie mówiły matka i córka. Wystarczyło obserwować grę uczuć, malującą się na okrągłej twarzy lady Pickler: najpierw gniew, potem zniecierpliwienie, niedowierzanie, później niebotyczne zdumienie, gdy Jenny powtórzyła jej słowo w słowo, co mówiła Lydia. Następnie radość, że taki smakowity kąsek trafił w jej ręce. W końcu zaś przerażenie, gdy do lady Pickler dotarło w pełni, że Lydia postanowiła złowić sobie męża w tych samych wodach, w które nieśmiało zarzucała wędkę jej córka!

- Dobra robota, Lydio - stwierdziła z aprobatą Eleanor. - Do jutra cały Londyn będzie mówił o tym, czy to Jenny postradała zmysły, czy też ty istotnie zamierzasz wyjść za mąż!

Lydia odwróciła się do przyjaciółki.

- Dziękuję za komplement. Mam nadzieję, że lady Pickler zrobi dobry użytek...

Słowa zamarły jej na wargach. Jej spojrzenie padło na wysokiego mężczyznę, wychodzącego z domu na taras. To był on! Tutaj?

- Lydio! - zaniepokoiła się Eleanor.

- Kto to taki? - wyszeptała Lydia, choć nikt nie stał tak blisko nich, by usłyszeć jej pytanie.

Wpatrując się uważnie w twarz Eleanor, zorientowała się, w którym momencie księżna odgadła, kogo chrześnica ma na myśli. Pewność siebie opuściła Eleanor i przez chwilę wydawało się, że coś zrobiło na tej niewzruszonej kobiecie wielkie wrażenie. Zaraz jednak - acz z wyraźnym wysiłkiem - odzyskała panowanie nad sobą.

- Nie mam pojęcia. Ale zaczekaj chwilę... zaraz się dowiem. - Zanim Lydia zdążyła zaprotestować, księżna Grenville skinęła na lokaja. - Dowiedz się, jak nazywa się dżentelmen, który rozmawia z lady Pickler. Załatw to szybko i dyskretnie!

Lokaj skłonił się i oddalił pospiesznie. Księżna przyglądała się uważnie młodej przyjaciółce.

- Nie patrz na mnie w ten sposób, Eleanor!

- W jaki sposób, Lydio?

- Z taką wyższością, satysfakcją i rozbawieniem!

Spojrzenie Eleanor stało się jeszcze bardziej protekcyjalne i ironiczne.

- Powiedz mi, Lydio... Sądząc z twojej reakcji, mogłabym przysiąc, że spotkałaś już wcześniej tego dżentelmena. W jakich okolicznościach? Czyżby wasze spojrzenia pobiegły ku sobie z dwóch końców jakiejś sielskiej doliny? - spytała ironicznie.

Nie, to był pełen kurzu, zagracony sklep.

- Skąd ta pewność, że już go wcześniej widziałam? - spytała Lydia.

- No cóż... na ogół, gdy widzisz kogoś nieznanego, nie czerwienisz się jak rak i nie spuszczasz głowy jak pokojówka,

przyłapaną na robieniu maślanych oczu do panicza. I nie zadajesz z przejęciem pytań, złożonych wyłącznie z zaimków. A zatem to ty mi wyjaśnij, Lydio, kto to taki?

- Widziałam go w mieście, gdy wybrałam się kiedyś po sprawunki.

- On też cię zauważył i zapamiętał?

- Nie! Z pewnością nie!

- To dlaczego ukrywasz twarz, cała drżysz i ukradkiem zerkasz na niego przez ramię?

Do licha, naprawdę drżała. Co za głupota! Nie było przecież najmniejszej obawy, że nieznajomy rozpozna w światowej damie tamtą dziewczynę ze sklepu!

Lydia uniosła dumnie głowę.

- Ależ skąd! Jak możesz mnie posądzać o coś podobnego? Księżna nie dała się wywieść w pole, ale była zbyt dobrą przyjaciółką, by zbytnio nalegać. W każdym razie nie tu i nie teraz!

Lydia patrzyła na nieznajomego, ale on ani razu na nią nie spojrzał! Odczuła ulgę i pewne rozczarowanie. Pochylał się właśnie, bo Diane de Mourie coś do niego szeptała... Był taki uprzejmy, zainteresowany i po prostu cudowny!

Przewyższał co najmniej o pół głowy pozostałych dżentelmenów, ale miał tak niewymuszone ruchy i był tak zgrabny, że jego wzrost nie rzucał się w oczy, chyba że jakiś inny mężczyzna przechodził akurat obok niego. Ręce założył do tyłu i w tej swobodnej pozie jego

szerokie barki i muskularne ramiona w ciemnoniebieskim surducie uwydatniały się jeszcze bardziej.

Długie nogi w obcisłych, beżowych spodniach także nie wymagały podwatowania łydek ani żadnych innych sztuczek krawieckich. Ciemnozłote włosy były krótko przystrzyżone - proste uczesanie, a nie jakaś tam wymyślna zawierucha loków. Ten człowiek z pewnością nie widzi sensu w tak zwanym artystycznym zaniedbaniu stroju czy fryzury, pomyślała Lydia w chwili olśnienia.

- Najmocniej przepraszam, wasza książęca mość... - Lokaj wysłany na zwiady już powrócił. - Dżentelmen, który rozmawiał z lady Pickler, to kapitan Edward Lockton.

Usłyszawszy to, Eleanor szeroko otworzyła oczy. Wsunęła monetę w nadstawioną dłoń lokaja.

- Dziękuję, możesz odejść.

Schował monetę do kieszeni, ukłonił się i odszedł.

Lockton... Lydii przypomniawszy się jak przez mgłę śliczny smarkacz, który w zeszłym roku na jakimś balu z trudem zebrał się na odwagę, by poprosić ją do tańca. Też się chyba nazywał Lockton...?

- O co chodzi, Eleanor? - ruszyła do natarcia Lydia. - Widzę, że znasz to nazwisko! Kim on jest?

- Młodszym bratem Jostena. A Josten to Marcus Lockton, hrabia Josten. - Zaśmiała się lekko. - Słyszałam, że Ned wrócił do domu, spełniwszy swój patriotyczny obowiązek we flocie Jego Królewskiej Mości. Powinnam go poznać: wszyscy Locktonowie są wprost nieprzyzwoicie przystojni!

Pod pytającym wzrokiem Lydii księżna udzieliła dokładniejszych wyjaśnień.

- Josten był jednym z kawalerów najbardziej obleganych przez panny i ich matki, kiedy debiutowałam. - Księżna uśmiechnęła się na to wspomnienie. - Przez pewien czas chętnie pokazywałam się w jego towarzystwie... Ale chciałam koniecznie królować w wielkim świecie, a on nie miał takich ambicji.

Jej uśmiech znikł.

- Co się z nim stało? - spytała Lydia. - Czemu nigdy się nie zetknęłam z tym wzorem doskonałości?

- O, żyje nadal! Tylko nie lata już zbyt wysoko ani zbyt często. Ożenił się z Nadine Hiddystole, ładniutką gąską.

- Dlaczego miałyby mu to przeszkadzać w życiu towarzyskim? - zdumiała się Lydia. Zniżyła głos i spytała: - Czyżby ona... nie była przyjmowana?

- Skądże znowu! To bardzo przyzwoita osoba! Nie, na przeszkodzie stanęło coś jeszcze bardziej bulwersującego niż najgorszy skandal. Wyobraź sobie Josten zdecydowanie woli towarzystwo własnej żony od naszych wielkomijskich rozrywek! - Uśmiechnęła się do przyjaciółki, Lydia miała jednak wrażenie, że pod przesadną wesołością i bezbrzeżnym zdumieniem Eleanor kryje się coś bolesnego. - A co więcej, jego żona podziela upodobania Jostena! Niewiarygodne, prawda?

Lydia jednak mogła w to uwierzyć bez trudu, gdyż jej rodzice też byli nierozłączni. Ale oni nie żyli na uboczu, pozostawali zawsze w

centrum życia towarzyskiego, i to w całej Europie! Lydia doszła do wniosku, że hrabia Josten i jego żona muszą być bardzo nudną parą, jeśli do szczęścia wystarcza im siedzenie na wsi, wyłącznie we własnym towarzystwie.

O czym można rozmawiać bez spotkań towarzyskich, bez wymiany nowin i ploteczek? Ta myśl nieoczekiwanie ją przygnębiła. Czyż tylko to miało dla niej znaczenie? Wysłuchiwanie plotek i powtarzanie tego, co mówią inni?

- Nie dość, że od razu osiadł na wsi z żoną, ale gdy tylko został hrabią, uparł się, żeby jego owdowiała siostra, Beatrice Hickston-Tubbs i jej dzieci zamieszkały razem z nimi - ciągnęła dalej Eleanor. I znów dorzuciła najcichszym szeptem: - A ja miałam większe ambicje!

A zatem Josten był szlachetnym człowiekiem. Bardzo mu się to chwali, tylko że Josten nic a nic Lydii nie obchodził. Interesował ją tylko jego brat!

- Ale co wiesz o tym młodszym bracie, Eleanor? Powiedz mi!

Księżna podniosła na nią oczy nagle wyrwana z zadumy.

- To żołnierz z krwi i kości - odparła rzeczowym tonem. - Jest kapitanem okrętu wojennego, a raczej nim był. Wystąpił z Królewskiej Floty po klęsce Napoleona pod Waterloo, mimo że admiralicja bardzo go chciała zatrzymać. Obiecywano mu dowództwo okrętu z najwyższym wyposażeniem bojowym, choć wiesz, że o to niełatwo w obecnych czasach, kiedy już nie ma wokół wrogich okrętów francuskich i hiszpańskich do niszczenia i zdobywania!

Eleanor zniżyła głos.

- A jeśli już o tym mowa, wieść głosi, że za zdobycie wrogiego okrętu, jeszcze podczas wojny, przyznano kapitanowi Locktonowi taką nagrodę i nie tylko jemu, ale i całej załodze!, że doprawdy opłaciły mu się rany, jakie odniósł!

- Rany? - A więc był ranny! Jak ciężko? Lydia tak się tym przejęła, że nie zadała nawet pytania, które miało przecież największe znaczenie w jej obecnej sytuacji, a mianowicie: ile wyniosła ta kapitańska nagroda? Zamiast tego spytała: - Czy jest już zdrow?

- Jak widać, wygrzebał się z tego.

- Opowiedz mi coś więcej o jego rodzinie! - poprosiła Lydia.

- O, pieniędzy im nie brakuje - odparła Eleanor ze spokojem. - I dobrze, bo potrzebują ich... choćby na wybryki najmłodszego pokolenia. To przesadnie wystrojone żółtodzioby i głuptasy; zawsze wpadają w jakieś tarapaty. Te dzieciuchy odkryły niedawno uroki hazardu. Specjalnie im się spodobały pokątne domy gry, nie stronili od zielonego stolika! Childe Smyth zdarł skórę z pierwородnego Jostena: chłopak przegrał do niego nieprawdopodobną wręcz sumę kilka tygodni temu. Josten pozwolił, żeby smarkacz się pomęczył, próbując zdobyć gotówkę, zanim przysłał tu kapitana, by załatwił sprawę jak należy. Ale najważniejsze, że w końcu go przysłał!

Bogaty, ustosunkowany, znakomite maniery. Czemu na nią w ogóle nie patrzył? Dżentelmeni zawsze na nią spoglądali - otwarcie, ukradkiem, zbyt śmiało, zbyt nieśmiało, ale zawsze! A on nie rzucił nawet okiem w jej stronę.

Lydia zmierzyła wzrokiem swoją toaletę. Kolor zdecydowanie przesłodzony! Włosy wydawały się przy nim nijakie. A poza tym suknia nie leżała jak należy. Po prostu wisiała na niej! I nawet pogoda sprzysięgła się przeciwko niej: w rozproszonym świetle cerę miała ziemistą. A kapelusz zasłaniał jedyne, co warte w niej było oglądania: oczy!

- Lydio! - szepnęła ostrzegawczo Eleanor. - Uważaj teraz, moja droga! Nie gap się tak i nie jękaj, tylko spokojnie odwróć się, bo za chwilę - jeśli mnie wzrok nie myli - twój wzór doskonałości zostanie ci przedstawiony!

9

Lydia nigdy się nie gapiła. .. No, prawie nigdy. A już z pewnością nigdy się nie jękała! Ale co będzie, jeśli ją rozpozna? Niemożliwe! - uspokajała samą siebie. - Wykluczone! Tamta brudna i rozczochrana dziewczyna ze sklepu i lady Lydia Eastlake nie były do siebie ani trochę podobne!

Odwróciła się.

Przez sekundę miała wrażenie, że jednak ją poznał. Było coś w jego oczach... Coś pytającego, badawczego. A jednak nie!

- Jak miło znów panią widzieć, lady Grenville - zapewniał Childe Smyth, kłaniając się Eleanor, po czym zwrócił się do jej chrześniaczki: - Miałem nadzieję, że spotkam tu panią, lady Lydio!

Choć nieco oszołomiona, zdobyła się na serdeczny uśmiech. Wiedziała, że niektórzy lekceważą Smytha jako zarozumialca i

pozera, ona jednak zawsze podejrzewała, że wystudiowane pozy stanowią maskę ochronną, a Childe'owi w gruncie rzeczy brak pewności siebie.

- Jakże się pan miewa, panie Smyth?

Do licha! Wyraźnie brakowało jej tchu.

- Całkiem znośnie - odparł, po czym, odwracając się do swego towarzysza, dokonał prezentacji: - Lady Grenville, czy mogę przedstawić kapitana Edwarda Locktona? Kapitanie - jej księżęca mość, Eleanor Grenville.

- To dla mnie wielki zaszczyt, madame.

Kapitan skłonił się z powagą.

- Dziękuję, kapitanie.

- Lady Lydio - zabrał znów głos Smyth, a w oczach tańczyły mu swawolne iskierki. - Czy mogę przedstawić pani kapitana...

- Tak, panie Smyth, już wiem: kapitana Locktona. Stałam przecież tuż obok - odparła, unosząc kpiąco brew. Spojrzała na Locktona, a serce biło jej tak głośno, że z pewnością musiał je słyszeć. - Jak się pan ma, kapitanie?

Popatrzyła mu prosto w oczy. Były jasne i niezwykle, takie jak je zapamiętała. Nie dostrzegła w nich nic, co by świadczyło, że ją rozpoznał. Rozszalałe serce uspokoiło się, ale poczuła dziwny ucisk w piersi. To z pewnością była ulga, nie rozczarowanie! Czemu zresztą miałyby czuć się rozczarowana? Dlatego że nie poznał w niej ubrudzonej dziewczyny z małego sklepiku?

- Doskonale, lady Lydio - odpowiedział na jej pytanie kapitan. -
Dziękuję bardzo.

- Jak sam widzisz, kapitanie, lady Lydia nie trzyma się kurczowo
etykiety - wyjaśnił Childe Smyth. - To etykieta dostosowuje się do jej
życzeń!

- Nużą panią obowiązujące formułki? - spytał z zainteresowaniem
kapitan.

- Wielkie nieba, panie Smyth! - Lydia skarciła Childe'a
spojrzeniem. - Co też pan mówi?! Wmawia pan kapitanowi, że nie
liczę się z konwenansami, gdy w rzeczywistości jestem uosobieniem
konwenansu!

- Doprawdy? - spytał kapitan, zanim Smyth zdążył coś
odpowiedzieć.

- Jak najbardziej! Mogę sobie czasem pokpiwać z nakazów
przyzwoitości, ale tego przecież wymaga rola, jaką odgrywam.
Niezbyt oryginalna, niestety!

- Cóż to za rola, lady Lydio? - spytał kapitan z taką powagą i
zainteresowaniem, że Lydia omal nie zapomniała, iż winna być
zawsze beztroską światową damą. Jednak wpajano jej tę
wielkoświatową beztroskę od tak dawna, że z powodu pierwszego
lepszego kapitana nie mogła się przecież ośmieszyć.

- To oczywiście rola „dandyski”, kapitanie! Myślałam, że się to
od razu rzuca w oczy. - Zmierzyła go przeciągłym spojrzeniem. - Z
pewnością zetknął się już pan z osobami tego rodzaju?

- Nie, madame - odparł z całą powagą. - Nigdy jeszcze nie spotkałem kogoś takiego jak pani.

Przeszył ją dreszcz. Gdyby ktoś jej powiedział, że taki oklepany komplement i to francuskie „madame” tak na nią podziałają, roześmiałyby się w głos! Ale tu nie chodziło o słowa, tylko o sposób, w jaki je wypowiedział - z taką powagą i przejęciem... Wielkie nieba! - pomyślała. - Jestem nim oczarowana!

- Panie Smyth, spostrzegłam właśnie, że lady Sefton weszła do domu... Bardzo bym chciała zamienić z nią kilka słów - oświadczyła Eleanor. - Czy pomógłby mi pan odnaleźć ją w tej cizbie?

Lydia całkiem zapomniała o Eleanor. I o Smycie. Z trudem sobie teraz o nich przypominała. Cała jej istota zdawała się zestrojona - niczym instrument muzyczny z wykonawcą - z tym wysokim, przystojnym mężczyzną, który tak bez reszty poświęcał jej uwagę. Dotarli do niej z oddali słowa Smytha, że z największą przyjemnością będzie służył księżnej, oboje więc przeszli przez taras i znikli.

Lydia nie spoglądała za odchodzącymi. Kapitan Lockton również niewiele na nich zważał.

- Zapewniam pana, że nie jestem jakimś osobliwym zjawiskiem! Ale pan zapewne przebywał zwykle na morzu - powiedziała Lydia, nawiązując do rozpoczętej rozmowy. - Teraz jednak, gdy znalazł się pan w Londynie, z pewnością napotka pan wiele podobnych dam... i wkrótce nasze obyczaje stracą dla pana urok nowości.

- Jakoś nie mogę sobie tego wyobrazić. - Lockton przechylił głowę na bok. - Ale nietrudno odgadnąć, czemu pani tak sądzi.

- Doprawdy?

- To, co już dobrze znamy, często traci dla nas urok - odparł. - Weźmy na przykład syreny! Jako chłopiec byłem nimi kompletnie oczarowany.

Lydia pomyślała, że wie już, jak potoczy się dalej konwersacja. Pozwoliła więc sobie uprzedzić rozmówcę:

- Ale znudziło się panu wyobrażanie sobie tych dam, gdy w pełni do pana dotarło, że nigdy ich nie spotka? I pozostawił je pan za sobą wraz z innymi pamiątkami dzieciństwa!

Pokiwała mądrze głową.

- Nic podobnego, madame - zaprzeczył kapitan z powagą. - Chciałem powiedzieć, iż spędziwszy pół życia na morzu, tak do syren przywykłem, że ich uroki całkiem mi spowszedniały.

Lydia się wzdrygnęła. Ten człowiek ją zaskoczył, a to było dla niej coś nowego! Oczy jej się rozszerzyły i w odpowiedzi na to oczy kapitana rozbłysły. Przeszył ją dreszcz nieznaney dotąd radości.

- A więc podglądanie syren to dla pana nudne, codzienne wydarzenie? - spytała ze śmiechem.

Pokiwał żałośnie głową.

- Żeby chodziło tylko o oglądanie, nie byłoby z tym problemu. Prawdę mówiąc, to śliczne stworzonka! Ale ten ich nieustanny śpiew sprawia, że szybko ma się ich dość. To ciągle zawodzenie o jakimś tam Jazonie, utraconej miłości... Straszne z nich płaksy!

Nachylił się jeszcze bardziej do ucha Lydii i mówił cicho:

- Z pewnością słyszała pani historie o młodzieńcach, którzy zwabieni syrenim śpiewem stracili życie?

Skinęła głową potakująco.

- W rzeczywistości biedacy rzucali się do panicznej ucieczki i nie wytrzymywali tempa. Gnali jak szaleni na samą myśl o słuchaniu przez całą wieczność rybiego zawodzenia!

Lydia śmiała się coraz głośniejszymi głosami, wyobrażając sobie marynarzy zmykających co sił w nogach przed nieszczęsnymi, usychającymi z miłości syrenkami - zbyt uroczyimi, by można się było im oprzeć!

Kapitan przechylił znów głowę na bok. Na jego twarzy malowała się satysfakcja.

- Nie wierzy mi pani, lady Lydio?

- Sądzę, kapitanie, że uraczył mnie pan tą śliczną bajeczką na dowód, że choć często przebywał pan z dala od lądu, potrafi pan mocno stąpać po ziemi! Zrozumiałam i jestem pełna podziwu.

- Ależ mnie wcale nie o to chodziło! - odparł. W jego oczach nie widziała już wesołych błysków, tylko coś całkiem odmiennego... - Chciałem jedynie udowodnić, że pewne rzeczy, które pani uważa za oczywiste, mnie wydają się zdumiewające. I chyba zawsze tak będzie.

Lydia miała wrażenie, że dostrzega w jego spojrzeniu czułość. Nie była do tego przyzwyczajona, tak samo jak nie przywykła do tego, by zbijano ją z tropu. W męskich oczach nieraz dostrzegała podziw, rozbawienie, pożądanie. Jednak podobne uczucia mógł wzbudzić nawet przedmiot nieożywiony - piękny obraz, udana karykatura, pikantna pocztówka... Czułość była uczuciem znacznie

bardziej intymnym, przeznaczonym wyłącznie dla istot żywych, nie dla rzeczy!

Takie myśli sprawiły, że na policzkach Lydii pojawił się gorący rumieniec. Spuściła wzrok.

- Proszę mi wybaczyć! - powiedział kapitan, dostrzegłszy zmianę w wyrazie jej twarzy. - Wprawiłem panią w zakłopotanie.

- Ależ skąd. - Pokręciła głową. - Wcale nie!

Gotów jeszcze pomyśleć, że jest wyjątkowo głupim stworzeniem, jeśli w odpowiedzi na subtelny komplement potrafi się tylko zarumienić!

- Ciekawam, co jeszcze znudziło się panu z tych rzeczy, które mnie wprawiłyby w zdumienie? - odpowiedziała. - Prócz syren, ma się rozumieć!

- Postaram się coś sobie przypomnieć - obiecał. Potem zaś dodał:
- Słyszałem, że lady Pickler bardzo się szczyci swymi ogrodami. Może zechciałaby pani przejść się wraz ze mną po jej parku i wytłumaczyć mi, co i dlaczego mam podziwiać?

- Owszem! - zgodziła się Lydia od razu.

Zdecydowanie za szybko. Co jej się stało? Powinna zdobyć się przynajmniej na chwilę wahania! Ale właściwie dlaczego? Czemu miałyby udawać, gdy w towarzystwie tego mężczyzny tak łatwo było mówić szczerze? Nie znajdując na to odpowiedzi, Lydia zeszła ze schodów na trawnik. Kapitan kroczył u jej boku z rękoma założonymi do tyłu, dopasowując swe wielkie kroki do jej kroków.

Nad nimi mroczniejące niebo zdawało się opuszczać coraz niżej. Srebrnawy zmierzch dodawał uroku gasnącemu światłu dnia i szaroniebieskim oczom kapitana. Krople rosy zwisały z liści jak kryształowe wisiorki pozostawione przez leśne duszki. Pełne wilgoci powietrze lśniło perłowo. W zetknięciu z rosistą trawą przemokły cienkie skórzane podeszwy pantofelków Lydii, ona jednak prawie tego nie zauważyła.

Pomna na to, co wypada, a co nie wypada, zatrzymała się na brzegu trawnika. Kapitan podniósł wzrok i na jego twarzy odbiło się zdumienie. Lydia doskonale to rozumiała. Na kimś, kogo nie uprzedzono z góry, czym są owe piękne widoki lady Pickler, wywierały one doprawdy piorunujące wrażenie. Na dziesięciu akrach sztucznie pofałdowanego terenu lady Pickler zdołała upchnąć: ruiny rzymskiej budowli, łąkę wraz z owieczkami, grecką świątynię, japońską pagodę oraz grootę pustelnika wyposażoną, oczywiście, w kudłatego, niepozornego człowieczka, który w ponurym milczeniu obierał ziemniaki przed wejściem do jaskini.

- Mam wrażenie, że jest tu zatrudniony jako ogrodnik, kiedy nie pełni obowiązków pustelnika - szepnęła Lydia, ujrawszy, ku czemu kieruje się spojrzenie kapitana.

- Mam nadzieję, że tak! Biedaczysko! - wykrzyknął kapitan. Lydia przechyliła kokieteryjnie główkę na bok.

- Jestem pewna, że na pańskim okręcie nie było dziwaka, którego jedyny obowiązek stanowiło obieranie ziemniaków i strojenie ponurych min!

- Był taki, był! - odparł kapitan. - Nasz kucharz. Robił wrażenie jeszcze bardziej zniekanego niż ten tutaj. Muszę go odwiedzić i powiadomić, że w eleganckim świecie jest zapotrzebowanie na takich jak on.

Lydia znów wybuchnęła śmiechem, a kapitan zapatrzył się na zwróconą ku niemu twarz.

Śmiech Lydii nagle ucichł, gdy zatoneła w przesłoniętych srebrną mgiełką szaroniebieskich oczach, całkiem zapominając, gdzie się znajduje. Była tylko świadoma tego, że jej wargi się rozchylają, a pierś gwałtownie unosi się i opada, jak po forsownym biegu. Usiłowała więc jak najszybciej odzyskać zimną krew. Jeśli nadal będzie z rozdziawioną buzią wpatrywać się w kapitana, ten z pewnością rozpozna w niej dziewczynę ze sklepu, która namówiła go na kupno chińskiej czary!

- Długo pan pływał po morzu, kapitanie? - spytała, starając się opanować.

- Nie tak długo jak większość mężczyzn, która zdecydowała się na takie życie - odparł. - Wyruszyłem na morze zbyt późno.

- O? A ile pan miał lat?

Pragnęła dowiedzieć się o nim wszystkiego.

- Czternaście.

- I to ma być za późno?

- Większość aspirantów odbywa dziewiczy rejs w jedenastym albo dwunastym roku życia. Ja musiałem jednak pozostać w Josten Hol aż do śmierci ojca.

Pokiwała współczująco głową.

- Bardzo panu było spieszno na morze?

- Bardzo.

- A wróci pan tam jeszcze? Zaprzeczył ruchem głowy.

- Pożegnałem się na zawsze z Królewską Flotą.

- Przecież jest pan jeszcze na to za młody!

- Być może.

Lydia miała wrażenie, że nuży go odpowiadanie na jej pytania. Było to dla niej coś nowego: większość mężczyzn przy odrobinie zachęty z lubością mówiła o sobie. Kapitana jednak bardziej interesowało zadawanie pytań Lydii niż odpowiadanie na jej pytania.

Niestety, Lydia nie miała mu nic ciekawego do opowiedzenia. To, co w jej życiu można by uznać za niezwykle - bogactwo i wiążące się z nim przywileje - nie było rezultatem jej działania. Nie zrobiła nic, żeby zasłużyć na swoją uprzywilejowaną pozycję. Choć w dzieciństwie dużo podróżowała, pod wieloma względami jej świat był bardzo mały i hermetycznie zamknięty, a jej zainteresowania ograniczały się wyłącznie do jej sfery.

Za to kapitan Lockton... Droga, którą obrał, dała mu głębszą znajomość życia i zapewniła bogate i różnorodne doświadczenia. Wiódł swoich ludzi do boju, podejmował ważne decyzje. To, co czynił, miało wpływ na dzieje świata, i to nie na jakiś jego wąziutki skrawek! Lydii odpowiadało życie, jakie prowadziła, ale życie kapitana było znacznie bardziej interesujące.

- Niech mi pani opowie o swoim dzieciństwie, lady Lydio! Czy wychowała się pani w Londynie?

- Nie - odparła lakonicznie, po czym obawiając się, że wyda się to jej rozmówcy niegrzeczne, dodała: - Moi rodzice wiele podróżowali, a ja razem z nimi. Aż do ich śmierci.

- Tak mi przykro... - Uśmiechnął się łagodnie. - Proszę mi o nich opowiedzieć!

- Opowiedzieć panu o nich?

Lydia spojrzała na kapitana ze zdumieniem. Przecież wszyscy znali historię jej rodziców, od nieco skandalicznego początku do tragicznie romantycznego zakończenia! Zaraz jednak przypomniała sobie, że kapitan Lockton był zapewne na morzu, kiedy zginęli.

Nie wiedziała, od czego zacząć. Prasa i londyńska socjeta kładły zawsze największy nacisk na małżeństwo, którego Kościół anglikański nie chciał usankcjonować, oraz na wędrownie życie Eastlake'ów na obczyźnie. W pamięci Lydii nie to jednak było najważniejsze. W jej wspomnieniach o matce i ojcu niewielką rolę odgrywał skandal czy wiecznie otaczający ich przepych.

Jakie to dziwne...

- Stanowili idealnie dobraną parę: moja matka była uznaną piękną a ojciec jednym z najsłynniejszych koryntian*.

*** Koryntianie to liczna w tamtej epoce grupa arystokratów, bogatych młodych mężczyzn, bardzo zainteresowanych modą, ale - w przeciwieństwie do dandysów -wysoko ceniących również dowcip, wykształcenie oraz sprawność w różnych dziedzinach sportu (choć w tym celowała trzecia grupa złotej młodzieży, tzw. *bucks*) (przyp. tłum.).**

- Ale jacy oni byli?

Jacy byli? Przecież już mu to powiedziała! Byli piękni, weseli i wspaniali! Cóż jeszcze mogła dodać?

- No tak, powiedziała pani, że byli bardzo przystojną parą - ale co poza tym? Czy odznaczali się porywczym charakterem? Czy wzbudzali zaufanie? Co robili dla przyjemności, a co dla ducha?

- Wszystko, co robiliśmy, było dla przyjemności - wyznała z pewnymi oporami, Bóg raczy wiedzieć dlaczego.

W odpowiedzi kapitan pokręcił głową.

- Nie! Jestem pewien, że nie!

Jak mógł podawać w wątpliwość jej słowa? Była przecież z rodzicami każdego dnia, a on nic nie wiedział o ich życiu, nawet nigdy się z nimi nie zetknął! Nie wiedziała, czy czuje się bardziej zaniepokojona, czy też urażona jego pewnością siebie... Chyba jedno i drugie.

Lydia była zawsze ze sobą szczerą, przyznawała się zarówno do swoich niedoskonałości, jak i do zalet. Czyżby jej wspomnienia o rodzicach były w jakimś stopniu zniekształcone? A przynajmniej niekompletne? Co wiedziała o nich poza tym, że wydawali się jej gwiazdami, świecącymi jasno na towarzyskim firmamencie, zawsze oświetlającymi jej drogę, ale jakby z pewnego dystansu. W ich blasku była odrobinka chłodu.

Jakie upodobania dziedziczyła po nich? Z pewnością pasjonowało ich coś jeszcze, prócz nieustannego pociągu do zabaw w wesołym

towarzystwie i fascynacji wszystkim, co piękne i eleganckie. Na pewno było coś więcej...

- Ojciec nauczył mnie jeździć konno i strzelać z pistoletu, nim jeszcze skończyłam dziesięć lat. - Lydia się uśmiechnęła. Jakiż był dumny z jej zręczności... choć matka, gdy dowiedziała się o tym, położyła kres dalszym lekcjom, utrzymując, że nie są to odpowiednie zajęcia dla młodej damy. - Chyba tęsknił za domem na wsi. Wychował się w Wilshire i bardzo lubił psy.

- Naprawdę? - Kapitan był wyraźnie zainteresowany. - Co jeszcze?

- Moja matka nie miała zdolności do języków. Mówiła wyłącznie po angielsku. Pamiętam, jak powtarzała ze śmiechem: „To nawet lepiej - nie słyszę, kiedy ktoś źle o mnie mówi!” Ale sądzę, że czuła się przez to bezbronna i nie chciała, żebym wiedziała o tym.

A właściwie dlaczego? Żeby nic nie zburzyło iluzji szczęścia? Może życie rodziców nie było nieprzerwanym pasmem wszelkich radości? Czoło Lydii przecięła zmarszczka. Nagle poczuła się niepewnie. Nikt dotąd nie zadawał jej podobnych pytań i jej myśli nigdy nie biegły takim torem. Miała już dość rozmowy o swojej rodzinie! Chciała się dowiedzieć czegoś więcej o kapitanie.

- Czy nie będzie panu brakować morza teraz, gdy zrezygnował pan ze służby we flocie?

- Morza? Z pewnością by mi go brakowało - odparł takim tonem, że Lydia domyśliła się od razu, iż nie mówi jej wszystkiego. - Ale Josten Hol stoi nad samym morzem, nie umrę więc z tęsknoty.

- Josten Hol... To pana rodzinny dom?

- Tak Stoi na nadmorskich skałach w Norfolk i spogląda wszystkimi oknami na morze. To najpiękniejsze miejsce na ziemi! - Kapitan uśmiechnął się i nagle stał się o wiele młodszy, stanowczo za młody na dowódcę okrętu wojennego. - Czy tamten dom pani ojca w Wilshire nadal należy do pani?

- Nie. Nie była to zresztą nasza rodowa siedziba. Mój dziadek po prostu kupił dom od jakiegoś bogatego ziemianina w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku. A za swoim okrętem nie będzie pan tęsknił?

Nie odpowiedział od razu. Przyglądał się jej z dyskretnym, zagadkowym uśmiechem.

- Ktoś mógłby pomyśleć, madame, sądząc z pani pytań, że chciałaby mnie pani czym prędzej znów wyprawić na morze. Czymże panią obraziłem?

Mówił od niechcenia, ale Lydia spostrzegła, że pod żartem kryje się powaga.

- Ależ skąd! Po prostu chcę pana jak najlepiej poznać. - Poczzerwieniała, gdy znów się uśmiechnął, i pospiesznie mówiła dalej: - To znaczy chciałabym zrozumieć, czemu wyrzekł się pan morza dla życia na lądzie. Ci marynarze, których znam, zawsze pragną czym prędzej wrócić znów na swój statek... Tęskno im, jak do ukochanej żony!

Przemówił w końcu otwarcie.

- Gdy byłem chłopcem, nic nie sprawiało mi większej radości niż pływanie łodzią po Morzu Północnym. Kiedy mnie przyjęto jako aspiranta na okręt Nelsona, byłem w siódmym niebie. Udział w wojnie wydawał mi się bohaterstwem, a zarazem wielką przygodą, czymś niezwykle ekscytującym.

Urwał i popatrzył uważnie na Lydię, nim znów zaczął mówić.

- Ale tak uważałem, będąc młokosem i służąc pod czyimś dowództwem. Strzelać na czyjś rozkaz do uciekających wrogów czy wdrzeć się na pokład płonącego okrętu to całkiem co innego, niż wydawać samemu takie rozkazy. Wystarczy chyba, że powiem: rad jestem, iż nie muszę już pełnić tego obowiązku.

Znowu urwał i pokręcił głową.

Lydia obserwowała go z całą powagą. Pragnęła wyciągnąć rękę i dotknąć jego ramienia, pocieszyć go, ale nie mogła przecież tego uczynić. Kapitan Lockton rozkazywał swoim ludziom walczyć na śmierć i życie - i to on nosił na swoich barkach brzemię ich śmierci. Bolał nad tym do tego stopnia, że zrezygnował z czynnej służby w Królewskiej Flocie.

- Proszę, niech się pani tym aż tak nie przejmuje, lady Lydio! To doprawdy był nieodpowiedni temat do rozmowy, zwłaszcza przy tak krótkiej znajomości - stwierdził kapitan.

Miał słuszność. Był to stanowczo zbyt osobisty temat. A ich rozmowa nazbyt otwarta, niepodobna do wszystkich innych.

Dałaby jednak wszystko, by ta rozmowa nie miała końca.

- To wyłącznie pani wina! - Kapitan silił się na żartobliwy ton. - Zbyt chętnie mnie pani słuchała. Nie dostrzegłem na pani twarzy ani śladu strachu czy niesmaku, które musiała pani przecież odczuwać. Gratuluje doskonałych manier!

- Nie jestem przestraszona ani urażona, kapitanie - odparła. - Tylko mi żal, że coś, co tak pan niegdyś kochał, nie sprawia już panu radości. Wydaje mi się, że jest zbyt mało rzeczy naprawdę nam drogich, żebyśmy mogli z lekkim sercem wyrzekać się choćby jednej z nich!

Czuła, że jest nazbyt szczerą, że mówi ze zbytnią powagą. Powinna przybrać lżejszy, bardziej kokieteryjny ton. Kapitan gotów pomyśleć, że zawsze jest taka ponura! Ale jej słowa zabrzmiały niczym proroctwo i Lydia zarżała. Ona sama z pewnością nie mogła pozwolić sobie na utratę czegoś, co było jej drogie.

- Nie chodzi właściwie o to, że przestałem kochać morze, tylko o to, że jeszcze bardziej Kocham coś innego. Proszę spojrzeć! - Sięgnął do kieszeni i wyjął medalion na skromnym łańcuszku. Otworzył wieczko i podał Lydii, żeby popatrzyła. Wewnątrz znajdowała się prześliczna miniatura: malowniczy dwór na skalnym cyplu sięgającym daleko w morze. - To Josten Hol.

- Jaki piękny dom!

- Tak - zgodził się kapitan i zatrzasnął wieczko medalionu. - Wielu moich ludzi nosiło na sercu podobiznę żony czy matki, która była dla nich pociechą i natchnieniem. A ja zawsze miałem przy sobie to.

- Rozumiem. A zatem wrócił pan do domu - powiedziała cicho. -
Uświadomił pan sobie, co kocha najbardziej.

- Tak - odparł. - Wróciłem do domu.

- A teraz zamierza pan cieszyć się Josten Hol i krewnymi, do których pan tęsknił, walcząc z Napoleonem - podpowiedziała Lydia.

- No... nie tylko. Przechyliła głowę na bok.

- A co jeszcze?

- Chcę sobie znaleźć żonę.

10

Lydia patrzyła na kapitana, niepewna, czy dobrze zrozumiała jego słowa. Dżentelmeni mogli rozmawiać o takich sprawach z członkami swojej rodziny lub zaufanymi przyjaciółmi, ale nie obwieszczali swoich zamiarów publicznie, a już z pewnością nie zwierali się z nich kandydatkom na żony! Ale może major nie uważał jej za odpowiednią kandydatkę? Nie wiedziała, co powiedzieć ani jak zareagować...

Mamrotała coś bez ładu i składu, póki opatrność nie zlitowała się nad nią - niebiosa się rozwarły i lunął ulewny deszcz. Dzięki temu Lydia nie musiała już wydawać dalszych bezsensownych pomruków. Kapitan pospiesznie ściągnął surdut i trzymał go nad głową swojej towarzyszki, osłaniając ją.

Uniosła ku niemu oczy i zamrugła, by lepiej widzieć; deszcz pozlepił jej rzęsy. Krople spływały także po złocistych włosach kapitana i płynęły strumyczkami po jego policzkach i szyi.

Cynamonowa kamizelka Locktona wyraźnie pociemniała na plecach, a szerokie, powiewne rękawy batystowej koszuli były przemoczone do cna. Cienki materiał oblepiał bicepsy, które jeszcze się uwydatniły, gdy kapitan trzymał surdut nad głową Lydii. Odwróciła wzrok, zmieszana jego spojrzeniem.

- Chodźmy! Jeszcze się pani przeziębą - nakłaniał ją.

Pobiegli razem w stronę tarasu, gdzie lokaje rozpinali już dach z impregnowanego płótna nad głowami gości. Lady Pickler zaplanowała przyjęcie pod gołym niebem, więc musiało się tam odbyć, bez względu na pogodę! Lydia i kapitan schronili się pod markizą u podnóża schodów. Lockton opuścił wzniesione do góry ręce i pospiesznie włożył surdut. Jaka szkoda - pomyślała Lydia - zasłaniać te szerokie barki i muskularne ramiona!

I natychmiast zawstydziała się własnych myśli.

- Bardzo panu dziękuję. Tu już nie zmoknę, a gdybym zmarzła, moja dama do towarzystwa ma szal - wyjaśniła kapitanowi.

- Pozwoli pani, że zaraz go przyniosę! - zaofiarował się.

Lydia rozejrzała się dokoła i zobaczyła, że Emily również schroniła się przed deszczem: znalazła sobie miejsce przy jednym ze stolików, ustawionych u podnóża schodów i osłoniętych markizą. Zauważyła też z rozbawieniem, że obok Emily usiadła stara jędza, despotyczna wdowa po hrabim Cavellu, wraz ze swoją córką Nessie, wystrojoną starą panną. Obie otrzymały zaproszenie na przyjęcie tylko dlatego, że nieżonaty syn hrabiny był doprawdy znakomitą partią.

- Emily, moja dama do towarzystwa, siedzi przy tamtym stoliku. To ta sympatyczna osoba o rudych włosach.

- Zaraz wracam! - zapewnił i już go nie było.

Lydia weszła po schodach na samą górę, świadoma tego, że uśmiecha się niezbyt mądrze. Na szczycie schodów zatrzymała się i rozejrzała dokoła, zdecydowana nie oddawać zbyt pochopnie serca ani nie rezygnować ze swych ambicji. Przybrała godny wyraz twarzy i omiotła wzrokiem resztę towarzystwa, szukając w tłumie ewentualnych kandydatów na męża, a potem omal nie roześmiała się na głos z własnej nieporadnej próby oszukania samej siebie.

Nie było tu absolutnie nikogo, kto mógłby się równać z kapitanem Locktonem! Do wszystkich swych zalet powinien być jeszcze krezusem, ale przecież Eleanor, która wiedziała wszystko o wszystkich, zapewniła ją, że istotnie był majątny. Lydia westchnęła z ulgą i zrobiło się jej lekko na sercu. Poczowała życzliwość do całego świata. Dostrzegła Jenny Pickler, jakaż to sympatyczna dziewczyna!

Zaprzyjaźni się z nią i sprawi, że będzie miała powodzenie!

Snując takie plany, Lydia skierowała się w stronę Jenny, która stała obok swojej matki. Lady Pickler była zatopiona w rozmowie z jedną ze swych wyjątkowo antypatycznych przyjaciółek od serca. Wszystkie trzy damy nachylały się ku sobie, nie mając pojęcia, że Lydia się do nich zbliża. Były odwrócone do niej tyłem.

- Co za dużo, to niezdrowo! Jeśli znów to zrobi, nie zamierzam dłużej milczeć! Zbyt długo znosiliśmy coś takiego! Ona to może nazywać „idiosynkrazją” i kpić sobie z nas w żywe oczy, wiedząc, że

nikt nie zaprzeczy, ale ja od tej pory - zapamiętajcie moje słowa! - będę nazywać rzeczy po imieniu: to zwyczajne złodziejstwo!

Lydia stanęła jak wryta. Miała wrażenie, że poraził ją grom. Po chwili pospiesznie odwróciła się i odeszła. Lady Pickler i jej towarzyszki ruszyły tymczasem majestatycznie ku schodom wiodącym na dół, a potem w stronę ustawionych tam stolików.

Dobry Boże! Lady Pickler niewątpliwie mówiła o Emily, a jej intencje były przerażająco jasne. Widocznie usłyszawszy, że Lydia szuka męża, wpadła w panikę, obawiając się konkurencji dla swojej córki. I to podczas przyjęcia w ich własnym domu! Szukała więc jakiegoś pretekstu, by pozbyć się niepożądanego gościa, a także - w miarę możliwości - zamknąć przed rywalką Jenny jak najwięcej drzwi w Londynie.

Nie mogła, rzecz jasna, zaatakować wprost lady Lydii - ulubienicy wielkiego świata, nie mając po temu żadnych podstaw. A podejrzewała, że lady Lydia nigdy nie okaże się na tyle głupia, by dostarczyć jej jakiegoś powodu do świętego oburzenia. No tak, Lydia nie przekroczy granicy między dozwolonym a niedozwolonym, ale Emily? Wielki Boże, Emily czyniła to nieustannie!

Lady Pickler znalazła więc sposób na wyeliminowanie potencjalnej rywalki Jenny, dyskredytując i poniżając Emily. I niech to wszyscy diabli, mogła tego dokonać!

Ta wstrętna baba była przeświadczona, że Lydia nie pozwoli poniżyć Emily Cod. I nie myliła się, choć opierała to przekonanie na fałszywych przesłankach: nie wierzyła, żeby Lydia broniła jej ze

szczerej przyjaźni, bo jakże można przyjaźnić się z damą do towarzystwa? Sądziła jednak, że potraktuje atak na jej towarzyszkę jako osobistą zniewagę.

Przed rokiem, ba, nawet przed miesiącem, Lydia posłałaby lady Pickler do wszystkich diabłów i nie liczyłaby się z konsekwencjami. Teraz jednak nie mogła z nią zadrzeć, a tym bardziej z jej przyjaciółkami, które panoszyły się w Almack. Żaden dżentelmen nie oświadczyłby się kobiecie wyklętej przez najwyższe kręgi londyńskiej socjety.

Nie była w stanie zapobiec złu, a więc Emily po prostu nie może dziś niczego zwędzić!

Muszą zatem czym prędzej stąd wyjść, żeby nie miała sposobności do „pożyczenia sobie” czegoś. W ciągu kilku ostatnich lat Emily coraz bardziej panowała nad sobą i powstrzymywała się od zabierania drobiazków na pamiątkę. Od momentu jednak, gdy Lydia powiadomiła przyjaciółki o swojej fatalnej sytuacji finansowej, Emily stała się znów rozkojarzona i niespokojna, co zawsze oznaczało nasilenie się choroby.

Lydia, oczywiście, była rozczarowana, że musi wyjść tak wcześnie z przyjęcia, ale wszelkiego rodzaju przyjęć nie brakowało! Podobnie jak miejsc, w których z pewnością spotka kapitana Locktona. Tak, musi bezzwłocznie odnaleźć Eleanor, a potem zabiorą Emily, pożegnają się...

Nagle skamieniała, jej oczy się rozszerzyły.

Ujrzała jak Emily wyciąga rękę i sięga - wolno, wolniusieńko - po koronkową chusteczkę, leżącą na blacie stolika. Potem zaś, rozglądając się dokoła z niewinną miną - niby to niechcący - zrzuca chusteczkę na ziemię. Jedna ze stóp wysunęła się spod obrąbka jej spódnicy i przydeptała obszytą koronką szmatkę, by następnie przyciągnąć ją dyskretnie ku sobie.

Taki drobiazg! - pomyślała z rozpaczą Lydia. - Jeden bezwartościowy drobiazg z całej kolekcji fatalaszków i ozdóbek leżących na stole... Może nikt nie dostrzeże jego braku? Nikt przecież nie mógł zauważyć manewru Emily!

Nikt z wyjątkiem lady Pickler.

Lydia uświadomiła to sobie, gdy dostrzegła wyraz triumfu na jej twarzy. Potrójny podbródek lady Pickler aż dygotał z wysiłku, gdy powstrzymywała się, by nie wywrzeszczyć swoich oskarżeń, zanim znajdzie się przy Emily, siedzącej obok starej hrabiny i jej córki. Lydia nie miała wątpliwości, że głos lady Pickler będzie tak donośny, iż wszyscy ją usłyszą, gdy zacznie oskarżać jej przyjaciółkę.

A Emily nie zniesie upokorzenia.

Lydia rozglądała się rozpaczliwie dokoła. Należało wyprowadzić stąd Emily jak najszybciej i jak najdyskretniej. Obawiała się nawet pomyśleć, jak podziałają na biedaczkę oskarżycielskie spojrzenia wszystkich.

Lady Pickler zbliżała się do swojej ofiary z posepną nieuchronnością morskiego przypiływu. Jakiś głos wewnętrzny musiał widać uprzedzić Emily o grożącym jej niebezpieczeństwie, gdyż

pochyliła się i schwyciła swój żaloszny łup. Oczy miała nieprzytomne, ogarniało ją coraz większe przerażenie. Zerwała się na równe nogi i wmieszała w tłum, ale lady Pickler nieubłaganie następowała jej na pięty, a Lydia nie mogła pomóc przyjaciółce w żaden sposób.

- Pani Cod!

Głos lady Pickler grzmiał jak surma bojowa, gdy przeciskała się uparcie przez tłum. Ludzie wokół niej przerywali rozmowy w pół zdania, wszystkie głowy odwracały się, wietrząc skandal.

- Pani Cod!

Ale jej głos skłonił tylko Emily do przyspieszenia kroku. Zmykała jak królik, wypłoszony z nory. W ostatniej chwili odwróciła się, by spojrzeć na swoją prześladowczynię, i wpadła prosto na... Kapitan Locktona.

Takie zderzenie mogłoby zwalić z nóg mężczyznę drobniejszej budowy, ale wysoki, muskularny kapitan wyszedł z niego bez szwanku. Emily zamarła z rękoma przyciśniętymi do jego piersi. Chusteczka - widomy dowód przestępstwa - którą ścisnęła w garści, znalazła się pomiędzy nią a kapitanem. Lockton spojrzał na obszytą koronką szmatkę, a potem na lady Pickler. Z lekkim uśmiechem cofnął się o krok, zręcznie wyjął chustkę z ręki Emily i niedbałym gestem wetknął ją do rękawa.

- Serdeczne dzięki, pani Cod - odezwał się miłym, pogodnym głosem. - Głowiłem się, gdzie też ją posiałem!

- To pańska chusteczka, kapitanie? - spytała z wyraźnym niedowierzaniem lady Pickler, dotarłszy do niego, nie bez wysiłku.

- Jak najbardziej, madame - odparł z nieco zażenowaną miną. - Wiem, że to niemądre. Sam to przyznaję! Ale mam słabość do chustek obrzeżonych koronką. Dodaje to nieco lekkości i uroku. My, biedni mężczyźni, musimy nosić takie ponure stroje!

- To mi wygląda na chusteczkę panny Cavell! - stwierdziła lady Pickler, nie mogąc pogodzić się z tym, że zdmuchnięto jej zdobycz sprzed nosa.

- Doprawdy? - spytał kapitan niezwykle uprzejmie. - Musimy wyjaśnić to nieporozumienie!

Wyminął panią domu i skierował się prosto do stolika, przy którym siedziały panna Cavell i jej matka. Skłonił się elegancko obu damom i uśmiechnął promiennie do panny Cavell.

Równie dobrze mógłby zdzielić biedaczkę młotkiem po głowie! - pomyślała Lydia. Przysięgłaby, że od chwili, gdy kapitan Lockton błysnął zębami w uśmiechu i zauroczył ją swym dołkiem w policzku, biedna stara panna nie miała pojęcia, co mówi i czemu przytakuje. I wcale o to nie dbała! Gdyby kapitan stwierdził, że jej matka ma dwie głowy, panna Cavell zapewne przyznałaby mu słusność.

Wystarczyło więc w zupełności, że machnął chusteczką, rozłożył ją przed olśnionymi oczyma panny Cavell, schował z powrotem do rękawa i spytał:

- To chyba nie pani chustka, panno Cavell?

- Jak to... moja?

- Nie należy do pani, prawda?

- Nie... Nie, proszę pana. Nie moja!

- Ależ z pewnością należy do pani! - wtrąciła lady Pickler. - Sama widziałam, jak...

- Nie bądź śmieszna, Betty! - przerwała jej zrzędliwym tonem hrabina Cavell, mierząc wzrokiem młodzieńca wysokiego, przystojnego i uśmiechającego się do jej córki tak ciepło, jak żaden inny młodzian od Bóg wie ilu lat. - Z jakiej racji moja Nessie miałaby nosić przy sobie chustkę bez wątpienia męską?!

I spojrzała na kapitana Locktona z nieukrywanym podziwem.

Lydia, która dotąd wstrzymywała dech, odważyła się wreszcie odetchnąć pełną piersią. Jej napięte do ostateczności mięśnie odprężyły się. Zrobiła krok do przodu, ale zaraz się zatrzymała. Nieszczęście zostało zażegnane! Lydia cofnęła się więc o krok, obserwując wszystko baczным wzrokiem. Na jej czole pojawiła się zmarszczka, bo to, co miała przed oczyma, stanowiło doprawdy rzadki widok!

Znalazłoby się zapewne kilku innych dżentelmenów, którzy pospieszyliby z pomocą Emily. Zrobiliby to jednak po to, by wyróżnić się z grona rówieśników, odegrać się na lady Pickler, słynącej ze złośliwych plotek, lub przypodobać się Lydii. W spojrzeniu, jakim kapitan Lockton obrzucił lady Pickler, nie było złośliwego triumfu. Chciał po prostu pomóc Emily, a nie pognać podstarzałą gospodynię. Nie czerpał satysfakcji z wyrównania z nią porachunków.

Nie miał w sobie ani krzty małostkowości!

To dżentelmen w każdym calu! - myślała Lydia, przyglądając się lady Pickler, która bezskutecznie usiłowała znaleźć jakieś miażdżące

ostatnie słowo. Taki opanowany, opiekuńczy, honorowy, nawet wielkoduszny! Czy jest w nim coś, co nie byłoby godne podziwu?

W końcu lady Pickler zdobyła się na wymuszony uśmiech i pogodziła ze sromotną porażką. Gniewnym gestem przywołała lokaja i groźnym warknięciem poleciła mu przynieść jeszcze dwa krzesła, żeby zarówno ona, jak i kapitan Lockton mogli usiąść razem ze starą hrabiną, panną Cavell, no i, oczywiście, panią Cod.

Lady Pickler nie miała innego wyjścia. Upierając się przy swoim, wyszłaby jedynie na głupią jędzę, a w dodatku postawiłaby w niezręcznej sytuacji hrabinę Cavell i jej córkę. A także hrabiego, jej syna. Nieżonatego!

Lydia poczuła niemal współczucie dla lady Pickler. Może dlatego, że sama znalazła się w sytuacji bez wyjścia. W chwili, gdy kapitan Lockton oświadczył, że koronkowa chusteczka jest jego własnością, zakochała się w nim - na śmierć i życie!

11

Ned następnego dnia nie złożył wizyty lady Lydii. Nie odwiedził jej też ani razu do końca tygodnia. I to nie dlatego, że brakło mu na to sił albo chęci! Postąpił tak, gdyż cenił sobie rozsądek bardziej od emocji i wolał zgłębić sprawę, nim się zaangażował. A nade wszystko nie zwykł kierować się w życiu impulsem. Z całym rozmysłem cofnął się o krok, by przyjrzeć się z właściwej perspektywy swojej fascynacji prześliczną i bogatą damą.

Pociąg tak silny i głęboki był dla niego czymś niezwykle i wobec tego Ned wykazywał pewną nieufność. Od dzieciństwa miał skłonność do refleksji i głębokich rozważań. Nic dziwnego! Przez całe lata musiał ostrożnie żeglować po burzliwych wodach rodzinnego życia w Josten Hol, unikając rozszalałych emocji swoich najbliższych. W ciągu następnych lat, spędzonych na okręcie wojennym, doskonalił swe podstawowe zalety, które stały się fundamentem jego charakteru. Były to: panowanie nad sobą i powściągliwość.

Nie znaczy to jednak, że kapitan nie był zdolny do podejmowania szybkich decyzji i do niezwłocznego działania, gdy okazało się to konieczne. W ogniu bitwy musiał często podejmować decyzje w mgnieniu oka. Nie lubił tego jednak i zawsze był świadom, że konsekwencją nieprzemyślanego rozkazu może być śmierć ludzi, którymi dowodził.

Były jeszcze inne przyczyny, powstrzymujące Neda od przyłączenia się do grona oficjalnych wielbicieli lady Lydii, od których - jak zapewniał Borton - roiło się w jej salonie każdego dnia. Przede wszystkim pełno było na tym torze wyścigowym przeszkód i zasadzek, a wygrana bardzo problematyczna.

Kapitan znał nazwiska odpalonych konkurentów piękności z księgi zakładów w Klubie Boodle'a. I zdawał sobie doskonale sprawę, że jego szanse na pozyskanie wzajemności najśłynniejszej z „Niezrównanych” nie były duże. Najwidoczniej albo lady Lydii całkowicie odpowiadała obecna sytuacja, albo też miała niezmiernie wysokie wymagania w stosunku do mężczyzny, który mógłby ją

ewentualnie skłonić do wyrzeczenia się wolności. Ned nie sądził, że ma zadatki na takiego bohatera.

Spędziwszy połowę życia na morzu, kapitan niewiele wiedział o kobietach. A zwłaszcza o damach. Te, z którymi miał do czynienia, albo były żonami jego kolegów oficerów, albo należały do jego najbliższej rodziny. Żadna z nich w niczym nie przypominała Lydii. Ale jej nikt nie był w stanie dorównać!

Co zaś do niego, to choć lustro zapewniało go, że odziedziczył charakterystyczną dla Locktonów urodę i atletyczną budowę ciała, kilka tygodni spędzonych w Londynie dowiodło mu niezbitie, że nie zalicza się ani do „bucks” („byczków”), ani do dandysów, ani do koryntian - w ogóle do żadnego gatunku dżentelmenów, których wielki świat skłonny był adorować.

Nedowi nie zależało ani trochę na tym, żeby się do nich przyłączyć. Nie widział nic pociągającego w manierach i pozach tych elegantów, w ich zjadliwości, pretensjonalności, wiecznie znudzonych minach i infantylnych gierkach słownych! A jednak lady Lydia zdawała się lubić tych gogusiów. W każdym razie jednego z nich. Childe'a Smytha. Witła się z nim ciepło i odnosiła się do niego przyjaźnie.

Najwyraźniej dalsza znajomość z tą damą nie miała sensu!

A jednak Ned gorąco tego pragnął, chociaż rzadko robił to, na co naprawdę miał ochotę. Zbuntował się właściwie tylko raz, gdy uciekł z Josten Hol, by zaciągnąć się do floty, kiedy miał już absolutnie dość teatralnych scen w rodzinnym domu! Poczucie obowiązku leżało u

podstaw jego działań, a poczucie odpowiedzialności stało się życiową busolą.

Ale nie wtedy, gdy chodziło o lady Lydię Eastlake.

Myśli o niej niepokoiły Neda w nocy i towarzyszyły mu podczas dnia. Przypomniawszy sobie, jak nieudolnie w sklepie monsieur Roubalais próbowała udawać prostą dziewczynę. Zastanawiał się z uśmiechem, czy naprawdę sądziła, że nie poznał jej przy drugim spotkaniu? Ciągłe wracał myślami do krótkiej rozmowy w ogrodzie lady Pickler i zachwycał się nieoczekiwaną szczerością tej pogawędki, a było to przecież tak niezwykle rzadkie w wielkim świecie! Prześladowało go wspomnienie twarzy Lydii, uniesionej ku niemu w chwili, gdy deszcz zaczął padać. Mgła spowijała jej włosy, kropelki wody błyszczały na długich, jedwabistych rzęsach...

Tak, pragnął poznać ją bliżej. Ale pościg za tą piękną byłą tylko stratą czasu, a właśnie czasu im brakowało, o czym ustawicznie przypominał mu w swoich listach Josten. Wierzyteli stawali się coraz bardziej natarczywi.

Wobec tego Ned postarał się zawrzeć znajomość z innymi młodymi damami z wyższych sfer. Były przeważnie urocze i sympatyczne, niepozbawione rozmaitych zalet. Ciemnowłosa Jenny Pickler odznaczała się wyjątkową urodą i miała poważne zainteresowania, lecz sama myśl o jej matce wystarczyła, by kapitan uznał, iż nie może być mowy o żadnych zalotach. Borton zresztą napomknął mu, że majątek Picklerów jest objęty majoratem - i wobec

tego jedynie mężczyźni przedstawiciele młodego pokolenia Picklerów mogą się nim cieszyć.

Lady Deborah Gossford była utalentowaną pianistką, a jej „fatalne zęby” okazały się jedynie odrobinę wystające, co Ned uznał za urocze. Bała się jednak morza i otwarcie oświadczyła, że nigdy by nie zamieszkała na morskim brzegu. Lady Anne Major-Trent robiła także bardzo miłe wrażenie, tylko Ned nie miał pojęcia, o czym z nią rozmawiać.

Najzupełniej przypadkowo, tydzień po przyjęciu u Picklerów, kapitan znalazł się pod domem lady Lydii w porze, gdy damy zazwyczaj przyjmują odwiedziny. Wyłącznie dobre wychowanie kazało więc Nedowi zastukać do jej drzwi i złożyć kartę wizytową. Lokaj wziął ją i poprosił kapitana, by chwilę zaczekał: dowie się, czy pani przyjmuje. Kilka minut później Ned znalazł się we wnętrzu domu.

Nie zwracał większej uwagi na to, co go otaczało, choć uświadamiał sobie mgliście, że wszystko wokół jest świetliste i eleganckie. Szedł za lokajem przez hol do pierwszych drzwi zaskoczony przepelniającym go uczuciem radosnego oczekiwania. Lokaj otworzył drzwi, odsunął się na bok i Ned znalazł się w salonie. Od razu ją zobaczył.

Siedziała na ciemnozłotej kanapie na wprost okna wychodzącego na południe. Słońce lśniło na jej brązowych włosach i złociło miękkie rysy policzka, zmieniając twarz Lydii, odcinając się od ciemnego obicia, w drogocenną kameę. Uśmiechnęła się radośnie, a Ned nie

mógł pojąć, czemu trzymał się od niej z daleka, choć dobrze znał odpowiedź na to pytanie.

Ta kobieta poruszyła w nim coś, co dotąd rdzewiało bezużytecznie, pobudziła do życia jakąś cząstkę jego istoty, która zareagowała bez zastanowienia i bez wahania - a już to, samo w sobie, wydawało się podejrzane!

- Kapitan Lockton! - Lydia podniosła się na powitanie.

Teraz, gdy już się tu znalazł, Ned poczuł się niezręcznie. (Kolejne doznanie obce mu i niewygodne). Nigdy jeszcze nie był tak skrępowany. Ale serce zabiło mu gwałtownie na widok Lydie, a jego oczy chciwie błędziły po jej twarzy. Tak, skórę miała jasną jak kość słoniowa. A włosy lśniące niczym futro fok. Oczy o barwie jeżyn. Usta stworzone do pocałunków. .. Czyste szaleństwo!

Skłonił się.

- Madame...

- Może pan siądzie, kapitanie?

- Dziękuję bardzo.

Zajął miejsce naprzeciw niej i dopiero wówczas uświadomił sobie, że nie są sami. Pani Cod siedziała bez ruchu na krześle w pobliżu drugiego okna, drzemiąc w plamie słonecznego światła i cichutko pochrapując. Kapitan zerknął na lady Lydie, ta zaś przyłożyła palec do ust.

- Może lepiej sobie pójdę? - spytał cicho.

- Ależ nie! - odparła ze spokojem. - To całkiem niepotrzebne.

Pani Cod ma dużą wprawę w drzemaniu na siedząco. Nie tak łatwo ją

obudzić! Tylko jakiś bardzo głośny dźwięk mógłby ją wyrwać ze snu. Możemy spokojnie rozmawiać.

Gdybyż tylko wiedział, o czym mówić! Było, co prawda, wiele rzeczy, które pragnął jej powiedzieć, i pytań, jakie chciał jej zadać. Dotyczyły jej życia i rodziny, tego, co było dla niej najważniejsze, książek, jakie czytała, ludzi, których podziwiała - wszystkiego, dzięki czemu była sobą. Ale zwyczaj nakazywał zadawać pozbawione znaczenia, obojętne pytania, na które mogła udzielić nic niemówiącej odpowiedzi. Choć prowadzenie takiej salonowej konwersacji z innymi damami nie sprawiało Nedowi większych trudności, z nią jakoś nie mógł rozmawiać w ten sposób. Zrozumiał, że pragnie zakosztować znów duchowej bliskości rozmowy z Lydią na przyjęciu u lady Pickler.

- I znowu mamy chłodny dzień - powiedział w końcu.

- Istotnie - odparła, a w jej oczach błysnęło rozbawienie. - Bardzo chłodny.

- Mam nadzieję, że nie przeziębila się pani na przyjęciu u lady Pickler?

- Ależ nie, dziękuję za troskę. A pan?

- Ja także nie - mruknął. - Jaka pani dobra, że o to pyta!

Rozbawienie znikło z jej twarzy. Spuściła wzrok na swoje dłonie splecione na kolanach.

- To nic w porównaniu z dobrocią, jaką okazał pan mojej przyjaciółce, pani Cod. Nie potrafię wyrazić, jak bardzo jestem panu wdzięczna, kapitanie! Czuję się ogromnie zobowiązana...

- Nie ma za co! - przerwał jej zażenowany. Nie chciał jej wdzięczności! Zrobił tylko to, co nakazywała zwykła przyzwoitość. - Najlepiej zapomnijmy o tym wydarzeniu.

- Jakżebym mogła?

Ned zdumiał się. Większość ludzi przyjęłaby z entuzjazmem propozycję anulowania długu - zarówno wdzięczności, jak i finansowego.

- Pani Cod znaczy dla mnie zbyt wiele, bym mogła zapomnieć o wyświadczonej jej przysłudze.

Ned przechylił głowę na bok. Nie czuł już skrępowania. Lady Lydia nie wygłaszała utartych formułek, bo tak wypadało! Ona naprawdę kochała tę kleptomankę, która wiernie jej towarzyszyła.

- To szczęście dla pani Cod, że ma w pani taką przyjaciółkę!

Zamiast spłonąć rumieńcem i skromnie zaprzeczyć, Lydia się roześmiała.

- Jeszcze większe szczęście mam ja, znalazłszy taką przyjaciółkę jak Emily! Jakaż inna przyzwoitka zdrzemnęłaby się właśnie wtedy, kiedy mam ochotę porozmawiać z kimś w cztery oczy?

Skinęła głową w taki sposób, że odruchowo zerknął na panią Cod i - do diaska! - dostrzegł przelotny uśmiezek na jej pulchnej twarzy. Wielkie nieba! Przecież ona tylko udawała, że śpi!

Raz jeszcze lady Lydia dała dowód swojej niezwykłej, jakże podnoszącej go na duchu szczerości. I nagle dotarło do Neda w pełni znaczenie usłyszanych przed chwilą słów. Powiedziała, że chce porozmawiać z nim w cztery oczy! Jego spojrzenie pobiegło ku niej i

wtedy właśnie dyskretne stukanie do drzwi zapowiedziało wejście lokaja. Przywołany oszczędnym gestem lady Lydii służący podał jej na srebrnej tacce czyjaś wizytówkę. Lydia popatrzyła na nią i skinęła głową.

- Wprowadź je, Jamesie.

Gdy tylko lokaj wyszedł, zwróciła się do Neda:

- Czy zna pan, kapitanie, panią Pendergast i jej córki, panią Ballard i panią Hill?

- Nie miałem dotąd zaszczytu...

- W takim razie będę miała przyjemność przedstawić im pana - odparła Lydia i wstała, gdy lokaj otworzył drzwi, a do salonu wpłynęły trzy szeleszczące jedwabiami damy. Na ich twarzach malowało się ożywienie; ręce wyciągnęły do gospodyni, jak zwykły czynić przy spotkaniu serdeczne przyjaciółki.

Kapitan wstał. Dostrzegły go.

Ręce im opadły, a oczy zrobiły się wielkie jak spodki. Spojrzenia całej trójki poszybowały w stronę lady Lydii. Ned zauważył ze zdumieniem, że policzki jej poróżwiały. Czyżby swoją wizytą wprowadził ją w zakłopotanie? Czyżby kose spojrzenia trzech dam wyrażały dezaprobatę?

A może wszystkie panie prowadziły ze sobą jakąś skomplikowaną wymianę nie tylko słów, ale także gestów, której on, będąc mężczyzną, nie pojmował? Poczuł w tej chwili, jak mało wie o kobietach. Niezwykła łatwość, z jaką porozumiewali się z Lyd... to znaczy - z lady Lydią, rozwiła się w chwili przybycia trzech dam!

Nie wątpił, co prawda, że potrafi zachować się odpowiednio w każdym towarzystwie, ale szczerść ich poprzedniej rozmowy nagle znikła i Ned ogromnie tego żałował.

Damy zajęły miejsca, robiąc przy tym dużo szumu: trzepotały wachlarze, pobrzękiwały paciorkami odkładane na bok woreczki, szeleściły suknie, a spojrzenia spod oka nadal były czujne i bystre jak wzrok majtka, obserwującego bacznie horyzont z bocianiego gniazda. Sam Horatio Nelson mierzył kiedyś takim wzrokiem Neda, gdy ten zdawał mu sprawę ze swych poczynań, ale nawet wówczas chłopak nie tracił pewności siebie i nie wątpił w słuszność swego postępowania. Teraz jednak, pod gradem spojrzeń trzech elegantek, poczuł, że drży.

Gdy tylko dokonano prezentacji i minęło pięć obowiązkowych minut, które - zgodnie z wymogami dobrego tonu - należało poświęcić na wymianę gładkich frazesów, kapitan grzecznie się usprawiedliwił i pożegnał urocze towarzystwo. Obawiał się jednak, że nie tyle oddalił się z godnością, ile uciekł, jak zwykła płaskodenka, gdy natknie się nagle na hiszpańską Armadę!

Nazajutrz odwiedził jednak ponownie miejską rezydencję lady Lydii. Zjawił się tam również - i to czterokrotnie - w następnym tygodniu. Za każdym razem jego wizyty kończyły się wkrótce po przybyciu innych gości. Mimo wszystko cieszyła kapitana możliwość widywania lady Lydii, choćby nawet rozmawiała z kimś innym. Poznawał jej ulubione powiedzonka, podziwiał, jak naturalnie się uśmiecha i jak otwarcie wyraża swoją radość i sympatię.

Eleganckie towarzystwo było - zdaniem Neda - fałszywe i ograniczone, lubowało się też we wszelkich ekstrawagancjach. Obawiał się, że bystry wzrok Lydii osłabnie w tym kalejdoskopie zaskakujących efektów, a jej gust tak dalece wypaczy się na diecie równie wyszukanej jak niestrawnej, że nic już nie zdoła jej zadziwić - była wszak w nieustannym kontakcie z tym, co rzadkie i osobliwe! Nie stwierdził jednak żadnych złych skutków: z niegasnącym zapałem witała każde nowe wydarzenie czy doznanie.

Było to fascynujące. I niezmiernie kuszące.

W następnym tygodniu zjawił się u jej drzwi (z całym rozmysłem) w porze, gdy zazwyczaj nie przyjmowano jeszcze gości. Lokaj wziął jego bilet wizytowy i poprosił, by pan kapitan był łaskaw zaczekać. Czekał więc pod drzwiami tak długo, że miał już odwrócić się i odejść, gdy otworzyły się wreszcie i zamiast lokaja stanęła w nich nieco zdyszana, ale rozpromieniona lady Lydia, w czepeczku odrobinę na bakier i w narzuconym pospiesznie na ramiona okryciu.

- A, to pan, kapitanie! - odezwała się. - Właśnie miałam wyjść. Nie załatwiłam wszystkich sprawunków dziś rano, a teraz słońce akurat się pokazało.

- Istotnie - odparł, skłonił się i odsunął na bok. - Proszę wybaczyć, że zjawiłem się zbyt wcześnie.

- Nic nie szkodzi! - zapewniła, schodząc po frontowych schodach i kierując się w stronę drzwi.

Ned rozejrzał się dokoła. Powóz powinien czekać na nią przed wejściem, ale charakterystycznego powoziku o żółtych kołach nigdzie

nie było widać. Czyżby trzeba go było oddać do naprawy? Ale w takim razie lokaj winien zadbać o to, by wynajęty powóz czekał już na nią!

- Może przywołać powóz, lady Lydio? - spytał.

- A prawda... - Rozejrzała się dokoła, najwyraźniej zmieszana. - Tak, będę panu bardzo wdzięczna.

Ned zrozumiał, co się stało. Lady Lydia postanowiła wybrać się po sprawunki dopiero wtedy, gdy przyniesiono jego kartę wizytową. Okazał się zanadto śmiały, a jego atencje zbyt wyraźne i Lydia nie chciała zachęcać go jeszcze bardziej. Kapitan zeszywniał. Zdumiało go, jak bolesne było dla niego to odkrycie. Nie może pozwolić, by lady Lydia spostrzegła, że zorientował się w sytuacji. Tylko by ją to zmartwiło i zażenowało.

Ruszył więc w stronę ulicy, unosząc rękę do góry. Ledwie wyszedł za bramę rezydencji, jakiś woźnica niewynajętego jeszcze powozu zauważył ten sygnał, odpowiedział podniesieniem bicia i podjechał bliżej. Ned odwrócił się z uprzejmym uśmiechem do lady Lydii.

Pomoże jej wsiąść do powozu i nie wróci już nigdy do jej domu. Pewnie zobaczy ją jeszcze na tym czy innym przyjęciu i tak się to skończy.

Tak się to skończy...

Powóz zatrzymał się z turkotem obok nich. Kapitan otworzył drzwi, zanim jeszcze woźnica zdążył zsiąść i opuścić schodki. Jak we śnie wyciągnął ramię, ona zaś wsparła się na nim. Nawet przez surdut

i koszulę czuł dotyk jej smukłych paluszków, jakby paliły go żywym ogniem. Ścisnęła go mocniej za rękę, a on spojrzał w jej twarz, zwróconą ku niemu.

Wpatrywała się w niego zagadkowym wzrokiem. Pomiedzy ciemnymi brwiami zarysowała się niewielka zmarszczka. Ned nie wiedział, co powiedzieć, jak się wytłumaczyć. Stał porażony uczuciem nieodwracalnej straty. Nie znał go dotąd, ale to wcale nie czyniło przeżycia lżejszym.

- Kapitanie...? - odezwała się z wahaniem Lydia.

- Słucham, madame? - zdołał wykrztusić.

- Ja... To znaczy... Pani Cod się zdrzemnęła, a ja... no cóż, spodziewam się gości dziś wieczorem... I nie chciałabym psuć szyków służbie, zabierając ze sobą Jamesa, lokaja... - Z trudem przełknęła ślinę. Fiołkowe oczy bacznie wpatrywały się w kapitana. - A ponieważ pan chciał zobaczyć się ze mną... To znaczy... Jeśli nie ma pan... żadnych ważniejszych obowiązków...

Urwała i przygryzła dolną wargę wyraźnie speszona.

Zrozumienie, ulga i ogromna radość zalały go niczym ożywcze fale, wypełniające wyschnięte koryto rzeki. Lydia chciała, żeby jej towarzyszył!

Wcale nie starała się go zniechęcić! Pobiegła na górę przebrać się i włożyć czepek - w nadziei, że spędzą ze sobą trochę czasu i nikt im w tym nie przeszkodzi! Dlatego właśnie była taka zdyszana. Dlatego nie czekał na nią żaden woźnica. I dlatego aż tak się zarumieniła!

Lydia raz jeszcze przełknęła ślinę i odwróciła wzrok.

- Oczywiście, ma pan mnóstwo innych zajęć.

Zbyt długo stał w milczeniu. Twarz Lydii okryła się jaskrawym rumieńcem, w jej oczach zaślnęły łzy upokorzenia. Chcąc czym prędzej schronić się do wnętrza pojazdu, zawołała:

- James, pojedziesz ze mną!

I wyciągnęła rękę, by zatrzęsnać drzwi.

Ned pochwycił jej dłoń, zanim zdążyła to uczynić, i zwrócił się do nadbiegającego lokaja:

- Nie jesteś już potrzebny. Ja będę towarzyszył lady Lydii, o ile wyrazi na to zgodę.

Lokaj spojrzał z ukosa na swoją panią. Lydia zaczerwieniła się znowu, ale tym razem nie był to bolesny rumieniec wstydu. Skinęła potakująco głową.

- Dziękuję! - powiedział cicho Ned.

Dopiero teraz zamknął drzwi po jej stronie, a potem obszedł powóz i wsiadł do niego ze strony przeciwnej.

12

W połowie drogi na St. James Street Lydia spytała nagle Neda, czy był już u Guntera.

- Nie mam przyjemności znać tego dżentelmena - odparł.

W jej oczach pojawiły się szelmowskie błyski.

- Nie? W takim razie musimy temu czym prędzej jakoś zaradzić: to wprost nie do wiary, kapitanie, żeby pan, bawiąc już tak długo w

mieście, nie odwiedził dotąd Guntera! Pozwoli pan, że was ze sobą poznam?

- Ależ oczywiście! - odparł.

Zgodziłby się pojechać z Lydią choćby na Wyspę Świętej Heleny i odwiedzić Napoleona, gdyby jej na tym zależało.

Uchyliła okienko w tylnej ścianie powozu i zawołała do woźnicy:

- Proszę nas zawieźć do Guntera!

Po czym z psotnym uśmieszkiem odwróciła się znów do Neda. Jej spojrzenie padło na jego rękaw, z którego wystawał rożek obszytej koronką chusteczki. Ned zaczerwienił się aż po uszy.

Od ogrodowego przyjęcia u lady Pickler, kapitana po prostu zasypywano ozdobnymi chusteczkami. Niektóre z nich pochodziły od matron, mających córki na wydaniu, inne od mężatek, jeszcze inne od anonimowych wielbicielek. Wszystko to było trochę żenujące i doprawdy nie wiedział, co robić z tymi dowodami sympatii.

- Nowa chusteczka, kapitanie? - spytała z niewinną miną.

- Hm - mruknął.

Od czasu do czasu, by uwiarygodnić nieco bajeczkę, którą zmyślił na oczekaniu u lady Pickler, kapitan nosił w rękawie jedną z takich chusteczek, ale czuł się wtedy jak skończony dureń. Czułby się jeszcze gorzej, próbując wyjaśnić motywy swego postępowania lady Lydii, która z pewnością uśmiełaby się do łez! A jednak teraz, gdy na nią patrzył, nie uśmiechała się przekornie, twarz jej złagodniała. Pochwyciła spojrzenie Neda i obdarzyła go uśmiechem, zapierających wprost dech.

- Jest pan niezwykle dobrym człowiekiem, kapitanie. I wyjątkowo rycerskim!

Ned z trudem przełknął ślinę. Nie mógł oderwać oczu od Lydii, ale nie potrafił odpowiedzieć jak należy na ten przesadzony komplement. Gdyby go zbagatelizował, w pewnym sensie zlekceważyłby lady Lydię, lecz nie mógł się przecież zgodzić, by go tak wychwalała!

Ona zaś przyglądała mu się badawczo, jakby potrafiła czytać w jego myślach. Twarz jej jaśniała wesołością.

- Biedny kapitan Lockton! - powiedziała współczująco. - Wiem, o czym pan myśli! Ze nie zasługuje na moje pochwały, prawda?

Popatrzył na nią bezradnie.

- Bo przecież - ciągnęła dalej z udaną powagą - pan naprawdę ma słabość do ozdobnych chusteczek! I wcale nie nosi ich pan przy sobie - na przykład tej - dla potwierdzenia historyjki, którą nas pan uraczył u lady Pickler! W gruncie rzeczy to pan powinien na kolanach dziękować tej damie, że dostarczyła panu pretekstu i teraz może pan bez obawy zaspokajać swoje nieco zniewieściałe upodobanie do wymyślnych chusteczek! W całej tej sprawie zachował się pan wyjątkowo egoistycznie i pragnął jedynie dogodzić własnym kaprysom, prawda?

Droczy się ze mną! - stwierdził Ned z zachwytem.

Nikt, nawet z jego rodziny - a może zwłaszcza z jego rodziny? - nie zdołał rozszyfrować go tak błyskawicznie i bez najmniejszego wysiłku! Wydało mu się to odrobinę niepokojące.

- Istotnie - przytaknął, podobnie jak ona udając śmiertelną powagę.

Wkrótce potem powóz omal nie wpadł na ogrodzenie, otaczające trawnik w centrum Berkeley Square, po czym zatrzymał się w cieniu wysokich klonów. Kapitan zauważył wiele innych pojazdów, zmierzających w tę samą stronę - otwartych i zadaszonych, dwukółek i faetonów.

Zerknął podejrzliwie na lady Lydię. Wskazała mu krępego, łysiejącego jegomościa w kolorowej kamizelce, opasanego fartuchem. Człowiek ten zmierzał ku nim, nie zważając na jadące ulicą powozy.

- Otóż i lady Lydia! - wysapał mężczyzna, dotarwszy do powozu. - To prawdziwa radość ujrzeć znów panią, milady! Długo nas pani nie odwiedzała. Zbyt długo! Chyba cały tydzień, jeśli się nie mylę.

- Dzięki, Sam - odparła ze swobodą. - Za to przywiozłam dziś kogoś, kto - mam nadzieję - stanie się także gorącym wielbicielem waszego kunsztu.

Mężczyzna w fartuchu wykręcił dość karkołomnie głowę i zerknął na kapitana.

- Ach tak? Dzień dobry panu. Witamy w cukierni Guntera!

- W cukierni? - powtórzył nieco zdezorientowany Ned.

Zatrzymali się przecież na ulicy!

Lady Lydia się roześmiała.

- To tam! - Wskazała ruchem głowy wejście do cukierni, skąd wypływał nieprzerwany strumień mężczyzn w fartuchach, z tacami w ręku albo bez tac. - Taki to już zwyczaj u Guntera, że kelnerzy spieszą

do klientów, by mogli nie opuszczać swoich powozów. Radzę zamówić lody! - szepnęła konfidencyjnie. - Są niezrównane!

- W samej rzeczy! - potwierdził z dumą Sam. - Na co pani da się dziś skusić, milady?

Lydia przechyliła się przez boczną ściankę powozu i przybrała bardzo poważną minę.

- A co byś mi polecał, Sam?

Nie ulegało wątpliwości, że takie pogaduszki są ich stałym zwyczajem. Kelner przybrał równie skupiony wyraz twarzy. Wydał dolną wargę, namyślając się głęboko. Lady Lydia czekała na jego wyrok niezwykle zainteresowana. Sądząc z wyrazu ich twarzy, można by pomyśleć, że dyskutują o niezwykłych zaletach najrzadszych gatunków win, a nie o lodach!

- No cóż... Mamy *Parmesan creme* - lody z parmezanem - coś doprawdy niespotykanego! Jednak, moim zdaniem, godzina jest jeszcze za wczesna na specjał o tak męskim i pikantnym smaku. *Ratafia* - lody migdałowe - są przepyszne. Mamy też *neige de pistacchio*, lody pistacjowe. Te zawsze cieszą się powodzeniem. A także *ambergrisfromages glace* - srebrno-złoty sernik lodowy.

Na Lydii jednak wszystko to nie zrobiło większego wrażenia i kelner był wyraźnie zgnębiony tym, że ją rozczarował.

- Ach, co też mówię! - wykrzyknął dramatycznie. - Dla pani trzeba czegoś bogatszego w smaku, czegoś, co łączy w sobie słodczy z odrobiną goryczki, prostotę z wyrafinowaniem... Znalazłem coś

wprost stworzonego dla pani, milady. Ośmielam się sugerować lody karmelowe!

Oblicze lady Lydii natychmiast się rozjaśniło.

- Chyba trafiłeś w sedno, Sam!

- A pan - tu kelner zmierzył Neda okiem eksperta - po prostu musi skosztować naszych lodów wawrzynowych!

- Jeśli muszę, to nie ma rady - pogodził się z losem kapitan.

- Będą tu za pięć minut! - przysięgał Sam.

Pędem wrócił na drugą stronę zatłoczonej ulicy, cudem unikając śmierci pod kołami rozpędzonej kariolki.

Gdy tylko się oddalił, Lydia wybuchnęła śmiechem.

- Obawiam się, że zwabiłam tu pana podstępem, kapitanie! Ale, prawdę mówiąc, ilekroć znajdę się w pobliżu Berkeley Square, muszę wstąpić do Guntera i skosztować któregoś z jego arcydzieł. Całe szczęście, że wyjadę z Londynu pod koniec sezonu, inaczej utuczyłabym się jak pularda. Ubóstwiam słodczyce!

- Przypuszczam, że szef pani kuchni też potrafi ukreślić lody?

- Nie mam żadnego szefa kuchni, tylko zwykłą kucharkę. Samotna dama nie tak znów często przyjmuje gości! Przyznam, że najgorsze instynkty łakomczucha budzą się we mnie dzięki zaproszeniom od przyjaciół.

Ned nie przypomniał jej nietaktownie, że dziś wieczorem będzie miała gości na obiedzie, gdyż nabrał poważnych wątpliwości, czy to prawda. Lydii najwyraźniej wyleciało już z głowy to kłamstewko. A

sam fakt, że wymyśliła je specjalnie na jego użytek, równocześnie pochlebiał kapitanowi i wprawiał go w zakłopotanie.

- A poza tym - ciągnęła Lydia - nic tak nie dodaje smaku potrawom, jak dobre towarzystwo!

Choć powiedziała to lekkim tonem, Ned czujnie nadstawił uszu. Lady Lydia słynęła ze swojej niezależności, a jednak najwyraźniej czuła się czasami niepewnie... Zresztą, może zbyt wiele starał się wyczytać z jednego krótkiego zdania? Nie sądził jednak, żeby tak było istotnie.

- Proszę wybaczyć moją ignorancję, ale nie znam się zupełnie na takich sprawach: czy jako kapitan okrętu jadał pan przeważnie sam?

- Nie - odparł Ned. - Moi oficerowie zawsze mi towarzyszyli.

- W takim razie musiało wam być wesoło!

Wzruszył ramionami.

- O ile było akurat spokojnie, a pogoda sprzyjała, to tak. Często jednak bywaliśmy zbyt zmęczeni, by się bawić w konwersację, i jedliśmy co bądź, byle utrzymać duszę w ciele.

- Podczas bitwy? - spytała cicho.

- Tak - odparł. - Ale nieraz chwilowa cisza między jednym a drugim starciem bywa jeszcze bardziej wyczerpująca.

Lydia skinęła głową.

- Rozumiem doskonale, że takie chwile ciszy, pełnej napięcia, mogą szarpać nerwy nie gorzej niż najcięższe zmagania. Wyobraźnia bywa niekiedy wyjątkowo groźnym przeciwnikiem!

- Ma pani całkowitą słuszość, lady Lydio - odparł, raz jeszcze zaskoczony jej przenikliwością.

Mógłby czuć się specjalnie wyróżniony tym, że poświęca mu tyle uwagi, ale wyczuwał intuicyjnie, że lady Lydię interesują nie tylko jego doznania. Widać chęć zgłębienia istoty każdej rzeczy była jej cechą wrodzoną. Tak samo pragnęła dotrzeć do każdego serca, przeniknąć wszelkie ludzkie uczucia... Poznali się przed kilkoma zaledwie tygodniami, a ona już rozumiała go lepiej niż towarzysze, z którymi przez całe lata pływał na jednym okręcie.

- Najmocniej przepraszam, że tak to. długo trwało! - Kelner pojawił się znowu obok ich powozu. Niósł niewielką tackę, a na niej dwa oszronione cynowe pucharki, napełnione po brzegi lodami. - Zajęło mi dłuższą chwilę odnalezienie pani łyżeczki, lady Lydio.

Ned zwrócił się do niej.

- Ma tu pani własną łyżeczkę?

Zarumieniła się i odchrząknęła nerwowo, ale nim zdążyła odpowiedzieć, Sam ją wyręczył:

- Ależ oczywiście! I własny pucharek Lady Lydia żywi prawdziwe upodobanie do naszych słodczy! - oznajmił z dumą.

Ned poszedł za przykładem innych dżentelmenów: wysiadł z powozu i odebrał od Sama lody, które kelner mu podawał. Potem zapłacił mu, obdarzając go szczodrym napiwkiem, i przeszedł na drugą stronę powozu. Oparł się wreszcie o ogrodzenie, zginając przy tym nogę w kolanie tak, że obcasem dotykał hamulca powozu. Teraz

mógł swobodnie rozmawiać z Lydią; nie musiał się odwracać, by na nią spojrzeć.

Podniósł właśnie na nią wzrok, gdy wzięła do ust łyżeczkę lodów. Aż przymknęła oczy z rozkoszy.

- Cudowne! - szepnęła jak w ekstazie.

I to właśnie sprawiło, że zachwyt Neda wyraził się w sposób jak najbardziej fizyczny. W gardle mu zaschło, ciałem wstrząsnął dreszcz gwałtownego pożądania. Samo przyglądanie się lady Eastlake, delektującej się lodami, stało się niemal aktem miłości cielesnej, której Ned nie uprawiał od miesiący. Nie mógł oderwać wzroku od warg Lydii, urzeczony sposobem, w jaki za każdym razem obejmowały łyżeczkę pełną karmelowego specjału, zanim wślizgnęła się głębiej do ust, by następnie - z dręczącą powolnością - wynurzyć się stamtąd całkiem pusta.

Ned nie był święty, ale nigdy dotąd nie odczuwał równie gwałtownego pożądania. Zdawało mu się, że całkiem dobrze zna samego siebie. Ten nagły poryw żądy udowodnił jednak, ile była warta ta jego świadomość! Słynął z umiejętności panowania nad sobą, a jego zdolność do przetworzenia gwałtownej pasji w logiczne rozumowanie sprawiła, że stał się wzorowym dowódcą. Szczerze wierzył, że w czasie bitwy każdy powinien kierować się rozsądkiem, nie zaś uczuciem, choćby działał pod wpływem nie wiem jak silnych emocji. Tym razem jednak emocje okazały się całkowicie odmienne od wszystkich, z jakimi dotychczas się zetknął. To, co odczuwał w tej

chwili, nie miało nic wspólnego z uznaniem czy podziwem - była to najczystsza żądza.

Raz jeszcze Lydia wsunęła srebrną łyżeczkę między wargi, zlizując z niej kolejną porcję karmelowych lodów i wzdychając. Ned przełknął ślinę, modląc się, by jego towarzyszka nie dostrzegła, jak piorunujące wrażenie wywiera na nim. Ta kobieta potrafiła z lubowania się deserem uczynić prawdziwą sztukę, a on, do diabła, nie mógł nic poradzić na wizję przesuwaną się lotem błyskawicy przed jego oczyma.

- Co się stało, kapitanie? - spytała nagle Lydia.

Oderwał wzrok od jej ust. Nie mógł tu wiecznie stać, wpatrując się w nią takim wzrokiem, jakim drapieżnik mierzy najsmakowitszą z potencjalnych zdobyczy.

- Udowodniłam, jaki ze mnie łasuch, czy tak? - spytała niespokojnie. - Mam nadzieję, że pana nie zaszokowałam!

Robił co mógł, by odpowiedzieć jej swobodnym uśmiechem.

- Nic podobnego, madame - odparł. - Podziwiałem tylko pani... technikę.

O Boże! Co za dureń z niego! Pospiesznie zagłębił swoją łyżeczkę w lodach i wepchnął ich jak najwięcej do ust.

- Ależ nie tak, kapitanie! - jęknęła Lydia. - Proszę ich nie połykać tak gwałtownie, to nie owsianka. Jedzenie lodów powinno być niemal duchowym przeżyciem!

Na szczęście, poczucie humoru przyszło w sukurs kapitanowi.

- Błagam o wybaczenie. Obawiam się, że nie mam dostatecznie wyrobionego podniebienia - tłumaczył się gęsto. - A może po prostu nie posiadam, niestety, takich jak pani zdolności delektowania się urokami życia?

- Ależ skąd! - odrzuciła stanowczo to przypuszczenie. - Nigdy w to nie uwierzę! Zapewne pan tylko zapomniał, jak można się cieszyć życiem. - Uśmiechnęła się figlarnie, jak mały urwis. - Albo raczej nie zapoznał się pan jeszcze ze wszystkimi jego radościami!

Z całą pewnością nie znał niektórych tak dogłębnie, jakby tego pragnął.

- Ale ja - ciągnęła dalej, darząc Neda kolejnym uśmiechem, który pobudził jego serce do gwałtownego bicia - znajdę na to radę!

Boże, zmiłuj się! Skinął w milczeniu głową.

- A zatem, proszę przyglądać się uważnie, gdy będę pana wtajemniczała w szlachetną sztukę jedzenia lodów!

Uważnie, bez pośpiechu nabrała trochę lodów na łyżeczkę. Uniosła ją do ust, przymknęła oczy, wciągnęła do noska miłą woń, aż jej nozdrza leciutko się rozděły.

- Karmelowe! - oznajmiła, nie otwierając oczu. - Wyraźnie czuję zapach palonego cukru. Nie jest jednak zbyt mocny. Przypomina raczej woń perfum i stanowi zapowiedź czekającej nas słodyczy.

- Rozumiem.

- A teraz niech pan skosztuje lodów, ale tylko odrobinę, na zaostrenie apetytu!

Rozchyliła lekko usta. Ned zobaczył, jak różowy koniuszek jej języka wysuwa się, by dotknąć topniejących lodów. Bardzo ostrożnie wsunęła skromną porcyjkę słodczy między wargi, a następnie wyciągnęła łyżeczkę z ust. Otworzyła oczy, złączyła znów wargi i dyskretnie je oblizwała.

Nie miała pojęcia, jakie mu zadaje męki.

- No, proszę zjeść łyżeczkę lodów - poleciła mu tonem instruktorki. - Nie wolno połykać ich od razu! Niech się roztopią na podniebieniu i napełnią pańskie usta aromatem. A pan ma się napawać tym doznaniem! I niechże się pan postara, by ta przyjemność trwała jak najdłużej. W żadnym wypadku nie wolno, ciesząc się tą łyżeczką lodów, myśleć już o następnej, ani - broń Boże - wybiegać myślą poza ostatnią! Niechaj ta chwila i ta łyżeczka lodów przesłonią panu wszystko: przeszłość i przyszłość!

Wprowadziła swe słowa w czyn i jej oczy znów przymknęły się w upojeniu. Nedowi z trudem udało się zachować łagodny i uprzejmy wyraz twarzy. Nie zwykł poddawać się impulsom, w tej chwili jednak marzył o tym, by wtargnąć do wnętrza powozu, przyciągnąć głowę Lidii do siebie, zlizać lody z jej warg, a potem - ze zdwojonym zapalem - badać ich aromat i smak we wnętrzu jej rozchylonych ust.

Niemal z desperacją szukał sposobu skierowania myśli Lydii na inne tory, by przestała go nękać dalszą nauką jedzenia lodów!

- Kto panią nauczył tak się rozkoszować każdą chwilą?

Lydia otworzyła oczy i przez chwilę spoglądała na niego w zadumie, nim odpowiedziała:

- Moi rodzice, ale chyba przede wszystkim moja matka.

- A w jaki sposób?

Liznęła łyżeczkę delikatnie, po kociemu. Ned z determinacją nie odrywał wzroku od jej oczu.

- Powtarzała mi stale, jak wyjątkowo jestem uprzywilejowana, mogąc zwiedzić taki kawał świata i poznać tylu ludzi. Ostrzegała mnie również, bym niczego nie uważała za pewne i niezmiennie.

- Maksyma godna pochwały.

- Sama też się nią kierowała. Ale niekiedy...

Zamilkła nagle i znów popadła w zadumę.

- Niekiedy? - powtórzył Ned, pragnąc, by wyraziła do końca swoją myśl.

- Niekiedy zastanawiałam się, czy nie uważa tych ekscytujących przeżyć za rodzaj zadośćuczynienia dla mnie - za to, że oboje z ojcem nie mogli zapewnić mi stałego domu. Może to zresztą naprawdę rekompensowało mi jego brak?

- A właściwie dlaczego była go pani pozbawiona? - spytał zaintrygowany.

Obrzuciła go przelotnym spojrzeniem pełnym niedowierzania.

- Ze względu na ich małżeństwo.

Spojrzał na nią pytająco.

- Naprawdę jeszcze pan o tym nie słyszał? Sądziłam, że do tej pory plotki...

- O czym miałbym słyszeć?

- Moja matka była najpierw żoną starszego brata mego ojca.

Lydia popatrzyła mu prosto w twarz, badawczo, bez cienia zażenowania.

- Wywołało to, jak mi mówiono, wielki skandal.

Teraz Ned rozumiał już wszystko. W Anglii obowiązywał zakaz zawierania małżeństw zarówno z siostrą zmarłej żony, jak i z wdową po bracie. Na tego rodzaju związki spoglądano krzywym okiem w całym kraju, a co gorsza, można je było oficjalnie uznać za nielegalne, jeśli komuś na tym zależało. Chociaż więc zdarzały się takie małżeństwa, niezmiernie trudno było znaleźć duchownego, który zgodziłby się połączyć podobną parę węzłem małżeńskim, zwłaszcza jeśli państwo młodzi należeli do arystokracji. Na kontynencie europejskim kler był bardziej skłonny do ustępstw.

Rodzice lady Lydii musieli zatem udać się na kontynent, żeby wziąć ślub - i pozostali tam w obawie, by swym powrotem do Anglii nie sprowokować kogoś do zakwestionowania legalności ich związku. W tej sytuacji Lydia, ich córka, mogłaby zostać uznana za bękarta.

- Rozumie pan więc, czemu podejrzewam, że moi rodzice robili dobrą minę do złej gry, przedstawiając nasz koczowniczy tryb życia nie jako smutną konieczność, tylko realizację ich własnych upodobań.

Lydia obserwowała bacznie kapitana, starając się odgadnąć, jak zareaguje na te rewelacje.

- Cóż... to możliwe. Ale mogło być i tak, że pani matka po prostu chciała, by córka kochała to, co ona. Czyż tak nie było?

Błysnęła zębami w uśmiechu.

- Owszem, dopóki rodzice żyli, nie brakowało mi niczego do szczęścia! Dopiero po ich śmierci odkryłam...

Urwała i odwróciła wzrok.

- Co pani odkryła? - spytał miękko.

Znów to pełne wahania, spłoszone spojrzenie.

- Uświadomiłam sobie ciemne strony życia, jakie prowadziliśmy. Nikt nie znał mnie i nie lubił dość, by domagać się opieki nade mną, poczuć się zobowiązanym do pomocy czy odpowiedzialnym za mój los. Kiedy rodzice umarli, miałam wrażenie, że i ja umarłam wraz z nimi. A w każdym razie przestałam się liczyć w jedynym świecie, jaki znałam.

Biedne dziecko... Biedna dziewczynka!

- Książę regent wyznaczył mi opiekuna, sympatycznego starszego pana, który o niedorosłych dziewczynkach nie wiedział nic a nic. I tyle samo go obchodziły. Znalazł dla mnie miejsce w jednym ze swoich domów w Wilshire. I wówczas... gdy nikt się nie zjawił, a nawet nie napisał, zrozumiałam, że dla większości ludzi, z którymi się stykaliśmy przez kilka tygodni to tu, to tam - w stolicach różnych państw, na rozmaitych dworach, w niezliczonych pałacach, przestałam istnieć nie wtedy, gdy moi rodzice zmarli, ale znacznie wcześniej, kiedy tylko opuściliśmy jakiś region, dwór czy kraj, w którym akurat gościliśmy. Zapominano o nas natychmiast po wyjeździe.

- Tak mi przykro.

Wzruszyła ramionami, jakby wstydząc się własnej słabości.

- Teraz to już nie ma znaczenia. Mówię o tym tylko dlatego, żeby wyjaśnić, czemu nie poszłam w ślady swojej matki. Mimo że starała się, jak mogła, zaszczepić mi entuzjazm do wędrownego życia, nie pragnę ciągłych zmian. Im jestem starsza, tym bardziej cenię sobie to, co mam, i chcę, by nadal otaczali mnie ci sami ludzie i dobrze mi znane rzeczy.

Ned rozumiał ją doskonale. Josten Hol było w jego życiu symbolem podobnej niezmienności.

- Nie chcę, by zapomniano o mnie, gdy tylko wyjdę z pokoju! Wyjaśniało to bardzo wiele. Jej wygląd i styl, który nie pozwalał nikomu o niej zapomnieć. I jej niezłomne poczucie lojalności.

- Ale, być może - dodała - moja matka miała rację. Może nie należy przywiązywać się zbyt mocno do żadnej osoby ani rzeczy. Ani nawet do stylu życia.

- Istnieją przecież tradycje, miejsca i więzi między ludźmi, które warte są tego, by je utrzymać?

- Tylko jak daleko można się posunąć w pragnieniu utrzymania ich? - spytała. - Zmiany są czymś nieuchronnym, prawda? Skąd wziąć pewność, że coś jest warte tego, by walczyć i nie szczędzić ofiar, byle je zachować?

Ned nie mógł jej dać pewnej, jednoznacznej odpowiedzi. On sam gotów był zawrzeć małżeństwo z rozsądku dla dobra rodziny, by ocalić ich wspólny dom i styl życia, choć dzielił z nimi to życie zaledwie przez czternaście lat. Nigdy nie zadawał sobie pytania,

czyjego decyzja była słuszna. Tego żądała odeń rodzina. To było jego obowiązkiem.

Kelner o imieniu Sam pojawił się znów obok ich powozu, żeby odebrać od nich pucharki i łyżeczki. Spojrzał z aprobatą na opróżniony do czysta pucharek Lydii.

- Widzi pan? - pouczył Neda przyjacielskim tonem. - Lady Lydia umie wykorzystać to, co dobre, i nie zmarnować ani odrobinki! To cenny wyjątkowy dar. Nie ma drugiej takiej jak ona!

W ciągu jednej krótkiej godziny, spędzonej w towarzystwie Lydii, Ned doświadczył przeróżnych uczuć, jak oczarowanie, rozbawienie, pożądanie. A na koniec został zmuszony do oceny własnych życiowych wyborów.

Doprawdy, nie było drugiej takiej jak ona!

13

Czerwiec 1816

W pokoju na tyłach szulerni przy Lisie Street Childe Smyth podniósł do oczu kieliszek pośledniego koniaku. Spoglądał ze zniechęceniem na bursztynowy trunek. Identyczny kolor jak oczy jego kochanki! Powinien znajdować się teraz w jej łóżku, a nie czekać tu, aż synalek Jostena przestanie rzygać w bocznej alejce, i będą mogli rozdać znów karty. Childe musiał jednak dbać o swoją reputację, ta zaś opierała się częściowo na ogólnym przekonaniu, że jest podrywaczem co się zowie, a nie mięczakiem, który trzyma się jednej spódnicy, i to tak, że nie może znieść dłuższej rozłąki!

Nie był, oczywiście, takim mazgajem. Jasne, że nie! Jednak mimo woli zastanawiał się, co porabia jego kochanka, gdy nie ma go przy niej. Nie wiedział nawet, co to zazdrość, dopóki nie spotkał Kitty. Nawet teraz, gdy był już od lat jej opiekunem, wściekał się, ilekroć jakieś typki patrzyły na nią pożądliwym wzrokiem. Niektórzy zabierali swoje kochanki do Covent Garden i Vauxhall albo do opery, żeby się nimi pochwalić, ale on wolał mieć Kitty wyłącznie dla siebie. A jej to jakoś nie przeszkadzało.

To właśnie - między innymi - tak go w niej urzekało przez wszystkie te lata. Kitty nie tylko zachwycała go urodą, ale było mu z nią tak miło, tak wygodnie... To zmysłowe stworzonko, gdy zostało zaspokojone, przypominało leniwego, rozpieszczonego kotka, który co prawda wie, że gdzieś tam, za drzwiami buduaru, jest jakiś inny świat, ale nie ma ochoty go poznawać. Wymagałoby to zbyt wiele wysiłku! Childe bywał naprawdę szczęśliwy jedynie w towarzystwie tej miłej, naprawdę troszczącej się o niego kobiety. W tych cudownych godzinach odpoczywał od fałszu i pozorów wielkiego świata.

A jednak te pozory i pozycja w świecie miały dla niego niebagatelne znaczenie. Zasadnicze! Jego rodowe nazwisko nie należało do najstarszych ani najszlachetniejszych. Był, rzecz jasna, dżentelmenem, nawet bogatym dżentelmenem, ale nikim więcej. Jego ambicje sięgały znacznie wyżej. Marzył o dotarciu na sam szczyt. Pragnął, by wszyscy go podziwiali, naśladowali, usiłowali mu

dorównać. Żeby kilkoma słowami mógł wynieść kogoś na wyżyny albo zniszczyć, jak niegdyś Brummell.

Smyth skrzywił się na wspomnienie tego arbitra elegancji. Raniło go do żywego, że ktoś, kogo znacznie przewyższał dobrym wychowaniem i manierami, wdrapał się na sam szczyt, chociaż to on - Childe - powinien ów szczyt zdobyć! Ale teraz Brummell był skończony. Uciekł przed wierzycielami na kontynent. I otwierały się niesłychane możliwości dla kogoś, kto mógł stać się kolejnym niekoronowanym władcą wielkiego świata. Jak dotąd, Childe'owi nie udało się pokonać innych pretendentów do tego tronu.

Smyth nie mógł pojąć, czemu nie osiągnął jeszcze ostatecznego sukcesu. Zrobił wszystko, by umocnić swoją pozycję i reputację. Zbliżył się z najwybitniejszymi przedstawicielami elity towarzyskiej, przejął ich sposób życia i upodobania. Ogromnie dbał o to, żeby zawsze mieć właściwych przyjaciół i właściwy wyraz twarzy, a jednak ostateczne zwycięstwo ciągle wymykało mu się z rąk. No cóż, pomyślał kwaśno, jest jeszcze jedna ścieżka wiodąca do tego celu: zdobycie fortuny.

Nie szło o przeciętną fortunę. Ani o to, żeby można było żyć dostatnio. Nawet nie o to, by móc szastać pieniędzmi. Jedyne rodzaje fortuny, jaki - jego zdaniem - wchodził w grę, to góra złota, za którą można by kupić niewielkie państwo. Childe zresztą w każdej chwili mógł zostać spadkobiercą takiej właśnie fortuny, pod warunkiem że ożeni się, zanim jego dziadek zejdzie z tego świata.

Na samą myśl o swych niedalekich zaślubinach z bliżej nieokreśloną młodą damą Childe przestał wpatrywać się w koniak i pociągnął zdrowy łyk tego trunku.

Nie znaczyło to wcale, że był przeciwnikiem małżeństwa! Zawsze zakładał, że w końcu spełni obowiązek i spłodzi całe stadko berbeci, żeby miał mu kto pomagać w wydawaniu odziedziczonych po dziadku pieniędzy. Mierziło go jedynie to, że stary czort przypierał go do muru i szantażował swoim coraz gorszym zdrowiem. Childe nie miał najmniejszych wątpliwości, że podły sukinsyn i skąpiec wydziedziczy go choćby w ostatniej godzinie swojego życia, jeśli nie zdoła zapędzić wnuka do ołtarza, zanim wybije ta godzina. Staruch nienawidził go, a poza tym nie mógł ścierpieć tego, że nie może nagiąć Childe'a do swojej woli. Wyglądało jednak na to, że wreszcie postawi na swoim...

W dodatku dziadek rzeczywiście czuł się coraz gorzej. A niech to wszyscy diabli! Jeśli już nie mogę być razem z Kitty, dumął Childe, mógłbym przynajmniej zajrzeć na jakiś bal i rozejrzeć się, psiakrew, za przyszłą panią Smyth... Powinna to być dama, której poślubienie podniesie jeszcze jego pozycję towarzyską. Żywił też nadzieję, że nie przyjdzie jej do głowy, kimkolwiek by była, iż on wyrzeknie się dla niej Kitty, bo nie miał najmniejszego zamiaru tego robić - ani teraz, ani nigdy!

- Ten mały Jostena nadal liczy kocie łby na dziedzincu? - spytał jakiś głos z cudzoziemskim akcentem.

Childe podniósł głowę i ujrzał księcia Carvellego. Włoch wrócił właśnie z frontowego pokoju, centrum szulerni, w towarzystwie trzech innych mężczyzn - bogatych mieszczuchów.

- A jakże! - odparł Smyth. - Jego kuzynek trzyma go za głowę. Borton też tam jest i gdać jak kwoka. Bez wątpienia ostrzega chłopców, żeby nie siadali do gry z takimi typkami jak ja. Ciekawe, kto to zatrudnił Bortona w charakterze niańki?

Carvelli wzruszył ramionami. Na jego twarzy malował się smutek.

- I tak niewiele to da. Smarkacz, który uprze się puścić rodziców z torbami, zawsze znajdzie jakiś sposób, by dopiąć swego!

- Tam do licha! Gadacie jak klechy, a nie rycerze zielonego stolika! - sarknął Tweed, młody rozpustnik o pozbawionych litości oczach.

- Może na dziś damy już temu spokój? - zaproponował Carvelli.

- Pewnie! - zadrwił Tweed. - Jeśli brak wam odwagi, by zagrać naprawdę ostro!

Childe nie lubił Tweeda. Był to bękart jakiegoś tam baroneta, w gruncie rzeczy zwykły parweniusz, a uważał się za lichu wie kogo. A w dodatku zawsze był skory do bijatyki i wyrobił już sobie opinię bezwzględnego szulera. Jego dwaj przyjaciele, trochę lepiej od niego wychowani (choć starali się to ukryć za wszelką cenę), mieli Tweeda za bohatera i wyrocznię.

Mimo wszystko, myślał Smith, nie mogę sobie pozwolić na to, by ktokolwiek, nawet ten szczeniak, rozgłaszał wszem wobec, że Childe Smyth trzęsie portkami ze strachu!

Wzruszył więc ramionami.

- Cóż, Josten może sobie pozwolić na gruntowną edukację smarkacza!

Postanowił, że zagra jedną, najwyżej dwie partyjki i wynosi się stąd. Pokaże się na kilku wieczorkach tanecznych w całkiem innej, przyzwoitej części miasta.

- Ja się postaram o dzin. A wy może ściągniecie tu resztę graczy?
- zwrócił się Tweed do swoich kompanów.

Wszyscy trzej wyszli, nie szczędząc pogardliwych prychnięć i sarknięć. W pokoju pozostali tylko Childe i Carvelli.

- Ja wychodzę - stwierdził książę. - Choć inni pewnie okrzykną mnie tchórzem.

Carvellemu nie brakowało odwagi ani gotówki, ale wyraźnie chciał ulotnić się jak najszybciej. Ostatnimi czasy był jakiś roztargniony i poirytowany. Można by pomyśleć, że to jego zmuszano do ożenku!

- Czy nie zostawiłeś przypadkiem we Włoszech chorowitego dziadka, mości książę? - zagadnął Childe. - Ogarniętego niezrozumiałym pragnieniem huśtania na kolanach twego legalnego potomka?

Carvelli się zdumiał.

- Nie. Czemu o to pytasz?

- Tak się składa, że to ja mam dziadunia, który ubrdał sobie, iż powinienem czym prędzej postarać się o żonę. Myślałem, że może i ty...

Urwał i uśmiechnął się z ironią.

- Zapomniałeś widać, przyjacielu, że ja mam już żonę - odparł Carvelli.

- Rzeczywiście, zapomniałem - przyznał Childe. - Rzadko o niej wspominasz. ..i w ogóle o swoich krewnych.

- Wszystko, co można o niej rzec, sprowadza się do krótkiego stwierdzenia: to święta - oświadczył Carvelli i zaśmiał się gorzko. - Ja, niestety, jestem grzesznikiem, co zarówno ona, jak i moja rodzina, wytykają mi przy każdej sposobności. Chyba cię więc nie dziwi, że wolę przebywać w Anglii, by takich sposobności było jak najmniej?

- W końcu jednak będziesz musiał do niej wrócić i postaracie się wspólnie o kupę dzieciaków. Każdy musi wypełniać swe obowiązki.

- Święci się nie rozmnażają! - rzucił brutalnie Carvelli. Zaraz jednak zdał sobie sprawę, że traci panowanie nad sobą, odprężył się więc i uśmiechnął. - W każdym razie nie przewiduję wyjazdu z Anglii w najbliższej przyszłości.

- Powinieneś postarać się o kochankę, przyjacielu! - poradził mu Childe i znów przyszła mu na myśl Kitty.

Carvelli uśmiechnął się szerzej.

- Tak sądzisz? Może masz rację.

- Bez wątplenia! Znajdź sobie kochankę i od razu poczujesz się lepiej.

- Może tak zrobię. Prawdę mówiąc... - Carvelli klepnął Smytha po plecach. - Chyba od razu poszukam chętnych na to stanowisko. Jeśli dzisiejsza noc jest odpowiednia na bale, czyli polowanie na żony, to z pewnością spędzę ją jeszcze przyjemniej, polując na kochankę!

Z beztroskim uśmiechem na ustach i z błyskiem czarnych oczu książę wyszedł z pokoju, wołając, by podano mu jego płaszcz i laskę.

Childe zaklął z cicha. Teraz utknął tu na dobre: z Tweedem i jego kompanami, z Bortonem i głupimi chłopakami Locktonów! No, może dzięki tym smarkaczom będzie się z czego pośmiać.

Ależ zmartwiony byłby zacny kapitan Lockton, gdyby się dowiedział, z kim się znów zadają jego bratanek i siostrzeniec! Oczywiście nie dałby po sobie poznać, jaki jest zły, nie zdobyłby się na słowo dezaprobaty! Z wyjątkiem ich pierwszego spotkania u Boodle'a, Childe nigdy nie słyszał, by ten człowiek zrobił jakąś uwagę nie na miejscu!

Ten Lockton miał sylwetkę atlety i rysy greckiego bóstwa, ale nawet palcem nie kiwnął, by wykorzystać takie atuty. Brakowało mu pewności siebie, własnego stylu, zuchwałości i ognia.

Co prawda, to, co Childe o nim sądził, nie miało żadnego znaczenia. Damy z wielkiego świata z pewnością nie dopatrzą się w kapitanie żadnych wad. Przez ostatni miesiąc polowały na niego z takim zapalem, jak sfora ogarów na pierwszego wiosennego szaraka! Kapitana Locktona można było spotkać wszędzie - otrzymywał więcej zaproszeń na przyjęcia i rauty niż Childe.

Lockton zdobył nawet przychylność lady Lydii Eastlake. Był to, oczywiście, tylko przelotny kaprys z jej strony. Coś takiego nigdy nie trwa długo! Childe nadal był pewny, że wygra swój zakład z Carvellim. Ale nie da się ukryć: na każdym z trzech wieczorków tanecznych w ubiegłym tygodniu Lockton tańczył dwukrotnie z lady Lydią. To jednak dawało do myślenia.

Nie, nie! To jedynie zachcianka lady Lidii, doszedł do wniosku Childe. Była zbyt wyrafinowana, światowa, nowoczesna, by myśleć o ustatkowaniu się na dobre. I to z kim? Na pewno nie z wypranym z wszelkiej namiętności kapitanem Locktonem, choćby był nie wiem jak przystojny, ujmujący i skoligacony! Jeśli krążące po Londynie pogłoski były prawdziwe - a Smyth nie miał powodu, żeby w nie wątpić, gdyż potwierdziła je księżna Grenville, protektorka i przyjaciółka lady Lydii - fiołkowooka piękność zastanawiała się, czy nie warto wyjść za mąż.

To by wiele wyjaśniało! W ciągu ośmiu sezonów - od chwili, gdy została przedstawiona u dworu - lady Lydia nigdy nie błyszczała tak wspaniale, jak w tym roku. A to oznaczało, ni mniej, ni więcej, że była najpiękniejsza! Jej śmiech działał jak lubczyk, jej wesołość udzielała się innym, a radosne podniecenie musowało we krwi „Niezrównanej” niczym szampan.

Smyth się zadumał. Czemu miałyby marnować taką energię na zdobycie człowieka, który, jak się wydawało, nie był w stanie docenić jej ognia? Po chwili Childe doszedł do wniosku, że rozwiązał tę zagadkę. W ciągu ostatnich kilku sezonów lady Lydia pozwoliła sobie

na to i owo, co zmusiło bardziej konserwatywne podpory wielkiego świata do uniesienia brwi z dezaprobatą. Niektóre z tych matron miały synów - partie godne uwagi! Jakież mógłby być dla nieostrożnej damy lepszy sposób odzyskania nieposzlakowanej opinii niż zdobycie wiernej eskorty w osobie przyzwoitego aż do przesady kapitana?

Był to taki rodzaj intrygi, jakiej Smyth mógł się spodziewać po kimś obdarzonym nieomylnym wyczuciem i doskonałą orientacją w sprawach wielkiego świata, a Childe podziwiał Lydię za jedno i drugie. Byłaby dla niego, uświadomił sobie nagle, idealną wprost żoną! Miała doskonałą prezencję, znakomite koneksje i szacowne nazwisko. Znacznie lepsze niż jego własne, prawdę mówiąc, nawet jeśli wziąć pod uwagę, że małżeństwo jej rodziców nie było całkiem legalne. Ale z tym skandalem wszyscy zdążyli się od dawna oswoić!

Posiadała także majątek, choć na tym Smythowi najmniej zależało. Fortuna, którą odziedziczy po dziadku, jeśli zdecyduje się spełnić jego żądanie, przewyższała trzykrotnie to, co mogła mu wnieść lady Lydia.

Była również, jak już zauważył, kobietą światową; nie powinna więc mieć obiekcji co do Kitty. Zwłaszcza że gotów był zostawić żonie, kiedy obdarzy go już synem i spadkobiercą, całkowicie wolną rękę. Będzie mogła robić, co tylko zechce i z kim zechce.

Do licha, on ją nawet lubił!

Jakieś stuki i huki przerwały Childe'owi te interesujące rozważania. Drzwi na korytarz otworzyły się z impetem i weszli Phillip Hickston-Tubbs oraz lord Harry Lockton, uśmiechając się

szeroko i bezmyślnie. Obaj chłopcy byli bardzo przystojni, jak zresztą wszyscy Locktonowie, a Harry promieniał jeszcze dodatkowym urokiem, jako przyszły hrabia. Jeśli w ciągu najbliższych kilku lat smarkacze nabiorą choć trochę ogłady, będą z nich prawdziwe rodziny - okazy pilnie poszukiwane na matrymonialnym targowisku! O ile, ma się rozumieć, nie roztrwonią przedtem całego rodzinnego majątku.

No cóż, dumiał Childe, przyglądając się, jak para młodych nicponi z trudem usiłuje utrzymać równowagę na czymś, co z pewnością wydaje im się rozkołysanym pokładem statku. Jeżeli Josten zamierzał nadal pokrywać długi tej dwójki, on sam, Childe Smyth, nie miał nic przeciwko temu, by hrabiowskie pieniądze wędrowały do jego kieszeni. On przynajmniej nie będzie ich zbyt cisnął, da im trochę czasu na zdobycie gotówki.

Niektórzy ze znanych mu graczy domagali się zwrotu pieniędzy w ciągu jednego dnia, co oczywiście zmuszało przegranego pechowca do szukania pomocy u bankiera albo, co gorsza, u lichwiarza. W zeszłym roku miało nawet miejsce wyjątkowo przykre wydarzenie: jeden z niedorostków postanowił uwolnić się od długów w jeszcze bardziej drastyczny sposób i palnął sobie w łeb. Biedaczysko!

- Już się dobrze czujecie? - spytał chłopców, podnosząc się z miejsca.

Lord Harry - wysoki, złotowłosy, o szlachetnych rysach - skinął w odpowiedzi głową, po czym zachwiał się i zwałił na krzesło bokiem. Phillip, rudowłosy i nieco drobniejszej budowy, ale równie

przystojny, trzymał się trochę pewniej na nogach. Zataczając się lekko, rozglądał się po pokoju niezbyt przytomnie.

- Gdzie Tw... Tweed? Do licha, miał nam dać... r.. .rrewanż! Każdy ma prawo odegrać swoje, no nie?

- Tu jestem! - odezwał się stojący w drzwiach Tweed z drapieżnym uśmiechem. - Stęskniliście się za mną? - Zęby błysnęły mu w świetle lampy jak wilcze kły. W każdej ręce trzymał butelkę dżinu. - Zadbalem o to, żebyście nie uschli z pragnienia! I bez obawy, możemy grać tyle godzin, ile tylko chcecie, jeśli tak wam zależy, żeby się odegrać.

- Dobry z ciebie chłop... - wybełkotał Phillip i zdołał jakoś usiąść.

- A co, może nie?

Tweed miał przy tym czelność mrugnąć do Childe'a, jakby uważał go za współnika w obdzieraniu tych dzieciaków. Tego już było za wiele! Childe doszedł do wniosku, że nic go to nie obchodzi, nawet jeśli Tweed oskarży go o tchórzostwo. Nie zamierzał być drugim Tweedem. I miał dość okradania pijanych osesków!

- Pan rozdaje, Smyth - przypomniał mu Tweed.

Jeśli zaraz stąd wyjdę, myślał Childe, zdążę jeszcze wpaść do Holland House przed północą... Lady Lydia z pewnością jest na przyjęciu. A potem...? Jego myśli poszybowały znów do Kitty.

- Pasuję! - powiedział tylko. Wstał i wyszedł.

Majordomus pojawił się u boku Neda, gdy ten krytycznie przyglądał się własnemu odbiciu w dużym lustrze wiszącym w salonie. Niebawem miał się pojawić na przyjęciu u lorda Younga, ale w dalszym ciągu nie był pewien, czy prezentuje się, jak należy. Majordomus chrząknął znacząco.

- O co chodzi?

- Jeszcze jedna chusteczka, jaśnie panie.

Podsunał kapitanowi tacę, na której leżała jedwabna chusteczka, obficie przybrana koronką.

Ned spojrział na prezent z lekkim zakłopotaniem.

- Od kogo?

- Podobnie jak wiele innych, została przysłana anonimowo. Ale gdybym się ośmielił zgadywać, powiedziałbym, że to od Hélène, markizy Dupont.

- Ach tak?

Ned nie przypominał sobie żadnej markizy.

- To dama o tycjanowskich włosach, ze szczególnym upodobaniem do turbanów, przybranych wielkimi strusimi piórami.

- O! - Ned przypomniał sobie taką damę. - No cóż, dołóż tę chustkę do poprzednich, są u mnie w pokoju.

- Tak jest.

Majordomus skłonił się i znikł wraz z chusteczką.

Kapitan wrócił do lustra. Po raz kolejny spróbował związać krawat w modny i piekielnie skomplikowany węzeł, zwany „Tronem

Amora". Można by sądzić, że jako marynarz nie będzie miał większych trudności z wiązaniem węzłów, ale na razie rezultaty były opłakane. Zdarł krawat z szyi i postanowił spróbować jeszcze raz. Zdecydowanie ostatni.

Jeśli i tym razem mu się nie uda, będzie musiał przyznać się lady Lydii do porażki. Lydia sprowokowała go do zakładu, twierdząc, iż żaden mężczyzna nie potrafi bez pomocy służby zawiązać przyzwoicie własnego krawata. Ned mógł bez trudu wyobrazić sobie Lydię, uśmiechniętą triumfalnie, gdy przyzna jej rację dziś wieczorem. Wyobrażał ją sobie tym łatwiej, że jego myśli krążyły zwykle wokół niej.

Po prostu śmieszne, że aż tak go wzięło - i to w jego wieku! Ale wzięło go i nie było sensu temu zaprzeczać.

Niezwykłe skośne oczy Lydii zabłysną zwycięsko; z pewnością uniesie bródkę nieco do góry... Ned z rozkoszą przegrałby dowolną liczbę zakładów dla samej przyjemności obserwowania, jak kąciki jej ust unoszą się ku górze, niemal niedostrzegalnie, a za sekundę rozkwita olśniewający uśmiech! Kiedy Lydia czuła się zupełnie swobodnie, unosiła jedną ze swych smukłych dłoni o długich palcach, by odgarnąć opadający jej na skroń niesforny loczek. Był to zdumiewająco dziewczęcy gest u tej najbardziej wyrafinowanej damy w całym Londynie, u kobiety, która tak nieodparcie go pociągała.

Któregoś dnia, gdy Lydia uniesie znów rękę w ten sposób, on bez zastanowienia schwyci ją za nadgarstek, przyciągnie do siebie i wargami odgarnie z jej czoła nieposłuszny lok!

Uśmiech Neda zbladł. Minął już miesiąc od czasu, gdy po raz pierwszy towarzyszył lady Lydii do Guntera. Od tamtej pory w wyniku milczącego porozumienia zjawiał się u jej drzwi w każdy poniedziałek i czwartek - znacznie wcześniej niż wypadało złożyć damie wizytę - i porywał Lydię w wynajętym powozie do cukierni.

Lydia nigdy nie zaproponowała, by udali się tam jej powozikiem, znanym w całym Londynie, a Ned w końcu domyślił się czemu. Gdyby słynny powozik z żółtymi kołami został zauważony podczas jednej z takich wypraw, przestałyby one być tajemnicą, a te krótkie, tak wyczekiwane chwile sam na sam dobiegłyby końca. Zasypano by Lydię niezliczonymi zaproszeniami na przejażdżki o porze wcześniejszej, niż wypadało. Z pewnością, myślał z uśmiechem Ned, zdołałaby bez trudu obalić jedną z szacownych reguł wielkiego świata, dotyczącą właściwej pory odwiedzin!

Na razie jednak te krótkie, szczęśliwe godziny należały wyłącznie do nich i były dla Neda największą radością każdego tygodnia.

Często spotykał Lydię na przyjęciach i innych spotkaniach towarzyskich, na które go zapraszano. Za każdym razem wydawała się ucieszona jego widokiem, nigdy jednak nie wyróżniała go specjalnie. Zawsze okazywała każdemu rozmówcy - wszystko jedno, mężczyźnie czy kobiecie - równie dużo zainteresowania. On jednak stawał się coraz bardziej zachłanny i pragnął ją widywać coraz częściej.

Przestał składać wizyty innym pannom na wydaniu. Nie spędzał też wiele czasu w ich towarzystwie. To by nie miało sensu! Jego uczucia były już jasne. Ale im bardziej pragnął Lydii, tym bardziej

chciał jej wyjaśnić, jak naprawdę przedstawia się sytuacja majątkowa jego rodziny.

Lady Lydia mogła ukazywać całemu światu uprzejmą i beztroską twarz, on jednak dostrzegał pod tą maską prawdziwą Lydię - pozbawioną pewności siebie i spragnioną uczucia. Potrafiła okazywać miłość tak spontanicznie, tak naturalnie, a jednak miała wątpliwości, czy zdoła w kimś wzbudzić prawdziwe uczucie. Ned nie był pewien, czy zrozumiałaby motywy, które skłoniły go z początku do poszukiwania bogatej żony. W Lydii było tak mało wiary w siebie. Obawiał się, że jej nie przekona, choćby przysięgał, że to nie jej bogactwo pociągało go ku niej od samego początku i nadal go pociąga. Martwił się tym i niepokoił.

Musi jak najprędzej powiadomić ją, że jego rodzina wkrótce nie będzie już miała ani grosza.

Nagłące stukanie do drzwi przerwało mu rozmyślenia.

- Proszę wejść! - zawołał.

- Lady Josten, panie kapitanie - zaanonsował lokaj i nie zdołał jeszcze odsunąć się na bok, a Nadine wpadła już do salonu, szeleszcząc muślinowymi spódnicami. Mocno skręcone jasne loki podrygiwały niczym sprężynki.

Lokaj skłonił się i wycofał z pośpiechem. Ned nie wziął mu za złe tej dezercji.

- Musisz coś na to poradzić, Neddie! Po prostu musisz! - zawołała rozpaczliwie Nadine i opadła na kanapę.

Ned widział zrozpaczoną twarz bratowej w lustrze, nie przestał jednak wiązać krawata. Odkąd Nadine i Beatrice przybyły do miasta, by wraz z Mary „nacieszyć się choć troszkę urokami prawdziwego sezonu”, co parę dni któraś z nich pojawiała się na jego progu, jako zwiastunka takiej czy innej katastrofy. Dzięki tym powtarzającym się dramatycznym odwiedzinom Ned nabrał więcej szacunku do starszego brata i pojął, jak rozsądne było jego stanowcze postanowienie, iż pozostaną na stałe w Norfolk.

- Znowu jakieś kłopoty, Nadine? - spytał.

- Chodzi o Harry'ego i Pipa!

- Ach tak?

Ned wcale się nie zdziwił. Większość rodzinnych tragedii dotyczyła albo Harry'ego - pierworodnego Nadine, albo Phillipa, ukochanego synka Beatrice. Przeważnie zaś obu naraz. Na ogół wystarczało krótkie poranne spotkanie z sędzią pokoju i zapłacenie grzywny, by wyciągnąć chłopców z tarapatów, w jakie się wpakowali.

Po wyciągnięciu ich z aresztu za pierwszym razem zachciało im się „przyłożyć cieciami” i, pękając ze śmiechu, przewrócili budkę nocnego stróża, a potem poturbowali nieszczęśnika - Ned nie przypuszczał, że będzie musiał ponownie interweniować w równie bezsensownej sprawie. Zakładał, że noc spędzona w zapluskwionej celi odstraszy smarkaczy od następnych wyczynów. Niestety, nie wziął pod uwagę głupoty rozbrykanych i - jego zdaniem - niezbyt mądrych młokosów, dla których noc spędzona w areszcie stanowiła powód do chluby.

- „Ach tak?” - powtórzyła jak zranione echo Nadine. - Nasz świat chwieje się w posadach, a ty nie masz nic więcej do powiedzenia, tylko „ach tak?”!

- A co chciałabyś, żebym powiedział, moja droga?

Zerknął na zegar. Powinien się zjawić na przyjęciu za niecałą godzinę.

- Nie mam pojęcia! - Bratowa dała spokój łzom i nie kryła teraz rozdrażnienia. - Wymyśl coś! Jeśli Josten dowie się o wszystkim, tym razem z pewnością zamorduje ich obu! Mogę przysiąc, że tak będzie!

- Bardzo wątpię - odparł Ned. - Zmarnował zbyt wiele czasu, pozwalając im dożyć dnia dzisiejszego. A że nic raczej nie wskazuje na to, by młodsze potomstwo spełniło jego nadzieje, uznał chyba, że trzeba po prostu jakoś to znieść, póki Harry i Pip nie nabiorą rozumu.

Nadine nie wiedziała, jak ma rozumieć te perorę. Spoglądała na swego szwagra wzrokiem bez wyrazu, aż sens jego słów - przynajmniej częściowo - dotarł do niej. Kiedy to wreszcie nastąpiło, potraktowała sprawę z całą powagą.

- Nie chcę więcej dzieci, Neddie! - Zarumieniła się. - Chodzi o moją figurę, rozumiesz...

- Rozumiem. Oczywiście!

Zakasłał, by ukryć uśmiech. Figura Nadine była niegdyś wcieleniem marzeń każdego młodzieńca, ale te dni świetności dawno już minęły. Twarz bratowej nadal była ładna, ale jej postać zaokrągliła się i przypominała teraz owal, całkiem zresztą sympatyczny.

- A poza tym, choćby nawet Josten nie zabił Harry'ego, może zabić Phillipa, a jeśli tak się stanie, Beatrice już nigdy nie odezwie się do mnie. A ja bym tego nie zniosła! Ani Harry, on bardzo lubi Pipa. I Mary także go lubi. I ja również, jeśli już o to chodzi!

Tym razem to Ned spoglądał na nią w osłupieniu, zastanawiając się, czy Nadine przypadkiem nie kpi sobie z niego? Ale wystarczyło mu spojrzeć na twarz bratowej, by przekonać się, że wcale tak nie jest. Znowu uświadomił sobie, jak bardzo kocha swoją rodzinę. Bez względu na wszystkie wady krewnych, nie można im było zarzucić ani braku przywiązania, ani lojalności!

Zniecierpliwienie Neda znikło. Nieważne, czy Nadine miała naprawdę powód do rozpacz! Jej lęk o syna i siostrzeńca był absolutnie szczery. Kapitan podszedł bliżej, usiadł przy niej i wziął ją za rękę.

- Powiedz mi, co się dokładnie stało.

- To Harry i Phillip! - powtórzyła. - Chcą koniecznie zrobić furorę w towarzystwie i są przekonani, że muszą w tym celu przyłączyć się do dandysów, naśladują ich więc we wszystkim, dobrym i złym! Choć, szczerze mówiąc, Neddie, sądząc z tego, co widziałam na własne oczy, dandysi nie mają żadnych dobrych cech, wyłącznie złe!

Przerwała tylko na chwilę, żeby pociągnąć noskiem.

- Są niesłychanie ordynarni i nieznośnie pyszałkowaci! A wszyscy to tolerują! Czy ci opowiadałam, że któregoś wieczoru jeden z tych łajdaków powiedział lady Wigbow bez ogródek, że jej suknia wygląda

jako tako jedynie z przodu, a jej tren to zniewaga dla oczu i kazał jej wyjść tyłem z pokoju! Tak było, naprawdę. A ona wyszła. Tyłem!

- Tak, Nadine, to okropne. Ale co to ma wspólnego z Harrym i Pipem?

- Jak to co? Wszystko! Oni tam byli, razem z tym łotrem! Wiem to od kilku osób, które na własne oczy to widziały!

Ned z trudem zachował powagę.

- Ale stało się coś jeszcze gorszego!

- Cóż takiego?

- Widzisz, kiedy ich ojciec i wuj, a mój mąż, Josten - dodała, zupełnie bez potrzeby - powiedział chłopcom, że zachowałeś się wielkodusznie i spłaciłeś ich długi, byli oczywiście niezmiernie uradowani.

- Miło mi to słyszeć - wtrącił Ned - bo do tej pory mogłem jedynie snuć domysły na ten temat. Jakoś zapomnieli powiadomić mnie o swojej radości.

- No właśnie! - wykrzyknęła Nadine, wyraźnie poirytowana niegrzecznym zachowaniem chłopców w stosunku do Neda. - Są okropnie źle wychowani, prawda?

Ned postanowił nie odpowiadać na to pytanie. Instynkt ostrzegł go, że matka może krytykować własne dziecko, ale lepiej, żeby stryj zbyt gorąco jej nie potakiwał.

- Ale pomijając już to, że zapomnieli zapewnić mnie o swojej wdzięczności, cóż takiego zbroili, że aż tak się przejęłaś?

W odpowiedzi na to pytanie, choć wypowiedziane łagodnym głosem, Nadine zwiesiła głowę. Szkarłatny rumieniec oblał jej pełną szyję i krągłe policzki. Ned uświadomił sobie ze zdumieniem, że bratowa jest okropnie zażenowana. To nie była jedna z melodramatycznych scen, które tak lubiła odgrywać; Nadine przeżywała prawdziwą udrękę.

Poczuł gniew na chłopców, że tak ją zdenerwowali. Chętnie zastosowałby wobec nich metody wychowawcze, które okazały się skuteczne w przypadku niezdyscyplinowanych majtków. Niestety jednak, Nadine i Beatrice nigdy by mu tego nie wybaczyły, choć Josten zapewne, poczułby skrytą ulgę, gdyby Ned nieco przekroczył swoje stryjowskie kompetencje.

- Cokolwiek zbroili, możesz mi o tym powiedzieć, Nadine - przekonywał ją łagodnie. - Z pewnością to nie koniec świata!

Jak dalece ich sytuacja mogła się jeszcze pogorszyć? Ned przeprowadził rozmowy ze wszystkimi zainteresowanymi stronami - prawnikami, bankierami, maklerami giełdowymi i lichwiarzami, z których każdy wszedł w posiadanie jakiejś niewielkiej części fortuny Locktonów, a wszyscy razem zagarnęli ją niemal w całości.

To nie ostra gra hazardowa chłopców doprowadziła rodzinę na skraj przepaści. Oni tylko zrobili przysłowiowy ostatni krok, idąc w ślady poprzednich pokoleń. Zemściły się wreszcie na Locktonach: nieudolność w zarządzaniu majątkiem, przerażające marnotrawstwo, zbyt duża łatwowierność w stosunku do nieuczciwych pośredników i doradców, a na dodatek zwykły pech.

Prywatne oszczędności Neda poszły na pokrycie mnóstwa dziur i dziurek w rodzinnym budżecie, który kapitan usiłował załatać. Trzeba byłoby wielu lat umiejętnego planowania i dokładania do tego budżetu, by wyciągnąć Locktonów z dna przepaści, do której spychały ich przeciwności losu, wrodzone niedbalstwo, brak ostrożności, a przede wszystkim zbyt szeroki gest!

- A więc, Nadine?

- Oni... oni znowu zaczęli grać...

Ned wpatrywał się w nią jak ogłuszony. Na Boga, naprawdę przyleje tym podłym szczeniakom! Cóż to za osły, zakute łby, nieodpowiedzialne.

- Musisz ich powstrzymać! Ubiegłej nocy przegrali trzy tysiące funtów, Neddie, do jakiegoś łajdaka nazwiskiem Tweed!

- Jesteś tego pewna?

Wyciągnęła z woreczka kawałek zadrukowanego papieru i podała go Nedowi. Był to wycinek z gazety słynącej z tanich sensacji. Wzrok kapitana padł na wiele mówiące zdanie: „Dwóch młodych dżentelmenów z północy kraju, bliskich krewnych pewnego hrabiego, ostatniej nocy uległo niebezpiecznym urokom hazardu i przegrało trzy tysiące funtów”.

- I w dodatku... - zaczęła Nadine dość dzielnie, ale chlipnęła i cała odwaga opuściła ją. - Dziś powtórzy się to samo! - załkała.

- Co takiego?! Skąd wiesz?

- Słyszałam, jak o tym rozmawiali, sądząc, że nikt ich nie słyszy. Może powinnam od razu nakrzyczeć na nich... ale... jakoś nie

mogłam. Nie umiem się sprzeczać i nic na to nie poradzę! Tak żałuję, że Beatrice nie było w domu... musiała pojechać z Mary na wieczór muzyczny u Vedderów. Co prawda, też by niewiele pomogła, ale zawsze byłoby mi lżej, gdyby przyszła tu razem ze mną...

Ostatnie słowa wypowiedziała takim tonem, że Ned poczuł się brutalem, niemal złoczyńcą, gdyż okazał zniecierpliwienie. Rozum jednak podpowiedział mu od razu, że Nadine z premedytacją wzbudziła w nim poczucie winy.

- Jak dawno chłopcy wyszli z domu?

- Kilka godzin temu.

Ned uniósł brwi.

- Czyżby do mnie było tak daleko?

Nadine spojrzała na niego bezradnie.

- Toaleta zabiera tyle czasu... Zrozum, Neddie: nie mogłam pokazać się na mieście ubrana byle jak! Jestem przecież hrabiną Josten!

Ned przymknął oczy.

- Bardzo się na mnie gniewasz?

- Nie.

Odetchnęła z ulgą i się uśmiechnęła.

- Wiedziałałam, że nie będziesz się gniewał! Nigdy tego nie robisz. Właśnie dlatego od razu przybiegłam do ciebie. Zawsze jesteś taki opanowany! Nigdy nie robisz czegokolwiek bez zastanowienia. Po prostu nie umiesz inaczej... Ale teraz musisz działać, i to szybko, Neddie! Nie możesz tak siedzieć i liczyć na to, że wrócą do domu i

wszystko będzie dobrze! Oni nie wrócą i nic dobrego z tego nie wyniknie! Ja zrobiłam, co mogłam. Proszę, załatw to jakoś!

Zawsze musiał to robić. Zrobi i teraz.

- Nie martw się, Nadine. Zaradzimy złu! Nawet go nie spytała, w jaki sposób.

15

- Ujdzie w tłoku? - spytała Lydia i obróciła się dokoła, prezentując Emily najnowszą toaletę.

Suknię przyniesiono od krawcowej tego ranka. Lydia była pewna, że jej kreacja wywoła mnóstwo komentarzy, nie miała wszakże pewności, czy będą to uwagi pochlebne. Kreację można było określić jako „nieco zbyt śmiałą dla niezamężnej damy”. Nawet tak olśniewającej jak Lydia!

Przede wszystkim można by się przyczepić do intensywnej barwy toalety. Nie dla Lydii zwiewny obłoczek bezbarwnego muślinu! Wystroiła się zamiast tego w cienki jak bibułka jedwab w oryginalnym odcieniu pawiego błękitu. W dodatku materiał szeleścił, robiąc przy tym tyle szumu, co horda plotkarzy, których z pewnością nie zabraknie wokół niej, gdziekolwiek się pojawi. Bufiaste rękawy były rozcięte i spod spodu połyskiwał atłas koloru miedzi. Z tego samego materiału było obszycie stanika oraz szeroka falbana, naszywana turmalinami. Naszyjnik z tych kamieni pożyczony od Eleanor ozdobił szyję Lydii, a turmalinowe kolczyki zwisały jej z uszu.

A na dodatek dekolt! Niewielkie bufki na ramionach wydawały się niezmiernie odległe od siebie, a pomiędzy nimi zionęło głębokie wycięcie w szpic, pozwalające podziwiać jasną skórę Lydii, i to na niemałej przestrzeni. Może ten dekolt rzeczywiście jest zbyt śmiały? - zastanawiała się Lydia. - Może wyda się Nedowi wulgarny? A może - podszeptowała nadzieja - kuszący?

W ubiegłym miesiącu spędzili ze sobą więcej czasu niż większość zaręczonych par, mimo to Ned nadal zachowywał pełen szacunku dystans. Lydię zaczynało to niepokoić. Adoratorzy całowali ją już przedtem - prawdę mówiąc chyba nawet zbyt często - i nie potrzebowali do tego zachęty, której nie szczydziła Nedowi. Ale na myśl o jego pocałunkach jej serce zaczynało gwałtownie bić. Być może - myślała, przyglądając się uważnie swemu odbiciu - dziś wieczorem nastąpi oczekiwany przełom?

- Prezentujesz się wspaniale, Lydio - zapewniła ją Emily. - Ale nie musisz wkładać aż takich strojów, żeby być prześliczna!

Lydia roześmiała się i po raz drugi okręciła się wokół siebie.

- O! Niestety, Emily, spoglądasz na mnie oczyma pełnymi miłości.

- Ale to nie moje oczy pełne miłości sprawiły, że tak kwitniesz ostatnimi czasy!

Lydia nie miała przed Emily sekretów. Wiedziała dobrze, do czego jej przyjaciółka robi aluzję.

- Czyżby to było aż tak widoczne? - spytała.

- Owszem! - odparła Emily.

- Nie sądzisz, że poczuje się zaszczuły... jak Byron, gdy Caro Lamb uganiała się za nim?

Emily wybuchnęła śmiechem.

- Gdzież tam, dobry Boże! Nie mogę sobie wyobrazić, byś napastowała kogoś w jego własnym domu! - odparła, nawiązując do skandalicznego zachowania Caroline, która w przebraniu pазia złożyła wizytę Byronowi i w jego domu usiłowała odebrać sobie życie. Usłyszawszy o tym, Lydia była wręcz zde gustowana, podobnie jak reszta eleganckiego towarzystwa.

Caro Lamb powinna zachować choć odrobinę godności osobistej i pamiętać, kim jest i co sobą reprezentuje! Nie zrobiła tego jednak. Okazywała swoją miłość histerycznie, bez opamiętania, niczym w odgrywanej na scenie tragedii, toteż musiała ponieść konsekwencje nierozumnej namiętności. Przyjmowali ją teraz jedynie ci, którzy chcieli się pochłubić miłosierdziem lub pofolgować ciekawości. Została wykluczona z towarzystwa i całkowicie sama.

Lydia za nic nie chciałaby znosić podobnego opuszczenia. W dodatku nie po raz pierwszy!

Ale do tego, oczywiście, nie mogło dojść. Nie dojdzie z pewnością! Ona przecież nigdy swoim zachowaniem nie narazi się na potępienie ze strony wielkiego świata. A co ważniejsze, rozsądnie wybierze sobie męża - człowieka z pozycją, kogoś nie mniej szanowanego i cenionego niż jej przyjaciele, kogoś, komu majątek umożliwi życie na miarę wielkiego świata.

Kogoś takiego jak Ned.

Nikt by się nie dopatrzył niczego nierozważnego w jej miłości do Neda Locktona! Było to uczucie jak najbardziej uzasadnione i cudowne. Powtarzając to sobie, Lydia czuła ogromną ulgę. Ilekroć myślała o nim, znikał jej niezrozumiały niepokój.

Już miała znowu obrócić się na paluszkach, pochwyciła jednak spojrzenie Emily. Na jej twarzy zamiast aprobaty malowała się troska.

- O co chodzi, Emily?

- O nic - odparła przyjaciółka.

- Czuję, że coś jest nie w porządku! Poznają to po twojej minie. Może się jednak namyślisz i wybierzesz ze mną na przyjęcie? Będę ogromnie rada z twojego towarzystwa.

- Nie, nie, moja droga - odparła Emily. - Zdecydowanie wolę zostać w domu. Moje lumbago, rozumiesz? A poza tym Eleanor bardzo lubi bawić się w twoją przyzwoitkę. Zawsze ją cieszy, kiedy może się tobą pochwalić!

- Ale to jeszcze nie powód... Naprawdę, byłabym rada!

Lydia wiedziała jednak, że nic nie pomogą nalegania. Od czasu ogrodowego przyjęcia u lady Pickler Emily obawiała się towarzyszyć Lydii na wieczorkach i balach. Usprawiedliwiała się bólem głowy, zmęczeniem lub znajdowała jakąś inną wymówkę. Ale Lydia i tak wiedziała, o co chodzi: Emily bała się, że jej kleptomania znów da o sobie znać. A wolałaby raczej umrzeć, niż postawić Lydię w kłopotliwej sytuacji.

- No, bardzo proszę!

- Nie nalegaj, Lydio. Będzie mi znacznie wygodniej w domu, a i dla ciebie lepiej, jeśli nie pojedę.

- Powiedz mi przynajmniej, czemu jesteś taka przygnębiona? Emily się zawahała.

- To nic wielkiego...

- Mam nadzieję, ale będę mogła uspokoić twoje obawy tylko wówczas, jeśli mi zaufasz!

Emily obdarzyła ją przelotnym uśmiechem.

- No, dobrze. Tak bardzo bym chciała, żeby wszystko zostało po staremu i żebyś nie musiała wychodzić za mąż! Widzisz, jakie to niemądre?

- A ja myślałam, że chciałabyś niańczyć moje dzieci! - zdziwiła się Lydia.

- Bardzo bym chciała! - wykrzyknęła Emily. - Ale nie chcę, żebyś wychodziła za mąż, i to z musu!

- Większość ludzi uważa, że te dwie sprawy łączą się ściśle ze sobą - zauważyła Lydia, siląc się na lekki ton. - Najpierw się wychodzi za mąż, a potem ma się dziecko!

Przez sekundę Emily nie odzywała się. Potem szepnęła:

- Nie zawsze...

Coś w głosie przyjaciółki sprawiło, że Lydia raptownie podniosła głowę. Wiedziała bardzo niewiele o małżeństwie Emily z Bernardem Codem. Przyjaciółka chętniej opowiadała o latach spędzonych w Brislington niż o swoim pożyciu małżeńskim, a Lydia nigdy nie zmuszała jej do zwierzeń. Wiedziała więc tylko, że mąż Emily był

bankierem, który z rozmysłem oszukiwał klientów, i że okazał się tak okrutny, by pozbyć się żony raz na zawsze, odsyłając ją do zakładu dla obłąkanych.

Czy Emily miała kiedyś dziecko? - zastanawiała się Lydia. A jeśli tak, to co się z nim stało? Gdyby Cod nadal żył, dziecko najpewniej pozostawałoby pod jego opieką. W wypadku separacji małżonków ojciec zawsze otrzymywał prawo wyłącznej opieki nad potomstwem. Ale Cod przecież nie żył!

- Emily - spytała łagodnie - czy ty miałaś dziecko?

Przez dłuższą chwilę Emily milczała. Jej twarz miała nieobecny wyraz. Wydawało się, że wspomina coś słodkiego i gorzkiego zarazem. W końcu szepnęła:

- Nie, nie miałam. Moja malutka umarła, zanim przyszła na świat. Od tego czasu minęło już prawie dwadzieścia lat...

Lydia podeszła do przyjaciółki i objąwszy ją w talii, pociągnęła delikatnie w stronę kanapy. Usiadła na niej i skłoniła Emily, żeby zrobiła to samo. Dopiero wówczas powiedziała cicho:

- Tak mi przykro.

- Mnie też. - Na ustach Emily pojawił się drżący uśmiech, a potem z wyraźnym wysiłkiem otrząsnęła się z melancholii. - Ale to było dawno temu. Teraz jednak łatwiej ci będzie zrozumieć, czemu się tak lękam. Moje małżeństwo nie było szczęśliwe.

- Tak mi przykro, że zmuszono cię do niego.

- Nikt mnie nie zmuszał!

Lydia się zdumiała. Choć Emily nigdy nie powiedziała jej tego wyraźnie, przyjaciółka była przekonana, że tę niezwykle łagodną kobietę zmuszono do małżeństwa z Codem. Sprawy jednak przedstawiały się całkiem inaczej, Lydia była zaskoczona.

Emily spojrzała na nią i uśmiechnęła się żałośnie.

- To prawda, że moi rodzice nie byli już młodzi, gdy zadebiutowałam w towarzystwie, i bardzo pragnęli ujrzeć mnie przed śmiercią w roli mężatki, pani we własnym domu. Ostrzegali mnie jednak, bym nie wychodziła za Coda. Sądziłam, że przemawia przez nich snobizm, gdyż Bernard Cod pochodził z gorszej rodziny niż nasza. Czemu ich wtedy nie posłuchałam! - Emily zamilkła i dopiero po chwili mówiła dalej: - On wcale nie wyglądał na... Był przystojny, taki szarmancki i pewny siebie. Krótko mówiąc, miał wszystkie te zalety, których mnie brakowało. Zakochałam się w nim jeszcze przed końcem pierwszego sezonu i nie dbałam już o nic, prócz tego, by wyjść za Bernarda!

Ojciec, zaniepokojony moim wyborem, kazał sporządzić umowę małżeńską, zapewniającą mi stałą roczną pensję i dożywocie, ale Cod nie podpisał tego dokumentu. Nawet to mnie nie zraziło. Błagałam ojca, by wyraził zgodę na nasz ślub. Groziłam, że ucieknę z domu, jeśli tego nie zrobi.

Emily spuściła wzrok.

- Pobraliśmy się więc... Wiesz o moim życiu wystarczająco dużo, by zrozumieć, jak bardzo się myliłam w ocenie charakteru mojego męża. Nim minął rok od śmierci moich rodziców, roztrwonił mój

spadek na podejrzane interesy, które miały mu zapewnić fortunę, ale nie przyniosły nic. Od tej pory jeszcze bardziej pragnął pieniędzy. Stały się one jego obsesją. Jak dowiedziałam się poniewczasie, zaczął okradać swoich klientów.

Głos jej zadrzał, ale się opanowała.

- Znudził się mną i stał się bardzo krytyczny i opryskliwy. Później zaszłam w ciążę i wkrótce potem... - Emily urwała nagle i odetchnęła głęboko, jakby przygotowywała się do stawienia czoła czemuś przerażającemu. - Zdarzył się wypadek i straciłam dziecko. A później zupełnie nie mogłam dojść do siebie. Zaczęłam kraść różne drobiazgi. Nie mam pojęcia, czemu to robiłam. Nie potrafię tego wytłumaczyć! I wtedy on odesłał mnie do Brislington.

Lydia nie mogła znieść rozpaczki malującej się na twarzy Emily. Schwyciła ją za rękę.

- Tak mi przykro! Zaslugujesz na coś lepszego, o wiele lepszego!

Emily uścisnęła rękę przyjaciółki i wydała długie, drżące westchnienie. Przymknęła na chwilę oczy, a gdy znów je otworzyła, były znacznie pogodniejsze.

- A ty byłaś szczęśliwa, tak jak na to zasługujesz... i oby nadal szczęście ci dopisywało, Lydio! Wiem, że w obecnej sytuacji małżeństwo jest dla ciebie jedynym wyjściem. Rozumiem to, ale bądź ostrożna! Zastanów się poważnie nad wyborem męża i nie kieruj się romantycznymi marzeniami!

Lydia skinęła głową potakująco. Emily mówiła rozsądnie, ona jednak nie potrafiła wyzbyć się romantycznych marzeń. Budziły

niepokój w jej sercu, ilekroć pomyślała o Nedzie Locktonie. Na szczęście nie musiała się niczego obawiać: Ned miał wzorowy charakter, ona zaś, wiążąc się z nim, mogła jedynie zyskać, i to wiele: idealnego towarzysza życia, prawdziwą miłość, rodzinę, piękne nazwisko, no i - oczywiście - majątek.

- Upewnij się, że ten krok ci się opłaci! Nalegaj na zagwarantowaną w umowie małżeńskiej stałą pensję oraz na dożywocie, które zapewni ci niezależność po śmierci męża. Kapitan Lockton wydaje się niezwykle rycerski i miły, ale nigdy nie uważaj niczego za przesądzone! Serca mężczyzn są niestałe, a ich obietnice zawodne. Tylko niezależność finansowa może ci zapewnić bezpieczeństwo, moja droga! - Emily znów westchnęła głęboko i uśmiechnęła się blado. - Ale ty sama dobrze o tym wiesz, prawda?

Lydia także zdobyła się na słaby uśmiech. Po raz pierwszy miała wątpliwości, czy rzeczywiście dobrze o tym wie.

16

Na szczęście do czasu, gdy zjawiała się Eleanor, by zabrać Lydię na przyjęcie swoim powozem, gdy trzeba się było przeciskać przez gęsty tłum na ulicach i przed rezydencją Youngów na Cavendish Square, gdy odźwierny pospieszył po marmurowych schodach na dół, by obu damom oświetlić drogę, a majordomus zaanonsował przybycie księżnej i lady Lydii, gdy wreszcie setki par zachwyconych oczu zwróciły się w stronę, gdzie stała „Niezrównana” w blasku tysiąca

woskowych świec, sama jaśniejąc bardziej od nich, Lydii wrócił dobry humor.

Powitała wytwornym dygiem pana i panią domu i przeszła do zatłoczonej sali, wypatrując w tłumie wysokiej, barczystej postaci. Ned był zawsze łatwy do odnalezienia dzięki ciemnozłotym włosom i imponującej posturze. Ostatnio nie musiała go nawet wypatrywać w tłumie, gdyż zawsze sam podchodził, by ją powitać, kiedy tylko się pojawiła. Tego wieczoru jednak nie pospieszył do niej.

Ożywienie Lydii nieco zmalowało, dobry humor znikł. Jej zadowolenie z przyjęć w przeważającym stopniu wpływało ze świadomości, iż tam, dokąd się udaje, spotka Neda, który powitają ciepłym spojrzeniem pełnym zachwytu i całą swoją postawą będzie wyrażał chęć służenia jej, a wszystko, co powie, będzie miało na celu rozweselenie jej albo zachęcenie do rozmowy.

W ciągu ostatnich kilku dni Lydia przyłapała się na tym, że jej spojrzenia krążą coraz częściej wokół ust Neda, że zastanawia się, co by to było, gdyby ich wargi przywarły do siebie. Albo zatrzymywała wzrok na jego dłoniach i długich, smukłych palcach i wspominała, jak te ręce obejmowały ją w talii. Albo też patrzyła na jego ramiona, rozpamiętując ich siłę i ciepło, gdy podtrzymywał ją w sklepie monsieur Roubalais.

Ned ani razu nie napomknął, że już podczas pierwszego spotkania zorientował się, kim ona jest. Lydia, rzecz jasna, była z tego rada. Poszła przecież do sklepu złotnika po to, by zastawić biżuterię. Nie mogła jednak oprzeć się myśli, że gdyby każde z nich znalazło się

wówczas w sytuacji drugiego, ona z pewnością przy kolejnym spotkaniu dopatrzyłaby się w kapitanie czegoś znajomego. Mógłby to być kształt ust, zapach, tembr głosu...

I czemu Ned, u licha, nie pocałował jej do tej pory? Albo przynajmniej nie napomknął, że chciałby ją pocałować?! Drażniło ją to jak świerzbiąca wysypka. Doprowadzało ją do rozpaczycy rosnące pożądanie. Pożądanie? - zachnęła się w duchu. Nie zamierzała przecież brać sobie kochanka! Rozważała jedynie możliwość pocałunku.

Niestety, po Nedzie wcale nie było widać, że trapią go podobne myśli. Ten dżentelmen w każdym calu wydawał się zawsze opanowany. Lydia nie dostrzegła najmniejszej oznaki, że miał kłopoty z powściągnięciem swoich zapałów. Co więcej, nic nie świadczyło o tym, że drzemią w nim jakieś uczucia wymagające kontroli.

- Lydio! - U jej boku pojawiła się nagle Eleanor. Wydawała się wzburzona, jakby opuściło ją zwykle opanowanie. - Czemu stoisz jak słup, wpatrzona w przestrzeń? Dama nigdy nie czeka na przybycie dżentelmena! Chodźmy stąd, zanim zdradzisz się przed wszystkimi!

Lydia zaczerwieniła się i pozwoliła Eleanor, by wciągnęła ją w tłum. Rozstępowano się przed nimi, niczym przed członkami rodziny królewskiej, ale zaraz po ich przejściu ciżba znów się zwierala. Eleanor szła przodem bez pośpiechu, przystając to tu, to tam, by przywitać się z przyjaciółmi, zamienić z nimi kilka słów, skinąć w przelocie głową znajomemu lub rzucić komuś uśmiech.

Zmuszała w ten sposób Lydię do podobnego postępowania. Zawierano nawet po drodze nowe znajomości i dzielono się nowinami. Dżentelmeni prosili o taniec, damy szeptem wymieniały ploteczki. Pełne podziwu spojrzenia towarzyszyły temu triumfalnemu pochodowi. Dyskretne wykrzykniki i szmer pochwał obwieszczał zbliżanie się obu dam.

Lydię jednak szybko zniecierpliwiał ów przemarsz. Chciała wrócić do pomieszczeń od frontu, gdzie Ned zapewne poszukiwał jej bezskutecznie. W końcu, gdy tłum nieco się przerzedził, Eleanor szepnęła chrześnicy do ucha:

- Przestań umyślnie pozostawać w tyle! Zrozum wreszcie, Lydio, jego tu nie ma!

Lydia nawet nie próbowała udawać, że nie wie, o kogo chodzi.

- Z pewnością dostał zaproszenie!

- W takim razie albo postanowił z niego nie skorzystać, albo coś go nagle zatrzymało. Nie waż się wypytywać lorda ani lady Young, czy się go spodziewają i czy mieli od niego jakieś wieści!

- Nigdy bym sobie nie pozwoliła na coś tak niestosownego! - odparła Lydia tonem osoby niewinnie oskarżonej.

- Też bym cię o to nie posądzała, ale doprawdy, zachowujesz się ostatnio tak, że wprost cię nie poznaję! Przysięgam, że robisz wrażenie mniej obytej niż osiem lat temu, podczas prezentacji u dworu - odparła Eleanor. - Nie zniosę tego, by dwie moje serdeczne przyjaciółki robiły z siebie widowisko... i to obie naraz!

Obie? Lydia zatrzymała się raptownie.

- Co chcesz przez to powiedzieć?!

Eleanor rozejrzała się dokoła, czy ktoś ich nie podsłuchuje. Uspokoiwszy się, że nikogo nie ma w pobliżu, ale w pełni świadoma, że oczy wielu osób nie odrywają się od nich, zmusiła się do uśmiechu. Jedynie Lydia dostrzegła kryjące się pod tym uśmiechem napięcie.

- To Sarah, afiszuje się z Carvellim!

Książę Carvelli był ostatnim z wielu, bardzo wielu adoratorów Sarah. Niekiedy jej flirty przeradzały się w przelotne romanse, które trwały bardzo krótko. Lydii nie zdziwiło, że Sarah popisuje się swoją najświeższą zdobyczą; zaskoczyło ją natomiast napięcie w głosie Eleanor.

- Już trzy razy z nim tańczyła, a teraz zamierza zjeść obiad w jego towarzystwie. Otwarcie przymila się do niego - i to tak, że z pewnością narazi się na ogólne potępienie!

- Porozmawiam z nią - powiedziała Lydia.

- To nic nie pomoże. Sarah najwyraźniej chce zniszczyć samą siebie!

- Bardzo w to wątpię. Sarah lubi sprzeciwiać się zakazom i nakazom, ale nigdy nie poważyła się łamać wszelkich zasad - łagodziła sprawę Lydia.

- Moja droga! - odparła księżna. - Nic dziwnego, że nie dostrzegasz zmiany w zachowaniu Sarah, kiedy tak jesteś pochłonięta własnymi sprawami sercowymi. Ale to, oczywiście, całkiem naturalne!

Ta opinia zbiła Lydię z tropu. To prawda, jej myśli krążyły wokół Neda Locktona, ale przecież nie aż tak, by całkiem zapomniała o przyjaciółkach! Gdzie też może być Ned? Znow rozejrzała się dokoła, ale nigdzie nie dostrzegła jego złotych włosów. Czyżby coś mu się stało? A może zatrzymało coś bardzo ważnego? Coś czy ktoś? Ale któż to mógł być?

- Lydio!

- Tak?

- Czy ty mnie w ogóle słuchasz?! - zniecierpliwiła się Eleanor.

Childe Smyth podszedł do nich w samą porę, by wybawić Lydię od okłamywania serdecznej przyjaciółki. Miał wyraz twarzy typowy dla dandysa: spora dawka nudy i jeszcze większa ironii. Jego brwi zbiegły się nad nosem, a wargi wygięły w grymasie, który można było równie dobrze uznać za uśmiech, jak za wyraz najczystszej pogardy.

- Uniżony sługa waszej książęcej mości i pani, lady Lydio - wycedził, składając im wytworny ukłon. - Na Boga! Ratujecie mi życie, drogie panie.

- Doprawdy? Jakim sposobem, panie Smyth? - spytała Eleanor.

- Już miałem umrzeć z bezgranicznej nudy. Dosłownie nikt nie ma nic do powiedzenia! Słowo daję, cały dowcip i swada odpłynęły w dal, wraz z Byronem i Brummellem. Sezon londyński 1816 roku przejdzie do historii jako najnudniejszy ze wszystkich. Aczkolwiek - tu znacząco dotknął palcem nosa, a oczy mu zaślniły - serdeczna przyjaciółka obu pań, czarująca pani Marchland, robi co może, by dostarczyć nam rozrywki. Niech jej Bozia za to błogosławi!

- Cóż to ma znaczyć, panie Smyth? - spytała Eleanor swym najbardziej miażdżącym tonem.

Lydia wiedziała, że jej chrzestna matka nie znosi Childe'a Smytha, uważa, że jest wiecznie nadęty i obrzydliwie zadowolony z siebie. Ona sama podejrzewała jednak, że Childe wcale nie jest taki zarozumiały, jak sądzi Eleanor. Lydia dostrzegła na dnie jego błyskających złośliwie oczu skrywany głęboko ból.

- Gdy odchodziłem od stołu, pani Marchland przenosiła się właśnie na wygodniejsze miejsce... - Tu Childe przerwał dla lepszego efektu. - Na kolana księcia Carvellego.

- Dobry Boże! - jęknęła cicho Eleanor. - Wybaczysz, Lydio, że cię opuszczę?

I nie czekając na odpowiedź przyjaciółki, wyszła pośpiesznie, by uchronić Sarah przed nadciągającą katastrofą.

- Szczerze oddana przyjaciółka - zauważył Smyth, spoglądając za odchodzącą. - Przypuszczam, że jej interwencja okaże się skuteczna i znów nam będzie brakowało tematu do rozmowy!

- Jestem pewna, że znajdziemy sobie coś zajmującego - odparła Lydia.

To był rodzaj konwersacji, do jakiej przywykła. Od lat celowała w wymianie lekko zamaskowanych aluzji i ciętych, ironicznych uwag.

- Niechże pan nie przesadza, panie Smyth! Z pewnością słyszał pan jakieś nowiny, którymi warto się podzielić.

- Zastanówmy się... - odparł, podając jej ramię. Lydia wsparła się na nim i zaczęli się przechadzać wolnym krokiem. - Słyszałem o

pewnej piękności, której nazwisko niebawem zniknie z księgi zakładów u Boodle'a, jako że przestała już podobno być „Nieosiągalną”.

Serce Lydii podskoczyło z podniecenia. Co też skłoniło Smytha do wyciągnięcia takiego wniosku? Czyżby Ned szepnął komuś słówko i zostało to podsłuchane? A może plotkarze dopatrzyli się czegoś szczególnego w jego zachowaniu? Albo w jej zachowaniu? Bardzo się jej nie spodobało to ostatnie podejrzenie, zwłaszcza po niedawnym kazaniu wygłoszonym przez Eleanor!

- Doprawdy? A pan dał wiarę tej plotce, panie Smyth?

Uśmiechnął się.

- Oczywiście! Jenny Pickler zrobiła - jak na swoje możliwości - prawdziwą furorę, powtarzając rozmowę, podczas której wspomniana piękność zdradziła się z ochotą zamiany swojej wolności na święty stan małżeński. Lady Jenny, można by rzec, zyskała prawdziwą popularność dzięki swojej niedyskrecji!

Smyth mówił ogólnie o zamążpójściu. Nie było zatem żadnych spekulacji co do osoby przyszłego męża. Lydia poczuła pewne rozczarowanie, ale ukryła je.

Childe ruchem głowy wskazał kąt pokoju. Lydia bez większego zainteresowania podążyła wzrokiem za spojrzeniem swego rozmówcy i zdumiała się. Prawie nie poznała dawnej Jenny Pickler w tej pięknej, kruczowłosej, pełnej życia młodzieńczej piękności, otoczonej rojem urzeczonych młodzieńców. Ta dziewczyna niewątpliwie była już kimś!

- Niedyskrecji? - zagadnęła od niechcienia Lydia. - Czyżby wyszły na jaw nazwiska osób, które mogły nakłonić ową damę do zmiany zdania? Ogromnie chciałabym się tego dowiedzieć!

Childe zerknął na nią z ukosa, gdy znów podjęli swoją przechadzkę.

- Nie - odparł. - A w każdym razie jeszcze nie, aczkolwiek Borton napomykał coś o kapitanie Królewskiej Floty.

- Doprawdy?

Lydia udała zaskoczenie.

- Wiem, wiem, ja też uznałem to za absurd - odparł Smyth i poklepał ją uspokajająco po ręku. - Powiedziałem Bortonowi, że owa dama nie zadowolili się byle czym.

Byle czym? Jak on śmie twierdzić, że Ned Lockton to drugorzędny towar? Pod jakim względem?

- Wyrobił pan sobie złą opinię na temat owego kapitana? - spytała lodowatym tonem. - Ciekawe! Zastanawiam się, o kogo może chodzić? Wszyscy kapitanowie Królewskiej Floty, z jakimi zawarłam znajomość, to prawdziwi dżentelmeni, którzy dzielnie walczyli za swojego króla i ojczyznę. Jestem pewna, że nie doszukałby się pan wad w żadnym z nich!

Smyth rzucił jej badawcze spojrzenie, ale odpowiedział z całą swobodą:

- Źle mnie pani zrozumiała, lady Lydio. Nie zamierzałem niczego zarzucać zacnemu kapitanowi. Bóg mi świadkiem, nigdy bym nie zdołał złożyć tylu dowodów męstwa, co on! Jestem zbyt wielkim

lekkoduchem i z natury niczego nie biorę serio. I nazbyt powodują mną namiętności. Powiedziałbym, że trzeba mieć istny lód w żyłach, rozkazując swym podkomendnym, by trwali mężnie wystawieni na ogień nieprzyjaciela.

Podjęli znowu niespieszną przechadzkę.

- Z pewnością ów bohater z Królewskiej Floty, o którym mówimy, potrafi zachować - zgodnie z regulaminem - nieodgadniony wyraz twarzy i całkowity spokój w każdych okolicznościach. Doprawdy, jestem pełen podziwu! Gdybym to ja przebywał tak często w towarzystwie wspomnianej piękności, nie zdołałbym ukryć swoich uczuć! Ale, być może, ów kapitan nie jest z natury skłonny do namiętnych wybuchów.

Lydia zmarszczyła się, słysząc te słowa.

- Nie zamierzałem go krytykować, lady Lydio - kontynuował Childe słodkim tonem. - Myślałem tylko, że dama, o której mówimy, zbyt ceni siebie i swoją pozycję, by zadowolić się czymś mniejszym od uwielbienia, na jakie zasługuje. I z pewnością nie wystarczy jej chłodny podziw. - Utkwił wzrok w twarzy Lydii, a z jego własnej znikł zwykły grymas cynizmu. Nieoczekiwanie odmalowało się na niej współczucie. - A poza tym chyba się domyślam, z jakiego powodu owa dama podtrzymuje tę zaskakującą zażyłość.

- Czyżby? - Lydia miała nadzieję, że w jej głosie nie słychać takiego napięcia, jakie odczuwała. - Proszę mi to wyjawić!

- Owa dama cieszy się opinią osoby niezależnej, skłonnej do lekceważenia pewnych tradycji, co raz czy drugi uznano niemal za szarganie świętości.

Mówił nieoczekiwanie łagodnym głosem, obserwując ją uważnie.

- A jaki to ma związek z towarzystwem, które sobie wybrała?

- Jakże lepiej mogłaby owa piękna dama przekonać nazbyt ostrożne rodziny, których synowie - dobre partie! - rozglądają się za odpowiednią żoną, że pilnie strzeże swojej reputacji, niż zdobywając stałą eskortę w osobie dżentelmena o nieposzlakowanym charakterze?

Choć jego słowa miały być pochwałą, sposób, w jaki je wymawiał, świadczył niezbiecie o tym, że nieposzlakowana reputacja jest w przypadku dżentelmena czymś godnym politowania. I zapewne w tych kręgach, w jakich się obracał, istotnie tak uważano. Niemożliwe jednak, by cały wielki świat wierzył w to, że ona pozwala Nedowi, by jej towarzyszył, tylko dlatego, by zatrzeć jakąś nieistniejącą plamę na własnej reputacji. Cóż za głupota!

- Rozumiem tę damę i uważam jej wybór za nader rozsądny - prawil Smyth. - A kobieta równocześnie namiętna i praktyczna to rzadki skarb!

Uśmiechnął się ciepło do Lydii, ale był to uśmiech przyjacielski, nie nazbyt intymny.

On naprawdę w to wierzy! - pomyślała. Nie wyobraża sobie, bym mogła zainteresować się Nedom.

Nie miała pojęcia, co na to odpowiedzieć. Po prostu zabawne!

Czy Childe nie ma oczu? Nie widzi, jak bardzo pociągająca jest wysoka, męska postać Neda, jego szlachetna siła, subtelny dowcip, pogoda ducha, rycerskość dla dam, niezrównane zalety prawdziwego dżentelmena? Nie mówiąc już o majątku! Z pewnością inne damy także doceniły to wszystko, sądząc choćby z liczby koronkowych chusteczek, które mu przysyłano.

Mimo to Lydię wzruszyła nieoczekiwana troska, jaką okazał jej Childe, co wszakże miało pewien niepożądany skutek: skłoniło ją do zastanowienia nad jego słowami. To prawda, że Ned był mężczyzną zamkniętym w sobie i nieskorym do wybuchów pasji. Czyżby to miało oznaczać niezdolność do namiętnych uczuć?

Jest przecież dżentelmenem! - mówiła sobie. Nigdy by się nie narzucał damie ze swymi uczuciami, póki nie miałby pewności, że są odwzajemnione! Jeśli w ogóle wiedział, co to porywy uczuć...

A niech to wszyscy diabli! Kochał ją? Był zdolny do namiętnej miłości? A jeśli nie był? Jeśli oczekiwał od niej jedynie przyjaźni? Miesiąc temu byłaby uszczęśliwiona, mogąc zaliczyć go do swoich przyjaciół. Teraz jednak to słowo wydało jej się jałowe i blade, niemające porównania z uczuciem, jakie rozniecił w jej sercu. Przyjaciel, też coś!

Poczuła, że gorący rumieniec zalewa jej twarz i szyję. Najlepszy dowód, że powinna zachować milczenie. Childe Smyth przyglądał się jej z coraz głębszym współczuciem. Malowało się ono na jego twarzy obok szczerzej sympatii.

- Niekiedy, panie Smyth, pozory, choć niby to przekonujące, nie odpowiadają naturze rzeczy!

W jej głosie brzmiała taka pewność... Childe się uśmiechnął.

- Jest pani bystra i przenikliwa jak zawsze, lady Lydio - odparł z lekkim ukłonem. - Z pewnością ma pani słuszność.

Biedactwo! - myślał Childe Smyth chwilę później, przyglądając się, jak lady Lydia przyjmuje hołdy od grona wielbicieli. Naprawdę zakochała się w tym drewnianym kołku.

Ktoś powinien ją ocalić przed popełnieniem życiowej pomyłki!

17

W szulerni cuchnęło dymem, dżinem i zastarzałym potem. Ned z przyjemnością wyobraziłby sobie Harry'ego i Pipa pocących się coraz obficie, w miarę jak rosły ich przegrane, a wraz z nimi - wielka rozpacz. Jednak po wydarzeniach ostatnich miesięcy nie wierzył już nawet w to, że chłopcy mają dość rozumu, by uświadamiać sobie rozmiary swoich przegranych i ich konsekwencje.

Popatrzył na nich z irytacją. Nie siedzieli już przy stole do gry. Potulnie przenieśli się na krzesła, które im wskazał Ned. Byli upokorzeni, nadaśani, ale na tyle trzeźwi, że nie próbowali się opierać, gdy „zapropomował” im te przenosiny.

Ned nie łudził się, że to rozsądek podszeptał im, by podporządkowali się jego rozkazowi i na resztę wieczoru ograniczyli się do roli widzów. Gdyby mieli choć szczyptę rozsądku, nigdy by się nie znaleźli w tej podłej norze i nie próbowaliby (już po raz drugi)

przegrać w karty fortuny, której nie mieli. Ned przypisał więc uległość chłopaków wyłącznie instynktowi samozachowawczemu. Doprawdy, niewiele brakowało, a osobiście zaciągnąłby ich za tępe łby do doków i przekazał w ręce brutalnych drabów, którzy werbowali ochotników do Królewskiej Floty. Harry i Pip dostaliby dobrą szkołę! Na szczęście dla nich, Ned żywił zbyt wiele szacunku dla floty, by wzbogacać ją o takie dwa ananasy.

Postanowił więc wziąć zamiast nich udział w grze. Położył teraz swoje zakryte karty na stole i czekał na odzywki pozostałych graczy: wiernego przyjaciela, Bortona, Tweeda, odrażającego młodego rzezimieszka. Borton, wiedziony jakimś nieuzasadnionym poczuciem winy, nie odstępował tych przeklętych chłopaków podczas ich nocnych eskapad, aczkolwiek jego obecność nie mitygowała ich ani trochę.

Z pół tuzina gapiów obstąpiło graczy ścisłym półkolem, śledząc z zainteresowaniem rozwój wydarzeń. Tweed miał niby to niepewną minę, nie zdołał jednak ukryć poczucia triumfu, które go rozpierało. Wierzył, że ma znakomite karty i liczył na to, że udając niepewność, zdołał zmylić przeciwnika.

Bonne chancel - pomyślał Ned. Grywał już o znacznie wyższą stawkę podczas wojny i udawało mu się przechytryć wroga. Partyjka kart z nie całkiem jeszcze opierzonym opryszkim nie powinna przedstawiać większych trudności. Borton marszczył czoło, wpatrując się w swoje trzy karty tak intensywnie, jakby mógł wzrokiem przemienić je w coś znacznie lepszego. Kątem oka Ned dostrzegł, że

Pip daje znaki przechodzącemu kelnerowi: uniósł do góry pustą butelkę i wymownie nią wymachiwał. Ned odwrócił głowę i spojrzał prosto na siostrzeńca. Ręka Phillipa natychmiast opadła i chłopak skulił się na krześle.

- No i co powiesz, Tweed? - odezwał się wreszcie Borton. - Mamy na stole pięć tysięcy. Starczy ci forsy, by dołożyć do puli na wypadek przegranej?

Twarz Tweeda, połyskująca oleście w blasku świec, pociemniała. Jakaś żyłka zaczęła mu godzinę temu pulsować na skroni i nadal tętniła.

- Nie martw się o moje pieniądze, Borton! Wchodzę w to.

Borton zerknął raz jeszcze w swoje karty, po czym odetchnął głęboko i odłożył je na stół.

- Dla mnie to już koniec gry.

Ned nawet nie tknął porzuconych kart. Nareszcie! Ostateczna rozgrywka.

- Wchodzę - oświadczył.

Podczas gry w trzy karty zwyciężał gracz, który wziął najwięcej lew. Ponieważ jednak zostało tylko dwóch graczy, jeden z nich musiałby wziąć wszystkie trzy lewy, żeby zagarnąć pulę. Jeśli się taki nie znalazł, pulę dzielono równo pomiędzy obu.

Nie spuszczać oczu z Neda, Tweed rzucił na stół dziewiątkę atutową.

Ned z zimną krwią przebił ją atutową dziesiątką, niweczając w ten sposób szanse Tweeda na zdobycie całej puli. Tweed ani drgnął:

wystarczyła mu jedna lewa, by wygraną podzielono pół na pół, a taka połówka stanowiła całkiem okrągłą sumkę!

W pokoju zaległa cisza pełna napięcia. Nadal wpatrując się w Neda, Tweed rzucił asa nie do koloru. Ned zbił go atutową trójką. Z lekkim uśmiechem Tweed wyłożył króla atutowego, i odchylił się z krzesłem do tyłu.

- No cóż, Lockton, dzielimy się po połowie!

Ned odkrył swoją ostatnią kartę: atutowego asa.

Wybuchy śmiechu i okrzyki zaskoczenia zmały wreszcie pełną napięcia ciszę. Wszyscy podchodzili do Neda, gratulując mu wygranej.

- Dobra robota, kapitanie!

- Znakomita gra!

- Został pan królem wieczoru!

Wzniesione w górę przednie nogi krzesła, na którym siedział Tweed, opadły z trzaskiem na podłogę. Młodzieniec pochylił się raptownie do przodu, połową ciała leżał niemal na stole oddzielającym go od Neda.

- Chcesz mi wmówić, że znów ci przypadły trzy karty atutowe? W uczciwym rozdaniu? Po raz drugi?

- Nic podobnego. Nie przypominam sobie, żebym coś mówił do pana.

- To niemożliwe! - darł się Tweed.

Pryskął śliną, twarz mu posiniała. Ned miał już dość tych komedii.

- Jak widać, całkiem możliwe.

Borton z trudem przełknął ślinę. Zebrani wokół nich przestępowali nerwowo z nogi na nogę i odsunęli się nieco.

- Daj spokój, Tweed - zwrócił się do młodzieńca Borton. - Jestem pewien, że powiedziałeś to bez zastanowienia, nie w tym sensie, jaki...

- Powiedziałem dokładnie to, co myślę! - oświadczył Tweed i zerwał się na równe nogi.

Przez sekundę Ned zastanawiał się, czy nie wstać również. Tweed był taki wściekły, że rwał się do rękoczynów, a nie wyglądał na ułomka. Nieco wcześniej przechwalał się, że uczęszcza regularnie do szkółki pięściarskiej „Dżentelmena Jima”. Spojrzawszy na kłykcie Tweeda, Ned skłonny był dać mu wiarę.

Przejrzał go jednak na wylot i doszedł do wniosku, że parweniusz taki jak Tweed, zżerany ambicją, nigdy nie rzuci się z pięściami na kogoś z arystokracji. Nie ze względu na brak odwagi! Powstrzyma się od brutalnej napaści, gdyż taki postępek odebrałby mu wszelkie szanse na to, że zostanie kiedyś uznany za jednego z nas" - prawdziwego dżentelmena, na czym mu tak rozpaczliwie zależało.

- Do diabła, stryju! - wykrzyknął Harry, z niejakim trudem podnosząc się z krzesła. Zachwiał się i schwycił ciotecznego brata za ramię, żeby nie upaść. - Będziesz tak stał i słuchał, jak cię obrzucają błotem?

- Jak widać, mogę stać bez trudu, w odróżnieniu od ciebie - odparł sucho Ned.

Od Bóg wie od ilu godzin powinien być u Youngów, przekomarzać się z Lydią, bawić ją. Zachwycać się grą uczuć na jej twarzy, pełnej wyrazu, wdychać woń kwiatu pomarańczy, bijącą od jej lśniących, brązowych loków. Zastanawiać się, czy jej delikatne, brzoskwiniowe policzki są w dotyku tak jedwabiste, jak sądził, a mleczone ramiona równie atłasowe? Niech wszyscy diabli porwą Phillipa, Harry'ego i tego drania Tweeda! To przez nich nie mógł spędzić wieczoru w towarzystwie Lydii.

Czy czekała na niego? A może była rozczarowana? Czy inni wielbiciele szybko zajęli jego miejsce? Niech piekło pochłonie podłych wyrostków! A także Nadine, Beatrice i Jostena za to, że sprowadzili na ten świat takie zakały ludzkości!

- Znieważylem cię, Lockton! - odezwał się Tweed. Głos mu drżał z gniewu. - A ty to znosisz? Jaki z ciebie mężczyzna?!

- Wyjątkowo znudzony - wycedził Ned i wstał.

- Wyzwij tego bydlaka, wuju! Będę twoim sekundantem! - odezwał się Pip ochoczo, acz z lekką czkawką, nie wstając z miejsca, na które opadł.

- Ned nie może go wyzwąć od ręki! To sprz...przeczne z kodeksem honorowym. Trzeba się wst.. .wtrzymać do jutra, Pip - pouczał go bełkotliwie Harry. - Wtedy na pewno pośle mu wyzwanie. A sekundantem będę ja, bo jestem starszy!

- Jako przysły hrabia nie możesz ryzykować. To ja...

- Zamknij się, Harry. I ty też, Pip - uciszył ich Ned. - Żaden z was nie będzie moim sekundantem, bo nie ma mowy o pojedynku.

Harry rozdziawił usta ze zdumienia, a Phillip zamrugał jak sowa, ogromnie rozczarowany.

- Nie będzie pojedynku? - jęknęli zgodnym chórem.

- Nie będzie.

Ned zgarnął wygraną ze stołu do sakiewki, choć cała jego natura buntowała się przeciwko temu. Ta wygrana utwierdzi jeszcze obu matołków w przekonaniu, że w karty można wygrać! Poza tym był wściekły, że zabiera pieniądze Bortona. A nawet i Tweeda...

Nie miał pojęcia, jak się przedstawia jego sytuacja finansowa. Sądząc z tego, jak ten głupiec desperacko się miotął, była raczej oplakana. A Ned nie miał ochoty przyczynić się do niczyjej zguby. Jednak pozostawienie wygranej na stole byłoby milczącym przyznaniem się, że odniósł zwycięstwo dzięki oszustwu. A niech to wszyscy diabli!

- Oczywiście, że nie będzie żadnego pojedynku! - oznajmił Borton. - Czemu Ned miałby się pojedynkować? Wygrał czysto, według wszelkich reguł gry. Tweedowi to nie w smak, ale żaden dżentelmen nie zwraca uwagi na pretensje gracza, który nie potrafi przegrywać.

- Doprawdy? - odezwał się szyderczym tonem Tweed.

- Wielki Boże, człowieku! - wybuchnął Borton. - Kapitan Lockton okazał się wielkoduszny, puszczając twoje zniewagi mimo uszu, a ty tak mu się odwdzięczasz? Miałbym ochotę sam rzucić ci wyzwanie!

- Ani się waż! - warknął Ned. Tylko tego brakowało, żeby Borton dał się teraz za to zabić. - Tweed jest jak gąbka, nasiąknięta piwem i dżinem, i nie wie, co plecie.

- Ależ, stryju! - oburzył się Harry. - Honor rodzi...

Ned uciszył bratanka jednym spojrzeniem.

- Harry, Pip, dotrzymacie mi towarzystwa w drodze do domu! Wiem, że nie sprawicie mi zawodu. - Lekkim ukłonem pożegnał Bortona i pozostałych mężczyzn. - Dobranoc panom!

Kapitan odwrócił się i w tym momencie Tweed, który nie był w stanie pogodzić się ze zwycięstwem przeciwnika, schwycił go za ramię, zamierzając odwrócić w swoją stronę. Ale potężnego Neda nie tak łatwo było zmusić do obrotu. Przystanął jednak, choć leciutkie drżenie mięśnia w policzku wskazywało na to, że nie życzy sobie, by go tarmosić.

- Proszę się spodziewać mego sekundanta o pierwszym brzasku!

Na te słowa Tweeda ten i ów aż sapnął. Ned pohamował zniecierpliwienie.

- Mogę wiedzieć, po co?

- Zakładam, że przyśle pan sekundanta, by przekazał mi pańskie wyzwanie. Ciekawe, jak je pan uzasadni? Czy zamierza pan rozgłosić wszem wobec, że wyzwiał mnie, gdyż wygrałem z panem w karty? Sądzi pan, że to umocni pańską pozycję... wśród przyjaciół?

Przeszył ostrym spojrzeniem młodych elegantów, którzy towarzyszyli Tweedowi.

Zgodnie z oczekiwaniami Neda, bezpośredniość tego pytania zbiła Tweeda z tropu. Zrobił groźną minę i szukał jakiejś jadowitej odpowiedzi, ponieważ żadna rozsądna nie przychodziła mu do głowy. Trwało dobrą chwilę, nim znalazł coś odpowiedniego.

- Pan mnie obraża! Nie zwlekajmy z tym, do pioruna! Zapłaci mi pan za to natychmiast!

- Nie przyjmuję wyzwania - odparł spokojnie Ned.

Rozległy się okrzyki zdumienia i pomruki dezaprobaty.

- Ależ, wuju, nie możesz odmówić! - wybuchnął Phillip. - Przecież on cię wyzwiał!

- Nie bądź głupi! - zbył go krótko Ned, tracąc wreszcie panowanie nad sobą. - Ja walczę na wojnie, z prawdziwymi wrogami. Nie z niedowarzonymi młodzikami!

Wiedział, że nie przyjmując wyzwania, ryzykuje utratę reputacji. Dla większości dżentelmenów z wyższych sfer jedyną honorową odpowiedzią na wyzwanie może być tylko przyjęcie go. Ned jednak widział zbyt wielu ludzi ginących w walce o słuszną sprawę - w obronie swych domów i rodziny, ojczystego kraju albo towarzyszy walki. Zabicie lub okaleczenie drugiego człowieka tylko dlatego, że jest głupi, było dla niego czymś nie do pomyślenia.

Co on tu właściwie robi, do diaska? Pilnuje, żeby ktoś nie skrzywdził dwóch niewdzięcznych gołowąsów, niedowarzonych dandysów, którzy nie umieliby nawet odpowiedzieć z sensem, bez grubiańskich wyzwisk! A w dodatku nie byli w stanie niczego się nauczyć na własnych błędach! Teraz zaś, zamiast być mu wdzięczni,

czuli się rozczarowani, gdyż nie chciał upuścić krwi jakiemuś durniowi!

Wyszedł bez słowa, zde gustowany zachowaniem bratanka i siostrzeńca, wieczorem zmarnowanym w podłej spelunce i całą tą sytuacją. Przede wszystkim jednak pełen był obrzydzenia do samego siebie - za to, że z nadmiernego poczucia obowiązku wyrzekł się paru godzin, które mógł spędzić w towarzystwie Lydii.

18

Nazajutrz po południu Ned kręcił się uparcie w pobliżu Stanhope Gate, jednej z bram do Regent's Parku i co chwila sprawdzał, która godzina. Wyciągnął zegarek z kieszeni raz jeszcze: piąta trzydzieści. Już pół godziny temu Lydia powinna się tu zjawić na codzienną przejażdżkę po Rotten Row w swoim ciemnoniebieskim, lśniącym od lakieru powoziku o jaskrawożółtych kołach. Ciągnęła to cudo para pięknych karych koni.

Kapitan tym razem wolał przyjść na piechotę, niż dosiąść gniadego wałacha, chociaż Borton nalegał, by Ned z niego korzystał. Dziś jednak pragnął bezpośredniego kontaktu z Lydią. Nie mogła mu tego zapewnić jazda obok jej powozu, tam i z powrotem po wytyczonej trasie. Choć wiedział, że nadzieja może go zawieść i Lydia nie poprosi, by jej towarzyszył, postanowił spróbować, a nuż się uda? Przeżycia ubiegłej nocy sprawiły, że droga, którą sobie wytyczył, rysowała się coraz wyraźniej przed jego oczyma.

Phillip i Harry, bynajmniej nieprzejęci zbożnym lękiem, rozkoszowali się melodramatycznym zakończeniem wczorajszego wieczoru. Przez całą drogę powrotną do londyńskiej rezydencji Jostena chłopcy toczyli w powozie ożywioną pijacką dysputę na temat szczególnych zalet rozmaitych rodzajów broni białej i palnej oraz ich przydatności w pojedynku.

Nawet nie zauważyli, że Ned nie włączył się do dyskusji. I rozsądnie postąpił! Gdyby zabrał głos, z pewnością teraz by tego żałował, gdyż straciłby do reszty panowanie nad sobą.

Raz tylko jego niepoprawny bratanek i takież siostrzeniec stracili humor, a mianowicie w chwili, gdy dotarli do celu. Ned otworzył z impetem drzwi powozu i ograniczył się do zwięzłej komendy:

- Wysiadać!

Dwójka winowajców popatrzyła na niego z pewnym zmieszaniem, ale nawet się nie ruszyła.

- Ogłuchliście czy co? - spytał. - Wysiadać. No, już!

- A nasze pieniądze? - wypalił Harry, śmielszy od Pipa, a może bardziej od niego prostoduszny.

Nie ośmielili się upomnieć o „swoje” pieniądze po raz drugi. Ned zaś odczuwał ponurą satysfakcję na myśl, ile będzie miał kłopotu osobisty lokaj Harry'ego, nim usunie wyraźny ślad kapitańskiego buta z siedzenia spodni panicza.

Nie miał też wątpliwości, że za dzień czy dwa Nadine albo Beatrice udzieli mu reprymendy z powodu braku miłości rodzinnej, którą powinien wszak odznaczać się wuj (czy stryj), oraz

oburzających metod wychowawczych, jakimi się posłużył w stosunku do ich pieścioszków. Ned nie cieszył się na tę rozmowę. Wydarzenia ostatniej nocy uświadomiły mu, jak mało ma wspólnego z przedstawicielami wielkiego świata, choć byli mu równi urodzeniem.

Zbyt wielu z nich uwikłało się w nic nieznaczące dysputy na temat dobrego wychowania lub w małostkowe spory związane z hierarchią towarzyską, które - zdaniem kapitana - nie miały najmniejszego sensu. Ci ludzie wysoko cenili sprawy, których on nie pojmował i wcale nie chciał zrozumieć. Stwierdził też, że znaczna część tak zwanego eleganckiego towarzystwa okropnie go irytuje, i zaniepokoił się nieco, że nie wie, gdzie właściwie jest jego miejsce. Być może nie było tam w ogóle miejsca dla takich jak on?

A jednak zakochał się w najcenniejszej perle tego zwariowanego świata! Zdawał sobie sprawę z absurdalności sytuacji. Nie miało to jednak znaczenia, gdyż jego serce uniezależniło się całkowicie od jego woli. A w dodatku stawało się coraz bardziej zachłanne! W ciągu ostatnich kilku tygodni, zachowując milczenie co do opłakanej sytuacji finansowej Locktonów, Ned brnął w grzech coraz głębiej - od strategicznych przemilczeń do jawnego mijania się z prawdą.

W miłości zaś - jak odkrył - nie mogło być mowy o żadnych ukrytych motywach ani o sekretach, o wyzwaniach, urągających wszechmocy tego uczucia, czy o jakichkolwiek innych pragnieniach. A nawet o zdrowym rozsądku lub zmyśle praktycznym! Musi wyznaczyć wszystko Lydii. Nie powinien jednak wyrzucić tego z siebie byle jak,

lecz uczynić to z największą delikatnością. Nigdy dotąd nie troszczył się tak o właściwy dobór słów.

Czy Lydii brakowało go wczoraj na przyjęciu u Youngów? Kto poprowadził ją do stołu? Z kim tańczyła i jak często? Czy komuś jednemu poświęciła więcej czasu niż całej reszcie? Przez ostatnich kilka tygodni to on cieszył się szczególnymi przywilejami i teraz bardzo go niepokoiła myśl, że wczoraj wieczorem ktoś inny mógł zająć jego miejsce, a nazajutrz znowu upomnieć się o nie. Może ten nieznany rywal w tej właśnie chwili jej towarzyszy?

Ned zatrzymał się nagle, zbity z tropu. Oto stoi tu, ogarnięty zazdrością o rywala, który może w ogóle nie istnieje! A co gorsza, pomiędzy Lydią a nim nie istnieje żadne porozumienie, które upoważniałoby go do wyrażania swojej opinii na temat tego, z kim Lydia ma spędzać czas. W gruncie rzeczy pragnął, by cały jej czas należał do niego. Pragnął też jej samej i to pragnienie nasilało się z każdą chwilą, którą spędzali razem.

To, że stał się niewolnikiem namiętności, budziło w nim niepokój. Uważał się przecież za dżentelmena, za jednego z Locktonów z Josten Hol, za oficera floty Jego Królewskiej Mości, a żadna z tych osobistości nie tolerowała takiego zalewu uczuć - namiętności, zaborczości, niepewności, zazdrości... A już na pewno oburzyłoby to Lydię! Nie zasłużyła sobie na to, by czynić ją obiektem takich pragnień! Powinien dać jej to wszystko, co było w nim najszlachetniejsze, najbardziej prawe i godne czci i tylko to, na Boga, miał prawo jej ofiarować!

Przerwał swój nerwowy spacer, zaalarmowany coraz wyraźniejszym brzękiem upręży i tupotem końskich kopyt po bruku. W chwilę później powóz minął bramę i wjechał do parku. Serce zabiło Nedowi szybciej na widok Lydii. Słońce połyskiwało na małym kapelusiku, osadzonym na wysoko upiętych ciemnobrązowych lokach. Kapitan opuścił ścieżkę dla pieszych i wszedł na jezdnię, by zastąpić drogę jej powozikowi.

Lydia dostrzegła Neda od razu i twarz jej pojaśniała. Pochyliła się do przodu, by zastukać na stangreta, ale ten już wstrzymał konie.

- Kapitanie! - zawołała Lydia. - Widzę, że jest pan dziś zdany na własne nogi. Czyżby wyrzucono pana za burzę?

- Nie, madame - odparł Ned z udaną powagą. - Wyruszyłem na tę wyprawę samotnie, nie licząc na żaden statek.

- Doprawdy? - zdziwiła się. - Na szczęście dla pana, jestem patriotką i nigdy bym nie pozwoliła bohaterskiemu żeglarzowi utonąć na suchym lądzie!

- Czy moja rozpaczliwa sytuacja jest aż tak widoczna? - spytał, chwytając za uzdę bliższego z koni, żeby nie brykał.

- Jedynie dla mnie - odparła. - Wskakuj na pokład, mój panie, i pozwól, że dowiozę cię do portu, do którego zmierzasz.

- Prawdę mówiąc, madame, podróżuję bez konkretnego celu. Dzień mamy piękny, co tego lata należy do rzadkości, chciałem więc po prostu nacieszyć się przechadzką. - Poklepał konia po szyi. - Może uda mi się namówić panią, byś mi towarzyszyła, gdy przyzwyczajam znów swoje nogi do stapania po stałym lądzie?

Szeroko otworzyła oczy ze zdumienia. Spacerowanie było rzadkością w eleganckim świecie, gdyż jeśli ktoś miał dość pieniędzy na powóz, powinien się nim pochwalić! Ned nie miał jednak sumy wystarczającej na kupno takiego pojazdu i chciał uświadomić to Lydii, a także przekazać jej inne bulwersujące wieści podobnej natury.

- Owszem, chętnie - odparła młoda dama. - Podjedź do mostku, Johnie, i zaczekaj tam na mnie!

Ned podał jej rękę, ona wyciągnęła swoją i palce ich się splotły. Jej dłoń była delikatna jak skrzydła mewy. Wysiadła i stanęła obok Neda. Uśmiechnęła się do niego i postukała w bok powozu, powiadamiając stangreta, że może odjechać. Kapitan gestem i ukłonem dał jej znak, by szła pierwsza.

- Gdybym wiedziała, że czeka mnie przechadzka, włożyłabym suknię spacerową, a nie strój podróżny! - zrobiła mu delikatną wymówkę Lydia.

- A czy to taka wielka różnica? - spytał ciekawie, dostosowując się do jej kroku.

Nie znał się na modzie, ale miał bystre oko (zwłaszcza jeśli chodziło o coś związanego z Lydią), a jej jasnożółta suknia wydawała mu się ostatnim krzykiem mody.

- Oczywiście! - odparła, udając zdumienie, że ktoś może nie znać prawd tak elementarnych.

- Na czym polega ta różnica, jeśli wolno spytać?

W oczach Lydii błysnęły szelmowskie iskierki, gdy rzuciła mu spojrzenie z ukosa.

- No cóż, spacerowa suknia nadaje się do spacerów - odrzekła z całą powagą - a podróżna do jazdy powozem.

- Ach tak? Serdeczne dzięki! Od razu wszystko stało się dla mnie jasne! - odparł tonem kogoś, komu powierzono właśnie sekret niezmiernej wagi.

Lydia nie była w stanie utrzymać sztucznej powagi i anielskiej miny. Wybuchnęła śmiechem.

- Nie powinien pan prowokować mnie do niemądrych żartów, udając, że przyjmuje wszystko za dobrą monetę! - skarciła Neda.

- Czemu nie? - spytał, prowadząc ją ścieżką dla pieszych, którą dotarli w końcu nad Serpentine.

- Kiedy mnie pan tak zachęca do kpin z poważnych rzeczy, gotowani wbić się w dumę i uwierzyć, że jestem wyższa ponad konwenanse, a to by doprowadziło - tu pokręciła smętnie głową - do nieodwracalnej katastrofy!

- Do katastrofy? - powtórzył jak echo. - Z pewnością nie grozi pani taki okropny los!

- Cóż gorszego mogłoby spotkać kogoś takiego jak ja niż usunięcie poza nawias eleganckiego towarzystwa, zatrzaśnięcie przede mną drzwi domów, w których byłam zawsze mile widziana? A takie właśnie są skutki przekroczenia granic wytyczonych przez konwenanse!

Radość, jaką Ned czerpał z towarzystwa Lydii, zbladła pod wpływem jej słów. Uprzytomnił sobie, że była związana z wielkim światem równie mocno, jak on czuł się związany z morzem. Nawet

gdyby zgodziła się wyjść za niego, czy mógłby wymagać, by pozostawiła wszystko, co było jej tak dobrze znane, i co - według jej własnych słów - szczerze kochała? Lydia wpatrywała się w niego, oczekując odpowiedzi, najwyraźniej zaskoczona milczeniem rozmówcy.

- A jednak, madame - powiedział wreszcie, choć wahał się wytoczyć takie argumenty - choć stosunkowo krótko się znamy, doskonale wiem, że nie obawia się pani być oryginalną!

- Istnieje wszakże, choć czasem trudno dostrzegalna, różnica między oryginalnością a dziwactwem! - odparła. - Dlatego człowiek musi polegać na swych przyjaciółach, którzy dopilnują, by nie pozwolił sobie na zbyt wiele i nie naraził się na zbytnie ryzyko.

Lady Lydia przystanąła, zatrzymał się więc i kapitan. Odwrócił się, by spojrzeć w jej twarz, uniesioną ku niemu. Rondo kapelusika rzucało na nią półkolisty cień, tonęła więc w chłodnych błękitach i zieleniach. Lydia także badała wzrokiem twarz swego rozmówcy.

- My również jesteśmy przyjaciółmi. Prawda, kapitanie? - spytała, dotykając jego rękawa.

Neda przeszył nagły dreszcz. Omal nie wyjawiał, że oczekuje od niej czegoś więcej niż tylko przyjaźni. Rozpaczliwie pragnął wyjaśnić Lydii swoją sytuację, zanim poprosi ją o rękę. A ta uczęszczana ścieżka w publicznym parku nie nadawała się do takich wynurzeń. Uśmiechnął się więc i pospieszył z zapewnieniem bardziej stosownym w tych okolicznościach:

- Będę uważał się za wybrańca losu, jeśli raczysz mnie zaszczyścić swoją przyjaźnią, madame!

Jego odpowiedź wszakże nie została nagrodzona uśmiechem, jak się spodziewał. Co więcej, przez sekundę miał wrażenie, że dostrzega smutek na twarzy ukochanej. Odwróciła jednak głowę tak szybko, że nie mógł być tego pewny, a gdy spojrzała znów na niego, była pogodna i spokojna.

Dotarli do miejsca, gdzie ścieżka się rozwidła. Jedna jej odnoga zmierzała na północ, w stronę ogrodów, druga zaś biegła na południe brzegiem Serpentine, równoległe do Rotten Row, gdzie tłoczyły się powozy, konni i piesi. Zakładając, że Lydia pragnie przyłączyć się do tłumu, który zbierał się tam późnym popołudniem, Ned ruszył w kierunku Rotten Row. Jego towarzyszka jednak skierowała się na północ.

Kapitan zawahał się. Lydii nie towarzyszyła przyzwoitka, a stangret pojechał przodem. Ona zaś przed chwilą zwierzyła mu się, jak zależy jej na reputacji. Ned zresztą także czuł się zobowiązany do strzeżenia jej nieposzlakowanej dotąd opinii. Z drugiej strony jednak nie kryli się bynajmniej i przez cały czas byli na widoku, a kapitan tak bardzo pragnął mieć jeszcze Lydię tylko dla siebie, choćby przez krótką chwilę. Ruszył więc w ślad za nią na północ.

- Słyszałem, że wczorajsze przyjęcie u Youngów okazało się prawdziwym sukcesem - odezwał się po chwili.

- Był tam potworny tłok - odparła. - Aż pięć dam zemdlało i musiano je wynieść na świeże powietrze. Inaczej mówiąc, był to rzeczywiście niesłychany sukces!

Kiedy tak szli, Lydia, która dotąd spoglądała prosto przed siebie, odwróciła głowę. Zagadnęła Neda lekkim tonem:

- Czy nie wspomniał pan, że wybiera się do Youngów?

Zawiesiła głos, prowokując go do wyjaśnień.

Kapitan nie miał ochoty opowiadać jej, że zamiast spotkać się z nią na przyjęciu, spędził ten wieczór w szulerni - nawet jeśli udał się tam wyłącznie po to, by wyciągnąć z tej spelunki bratanka i siostrzeńca. Został tam wszakże i zasiadł do gry, a potem omal nie spuścił straszliwego lania pewnemu jegomościowi... wyłącznie dlatego, że diabelnie go zirytował! Kiedy zaś wrócił do siebie, cuchnął zastarzałym potem, zwietrzałym tytoniem i podłym dżinem. Nie były to chwile godne zapamiętania!

Nie będzie wprawiał w zakłopotanie ani Lydii, ani siebie, opowiadając jej tę niesmaczną historyjkę!

- Istotnie, zamierzałem tam pójść, madame, ale w ostatniej chwili nieprzewidziany obrót wydarzeń i poczucie obowiązku kazały mi zająć się czymś innym.

- Ach tak?

Na twarzy Lydii pojawił się lekki brzoskwiniowy rumieniec. Miała wrażenie, że Ned zbył ją garścią pustych frazesów.

- Wolałbym po stokroć spędzić ten wieczór w miłszym towarzystwie! - zapewnił kapitan.

Na pełnych wargach Lydii pojawił się uśmiech zadowolenia. Szli dalej w przyjaznym milczeniu. Minęli gąszcz wiecznie zielonych krzewów i wdrapali się na porośniętą trawą pagórek, z którego roztaczał się widok na rozległą łąkę. Pośrodku niej widniał kolisty bukszpanowy labirynt.

- To Labirynt Jutra - wyjaśniła Lydia, ruchem głowy wskazując wysoki, gęsty żywopłot. - Był pan kiedyś w środku?

- Nie. Przyznam, że nie wiedziałem nawet o jego istnieniu.

- To dlatego, że teraz prawie nikt się tam nie zapuszcza. Strasznie trudno znaleźć w nim drogę! - Skinęła głową z miną osoby wszytkowiedzącej. - Zdarzało się nieraz, że ludzie nie mogli się stamtąd wydostać nawet przez kilka dni.

- Kilka dni? - powtórzył z niedowierzaniem.

- Ależ tak! - odparła z wielką pewnością siebie. - Plotka głosi, że jedna z kochanek Prinny'ego utknęła tam na całe dwa tygodnie, a kiedy się wreszcie wydostała, była taka chuda, że księżę nie miał już na nią ochoty.

Ned się uśmiechnął. Słabość księcia regenta do pulchnych niewiast była ogólnie znana.

- A czy pani sama naraziła kiedyś życie, wkraczając do tego labiryntu?

- Byłam w nim kilka razy, jeszcze jako dziecko - wycodziła z przesadną nonszalancją. - Nie zamierzam się przechwalać, ale przyznam, że dla mnie ten labirynt nigdy nie stanowił zagadki. Zawsze miałam niezawodne poczucie kierunku - wyznała ze

śmiejącymi się oczyma - ale też nie zamierzam spoglądać z góry na osoby pozbawione tego daru!

Bezwstydnie zatrzepotała rzęsami i z całym rozmysłem zmierzyła Neda protekcjonalnym spojrzeniem.

- Czyżby chciała pani dać do zrozumienia, że brak mi talentów, nieodzownych dla każdego żeglarza?

- Przecież pan, jako kapitan, sam nie stoi u steru! Od tego jest ktoś inny? - spytała z niewinną minką.

- Zareczam pani, madame, że potrafię sterować okrętem! I gotów jestem założyć się, że kilka akrów gęstych krzaków nie byłoby dla mnie zbyt trudnym wyzwaniem. - Ned nie mógł wprost uwierzyć, że ta bestyjka zdołała go skłonić do podobnych przechwałek.

Przecież to takie głupie! Ale na tym polegał między innymi jej urok: była taka kapryśna, nieposkromiona, pełna radości życia. Rodzina kapitana zawsze przyjmowała za dobrą monetę wszystko, co powiedział z poważną miną, Lydia natomiast wyraźnie zapraszała go do zabawy. Nie, wciągała go do niej siłą!

- Chciałby się pan założyć, kapitanie? - Lydia szeroko otworzyła oczy, niby to zgorszona, chociaż przez cały czas tak manewrowała, żeby nie miał innego wyjścia. - A może pan twierdzi, że to ja namawiam pana do czegoś podobnego?

- A nie?

- Pewnie że tak!

- No to przyjmuję zakład! - Nie mógł zrobić nic innego. Był w jej rękach miękki jak wosk zwłaszcza gdy się tak zapaliła. - Na czym on dokładnie polega?

Wskazała na labirynt leżący pod nimi, pośrodku doliny.

- Widzi pan? Można stąd dostrzec wierzchołek starego trójbarwnego buka. Rośnie obok niewielkiej fontanny, na okrągłej, trawiastej polance. Właśnie tam jest środek labiryntu.

Ned skinął głową.

- Rozumiem.

- Do labiryntu można wejść z czterech stron - wyjaśniała dalej. - Od południa, wschodu i zachodu prowadzą do środka trzy różne drogi. Ale kiedy już się dotrze do buka, można stamtąd wyjść bez trudu, prosto na północ, przez łąkę, na której pasą się owce.

Lydia zerwała trzy źdźbła trawy i wstała.

- Będziemy ciągnąć losy, któredy każde z nas ma wejść! Najkrótsze źdźbło oznacza wejście od zachodu, najdłuższe - od wschodu, a średnie - od południa. Północ się nie liczy, ma się rozumieć, wygrywa ten, kto pierwszy dotrze do środka labiryntu i zaklepie swoje zwycięstwo na pniu buka. Zgoda?

- Zgoda! - odparł. - Ale najpierw chciałbym wiedzieć, jaka będzie nagroda dla zwycięzcy?

- Nie wystarczy sama przyjemność wygranej?

- Nie! - odparł, co ją zdziwiło. - Zanadto się pani przechwalała, madame. Musi mi pani teraz dowieść, że jest naprawdę świetną zawodniczką! I niech za nasze trudy będzie cenna nagroda.

W niezwykłych oczach Lydii błysnęło zdumienie.

- Nie doceniałam pana, kapitanie! Skąd dowódca okrętu tak dobrze się zna na emocjonujących grach?

Uśmiech Neda przygasł.

- Ilekroć kapitan okrętu płynie wraz ze swoją załogą, by zmierzyć się z wrogiem, gra w ruletkę ze śmiercią, madame!

W chwili, gdy to powiedział, uświadomił sobie swój błąd, widząc przerażenie na twarzy Lydii. Nie zamierzał mówić tak wyraźnie, ale gdy był razem z nią, kierował się raczej instynktem niż ostrożnością i rozsądkiem.

Uśmiechnął się więc i postanowił wrócić do poprzedniego, lekkiego tonu.

- Tylko że to zupełnie inny rodzaj gry niż ta, w jaką sobie teraz zagramy, lady Lydio!

Z jej twarzy również zniknął smutek.

- Ciekawe, jak nam się powiedzie?

- Kiedy dowodziłem okrętem bojowym, musieliśmy zwyciężyć! Dziś po prostu mam ochotę wygrać z panią. Proszę zdecydować, jaka będzie nagroda.

Lydia uśmiechnęła się, jej oczy rozbłyły na myśl o współzawodnictwie.

- Niech o nagrodzie decyduje zwycięzca!

Ned zdumiał się. Jako kobieta światowa, Lydia powinna zdawać sobie sprawę z ewentualnych konsekwencji takiej decyzji. Gdyby wygrał, honor nakazywałby jej spełnić każde jego życzenie. Była to

lekkomyślna, nieprzemyślana decyzja albo dowód bezgranicznego zaufania.

Lydia czekała na jego odpowiedź. Pierś jej gwałtownie falowała - najwidoczniej była bardzo przejęta. Dobrze wiedziała, na co się waży! Gdy ich spojrzenia się spotkały, nie odwróciła wzroku.

- Okazuje mi pani wiele zaufania, madame - powiedział cicho.

- Tak.

- A więc zgoda! Zwycięzca decyduje o nagrodzie.

Odetchnęła z ulgą.

- Doskonale - stwierdziła - bo ani myślę przegrywać! A wobec tego, to raczej ja powinnam spytać: czy pan mi ufa, kapitanie?

- Tak jest - odparł.

- Bardzo możliwe - uprzedziła - że będzie to pana drogo kosztowało. - wyciągnęła do niego rękę z trzema trawkami. - Proszę wybrać jedną z nich!

Przypadło mu wschodnie wejście do labiryntu. A jej zachodnie.

- Teraz dajmy sobie trochę czasu, nim każde z nas dotrze do swojego wejścia. Proszę zawołać, kapitanie, kiedy się pan tam znajdzie!

- Ma już pani w tym wprawę?

- Pyta pan, czy się już kiedyś ścigałam? Oczywiście! - odparła z miną niewiniątka.

I z szelmowskim uśmiechem ruszyła w stronę swojego wejścia. Ned poszedł za jej przykładem, ale się nie spieszył. Dotarłszy na miejsce, zawołał:

- Gotowa pani?

- Tak! - Odpowiedź dochodziła raczej od południa niż od zachodu. Ta mała oszustka była już wewnątrz labiryntu!

- Zaczynamy?

Drugi okrzyk Lydii doleciał niewątpliwie z innego miejsca niż pierwszy. Kapitan nie tracił czasu na odpowiadanie. Wielkimi krokami wszedł do wnętrza labiryntu i znalazł się od razu w zielonym świecie chłodnych cieni i ciszy. Żywe ściany ze strzyżonego bukszpanu miały osiem stóp wysokości, były gęste i nieprzeniknione jak lita skała. Ned wstrzymał oddech, starając się ocenić, gdzie się znajduje Lydia, ale gęsta zieleń tłumiała wszelkie odgłosy - wokół panowało milczenie i mrok.

Nic dziwnego, że to miejsce nie stanowiło żadnej atrakcji dla eleganckiego towarzystwa. Gdy ktoś dostał się pomiędzy ściany labiryntu, nikt nie mógł go widzieć ani podziwiać!

Kapitan ruszył naprzód wąską alejką; żwir chrząścił mu pod stopami. Nie miał wątpliwości, że Lydia zna labirynt jak własną kieszeń, choć się do tego nie przyznawała. Zawział się jednak, że to on wygra. Przepłynie przez ten ocean zieleni i dotrze do skalistego wybrzeża.

Podniósł wzrok i śledził z uwagą grę światła i cieni na górnej części bukszpanowych żywopłotów, by zorientować się co do pozycji słońca na niebie. Jeśli będzie kierował się stale na zachód, powinien w końcu dotrzeć do środka labiryntu, nie błędząc i nie wracając w to samo miejsce.

Teoretycznie był to całkiem dobry plan. Niestety, nie sprawdził się w praktyce. W krótkim czasie Ned zrobił kółko i wrócił do miejsca, z którego wyruszył. Podjął drugą próbę, obierając inną drogę. Jednak i tym razem nie poszczęściło mu się. Zabrnął co prawda głębiej, ale do środka labiryntu nie dotarł.

Znowu się zatrzymał i rozejrzał po zielonych ścianach. Niestety, widok ten nic mu nie mówił, podobnie jak gładka toń morza nie zdradzi niczego szczerowi lądowemu. Do diabła! Miał przecież tylko odnaleźć wielkie drzewo! Czy to mogło być aż takie trudne? Buk powinien być widoczny z daleka! Niestety, ściany labiryntu znajdowały się zbyt blisko siebie, by można było dostrzec coś w górze pomiędzy nimi. I nazbyt gęste i kolące, by mógł się na nie wdrapać.

Nie mając innego wyjścia, maszerował dalej. Jedynym jasnym promykiem wśród mroku okazała się chwila, gdy do jego uszu dotarło pewne wyrażonko (zgoła nieodpowiednie dla damy!), z którego kapitan wywnioskował, że Lydia - mimo całej pewności siebie - także ma trudności. Uśmiechnął się ze złośliwą satysfakcją, nie dbając o postawę wzorowego dżentelmena.

Ostatecznie do upragnionego buka doprowadził Neda nie żeglarski instynkt, tylko wyjątkowo uprzejmy i tłusty królik, wynurzył się ni stąd, ni zowąd z dziury w żywopłocie - której Ned nie dostrzegł, choć, jak sądził, starannie zbadał otoczenie - i zaczął beztrąsko kicać po labiryncie. Niewątpliwie orientował się doskonale w terenie i nie obawiał się obcego przybysza. Prawdopodobnie miał tu spokojny dom, z dala od hałasów i niebezpieczeństw, grożących w pozostałej

części Hyde Parku. Sądząc z imponującej tuszy, królik znał doskonale drogę do okrągłej polanki pośrodku labiryntu, porośniętej słodką, zieloną trawą.

Ned doszedł do wniosku, że rozsądniej będzie pójść za królikiem, zamiast krążyć bez sensu na własną rękę. Zwierzę w końcu albo wydostanie się z labiryntu, albo dotrze do jego środka, żeby sobie pojeść. Ned trzymał się z daleka, w obawie, że spłoszony gryzoń skryje się w żywopłocie, choć grubasowi znacznie wygodniej było kicać po ścieżce, niż przedzierać się przez gąszcz bukszpanowych gałęzi.

Dwadzieścia minut później Ned był już gotów zrezygnować - zmęczony ustawicznym czekaniem na królika, który co chwila przystawał, by się podrapać za uchem (jego futro musiało roić się od pcheł!), gdy nagle dostrzegł plamę światła. Promienie słońca przenikały przez bukszpanową ścianę! Ned wyminął królika, bynajmniej tym nieprzestraszonego, i stanął pośrodku czegoś w rodzaju łukowatej bramy, skąd roztaczał się widok na niewielką okrągłą polankę. W samym jej środku ogromny buk rozpościerał gałęzie, porośnięte różowo-kremowymi liśćmi o zielonych żyłkach.

Ned spojrzał na wprost, gdzie po drugiej stronie trawnika widniał podobny otwór w żywopłocie. Ani śladu Lydii. A więc zwyciężył! Mimo wszystkich jej oszukańczych sztuczek udało mu się.

Jakieś trzydzieści stóp na północ od otworu żywopłot zaczął dygotać i ronić liście. Ned patrzył na to zdumiewające zjawisko, gdy dziwaczna postać zaczęła się przepychać na czworakach przez

niewielką dziurę w żywopłocie, tuż nad ziemią. Pierwszy ukazał się straszliwie zdefasonowany kapelusik. To Lydia!

Burknąwszy coś, wygramoliła się z krzaków (zgoła bez właściwej damom dystynkcji) i z pewnym trudem podniosła się na nogi. Następnie wypluła kosmyki włosów, które dostały się jej do ust, i strzepnęła raz i drugi pokryte ziemią i żwirem spódnice. W trakcie tego zajęcia podniosła wzrok i zobaczyła Neda.

Skamieniała.

On tylko się uśmiechnął.

Jej oczy przypominały dwa wielkie koła.

Podkasala wymięte i poplamione spódnice i puściła się kłusem w stronę drzewa. Ned ruszył galopem. Miał dłuższe nogi, ale jego spodnie były zbyt obcisłe, ona zaś uniosła suknię nad kolana. Pędzili w stronę buka jak dwie stalowe igły przyciągane wyjątkowo silnym magnesem. Ona błyskała nogami spod sukni, on sadył milowymi krokami. Ona przyspieszyła... On przyspieszył jeszcze bardziej. Dziesięć metrów, pięć, dwa... Wyciągnęła rękę i...

Ned chwycił ją w talii i okręcił nią w kółko, nie pozwalając, by palce Lydii choćby musnęły szarawy pień buka. Zaprotestowała głośno, ale Ned przerzucił ją sobie przez biodro, tak że zwisała niemal poziomo nad ziemią. Drugą, wolną ręką sięgnął do drzewa i postukał kostkami palców w pień.

- Wygrałem - stwierdził.

- To nieuczciwe! - krzyknęła.

- Nieuczciwe? - powtórzył. - Równie nieuczciwe, jak powiedzmy wbieganie do labiryntu grubo przed startem i przedzieranie się na przelaj przez królicze nory, zamiast trzymania się korytarzy, jak ustaliliśmy?

- Nie przypominam sobie, by ktokolwiek krytykował zawodnika za to, że wykazuje wyobraźnię! - odpowiedziała z taką godnością, na jaką może się zdobyć niewiasta dyndająca nad ziemią.

Ned odzyskał nagle rozum i poczuł, że traktuje lady Lydię tak poufale, jakby się przyjaźnili od dzieciństwa. Delikatnie objął ją obiema rękami, zamierzając postawić na ziemi, ale popełnił błąd: spojrzął w uniesioną ku niemu twarz. Coś ścisnęło go w piersi. O niczym tak nie marzył, jak o pocałowaniu jej. A jednak postawił ją ostrożnie na ziemi i sięgnął ręką do góry - pozornie po to, by odgarnąć zwisającą zbyt nisko gałąź, w rzeczywistości zaś po to, by wysiłek fizyczny powstrzymał go od pochwycenia Lydii w objęcia i zakosztowania - nareszcie! - smaku jej ust.

- To doprawdy oryginalne rozumowanie - zauważył, starając się mówić zwykłym tonem.

Brazowe, jedwabiste loki Lydii opadały w malowniczym nieładzie na ramiona, jakiś listek przylgnął do jej skroni. Na policzku widniała cienka czerwona rysa.

- Rozumowanie zwycięzcy! - odparowała.

- Przecież pani nie wygrała - przypomniał.

Wyciągnął rękę i strząsnął z jej skroni zbłąkany liść. Lydia nie odwróciła oczu, ale lekki rumieniec oblał jej twarz i szyję.

- Tylko dlatego, że użył pan wobec mnie brutalnej przemocy! -
Oddech miała lekko przyspieszony. - A moje niewinne sztuczki w
niczym panu nie zawadzały!

- Czy jest szansa, bym zdołał panią przekonać?

- Bardzo wątpię.

- Tak też myślałem - odparł. - Coś mi się zdaje, że według pani
powinienem ustąpić jej pierwszeństwa, skrzywdziwszy tak strasznie!

- Byłby to postępek godny prawdziwego dżentelmena - przyznała.

Usta drgnęły mu podejrzenie.

- Pozwoli pani, że się pokajam. - Oczy Lydii rozbłysły na myśl o
wreszcie osiągniętym zwycięstwie. - Całkowicie mi brak sportowego
ducha. Ale... - Pochylił się ku niej tak, że ich oczy znalazły się na tym
samym poziomie, jedną rękę nadal zaciskał na zwisającej gałęzi. Z tak
bliska widział wyraźnie prążki na zdumiewających tęczęwkach Lydii:
ciemniejsze i jaśniejsze, niemal w kolorze lawendy. - Ale to przecież
ja wygrałem, a pani przegrała, i nic tego nie zmieni!

Wpatrywała się w niego zaskoczona, a potem niespodziewanie
uśmiechnęła się szeroko i łaskawie skinęła głową.

- To prawda, kapitanie - potwierdziła. - A teraz, czego sobie życzy
zwycięzca?

Mogłaby się dalej wykręcać, sprzeciwić kategorycznie albo
znaleźć tuzin wymówek, by nie dotrzymać umowy. Okazała się
jednak osobą honorową, inteligentną i - niestety - całkowicie
pozbawioną bardziej przyziemnych impulsów. Po prostu
niewiniątkiem. O Boże, jak on ją kochał!

- Pani ręki! - szepnął.

Zamrugła, zdumiona, on zaś pojął, że nieświadomie wypowiedział na głos najgorętsze życzenie swojego serca. Nie miał jednak prawa żądać od Lydii, by je spełniła: nie wyznał jej przecież, że ma już pustki w kieszeniach, a jego najbliższych wkrótce zaatakują wierzyciele. Ani tego, że co prawda jego perspektywy na przyszłość są niejasne, ale za to ciężą na nim liczne obowiązki. Trzymając się więc swoich zasad tak mocno i rozpaczliwie, jak trzymał się gałęzi nad głową, postanowił nadać wypowiedzianym słowom całkiem niewinne znaczenie. Wyciągnął wolną rękę do Lydii.

Zmarszczyła brwi, spoglądając na wyciągniętą do uścisku dłoń Neda, a potem na jego twarz i nagle spochmurniała.

- I to wszystko? - spytała. - Chce pan tylko uścisnąć moją rękę?

- Ależ tak! - odparł z podziwu godnym zapałem. - O cóż innego mógłbym prosić?

Spojrzała mu prosto w oczy.

- O pocałunek, na litość boską!

19

Potwierdziły się najgorsze obawy Lydii: była zepsuta!

Od chwili, gdy Ned objął ją ramieniem w talii i okręcił nią tak, że stopami nie dotykała ziemi (aczkolwiek uczynił to wyłącznie po to, by wygrać zakład), niesłychana łatwość, z jaką to zrobił, spowodowała u Lydii gwałtowny przyptyw zdrożnych myśli. I to takich, że zapierało jej dech!

Kiedy więc wyciągnął do niej rękę i zdała sobie sprawę, że nie domagał się żadnej nagrody prócz sportowego uścisku dłoni, rozczarowanie i niepojęta tęsknota sprawiły, że bez zastanowienia powiedziała, co o tym myśli.

Ciemny rumieniec zabarwił jej policzki. Spuściła oczy. Nie mogła zmusić się do tego, by spojrzeć na Neda i przekonać się, jak przyjął ten wybryk. Był takim dżentelmenem! W najlepszym wypadku wprowadziła go w zakłopotanie...

- Lydio!

Odwróciła się i jego usta ostrożnie dotknęły jej ust. Wargi miały miękkie, o wiele miększe niż przypuszczała, a równocześnie silne. Rozchyliły się i objęły delikatnie jej górną wargę. Lydia westchnęła, oczy jej same się zamykały, gdy pieśczoła stawała się coraz bardziej intensywna. Przez chwilę znęcał się tak nad jej górną wargę, po czym pozostawił ją w spokoju i zabrał się w ten sam sposób do dolnej.

Lydia przytuliła się do niego i oparła ręce na jego klatce piersiowej. Jak przez mgłę docierało do niej, że Ned wcale jej nie dotyka, jeśli nie liczyć ust. Ale te usta... Te usta wystarczały za wszystko! Nie przerywał pocałunku, pieśzcząc na przemian to górną, to znów dolną wargę Lydie, badając je czule od końca do końca - smakując, rozciągając, głaszcząc... Ich drżące oddechy mieszały się ze sobą.

Na skutek tej rozkosznej napaści Lydia doznała zawrotu głowy. Omdlewając, przytuliła się do Neda jeszcze mocniej. Znalazła oparcie w jego piersi, która gwałtownie wznosiła się i opadała. Był taki

gorący i twardy jak rozgrzany kamień, ona zaś - niczym roztopiony wosk - miękka i ustepliwa. Koniec języka Neda wsunął się między jej wargi i pod Lydią ugięły się kolana. Była jak łódka - odcumowana, lecz niemogąca odpłynąć. Objęła głowę Neda i przywarła do niego. Jej wargi rozchyliły się, wpuszczając język Neda do wnętrza.

Potężnym ciałem kapitana wstrząsnął dreszcz. Do Lydii z bardzo daleka dotarł kobiecy krzyk, pełen oddania i tęsknoty. Zrozumiała, że to jej głos. Język Neda zanurzył się głęboko we wnętrzu jej ust - ciepły, sprężysty i taki męski.

Nagle usłyszała jakiś trzask.

I równie nagle zakończył się ich pocałunek.

Ned podniósł głowę, musiał więc ją puścić, i wyprostował się. Przez chwilę zdawał się wpatrywać w coś za jej plecami. Oddychał ciężko, nozdrza rozdymały się przy każdym oddechu. To, co - być może - ujrzał, nie sprawiło mu przyjemności. Poważnie, bez uśmiechu przeniósł na nią wzrok.

- Lady Lydio...

- Żadnych przeprosin! - ostrzegła go cichym, drżącym głosem.

Popatrzył na nią ze śmiertelną powagą.

- Ależ muszę przeprosić! - powiedział. - Wykorzystałem to ustronne miejsce i nasz dziecinny zakład, a mój karygodny brak opanowania sprawił, że zaatakowałem panią. Przysiągłem sobie, że zawsze będę odnosił się do pani z szacunkiem, a mimo to...

Zacisnął zęby i pokręcił lekko głową, przytłoczony tym, co uważał za swe niewybaczalne zachowanie.

O Boże! Gdyby choć przemknęło mu przez myśl, że to ona z rozmysłem wciągnęła go w sytuację, w której - chcąc nie chcąc - musiał się jej oświadczyć.

- Wcale nie uważam, że zostałam skompromitowana! - oznajmiła.

- Ja również tak nie uważam - odparł pospiesznie. Widać było, jak bardzo jest zły na siebie. - Źle mnie pani zrozumiała.

- Niech więc pan wyraża się jaśniej! - Gniewem starała się zamaskować upokorzenie.

- Zanim będę mógł zadać pani pytanie, którego pani ma prawo oczekiwać, a ja nade wszystko pragnę wypowiedzieć, honor dżentelmena nakazuje mi powiadomić panią o pewnych sprawach.

- Cóż, jeśli to konieczne - zgodziła się niechętnie.

Przełknął z trudem ślinę, odwrócił wzrok, a potem znowu spojrzał na Lydię. Rozprostował plecy i wydawał się teraz jeszcze potężniejszy. Z rękoma splecionymi z tyłu wyglądał jak kapitan okrętu, który zaraz się zmierzy z nieprzyjacielskim statkiem.

- Moje nadzieje na przyszłość nie są najlepsze.

Wszystkiego się spodziewała, ale nie tego!

- Jak to?

- Noszę stare i godne szacunku nazwisko, z czego zawsze byłem dumny. A Josten Hol, siedziba naszego rodu, od stuleci jest symbolem szlachetnego urodzenia i niezłomnego męstwa moich przodków. Od wielu pokoleń ten dom zjednywał sobie podziw i sympatię wszystkich, którzy go odwiedzali. Mówię o tym, gdyż mam nadzieję,

że zrozumie pani moje przywiązanie do czegoś, co można by określić jako „kupę kamieni i kawałek gruntu”.

- Rozumiem - odparła. - Powiedział pan kiedyś, że powrócił wreszcie do rodzinnego domu. To pańska życiowa przystań, nieprawdaż? Miejsce, z którego czerpie pan swoje siły i poczucie bezpieczeństwa. Zawsze byłam zdania, że to coś niezwykle cennego. Sama w podobny sposób polegam na przyjaciółach, których cenię wyżej niż jakiegokolwiek miejsce na ziemi.

- Gotowa jest pani wiele dla nich poświęcić, prawda? Byli przecież wszystkim, co jej pozostało!

- Prawda. Tak samo jak pan dla swego rodzinnego domu.

- Właśnie! - przytaknął cicho, po czym pokręcił głową, by odpędzić jakąś dręczącą go myśl. Odetchnął głęboko i mówił dalej: - Gdy wróciłem do domu z morza, dowiedziałem się, że Josten Hol jest zagrożone i stracimy je, jeśli nie znajdzie się jakiś ratunek.

- Zagrożone? W jaki sposób?

- Na skutek marnotrawstwa i nieudolnego zarządzania, a także nieurodzajnych lat, powojennych zasad ekonomii, ustaw zbożowych oraz karygodnych wybryków moich nieuleczalnie rozrzutnych krewnych - odparł spokojnie.

Gdy dotarło do niej znaczenie tych słów, Lydia doznała wstrząsu. Nie, tylko nie to! W jak dalece rozpaczliwej sytuacji znajdowali się Locktonowie? Może dla Neda konieczność sprzedania kilku powozów to już tragedia?

- Pańska rodzina znajduje się w poważnych kłopotach finansowych?

Zadanie takiego pytania było okropnym nietaktem, ale Lydia musiała dowiedzieć się prawdy. Uśmiechnął się żałośnie.

- Moja rodzina nie ma już ani grosza.

Takiego ciosu Lydia się nie spodziewała. W jednej chwili stała, patrząc na Neda, a w następnej nogi się pod nią ugięły i w obłoku jasno-żółtych fałd i falban opadła w trawę. Ned pochylił się nad nią i wyciągnął rękę, ale Lydii do tego stopnia zależało na uzyskaniu dokładnej odpowiedzi, że zignorowała pomocną dłoń.

- Panu chyba nie brak pieniędzy? - zauważyła, mierząc go wzrokiem. - Weźmy choćby kapitański udział w nagrodach, jakie podczas wojny otrzymuje załoga, ilekroć zdobędzie nieprzyjacielski statek! A pan z pewnością rozważnie dysponuje swoimi pieniędzmi...

Głos jej się załamał.

Wyciągnięta ku niej ręka opadła, kapitan przybrał z powrotem postawę bojową.

- Obawiam się, że prócz dobrego nazwiska, poważnych zobowiązań finansowych i mojej niepoprawnej, rozrzutnej rodziny nie mam nic do zaoferowania młodej damie... - Tu urwał, przełknął ślinę i dokończył: - Z wyjątkiem siebie samego.

Mój Boże, jest równie biedny jak ja!

Patrzyła w osłupieniu, jak rażona gromem. Myśli wirowały szaleńczo. Nie była w stanie pojąć, że w ciągu kilku krótkich minut życie może się zmienić z kuszącej sielanki w koszmar.

- Uważam za swój obowiązek uczynić wszystko, by ocalić to, co całe pokolenia moich przodków tworzyły i starały się utrzymać - mówił Ned. - Nie mogę jednak... - Urwał nagle, choć nic prócz napięcia mięśni twarzy nie świadczyło o tym, jak ciężkie było dla niego to wyznanie. - Nie mogę powiedzieć nic więcej, póki nie dowiem się, co pani myśli o tej sprawie.

Uświadomiła sobie kolejną prawdę: Ned nie wiedział, że ona również nie ma ani grosza! Bo i skąd miałby o tym wiedzieć? Zrobiła wszystko, by nikt - nawet on - nie dowiedział się o tym. Uważał ją zapewne za nieprawdopodobnie bogatą.

Dobry Boże! Ned polował na posażną żonę, tak jak ona chciała złowić bogatego męża!

Nie, nie, nie! Przymknęła oczy i wybuchnęła śmiechem. Nie mogła się opanować. Ukryła twarz w dłoniach i łzy pociekły jej z oczu. Sama nie umiałaby powiedzieć, czy rozpacza nad tragedią, czy śmieje się do łez z komedii omyłek.

- Lady Lydio, Lydio! - Słyszała jak Ned powtarza jej imię, zaniepokojony i niepewny. - Lydio?

- Przepraszam! wybacz... Nic mi nie jest. Ja...

Przycisnęła palce do czoła. To wszystko wydarzyło się tak szybko: pocałunek Neda, jego aluzja, że chciałby prosić ją o rękę, a wreszcie wyjawienie przez niego tajemnicy Locktonów.

- Lydio!

Głos Neda pełen był napięcia i niepokoju. Otworzyła oczy. Pochylał się nad nią, ale w jego spojrzeniu nie było urazy czy

wyrzutu, jedynie troska. Lydia opanowała się: musi mu coś odpowiedzieć!

- Kapitanie - zaczęła, nadal siedziała na trawie u jego stóp. - Obawiam się, że spędziliśmy kilka tygodni, snując - niezależnie od siebie - taką samą intrygę i mając na widoku ten sam cel.

- Proszę mi wybaczyć, nie rozumiem, o czym pani mówi - odparł, marszcząc brwi.

- Ja także padłam ofiarą, jak to pan zręcznie ujął „marnotrawstwa i nieudolnego zarządzania, powojennej ekonomii, ustaw zbożowych oraz przekłętej rozrzutności” mojej własnej. Innymi słowy, kapitanie...

- Uśmiechnęła się blado. - Jeśli pańska rodzina żyje w nieustannym strachu przed wierzycielami, to możemy sobie podać rękę!

- Teraz rozumiem.

Zniósł to spokojnie, znacznie lepiej niż ona. Nie zemdłał. Ściągnął tylko brwi, ale wkrótce jego twarz znów się wypogodziła. Nic dziwnego! Mógł przecież służyć za wzór opanowania. Tym razem jednak ta doskonałość nie wzbudziła zachwytu Lydii. Była zła, że tak łatwo pogodził się z utratą tego, co jeszcze nie zdążyło w pełni rozkwitnąć między nimi. Ale, być może, nie zaangażował się w to całym sercem, tak jak ona.

Bez wątpienia miał do niej słabość. Ale jak silną? Taką jak przywiązanie Eleanor do spaniela? Naprawdę bardzo go lubiła, ale gdy zaczął regularnie brudzić jej wschodni dywan, księżna bez wahania odesłała psa na wieś. A może zainteresowanie Neda jej osobą

przypomina fascynację Sarah księciem Carvellim, przez którego uparcie wystawiała się na pośmiewisko?

To zresztą nie ma sensu. Ned wcale nie chciał prosić jej o rękę. Teraz już na pewno nie! wyjawiał przecież Lydii, dlaczego mu na niej zależało. Nie oświadczy się, chyba że poczuje się do tego zobowiązany. Gdyby się zresztą oświadczył, nigdy by go nie przyjęła, choćby bardzo tego chciała. Można jej było zarzucić wszystko, ale nie głupotę!

Takie małżeństwo mogłoby być bardzo przyjemne, nawet gdyby musiała żyć z dala od przyjaciół, w nieznanym otoczeniu. Ale tylko wówczas, gdyby była pewna miłości męża. I tego, że naprawdę chciał się z nią ożenić, choć była biedna, a nie dlatego, że uważał to za swój obowiązek! Gdyby jej nie kochał - z całego serca, namiętnie, z oddaniem - jakżeby mogła związać się z nim, wiedząc, że musi poświęcić swój honor i odwrócić się od tych, których kochał? Dopiero wtedy czułaby się naprawdę samotna.

Podniosła oczy na Neda. Patrzył na nią niecierpliwie, czekając na jej odpowiedź.

- No cóż... Docenia pan ironię sytuacji, nieprawdaż? Oboje szukamy kogoś, kto wydobędzie nas z kłopotów finansowych, a sprawa kończy się w taki sposób!

Wesołość Lydii nie dotrwała nawet do końca jej przemowy. Nic nie szkodzi! Wparła się mocno stopami w ziemię i spróbowała wstać. Ned natychmiast znalazł się przy niej, wziął ją za rękę i, zachowując

postawę pełną uszanowania, pomógł jej stanąć na nogi. Lydia odsunęła się od niego zaniepokojona, że nadal tak bardzo ją pociąga.

Dobry Boże! Chyba jest gorsza od ladaczniczy!

Pochylił głowę, by łatwiej czytać z jej twarzy. Chciał się zapewne przekonać, czy Lydia dopatrywała się w ich wzajemnych stosunkach czegoś bardziej osobistego. W takim wypadku jako dżentelmen (Boże, jakże nienawidziła tego określenia: ileż mężczyzna mógł ukryć za tą fasadą!) powinien czym prędzej przystąpić do działania. Dżentelmen nie może przecież pozwolić, by młoda dama zawiodła się, oczekując na oświadczeniu!

Lydia starała się więc, jak mogła, by nie wyczytał z jej twarzy tego, co czuła. Mimo jednak wielu lat praktyki w zachowywaniu nieprzeniknionego wyrazu twarzy nie miała całkowitej pewności, czy tym razem jej się to uda. Nigdy dotąd nie była przecież zakochana!

- No cóż, kapitanie - odezwała się lekkim tonem, spoglądając na zniszczoną spódnicę i bezskutecznie próbując ją otrzepać. - Choć oboje odczuwamy rozczarowanie, niewątpliwą pociechę stanowi to, że nigdy nie było między nami mowy o miłości!

Głowa Neda odskoczyła do tyłu, jakby ktoś go spoliczkował. Serce Lydii zaczęło walić jak szalone.

- Dzięki Bogu, w żadnym z nas nie zbudziły się gorące uczucia - mówiła dalej, siląc się na beztronski ton.

A jeśli żywił do niej gorące uczucia?

Minęło kilka nieznośnie długich sekund, nim odpowiedział:

- Cóż, jeśli pani jest tego pewna...

A gdyby żywił takie uczucia, czy by się jej oświadczył? I co by mu odpowiedziała?

Nie mam pojęcia! - pomyślała ze zdumieniem. I nagle ogarnął ją lęk. Czy powinna odpowiedzieć „tak”? Nie, nie! Nie może tego zrobić. Dobry Boże, szaleństwo Sarah było widać zaraźliwe! Jak może myśleć o czymś podobnym? Ned potrzebował bogatej żony, ona - bogatego męża. Nie byli dwiema wyspami dryfującymi samotnie po morzu! Mieli swoje zobowiązania i ludzi, którzy byli od nich zależni. Każde z nich wiodło własne życie, nie mogli więc być razem.

Nawet gdyby Ned kochał ją bezinteresownie i poprosił ją o rękę, jak długo by trwało ich uczucie? Kiedy zaczęłby żałować swojej decyzji i tego, że poślubiając Lydię, skazał na ubóstwo własną rodzinę? Nigdy by, oczywiście, nie dał poznać tego po sobie, był przecież dżentelmenem! Ona jednak nieustannie by go o to podejrzewała.

To straszne - kochać kogoś namiętnie, z całego serca, i nie mieć pewności, czy jest to miłość odwzajemniona. Gorsza mogłaby tylko być pewność, że ukochany jej nie kocha. Mimo woli pomyślała o Caro Lamb.

Zerknęła ukradkiem na Neda. Dostrzegła na jego twarzy uprzejmość i szacunek. Nic więcej. A zatem niepokoiła się bez potrzeby! Tak czy owak nigdy się nie dowie prawdy. Coś ją ścisnęło w gardle, Bóg wie czemu.

- Czyż to nie prawdziwe szczęście? - zauważyła nieswoim głosem.

Skinął głową.

- Niewątpliwie, madame.

Po każdej z jego poprawnych, pełnych szacunku odpowiedzi Lydia opanowywała się z coraz większym trudem. Toczyła ze sobą beznadziejną walkę. Tak bardzo chciała... O, do wszystkich diabłów! Sama nie wiedziała, czego chce! Ale z pewnością nie chciała stracić Neda.

- Zostaniemy nadal przyjaciółmi, prawda?

Te słowa same wymknęły się z jej ust. Zaledwie przed godziną martwiła się, że przyjaźń może być wszystkim, czego Ned od niej zażąda. A teraz myśl o utracie jego przyjaźni po prostu przerażała.

- Lady Lydio?

Zmarszczył brwi i wpatrywał się w nią z coraz większym natężeniem. A może tylko jej się zdawało?

- Pragnę nade wszystko, żebyśmy mogli spotykać się dalej, bez skrupowania, jak przyjaciele!

- Przyjaciele - powtórzył dziwnym głosem.

- O tak! Bardzo sobie cenię pańskie towarzystwo i mam nadzieję, że pan ceni sobie moje?

- Oczywiście.

Ned przyglądał się jej bacznie, a Lydia nie mogła dociec, o czym myśli. Nie chciała go utracić! Jeśli nie może zostać jego żoną, musi przynajmniej zachować jego przyjaźń.

- Jesteśmy przecież ludźmi światowymi! Nie pozwolimy, by zabawne nieporozumienie, związane z naszym rzekomym bogactwem, zniszczyło tę przyjaźń, prawda?

Uśmiechnął się.

- Oczywiście, że nie.

- Może nawet będę w stanie panu pomóc? - Tak bardzo chciała, żeby i on zdobył się na coś więcej prócz tego okropnego, uprzejmego potakiwania.

- Raz jeszcze błagam o wybaczenie, madame, nie rozumiem, o czym pani mówi - odparł z ledwie zauważalnym drgnięciem twarzy.

- Znam wszystkie młode damy z towarzystwa... - Słowa płynęły z jej ust, bezładnie i niezręcznie. - A także ich rodziny. Wiem o ich zaletach i przywarach, o rozmaitych kłopotach. Z moją pomocą uniknąłby pan...

Urwała i zaczerwieniła się ogniście.

Dokończył za nią, by nie dopuścić do niezręcznej sytuacji.

- Podobnego nieporozumienia jak dzisiejsze?

Słyszając to, Lydia zdała sobie sprawę, jak niesmaczna, jak odrażająca była jej propozycja. Uświadomiła sobie również, że nie ma wcale ochoty pomagać mu w ten sposób. Ale cóż robić? Przecież sama to Nedowi zaproponowała!

- No... tak.

- To doprawdy niezwykle miło z pani strony.

- Tak...?

Zbierało się jej na mdłości.

- Przyjmuję z wdzięcznością - oświadczył Ned i pokiwał głową w zamyśleniu. - A w podzięce za tak wielkoduszną propozycję spróbuję zrewanżować się tym samym.

- O czym pan mówi?

Zacisnął schowane za plecami ręce i zaczął niespiesznie spacerować, tam i z powrotem. Lydia spostrzegła dopiero teraz, że w jednej z rąk ścisnął chusteczkę. Skąd ją wziął? Zapewne wyjął z rękawa. Ale któż podarował mu tę właśnie chustkę? I dlaczego tak ją ścisną? Czyżby miała dla niego jakieś szczególne znaczenie?

- Pozwoli pani, że zaoferuję się z podobną pomocą. - Uśmiechnął się, ale w jego spojrzeniu było coś bezwzględne, coś, czego dotąd nie widziała. - Proszę posłuchać! Wiem, że jestem w Londynie od niedawna, ale jako mężczyzna dowiaduję się niekiedy o sprawach, które nigdy by nie dotarły do pani uszu. Klub Boodle'a to istna kopalnia informacji! Tak bardzo chciałbym się pani przysłużyć jako przyjaciel, rozumie się.

- Niechże pan sobie nie zadaje trudu.

- A jeśli będę nalegał? Pani przecież zamierza mi pomóc. Jakby to wyrazić? - Nagle roześmiał się. - Och, nie bawmy się w ceremonie! Jako dobrzy przyjaciele możemy przecież być ze sobą szczerzy, prawda?

Nie!

Skinęła jednak głową.

- Doskonale! Mówiąc zatem bez ogródek, jeśli pani chce mi dopomóc w zdobyciu żony, niechże mi wolno będzie znaleźć dla pani męża!

Wcale nie miała ochoty, żeby pomagał jej w polowaniu na męża, ani nie paliła się do szukania dla niego żony.

- Nie, nie! To byłoby wykorzystywanie pańskiej uprzejmości, a poza tym... - Rozejrzała się niespokojnie. - Taki układ wydaje mi się dość cyniczny, nie sądzi pan?

- Cyniczny? - Piękne szare oczy Neda otworzyły się szeroko. - Na litość boską, lady Lydio! Proszę nie zapominać, że jesteśmy światowymi ludźmi! W dbałości o własne dobro nie ma nic cynicznego. Oczywiście, nie pisnę ani słowa o stanie pani finansów! - Mogłaby pomyśleć, że kpił sobie z niej... Zauważyła jednak, iż jego ręka zacisnęła się tak mocno na chustce, że aż kłykcie mu zbieleły. - A zatem zgoda?

Cóż miała począć? Sama, z własnej woli, wplątała się w trudną do zniesienia sytuację.

- Zgoda.

- Doskonale!

Zrobił krok w jej kierunku, wpatrując się w uniesioną ku niemu twarz Lydii. To, co na niej ujrzał, sprawiło, że zgasł ten dziwny, lisi uśmiezek.

Ona również patrzyła na niego bez słowa, nieszczęśliwa i zmieszana. Na twarzy Neda pojawiła się niepewność. Przysunął się jeszcze bliżej - tak blisko, że czuła powiew jego oddechu na policzku.

Uniósł rękę (tę bez chusteczki), jak gdyby chciał jej dotknąć. Mimo woli wstrzymała dech, pragnąc, by się na to ośmielił.

- Oczywiście, moglibyśmy darować sobie...

Ale to, co miał zamiar jej zaproponować, zagłuszył donośny wybuch śmiechu zza żywoplotu. Chwilę później jakaś dziewczyna wybiegła przez wschodnie wejście na środek labiryntu, wyjątkowo przystojny rudowłosy młodzieniec deptał jej po piętach, sapiąc ze zmęczenia.

- Jenny, błagam! Przecież obiecałaś! Jednego całuska! - dopraszał się.

Jenny Pickler, śmiejąc się w dalszym ciągu, odwróciła się, by szepnąć coś do swego kawalera, i ujrzała Neda, jak zawsze nieskazitelnie eleganckiego, oraz lady Lydię, z włosami opadającymi na ramiona, w rozdartej i ubrudzonej spódnicy. Jenny stanęła jak wryta z otwartymi ustami.

- Lady... Lydia?

Lydia odzyskała w końcu godność i niewzruszoną pewność siebie.

- Tak, to ja, panno Pickler. - Uniosła ciemne brwi na widok bardzo młodego dżentelmena, który do reszty stracił rezon. - Ach, ma pani eskortę.

- Madame...

Młodzian skłonił się głęboko.

- To doskonale. Piękny dzień, nieprawdaż?

- Istotnie, milady - wyjąkała Jenny.

Twarz Lydii jaśniała iście królewskim uśmiechem.

- A zatem, do widzenia państwu - rzuciła od niechcienia i z uczuciem nieopisanej ulgi majestatycznie wypłynęła z labiryntu.

Pozostawszy w tyle, Ned przyglądał się, jak lady Lydia oddala się z szelestem spódnic, których opłakany stan nie umniejszał jej dostojeństwa, wyciągnął rękę, dotąd schowaną za plecami, i nieopatrznie rozwinął zakrwawioną chustkę, którą zaciskał w dłoni.

- Co z pańską ręką, kapitanie? - jęknęła Jenny Pickler. - Jakim sposobem pan się tak skaleczył?

Ned rozejrzał się dokoła i jego wzrok padł na dziewczynę i jej czerwonego jak burak adoratora.

- Słucham? A, to! - odezwał się kapitan. - Próbowałem się powstrzymać od zbyt gwałtownego okazania pewnej osobie mojej... przyjaźni.

- Przyjaźni? - powtórzyła jak echo panna Pickler, nieco zmieszana dziwnym tonem, jakim kapitan Lockton wymówił ostatnie słowo, oraz widokiem jego krwawiącej dłoni.

- Tak. Ktoś może nazwałby to uczucie całkiem inaczej... powiedzmy, namiętnością, ale dama, dla której żywię najwyższy szacunek, nauczyła mnie, że to nic innego, jak tylko przyjaźń, a ja nie ośmieliłbym się z nią spierać.

- Nie rozumiem, panie kapitanie - wyznała Jenny Pickler.

- Widzę, że pani nic nie rozumie, panno Pickler - odparł Ned ze spokojem. - Tak samo jak ona. - Jego spojrzenie padło na młodzieńca,

wiercącego się niespokojnie za plecami dziewczyny. - Popraw krawat, Pip, na litość boską!

Po czym, skłoniwszy się Jenny, odszedł.

20

Tej nocy Lydia wcześniej się położyła, ale sen jakoś nie przychodził. Myśli kłębiły się bezładnie, nierealne wizje szczęścia z Nedom walczyły o lepsze z przytłaczającymi obrazami całkowitego opuszczenia i osamotnienia. Lydii nigdy nie brakło odwagi, nie wahała się przyjąć ze spokojem czegoś, co jej nie odpowiadało. Mamy to, co nam pisane, i musimy radzić sobie w tej sytuacji najlepiej jak tylko można! Prawdę mówiąc, jednak zwykle stać ją było na coś więcej niż pełne rezygnacji znoszenie tego, co nieuniknione.

Nie mogąc zasnąć, rzucała się niespokojnie na łóżku. Co ma teraz począć? Na co może liczyć? Wieść o fatalnej sytuacji rodziny Neda głęboko nią wstrząsnęła. Poznawszy go, założyła z góry, że jest bogaty, po czym zakochała się w nim.

Jak mogła się nie zakochać? Był uosobieniem wszystkiego, co podziwiała i szanowała. Jego nienaganna postawa wynikała ze szlachetności charakteru, a nie z wyuczonych przepisów dobrego tonu. wszystkie jego doświadczenia życiowe i czyny miały swoją wagę i wartość. Pełna siły męskość Neda nie miała w sobie ani źdźbła afektacji. Natura obdarzyła go wszelkimi przymiotami, jakie Lydia pragnęła znaleźć u przyszłego męża. Brakowało tylko jednego: majątku.

Lydia usiadła na łóżku, otuliła się kołdrą i oparła brodę na uniesionych kolanach. Z bezsilną złością wpatrywała się w otaczający ją mrok. Czy powinna powiedzieć Nedowi, że dla niej nie ma żadnego znaczenia, czy dysponuje on okazałym majątkiem, czy też nie ma nic, licząc na to, że jego uczucia względem niej okażą się równie bezinteresowne? Ale przecież to nie byłaby prawda!

Nawet gdyby odwzajemniał jej uczucia i zaproponował małżeństwo, co miałyby począć w takiej sytuacji? wyrzec się wszystkiego, do czego przywykła - przyjaciół, pozycji w towarzystwie, stylu życia? Pozostawić na łasce losu całą służbę i rzemieślników, którym zapewniała pracę? Co prawda jej zainteresowanie tymi ludźmi mogło opierać się częściowo na chęci urzeczywistnienia własnych fantazji, ale miało też całkiem inne, realne podstawy.

Lydia nie знаła innego życia niż to, które prowadziła. Dwa krótkie lata spędzone w Sussex odcisnęły również na niej swe piętno. Odcięcie od świata i osamotnienie sprawiły, że utrwaliło się w niej przekonanie, iż po śmierci rodziców utraciła wszystkich, którym zależało na niej, i pękły wszelkie więzi, łączące ją ze światem. Właśnie dlatego prośba Emily o pomoc tak bardzo ją wzruszyła. Zrozumiałe było również to, że zaraz po przyjeździe do Londynu Lydia stworzyła sobie coś w rodzaju zastępczej rodziny. Czyniła to z zapalem, który mógłby się wydawać zabawny, gdyby nie był rozdzierająco smutny.

Opadła znów na łóżko i zwinęła się w kłębek. Gdyby wyszła za męża, nie dbając o majątek ani pozycję, musiałaby całkowicie zdać się na męża. On stałby się ośrodkiem wszelkich więzi emocjonalnych, które były jej niezbędne, on byłby jej najbliższy, on dawałby jej pewność, że jest komuś potrzebna, niezastąpiona, kochana nade wszystko. A jeśli Ned nie umiałby jej tego zapewnić? Jeśli był - jak twierdził Childe - niezdolny do namiętnych uczuć, których pragnęła?

Gdyby jednak mógł i chciał obdarzyć ją tym wszystkim. Aż dech jej zaparło z podniecenia, zanim chłodny rozsądek nie zgasił tych nadziei. Jakże mogła się zdecydować na tak wielkie ryzyko? A zresztą, nie poprosił jej o rękę. Miał swoje powinności i obowiązki, równie istotne jak jej zobowiązania. Wszelkie spekulacje na temat ewentualnego małżeństwa z Nedom oparte były na bardzo wątplych podstawach. Ned potrzebował bogatej żony, ona - bogatego męża i na tym koniec.

Po pewnym czasie zapadła wreszcie w niespokojny sen. Obudziło ją wkrótce natarczywe stukanie do drzwi. Uniosła się na łokciach i nieprzytomnie rozejrzała dokoła. Za oknami sypialni nadal panowała noc, pokój także tonął w ciemności. Do świtu było jeszcze daleko.

- Lady Lydio! - Usłyszała cichy szept służącej, drzwi uchyliły się nieznacznie.

- Wejdz! - poleciała Lydia, siadając na łóżku.

Drzwi otworzyły się bezgłośnie i ostatnia pokojówka, jaka jej pozostała z licznej niegdyś służby, weszła do sypialni, nienagannie ubrana. Jedynym dowodem na to, że nie czuwała przez całą noc, były

włosy, upięte nieporządnie, w wyraźnym pośpiechu. W ręku trzymała świecę.

- O co chodzi, Peach?

- Przyjechała pani Marchland, milady. Jest na dole i chce się koniecznie widzieć z jaśnie panią. Czeka w małym salonie.

Sarah? Tutaj?! Lydia spuściła nogi z łóżka. Pokojówka podbiegła do niej, podając szlafrok.

- Czy pani Marchland dobrze się czuje? - spytała Lydia, wsuwając ręce w rękawy szlafroka. - Która godzina?

- Wpół do szóstej, milady, a pani Marchland wydaje się bardzo czymś przejęta, ale poza tym w dobrym zdrowiu.

Lydia pospiesznie zwinęła włosy w luźny węzeł z tyłu głowy i szybko wyszła z pokoju. Jej przyjaciółce musiało się przydarzyć coś strasznego, inaczej nigdy by się nie zjawiała u niej o takiej porze!

- Nie będziesz mi już potrzebna, Peach - odprawiła pokojówkę, zanim otworzyła drzwi saloniku.

Służąca dygnęła i znikła, Lydia zaś popchnęła uchylone drzwi i weszła do małego salonu. Stała w nim Sarah. Twarz miała niespokojną, oczy jej błyszczały. Ubrana była jak do podróży.

- Co się stało? - zawołała Lydia. - Jakieś... nieszczęście?

Przyjaciółka podbiegła do niej i chwyciła Lydię za obie ręce. Zaraz potem objęła ją i pociągnęła w stronę kanapy, stojącej na wprost wygaszonego o tej porze kominka. Sarah usiadła na tej kanapie i spojrzała Lydii prosto w oczy.

- Opuszczam Marchanda. Jadę z Carvellim na kontynent jeszcze dziś rano - oznajmiła bez wstępów.

Lydia nie wierzyła własnym uszom. Sarah nie mogła mówić poważnie!

- Wiem, moja droga - powiedziała Sarah, kiwając głową, jakby Lydia coś powiedziała. - Jesteś zdumiona i wstrząśnięta i głowisz się, jak odwieść mnie od tego zamiaru. Proszę, oszczędź sobie trudu! Nigdy z tego nie zrezygnuję.

- Ależ Sarah! Nie możesz! - zaprotestowała Lydia.

Sarah uśmiechnęła się smutno.

- Moja droga, nie przyjechałam tu, by się z tobą sprzeczać. Przyjechałam, żeby cię powiadomić o swoich planach i... - tu głos jej złagodniał - pożegnać się.

Pożegnać?! Serce podskoczyło Lydii do gardła. Jeśli Sarah zdecyduje się na podobny krok, rozdzieli ją nie tylko setki mil. Między nimi otworzy się nieprzebyta przepaść! Uciekając z Carvellim, Sarah stanie się wyrzutkiem. Nikt z dotychczasowych przyjaciół nie zechce się z nią spotkać. Nikt nie przyzna się nawet do znajomości z nią. A już z pewnością nie udzieli jej gościny w swoim domu! Sarah stanie się jedną z kobiet, o których się nie wspomina, jakby była kurtyzaną czy zwykłą ulicznicą. To szaleństwo!

- Miła moja, nie wiesz, co mówisz. Nie jesteś sobą!

- Ależ wiem, Lydio - odparła Sarah. - I jestem sobą, bardziej niż kiedykolwiek. Carvelli sprawia, że czuję się szczęśliwa, a ja też daję mu szczęście.

- Szczęście? - powtórzyła Lydia z niedowierzaniem. Nie mogła uwierzyć, że mówi to ta sama Sarah, która parę miesięcy temu doradzała jej wyjść za kogoś uprzejmego, kto wie, kiedy zejść żonie z drogi. - Ile to już razy jakiś dżentelmen darzył cię szczęściem? I jak długo to trwało?

Sarah zaczerwieniła się, a Lydii serce się ścisnęło. Zbyt ostro potraktowała przyjaciółką ale nie była to pora na oszczędzanie jej uczuć.

- Pomyśl o wszystkim, czego chcesz się wyrzec! - przekonywała ją.

- Muszę wyjechać, moja droga. Wiem, że cię to nie przekona, ale od tygodnia nie myślę o niczym innym!

- Od tygodnia? - powtórzyła jak echo Lydia.

- Nie kpij ze mnie, Lydio! Tydzień to dla mnie bardzo długo - odparła Sarah z nieoczekiwaną godnością. - Mimo twojej pozornej beztroski dobrze wiem, jak przejmujesz się wszystkim, rozpatrujesz każdą sprawę ze wszystkich stron i zamartwiasz na śmierć! - Tym razem to Lydia zarumieniła się, przypominając sobie, na czym spędziła większą część nocy. - Tydzień rozmyślań to dla ciebie nic, ale dla mnie to najgłębsze zastanowienie.

W tym momencie uśmiechnęła się szelmowsko i Lydia znów ujrziała dawną Sarah, którą tak kochała. Ale trwało to tylko chwilę.

- Kocham Carvellego, a on kocha mnie i pragniemy być zawsze razem, jak mąż i żona!

- Ale nie jesteście małżeństwem! - tłumaczyła jej Lydia. - Ty masz męża, a Carvelli żonę. A jeśli to nic dla ciebie nie znaczy, to pozwól, że ci przypomnę: masz także dwoje dzieci!

Sarah zbladła.

- To Gerald ma nasze dzieci. Nie pozwala mi nawet ich widywać. Powiada, że mój wpływ byłby dla nich szkodliwy!

Lydia wiedziała, że Gerald przejął opiekę nad dziećmi; sądziła jednak, że doszło do tego za obopólną zgodą. Nigdy nie posądzała Geralda o to, że z rozmysłem odsuwał żonę od dzieci. Wystarczyło jedno spojrzenie na pełną napięcia, umęczoną twarz przyjaciółki, by znikły wszelkie wątpliwości.

Lydią wstrząsnęła tragedia Sarah i nieludzkie postępowanie Marchlanda. Sarah oczywiście nie mogła sprzeciwiać się decyzjom męża: dzieci znajdowały się pod opieką ojca. Był za nie odpowiedzialny. Stanowiły jego własność.

- Jak widzisz, nie mam dzieci, Lydio. Ale szczęście się do mnie uśmiechnęło - dodała rozmarzonym głosem. - Kiedyś urodzę dziecko Carvellemu. On pragnie tego nade wszystko!

Lydia wypuściła przyjaciółkę z objęć.

- Jeśli Gerald zechce, odbierze ci także i to dziecko.

Istotnie, tak głosiło prawo. Słyszając to, Sarah zacisnęła z uporem usta.

- Nie robi tego! Nie zależy mu na mnie aż tak, żeby chciał mnie dręczyć, a nie ma innego powodu, by zabierać cudze dziecko.

- Nie mów tak! - upominała ją Lydia. - Usiłujesz zrobić czarodziejski romans z pospolitej i dość niesmacznej historyjki. Pomyśl raczej o tym, co stanie się za miesiąc albo za rok, kiedy zakończy się wasza idylla i Carvelli wróci do Włoch. Dokąd wtedy pójdziesz?

Na twarzy Sarah nadal malował się upór.

- Gerald nie będzie chciał mieć z tobą do czynienia - ciągnęła dalej Lydia. - Będziesz wegetowała gdzieś na prowincji, w zimnym, okropnym domu, z dala od towarzystwa i od wszystkiego, co znałaś i co zawsze lubiałaś. I tam już zostaniesz, bez rodziny i przyjaciół.

Obraz, jaki roztaczała przed oczyma przyjaciółki, przerażał ją samą. Jej też groziłaby podobna egzystencja, gdyby machnąwszy ręką na wszystko, postanowiła wyjść za Neda. O ile poprosiłby ją o rękę. Czego przecież nie zrobił!

Nie miała jednak czasu na myślenie o sobie. Musiała skłonić przyjaciółkę do wyrzeczenia się szalonych planów!

Kiedy Sarah w końcu się odezwała, w jej głosie nie było gniewu ani urazy, których spodziewała się Lydia. Nagle stało się widoczne, jak bardzo jest zmęczona. Wyglądała na znacznie więcej niż dwadzieścia cztery lata i robiła wrażenie osoby do cna wyczerpanej, czego Lydia nigdy dotąd nie zauważyła.

- Nie przyszedł tu po twoją zgodę, Lydio. Nigdy się nie łudziłam, że ją uzyskam. Wiem dobrze, lepiej niż ci się zdaje, jakie mogą być konsekwencje mego postępowania. Byłabym rozsądna, gdybym mogła, Lydio, ale nie mogę. Jeśli nie ucieknę z Carvellim, będę tego

żałowała do końca życia. - Lydia otworzyła usta, ale Sarah uniosła rękę, uprzedzając jej argumenty. - Bez wątpienia wszystko, co powiesz, moja droga, będzie słuszne, ale gotowa jestem zapłacić każdą cenę! I wobec tego... - Jej spojrzenie uciekło na chwilę, potem zaś wróciło do Lydii. - Czy nie mogłabyś po prostu życzyć mi szczęścia, mimo że nie pochwalasz moich zamiarów?

- Dobry Boże! Oczywiście, życzę ci wszystkiego, co najlepsze! Właśnie dlatego próbuję cię powstrzymać od tego szaleństwa.

- W takim razie, Lydio, nie życz mi tego, co najlepsze - mruknęła Sarah, ściskając przyjaciółkę. - Życz mi po prostu szczęścia!

- Te dwie rzeczy nie wykluczają się nawzajem!

- Dla mnie tak! - odparła cicho Sarah.

Lydia nigdy jeszcze nie widziała przyjaciółki tak cichej i zamyślanej. Wzięła ją za ramiona i odsunęła nieco od siebie, wpatrując się w jej twarz z natężeniem.

- To nie jest droga do szczęścia!

- Może i nie, ale zawsze jakaś droga, a zbyt długo błądziłam po bezdrożu i myślałam, że żadnej już nie znajdę. - Sarah wstała. - A teraz życz mi powodzenia!

Lydia stanęła obok niej, z ręką na jej ramieniu.

- Jakże mogę stać spokojnie i życzyć ci powodzenia, kiedy moja miłość do ciebie każe mi ratować cię, nawet wbrew twojej woli? Zmierzasz ku zgubie!

- Pozwól jej iść własną drogą, Lydio! - odezwała się od drzwi Emily.

Stała na korytarzu, poza kręgiem światła. Była w nocnym stroju, ramiona okryła szalem, nocny czepek na głowie przekrzywił się nieco.

- Emily! - Lydia zapragnęła znaleźć w niej sprzymierzeńca. - Pomóż mi przekonać naszą drogą przyjaciółkę, żeby...

- Pozwól jej odejść, Lydio. Pożegnaj się z nią i pozwól jej odejść!
- przerwała jej Emily, a jej szept zabrzmiał niczym głos wyroczeni. -
Ona już podjęła decyzję.

Lydia nie miała czasu zastanawiać się nad słowami Emily.

- Rozmawiałaś z Eleanor? - spytała.

Sarah się roześmiała.

- *Ad nauseam!* Równie gorliwie jak ty usiłowała powstrzymać mnie od wyjazdu. Miałam nadzieję, że lepiej mnie zrozumie, choćby ze względu na jej własne nieudane małżeństwo!

Spojrzenie Sarah ominęło Lydię i pobiegło ku Emily, czającej się nadal w drzwiach jak mały, pulchny, smętny duszek.

- Ty mnie rozumiesz, prawda, Emily?

- Tak.

Lydia stała z boku, czując się dziwnie niepotrzebna i zdezorientowana. Obie jej przyjaciółki nagle się zmieniły - nie poznawała ich i nie mogła zrozumieć.

Potwierdzenie Emily sprawiło, że na twarzy Sarah pojawił się przelotny uśmiech.

- Życzę ci wszystkiego, co dobre, Sarah - powiedziała Emily, otulając się ciaśniej szalem, jakby nagle przeszył ją dreszcz.

Sarah skinęła głową.

- Czy i ty, Lydio, będziesz mi nadal dobrze życzyła? - spytała.

- Niebawem znów się zobaczymy, prawda? - próbowała przekonać i ją, i siebie Lydia.

- Oczywiście! - odparła żywo Sarah, ściskając obie dłonie przyjaciółki. - Nie będziemy tylko chodzić tymi samymi drogami.

Zaraz jednak oczy Sarah pobiegły znów ku Emily i Lydia w nagłym poczuciu straty zrozumiała, jak naiwne było jej pytanie i jak zdawkowe zapewnienia przyjaciółki. Nie będzie już żadnych spotkań. Sarah zbyt ją kochała, by przyznawać się publicznie do znajomości z nią. Mogłaby tylko zniszczyć Lydii reputację.

- Dość tego, moja złota! Powiedz, że mnie kochasz, i życz mi szczęścia! - powiedziała Sarah stanowczym tonem.

Nic więcej nie można już było zrobić.

- Kocham cię - szepnęła więc Lydia. - i życzę ci szczęścia!

Sarah zamrugała, odchrząknęła, puściła rękę Lydii i zdobyła się na promienny uśmiech.

- No i co? - rzuciła lekkim tonem, odwracając się pospiesznie w poszukiwaniu woreczka, który zostawiła na kanapie. - Nie było to takie straszne, prawda? Żegnajcie, moje kochane!

Nie zatrzymała się ani nie obejrzała. Podbiegła do drzwi i znikła w mroku.

Lydia opadła na kanapę, spoglądając za odchodzącą przyjaciółką.

- Nic, co mogłabyś jej powiedzieć, kochanie, nie powstrzymałoby Sarah - orzekła Emily, wślizgnąwszy się do pokoju.

Chyba tak! - pomyślała Lydia. To dlatego Sarah szukała poparcia u Emily i zdobyła je: obie wiedziały, jaką męczarnią jest niedobre małżeństwo. Choć tylko Sarah miała dość energii, by zerwać więzy, Emily z pewnością nieraz marzyła o wyzwoleniu.

- Myślisz, że będzie szczęśliwa? - spytała szeptem. - Czy to możliwe?

- Będzie, przez jakiś czas - odparła Emily ze spokojem. - Ale niektórym tylko tyle jest w życiu dane. - Rzuciła ukradkowe spojrzenie na Lydię. - Wolą więc wypić mały łyżeczek szczęścia, niż nigdy go nie zakosztować. Myślę, że bardziej należy się litować nad tymi, którym dano więcej... i roztrwonili ten skarb.

Ja do nich nie należę! - pomyślała Lydia. Dobrze wiem, ile miałam szczęścia, jak bogowie uśmiechali się do mnie. Nie roztrwonię darowanej mi części w pogoni za złudnymi nadziejami i ulotnymi marzeniami!

Ale w takim razie, zaniepokoiła się, czemu Emily spogląda na mnie z takim smutkiem?

21

Do rana było jeszcze daleko, gdy Ned otworzył drzwi i wszedł do domu. Lokaj, zmożony snem, drzemał na ławce przy drzwiach. Ponieważ Ned nie zawiadomił służby, kiedy wróci, biedny chłopak czekał na swego pana przez całą noc.

Ned nie wiedział nawet, jak daleko zaszedł i jak długo trwała jego wędrówka, póki nie ocknął się na wschód od portu londyńskiego, w

poobliżu wynurzającego się jak czarny obelisk z mroków przedświt kościoła Świętego Jerzego. Zanim się tam znalazł, szedł przez resztę popołudnia, cały wieczór i większość nocy.

Wreszcie dotarł nad brzeg Tamizy, by przyjrzeć się londyńskim ulicznikom, brodzącym w przybrzeżnych falach i przeczesujących je uważnie, a nuż coś się w nich znajdzie? Rozkołysane latarki przedsiębiorczych urwisów błyskały jak robaczki świętojańskie na rzecznych płyciznach. Ned nie znalazł tam jednak ulgi ani spoczynku i w końcu doszedł do wniosku, że nie znajdzie tu również odpowiedzi, której poszukiwał tej nocy. Zawrócił więc w stronę St. James Square.

Trącił teraz nogą śpiącego lokaja i ruszył dalej przez hol. Usłyszawszy, że chłopak zerwał się na równe nogi, rzucił mu przez ramię:

- Kawy!

- W tej chwili, panie!

Ned ściągnął z szyi krawat i, wszedłszy do biblioteki, rzucił go na oparcie fotela. Zdjął także surdut, a nie mogąc ustać w miejscu, podszedł do okna i zapatrzył się niewidzącym wzrokiem na skwer, jakby tam mógł znaleźć odpowiedź na nurtujące go pytanie.

Był kapitanem okrętu i przez pięć lat wojny brał udział w co najmniej trzech tuzinach bitew. Uczestniczył także w naradach wojennych; dowództwo floty wojennej liczyło się z jego zdaniem. Słynał z zimnej krwi, rozsądku i z niezawodnego instynktu. Kiedy jednak przyszło do walnej bitwy o serce lady Lydii, znalazł się w kłopotcie i nie wiedział, co robić i czy w ogóle powinien coś zrobić.

Lydia byłaby zdumiona, gdyby jej wyznał, że ją kocha - niezależnie od tego, czy jest bogata, czy nie. Z pewnością by mu nie uwierzyła i uznałaby jego wyznanie za dowód doskonałych manier. Jeśli właściwie odczytał jej uwagi - a chyba tak! - to sądząc z przekonania w jej głosie, gdy stwierdziła, że z pewnością wystarczy mu jej przyjaźń, oceniała jego uczucia do niej jako, powiedzmy, letnie.

Usta Neda skrzywiły się w posepnym uśmiechu, kiedy spojrzał na swoją rękę. Żeby się powstrzymać od pochwycenia Lydii w ramiona i okazania jej aż nadto dobitnie, jak gorące są w rzeczywistości jego rzekomo letnie uczucia, Ned tak ścisnął w rękę gałąź buka, że pękła z trzaskiem i rozharatała mu dłoń. W pierwszej chwili prawie tego nie zauważył.

Pełen napięcia uśmiech Neda złagodniał. Jaka Lydia była śliczna z tymi gęstymi, brązowymi lokami, opadającymi jej na ramiona, z liśćmi wplątanymi we włosy, z fiołkowymi oczyma, pełnymi wesołych iskierek! Chyba najpiękniejsza bywała wtedy, gdy ani trochę nie myślała o swym wyglądzie. Ale w to także by nie uwierzyła.

Pozostaniemy nadal przyjaciółmi, prawda?

Była to z jej strony dość skromna prośba, dla niego wszakże wyjątkowo bolesna perspektywa: być przyjacielem Lydii - i niczym więcej! Nie mógł jednak odmówić jej przyjaźni, podobnie jak nie byłby w stanie nakazać sercu, by przestało bić. Został więc, by dotrzymać Lydii towarzystwa -jak przystało na przyjaciela - i słuchał

ze zdumieniem, jak w imię owej przyjaźni obiecuje znaleźć mu bogatą żonę.

Jego zdumienie przerodziło się w gniew. Jak mogła uważać go za słabeusza, który zgodzi się na coś podobnego?! Czyż niczego jej nie wyjawiał swym pocałunkiem? Czy nie dostrzegła, z jakim wysiłkiem trzymał namiętność na wodzy? Kimże by był, gdyby najpierw całował ją bez pamięci, a zaraz potem pozwalał, by swatała go z inną?!

Później jednak, gdy miał już odpowiedzieć ostro i gniewnie, spojrział w jej ciemnofioletkowe oczy i dostrzegł w nich niewyraźny cień czegoś, co tak rozpaczliwie starała się zamaskować zachowaniem i wyrazem twarzy. I w tym właśnie momencie uświadomił sobie, że lady Lydia Eastlake nigdy by się nie zdobyła na tak niezręczną propozycję, gdyby nad jej wrodzonym taktem i uprzejmością nie zatriumfowało jakieś uczucie, wyjątkowo silne. I wówczas zbudziła się w nim nieśmiała nadzieja, że być może Lydia odwzajemnia jego miłość.

Ale co teraz?

Gdyby poprosił ją o rękę, mogłaby jedynie odpowiedzieć: „Nie!” Przecież nie ukrywała, że potrzebuje męża, który zapewni jej takie życie, do jakiego przywykła od urodzenia. A choćby nawet udało mu się skłonić ją do powiedzenia: „Tak!”, czy powinien to robić? Czy byłaby szczęśliwa jako żona niezamożnego eks-kapitana?

Nagle w duchu pojawiła się wizja, która spowodowała jeszcze większy chaos w myślach Neda: Lydia w lśniących jedwabiach, z brylantami skrzącymi się na szyi i rękach, z oczyma jaśniejszymi od

najcenniejszych klejnotów, wirująca w walcu lub prowadząca błyskotliwą konwersację. Lydia którą ogólnie podziwiano, z której brano przykład, o której towarzystwo się ubiegano. Czy miał prawo prosić ją, by pozostawiła swój świat i przyjaciół i wyruszyła z nim w nieznane?

Przegarnął ręką włosy. Pozostawała jeszcze jedna kwestia - mniej ważna, bo związana z nim - kwestia jego zobowiązań. Josten Hol, rodzinny dom wielu pokoleń Locktonów. Kim byliby Locktonowie bez Josten Hol?

- Panie kapitanie.

Głos lokaja wyrwał Neda z zamyślenia.

- Wejdź!

Służący wszedł do pokoju z kawą na tacy. Postawił ją na stole, zapalił lampy, a następnie z lekkim ukłonem wręczył Nedowi list.

- Najmocniej przepraszam, ale przyniesiono to wczoraj po południu, kiedy pan kapitan już wyszedł z domu. Posłaniec czekał aż do północy na odpowiedź.

- Dobrze, dziękuję - odparł Ned, biorąc do ręki list i przełamując pieczęć. - Możesz odejść.

- Tak jest, panie - odparł lokaj i po cichu zamknął za sobą drzwi. Gdy Ned zaczął czytać list, wyraz jego twarzy uległ zmianie. Miejsce znużenia zajęło rozdrażnienie.

Drogi kapitanie,

wiedziony szacunkiem dla Pana i Pańskiej rodziny uznałem, że muszę powiadomić Pana o zamiarach lorda Harolda Locktona,

Pańskiego bratanka, który ostatniego wieczoru wyzwiał na pojedynek Elswortha Tweeda, rzekomo za obrazę honoru. Pan Tweed przyjął wyzwanie. Obaj mają się spotkać jutro o pierwszym brzasku na Primrose Hill. Phillip Hickston-Tubbs jest sekundantem lorda Locktona. Całe to przedsięwzięcie nie przyniesie nikomu zaszczytu. Robiłem, co mogłem, by wyperswadować im ten zamiar, który może się zakończyć tragedią. Niestety, bezskutecznie.

Szczerze oddany George Borton

Ned zmiażdżył list w rękę, wrzucił do ognia i chwycił surdut. Wsuwając ręce w rękawy, zerknął na stojący na kominku zegar. Kwadrans po czwartej. Jeśli będzie pędził jak szalony, powinien zdążyć.

Złapał krawat, wiszący na oparciu fotela, i pobiegł do stajni.

W słabym świetle, które zaczęło się przesączać przez mrok, niczym powiększająca się plama rozlanego wina, Primrose Hill nie urzekło urokiem pierwsiosnków. Nagie, spowite mgłą i smagane wichrem, przypominało raczej scenerię tragedii. Trawa była szorstka, zbocza pozbawione drzew. Rosły tu tylko niskie krzaki i pasło się kilka owiec, których spokój zamąciło tego ranka przybycie powozu i konnych jeźdźców.

Ned zatrzymał spienionego gniadosza na skrzyżowaniu dróg. Już nie czuł przejmującego strachu, jego miejsce zajęła irytacja. Skończeni durnie! Gdyby któremuś z nich coś się stało, Nadine i Beatrice nigdy by nie doszły do siebie.

Trącił kolanem wierzchowca, gdy Harry - widoczny z dala dzięki lśniącym, złotym włosom - zsiadł z konia i zniknął za powozem. Tweed także zeskoczył z siodła, zdjął surdut, rzucił go jednemu ze swych kompanów i oddalił się, strząsnąwszy z siebie ręce powstrzymujących go przyjaciół, którzy życzyli mu lepiej, niż na to zasługiwał. Do Pipa zbliżył się sekundant Tweeda i obaj pochylili się nad kasetą z pistoletami, którą Phillip wydobył z wnętrza powozu. Przy drzwiach powozu stał Borton i rozmawiał z kimś, kto pozostał w środku.

Ned pojawił się w chwili, gdy i Pip, i sekundant Tweeda zakończyli ładowanie pistoletów. Zwrócili zatrwożone oczy na kapitana. Pewnie radośniej powitaliby sędziego pokoju, który kazałby ich wszystkich aresztować!

- Witaj, Pip - powitał siostrzeńca Ned, zeskoczył na ziemię i rzucił wodze stojącemu obok woźnicy. Zdjął skórzane rękawice do konnej jazdy i strzepnął je o udo, nim zatknął za pas. - Uwijasza się ostatnio jak mrówka: najpierw po Labiryncie Jutra, a teraz tutaj!

Phillip patrzył na niego z rozdziawionymi ustami. Jenny Pickler chyba nie byłaby nim teraz oczarowana.

- Dzień dobry, Borton! A gdzie Harry? - spytał Ned.

- Co ty tu robisz? - zdołał wreszcie wykrztusić Pip.

- Przyjechałem na pojedynek, ma się rozumieć.

Harry jeszcze nie dołączył do reszty towarzystwa. Ned zauważył krótko ostrzyżoną głowę, która wyjrzała z wnętrza powozu. Bez wątpienia chirurg!

- Panowie wybaczą - przeprosił uprzejmie Ned i przeszedł na drugą stronę powozu.

Tak jak przypuszczał, znalazł tam Harry'ego, zgiętego w pół i wymiotującego w trawę. Pierworodny Jostena znany był z delikatnego żołądka. Sama wzmianka o krwi mogła go rozstroić.

- Witaj, Harry! - rzucił stryj życzliwym tonem.

Chłopak uniósł raptownie głowę, oczy omal mu nie wyszły z orbit. Pospiesznie zgiął się znowu w pół. Po chwili przytknął chustkę do ust i wyprostował się - roztrzęsiony, ale nieugięty. Przeklęty młokos!

- To przez ciebie, Ned - odezwał się z pretensją w głosie. - Przez ciebie! - Wskazał na swoje buty. - Nie mogę się pojedynkować w brudnych butach! Znajdź mi inną chustkę, żebym mógł je wytrzeć!

Ned się zdumiał. Zawsze dotąd Harry odzywał się do niego z należnym szacunkiem, to, co usłyszał w tej chwili, uderzająco przypominało władczy ton rozsierzonego Jostena. Widać i tę wadę odziedziczył po ojcu!

Ned zdjął z szyi chustkę, zastępującą krawat, i rzucił ją Harry'emu. Ten zaś przyklęknął na jedno kolano i zaczął starannie wycierać but.

- Co tu robisz? - spytał stryja z urazą.

- Jako członek rodziny mam chyba prawo do niepokoju - odparł kapitan. - Mógłbym zresztą zadać ci to samo pytanie: a co ty tu robisz, Harry?

Harold podniósł na niego wzrok. Jasnoniebieskie oczy pociemniały z gniewu.

- Bronię honoru naszej rodziny! Czegoś, o co ty wcale nie dbasz!

A więc chłopak jego obwiniał o tę awanturę.

- Czyżby? W jakim to sposób Tweed znieważył nasz rodzinny honor?

Zamiast odpowiedzieć na pytanie, Harry poczerwieniał jak burak, spuścił oczy i wymamrotał coś niezrozumiałego.

- Wybacz, ale nie dosłyszę. To od huku armat. Coś powiedział?

Chłopak podniósł wzrok, oczy mu błysnęły.

- Powiedział, że mój pies to hermafrodyta!

Niełatwo było zadziwić Neda, ale Harry'emu się to udało. Przez sekundę kapitan nie był pewny, czy bratanek go nie nabiera, ale jedno spojrzenie na naburmuszoną minę chłopca przekonało go, że Harry mówi serio.

Odchrząknął więc i powiedział:

- Głupieję widać na starość, ale czy w takim razie nie bronisiz raczej psiego honoru?

Harry starł wymiociny z buta, wyprostował się i rzucił brudny fular na ziemię.

- Tweed posłużył się psem, żeby znieważyc nasz rodzinny honor. To metafora.

Nedowi zaimponowało, że bratanek wie, co to znaczy. Nie wątpił, że Tweed mógł się posłużyć tym pretekstem.

- Nie mam wcale psa! - warknął Harry. Widocznie się pomylił.

- A on go nazwał Kapitanem!

Ned wybuchnął śmiechem. Nie mógł się powstrzymać, chociaż Harry aż posiniał na twarzy i tak zacisnął usta, że wargi prawie znikły.

- Tak cię to bawi, że ktoś wymyśla ci od hermafrodytów? - wycedził Harry lodowatym tonem.

- Bardzo przepraszam, Harry, ale to strasznie głupie! Czemu tak łatwo dałeś się temu łobuzowi wyzwać na pojedynek?

Miał ochotę potrząsnąć chłopakiem, żeby zrozumiał, jakim niegodnym pomysłem była cała awantura. Stwierdził jednak, że uraził tylko jego dumę.

- To nie twoja sprawa, Ned - odparł sztywno Harry. - Będę ci wdzięczny, jeśli wyniesiesz się stąd przed pojedynek.

- Przykro mi, ale o tym nie ma mowy. Twoja matka urwałaby mi głowę, gdybym pozwolił skrzywdzić jej pieszczoszka.

- Nic na to nie poradzisz. Będę się z nim strzelał... - Poczuł znów mdłości. - Do diabła!

Ned nie zamierzał się z nim sprzeczać. Kiwnął tylko głową i odszedł, pozwalając Harry'emu wyczyścić drugi but. Zniecierpliwienie kapitana przerodziło się w prawdziwy gniew. Dobrze by mu zrobiło, gdyby się posikał na widok wymierzonej w niego lufy pistoletu! Może potem nie dałby się tak łatwo takiej gadzinie jak Tweed!

Tweed... Oczy Neda się zwięziły. To nie Harry, lecz on był celem ataków drania. To jego chciał zranić, raniąc jego bratanka! Coś

takiego w prywatnym kodeksie honorowym Neda było znacznie większą zniewagą niż nazwanie go psem albo oskarżanie o szulerkę.

Pip i sekundant Tweeda przyglądali się kapitanowi z niepokojem. Zignorował ich obu i podszedł do Bortona. Sekundant Tweeda próbował dotrzymać im kroku, Pip zaś ruszył za nimi. Ned odwrócił się i zatrzymał siostrzeńca jednym spojrzeniem.

- Jeśli cenisz sobie własną skórę, Pip, zostaniesz tu i zatrzymasz swego brata, jak długo zdołasz! - warknął przez zęby. Jego gniew osiągnął zenit. - Radzę opisywać mu najkrwawsze rany, choćbyś takich nigdy nie widział.

- Co...? Do licha!

Pip nareszcie zrozumiał, o co chodzi.

Ned ruszył w stronę Tweeda, który stał w niedbalej pozie, z ręką na biodrze i z dumnie wypiętą pierśią.

- Witaj, Tweed - pozdrowił młodego zucha.

- To ty, Lockton? - odparł drwiącym tonem Tweed.

Ned się uśmiechnął.

- Zapowiada się kolejny zimny dzień. Aż się nie chce wierzyć, że to już prawie lipiec, a tu przymrozki.

- Wobec tego Harry Lockton postanowił się wycofać, tak? Nie dziwię się specjalnie. Choć to raczej Hickston-Tubbs powinien być jego wysłannikiem...

- O nie! - odparł spokojnie Ned. - Harry z niczego się nie wycofuje, niestety! Może więc ty zechciałbyś przeprosić? Nie? Tak też myślałem.

Westchnął i zaczął zdejmować surdut.

- Co ty wyprawiasz, Lockton?

Tweed tak się zdumiał, że z jego głosu zniknął bezczelny drwiący ton.

- Przygotowuję się do pojedynku - odparł Ned. Zdjął do reszty surdut, podwinął rękawy koszuli i wręczył okrycie zdumionemu sekundantowi Tweeda. - Mógłbyś tego popilnować, młodzieńcze? Trochę za ciasny w plecach.

- Nie walczę z tobą, kapitanie! - oświadczył Tweed.

- No cóż... Ponieważ nie chcesz przeprosić, Tweed, chyba nie będziesz miał innego wyjścia - odparł spokojnie Ned. - Wyświadczam ci uprzejmość, weź to pod uwagę.

- Uprzejmość? O czym ty u diabła mówisz?

- O Harrym - odparł Ned, opuszczając podwinięte rękawy koszuli.

- Chłopak nie ma dwudziestu jeden lat, a pojedynkowanie się z niepełnoletnim jest sprzeczne z prawem. Szczerze mówiąc, jemu i do dwudziestki daleko!

- Każdy pojedynek jest sprzeczny z prawem - zauważył jeden z towarzyszy Tweeda.

- Niby tak - przytaknął Ned. - Ale wszyscy wiemy, że nasze prawo chętnie przymyka oczy na sprzeczki dżentelmenów. Jeśli jednak któryś z nich udowodni, że nie jest godny miana dżentelmena, gdyż, powiedzmy, pojedynkuje się z niedorostkiem, Temida dla przykładu okazuje mu swoją dezaprobatę. Stanąłbyś przed sądem, Tweed!

Tweed głowił się, jak zachować honor w tej sytuacji.

- Jakże by mogło być inaczej? - spytał Ned, zwracając się do kompanów Tweeda. - Przecież Eton, Harrow i Rugby zmieniłyby się w cmentarzyska, gdybyśmy pozwolili podrostkom rozstrzygać swoje porachunki z bronią w ręku!

Borton wybuchnął śmiechem, a pozostali mężczyźni prócz Tweeda zarechotali z uznaniem. Tweed poczerwieniał z wściekłości. Ned zręcznie sprowadził „sprawę honorową” do poziomu sztubackiej bijatyki.

- No to jak? Przepraszasz czy zaczniemy odmierzać kroki?

- Nie przepraszę!

Ned nie miał nadziei na przeprosiny. Muszą więc załatwić sprawę, zanim Harry wynurzy się zza powozu.

- Będziesz moim sekundantem, Borton? Decyduj się szybko!

Borton dobrze wiedział, czemu Nedowi zależy na pośpiechu. Skinął więc tylko głową i chwyciwszy sekundanta Tweeda za ramię, odciągnął go na bok, by omówić z nim szczegóły.

- Ładny konik - zauważył Ned lekkim tonem, wskazując ruchem głowy wałacha Tweeda.

Tweed burknął coś niezrozumiałego. Odwróciwszy się na pięcie, podszedł do swoich przyjaciół, zostawiając kapitana samego. Ned zmrużył oczy, spoglądając na coraz jaśniejszy horyzont, i pokręcił głową w podświadomym odruchu sprzeciwu. Wplątywanie się w taką paskudną awanturę było sprzeczne z wszystkimi jego zasadami!

Nie wiedział, kogo w tej chwili bardziej nienawidzi: Tweeda, który posłużył się jego bratankiem i siostrzeńcem, żeby wyrównać swoje urojone porachunki z nim, czy tych dwóch przeklętych paniczyków, którzy tak ochoczo dali się w to wciągnąć. Zresztą nie miało to teraz większego znaczenia. Chcąc nie chcąc, musiał ryzykować życiem tylko dlatego, że podły nicpoń, który żywił do niego urazę, nazwał nieistniejącego psa Kapitanem!

A niech to diabli! Lojalność, poczucie obowiązku, poświęcenie - oto życiowe credo, któremu Ned był wierny od piętnastu lat. Zawsze jednak, gdy kierował się tymi zasadami, walczył w słusznej sprawie. Ale cóż miał czynić teraz, gdy sprawa nie była tego warta? Czy nie znieważał w ten sposób swoich szczytnych ideałów, stawiając je na równi z czymś takim?

A co gorsza, czy nie kalał swojej miłości do Lydii, dobrowolnie poświęcając to uczucie dla dobra dwóch zapijaczonych utracjuszy? Byłby może w stanie własnymi siłami opóźnić grożącą jego rodzinie ruinę, powiedzmy, o rok. Gdyby ożenił się bogato, może by nawet zdołał odsunąć tę katastrofę o lat dziesięć albo dwadzieścia. W końcu jednak nieuchronnie nadejdzie chwila, gdy nie zdoła utrzymać Josten Hol ani uratować Locktonów. Niech się wtedy martwi ta para gałganów!

Kochał Lydię. Nic go nie obchodziło, czy ma posag, czy nie. Czy jest córką baroneta, czy siostrzenicą francuskiego emigranta. Kochał ją i zrobiłby wszystko, byle ją zdobyć! Całe jego życie było wypełnione rozmaitymi obowiązkami i powinnościami, wszystkie

jego pragnienia podporządkowane zachciankom innych. Ale dłużej tak nie będzie!

Najzabawniejsze było to, że po prostu nie miał innego wyjścia: to serce kierowało nim całym, wszelkie inne sprawy wydawały się bez znaczenia. Musiał zdobyć Lydię i przekonać ją o sile swoich uczuć. A gdyby zginął, nim tego dokona, to, na Boga, wróci na ziemię i zaciągnie tych podłych chłopców ze sobą do piekła!

- Kapitanie! - Głos Bortona wyrwał go z zamyślenia. - Ustaliliśmy wszystko. Dwadzieścia pięć kroków. Dwa strzały.

- Dwa? Z powodu psiego imienia? - spytał Ned z niesmakiem.

- Sekundant Tweeda nalegał na trzy. Gdyby nie protesty pozostałych, postawiłby na swoim, a ja też musiałbym się pojedynkować.

Ned poklepał Bortona po ramieniu.

- W takim razie dobra robota, sąsiedzie!

- Błagam - prosił zaniepokojony Borton. - Jeśli ujdiesz z życiem, nie wygadaj przed Mary, że maczałem w tym palce. Obdarłaby mnie ze skóry!

Ned się uśmiechnął.

- Nie pisnę ani słowa. A teraz do roboty, zanim zwali się nam na głowę Harry!

Wziął pistolet, który mu podał Borton, i ruszył wielkimi krokami na spotkanie Tweeda, który już czekał ze swym sekundantem. Sekundant Tweeda przekazał wszelkie instrukcje, dotyczące

pojedyнку i oddalił się spiesznie, pozostawiając Nedowi i Tweedowi odliczanie dwudziestu pięciu kroków.

Mgła sięgała łydek Neda, miał wrażenie, że grzęźnie w sypkim śniegu. Dzień zapowiadał się pochmurny: nie można było niczego dostrzec na horyzoncie poza tym, że mrok się rozprasza. Oddech skraplał się w zimnym powietrzu. Ned skończył odliczać kroki i odwróciwszy się stanął bokiem do przeciwnika. Nawet w tym niewyraźnym świetle mógł dostrzec krople wilgoci na twarzy Tweeda. Któryś z koni zarżał. Ktoś zakasłał.

- Gotowi do strzału? - zawołał sekundant Tweeda.

- Tak.

- Tak.

Ned oddychał głęboko, sporządzając w duchu portret Lydii: lśniące włosy, lekko skośne fiołkowe oczy, delikatne kreseczki w ich kącikach, świadczące o wesołości, na wiśniowych ustach uśmiech zdumienia...

- Cel!

Obaj przeciwnicy unieśli pistolety.

- Można zaczynać!

Tweed wystrzelił od razu.

Wszystkie mięśnie Neda sprężyły się na odgłos strzału, lecz nie dał tego po sobie poznać. Oczekiwał nagłego bólu albo jakiegoś innego widomego znaku, że został trafiony. Ciało - jak wiedział z doświadczenia - nie zawsze przekazuje od razu złą nowinę do mózgu. Nie poczuł jednak niczego. Powietrze wydostało się z jego płuc z

chrapliwym świstem. Teraz on wziął na muszkę Tweeda, któremu twarz poszarzała.

- Raz, dwa, trzy! - ozwał się głos Bortona. - Pal!

Ned uniósł rękę z pistoletem do góry, wypalił w powietrze. Pomruk oburzenia i szmer dezaprobaty był odpowiedzią na ten wystrzał.

- Uchylił się od strzału!

- Niesłychane!

- Co za zniewaga!

Istotnie, wypalił w powietrze, rezygnując z oddania strzału. Takie postępowanie dawało do zrozumienia, że przeciwnik nie jest wart niemiłych konsekwencji, związanych z zabiciem lub zranieniem go. Tweed uznał ten postępek za zniewagę i wiedziony gniewem rzuciłby się na kapitana, gdyby go nie powstrzymał ostry głos sekundanta.

- Przygotować się do drugiego strzału!

Przeciwnicy znów odwieśli kurki pistoletów. Czekano tylko na komendę „Cel, pal!” Ale Tweed, rozogniony gniewem, nie czekał. Porywczo uniósł broń i wypalił.

Ogień liznął skroń Neda i sprawił, że zatoczył się do tyłu. Poczł krew spływającą mu po twarzy.

Poprzednie uchylenie się Neda od strzału wywołało pomruki niezadowolenia. Przedwczesny wystrzał Tweeda spowodował znacznie gwałtowniejsze oburzenie.

Tweed jakby tego nie słyszał. Ned musiał przyznać, że nie brakło mu hardości. Co prawda drżał lekko, a ręka z bezużytecznym już

pistoletem zwisała bezwładnie, na twarzy jednak nie odbiło się przerażenie ani wstyd. Skurczyła się tylko, jak w ataku apopleksji.

Wielkie nieba! - pomyślał Ned, czując coraz większy zawrót głowy, spowodowany utratą krwi. - On żałuje tylko tego, że mnie nie zabił!

- Strzelaj! - wrzasnął Tweed.

Ned wyciągnął drżącą rękę i odetchnął głęboko, starając się zapanować nad ciałem. Mógłby zakończyć teraz sprawę - i to raz na zawsze. Z pożytkiem dla siebie i dla chłopców. W takiej sytuacji z pewnością nie wymierzono by mu kary.

Zbyt jednak cenił ludzkie życie, by zniweczyć je dla własnej wygody. Opuścił rękę z pistoletem i strzelił w ziemię. Pomiedzy nich.

Tweed rzucił się ku niemu, jeszcze bardziej rozwścieczony, ale przyjaciele odciągnęli go do tyłu, by wywieźć czym prędzej, zanim wieść o jego niesławie rozejdzie się po Londynie. Z dali doleciał do Neda krzyk Harry'ego i wtedy właśnie poczuł, że ziemia unosi się pod jego nogami i najwyraźniej chce go pochłonać.

Zdażył tylko pomyśleć: nie spotkam się z Lydią dziś wieczorem...

I ogarnęła go ciemność.

22

Lipiec 1816

- Ależ, madame! Jak mogę udzielić rady co do wyboru materiału, jeśli nie chcesz mi wyjawić, w jakim kostiumie zamierzasz wystąpić na maskaradzie u Spencerów? - spytał z wyrzutem Childe Smyth.

Towarzyszył lady Lydii do zakładu krawieckiego panny Walter przy Cavendish Square. Panna Walter specjalizowała się w kreacjach wymyślnych i imponujących. Childe zjawił się z wizytą w chwili, gdy Lydia wychodziła właśnie z domu, i przekonał ją, że jego doświadczone oko bardzo jej się przyda. Istotnie, oko miał niezawodne. Musiała to przyznać.

- Nie mogę panu tego zdradzić: ma to być niespodzianka. Powiem tylko, że szukam czegoś w barwie dukatowego złota.

- Ale co to ma być? Koronka? Jedwab? Ałas? Muślin? Złota siatka?

- Może wszystkiego po trochu? - odparła.

- Uznaję się za pokonanego! - obwieścił, gdy znaleźli się w salonie, gdzie kilka dam oglądało bele materiału i zwoje pasmanterii. Wszystkie obejrzały się i zachichotały. Smyth skłonił się z wyszukaną galanterią.

- Stanę tam, obok koronek, i nie ruszę się, póki nie odkryję, za kogo się przebierzesz, milady! A gdyby mi się to nie udało, znajdę przynajmniej dla pani jakieś piękne złociste ażury.

Rzucił jej beztroski uśmiech i bez pośpiechu ruszył w stronę wspomnianych koronek.

Prezentuje się tego ranka niezwykle korzystnie! - pomyślała Lydia. Smoliście czarny żakiet, na ciemnych lokach zawadiacko przekrzywiony cylinder, żółte nankinowe pantalony, wpuszczone w lśniące cholewy wysokich butów - wszystko to zdradzało doskonałą znajomość najnowszej mody męskiej. A także elegancję, zwłaszcza

jeśli chodzi o takie dodatki jak laseczka ze srebrną gałką lub łańcuszek z czerwonego złota, który zwisał z kieszonki kamizelki w jasnoniebieskie i kremowe paski.

Childe nie tylko wyglądał na skończonego dandysa, lecz odgrywał tę rolę bez zarzutu. Był zabawny, cyniczny, niezwykle uprzejmy i nienatarczywy w swoich zalotach. Lydii bardzo to odpowiadało. Nie zniosłaby niczyich gwałtownych zapałów. W towarzystwie Smytha czuła się swobodnie. Cenił to samo co ona, znał ludzi, których i ona знаła. Nie dostawało mu tylko jednego: błękitnej krwi - i tu ona, ze swym nieskazitelnym rodowodem, mogła być mu pomocna.

Wyjątkowo uroczy dżentelmen, musiała przyznać, choć w duchu uważała, że jest nieco zbyt afektowany. Jakież jednak miała prawo czynić mu z tego zarzut? Afektacja była dla niej chlebem powszednim. A na dodatek do wszystkich swych zalet Childe był niewątpliwie bogaty. Miał też zostać spadkobiercą swego niesłychanie, nieprawdopodobnie wprost bogatego dziadka - o ile się ożeni, zanim stary skąpiec umrze.

Biorąc to wszystko pod uwagę, doprawdy sama się zdziwiła, że nie potrafi odpowiedzieć z większym zapałem na umizgi tego idealnego konkurenta! Bez wątpienia bowiem Childe Smyth ostatnimi czasy wyraźnie ubiegał się o jej względy. Mniej więcej od chwili, gdy Lydia po raz ostatni widziała się z Nedom i kiedy zawarli ów diabelski pakt, że znajdą sobie nawzajem odpowiednio bogatych małżonków. Tak, nie wolno zapominać o tym, że powinni być bogaci, pomyślała z

niezwykłym u niej cynizmem. Stało się przecież jasne, że nade wszystko tym będzie się kierowała przy wyborze męża. Znalazła więc chyba odpowiedniego kandydata...

O Boże, jak jej brakowało Neda!

Zalała ją fala tęsknoty i usta wygięły się w smętną podkówkę. Lydia odwróciła się, żeby nikt tego nie zauważył. Ale przecież nic nie było w porządku! Nie widziała Neda od dwóch tygodni. Nie wiedziała, gdzie się podziewał ani co myślał. Nikt z jej przyjaciół i znajomych nie wiedział albo udawał, że nie wie, gdzie Ned przebywa. Ani nawet tego, czy jest nadal w Londynie!

Z początku słyszała pogłoski o pojedynku, co wprawiło ją w panikę, wysłała więc pełen niepokoju list na jego londyński adres, domagając się informacji. Otrzymała uprzejmą odpowiedź: Ned zapewniał ją, że czuje się dobrze i upominał, by nie brała sobie do serca sensacyjnych, na niczym nieopartych plotek. On sam kierował się tą zasadą, na przykład wtedy, gdy przeczytał w rubryce plotek towarzyskich, że lady Lydia kapie się w mleku, czemu zawdzięcza swoją niezwykle delikatną cerę, albo że sprawiła sobie suknię uszytą z motyliich skrzydeł.

Lydia roześmiała się głośno z radości i ulgi, czytając te żartobliwe słowa, i tym bardziej zatęskniła za kapitanem. Serdeczny, niemal intymny ton jego listu dodał jej otuchy. Jednak od tamtej pory nie miała żadnych wiadomości. W zeszłym zaś tygodniu usłyszała po raz pierwszy pogłoski, że Locktonowie z Josten Hol znaleźli się w

opalach. Kilka dni później ktoś napomknął, że hrabia Josten zamierza sprzedać swoje konie wyścigowe.

Może miało to jakiś związek ze zniknięciem Neda? Czyżby wybrał się na poszukiwanie bogatej żony do Brighton? Ta myśl sprawiła Lydii ból. Bez względu na to, dokąd i w jakim celu udał się Ned, pod jego nieobecność czuła w sercu pustkę, której nie potrafiła niczym zapełnić. Można pomyśleć, że z czasem powinna pogodzić się z tą stratą, ale tak się nie stało. Z każdym dniem tęsknota była coraz głębsza i bardziej dojmująca.

A równocześnie coraz bliższa stawała się chwila znalezienia męża i uwolnienia się od długów.

Lydia konferowała z Terwilligerem, on zaś nalegał, by powiadomiła go o swoich zamiarach, przypominając, jak fatalna jest jej sytuacja finansowa. Pierwsze nieśmiałe pogłoski na temat jej kłopotów - ostrzegął bankier - pojawiły się dwa dni temu, gdy pewien dżentelmen zagadnął go, czy flotylla Eastlake'ów przypadkiem się nie spóźnia? Terwilliger przypomniał Lydii z naciskiem, że nie może już zaciągać dalszych długów, chyba że chce zaprzepaścić całą sprawę.

No cóż - pomyślała z sarkazmem - wobec tego wybrałam się na zakupy! Zamierzała olśnić wszystkich podczas balu kostiumowego, który wydawał hrabia Spencer na cześć księcia wellingtona. Bal miał się odbyć w następnym tygodniu i Lydia obmyśliła dla siebie idealny strój. Przebranie, które zaplanowała, miało ukrytą wymowę, pełną gorzkiej ironii.

Zadźwięczał dzwonek nad wejściem do sklepu i Lydia mimo woli zerknęła na drzwi, weszła młoda kobieta w niezwykle wytwornym okryciu i ozdobnym czepku. Na widok Sarah Lydia uśmiechnęła się z radością. Dotarły do niej słuchy, że coś opóźniło wyjazd przyjaciółki na kontynent, i była zachwycona, że będzie mogła raz jeszcze zobaczyć się z nią.

Ruszyła więc ku niej z drugiego końca sklepu. Pozostałe panie nagle przerwały rozmowy i skamieniały, jakby je poraziło złowieszcze spojrzenie Meduzy. A potem powoli, z rozmysłem, odwróciły się plecami do Sarah.

Ta wzdrygnęła się na widok ich jawnej pogardy, ale niemal niedostrzegalnie. Było to raczej drgnienie ducha niż ciała. Zaraz jednak ujrzała zbliżającą się do niej przyjaciółkę i na sekundę jej ładna twarzą zajaśniała radością. Zrobiła krok w stronę Lydii, która szła jej na spotkanie przejściem między stołami, i nagle cała promiennosc znikła z oczu Sarah.

Pochwyciła spojrzenie Lydii i pokręciła ostrzegawczo głową. Lydia zawahała się, a Sarah szepnęła bezgłośnie:

- Nie!

Lydia zatrzymała się, niepewna co robić. Zrozumiała, że przyjaciółka stara się ją powstrzymać od popełnienia fatalnego błędu.

Wielki świat uznał Sarah za wyrzutka. Londyńska socjeta nie tolerowała osób, które okazywały niezależność. Kary nakładane na „nieprawomyślnych” były srogie, a Lydia nie mogła sobie pozwolić na jawny sprzeciw wobec opinii publicznej. Nie teraz!

Ale to przecież była jej przyjaciółka! Lydia znowu ruszyła ku niej, zdecydowana porozmawiać z Sarah. Nagle jednak pojawił się u jej boku Childe Smyth, wziął ją pod łokieć i z beztróskim uśmiechem pociągnął w inną stronę.

- Znalazłem niezgorszą złotą koronkę, warto, by ją pani obejrzała - powiedział gładko, a w jego oczach było ostrzeżenie.

Lydia znów się zawahała. Czuła się jak ostatni tchórz. Nieżyczliwe szepty dały się słyszeć w gronie kobiet niższych pozycją od Lydii i - co tu kryć - od Sarah. Do Lydii docierały strzępki ich rozmów.

- ...Bezczelna! Nigdy bym jej nie przyjęła w swoim domu!

- A któż by ją przyjął?!

- Z pewnością już tego żałuje...

- Nie ona! Cóż taka rozpustnica wie o skrusze?

Serce Lydii waliło jak szalone. Przecież chodzi o jej Sarah!

- Dziękuję, panie Smyth. Może obejrzymy je nieco później? Spozregłam właśnie przyjaciółkę, z którą muszę porozmawiać.

Dzwonek nad drzwiami znów zadźwięczał. Lydia odwróciła się raptownie. Sarah już nie było.

- Tak będzie lepiej, lady Lydio - powiedział Childe, zniżając głos.

- Ona to rozumie. I pani też musi zrozumieć.

- To śmieszne! - fuknęła na niego Lydia i zaraz się tego zawstydziała.

Była zła, ale na siebie! Gdyby naprawdę chciała pomóc z Sarah, zrobiłaby to bez wahania. A Childe chciał jej przecież tylko pomóc!

Nie wyglądał jednak na obrażonego. Ze zblazowaną miną wzruszył ramionami.

- Tak to już jest na świecie, moja droga. Każdy może sobie pozwalać, na co zechce, byle tylko zachowywał pozory.

- Nie pochwalam decyzji pani Marchland - odparła Lydia. - Ale nie mogę się pogodzić z tym, że można utrzymywać stosunki towarzyskie z najbardziej rozwiązłymi ludźmi, byle tylko ukrywali swoje grzeszki, a nie wolno nawet się przywitać z ukochaną przyjaciółką, która była mniej ostrożna!

- W zasadzie zgadzam się z panią - przyznał Childe - ale jestem zbyt leniwy, by narażać się na afronty, broniąc straconej pozycji. No i zbyt lubię światowe życie, podobnie jak pani, lady Lydio - przypomniał jej. - Z godnego najwyższej pochwały odwrotu pani Marchland widać jasno, że rozumie sytuację i dostosowuje się do reguł gry. Czy i my nie powinniśmy tego zrobić?

Lydia nic nie odpowiedziała, zaczęła tylko machinalnie przebierać w zwojach pasmanterii leżących na stole.

W ustach Childe'a brzmiało to tak rozsądnie! Tak prosto! A jednak wcale nie było proste, tylko zagmatwane. Reguły obowiązujące w wielkim świecie nigdy jej dotąd nie wadziły, gdyż nie ograniczały jej wolności.

Wolności?

Dawne próby buntu przeciw konwenansom były dziecinnymi wybrykami, dającymi jej złudne poczucie nieskrępowanej swobody: odrobinę za głębokie dekolty, zbyt pobłażliwa przyzwoitka, nieco ryzykowne przyjaźnie z cynicznymi światowcami, rozmowy wykraczające niekiedy poza granice przyzwoitości. Zawsze jednak poruszała się w granicach tego, co uważano w towarzystwie za dopuszczalne.

Lydia zmarszczyła brwi. Nie podobał się jej kierunek, w jakim biegły jej myśli. To był przecież jej świat! Jedyne, jaki знаła. Tak, nawet w nim nie wszystko było doskonałe, a jej wstręt do obłudy wydawał się całkiem słuszny. Ale o ileż gorsze byłoby wyrzeczenie się tych niewinnych kłamstewek i uroczych mistyfikacji! Groziłoby to zresztą zagładą piękna i elegancji. A jeśli nawet hipokryzja wydawała się trudna do zniesienia, czy nie warto zapłacić takiej ceny za pozycję w wielkim świecie? Wiedziała zresztą w głębi serca, że sama korzysta na kredyt z tego przywileju!

Ale przecież, pomyślała z buntem, Ned zaplątał się w podobne kłopoty, a jednak nie przeżywa, jak się zdaje, takich wstrząsów jak ona. Zachowuje się bardziej dojrzałe niż ona. Niech to diabli! Odrzuciła wstążkę, którą bezwiednie wzięła do ręki i obracała machinalnie w palcach, oszołomiona i przejęta.

Gdzież on się podziewa? Czemu od dwóch tygodni nie brał udziału w żadnych balach ani przyjęciach? Czyżby do tego stopnia lekceważył przyjaźń, o której ją zapewniał, że opuścił ją bez pożegnania? Nie przesłał jej nawet kilku słów w liście!

Może ugania się za jakąś bogaczką?

- Lady Lydio, proszę, niech się pani aż tak nie przejmuję! - odezwał się Childe.

Lydia zamrugnęła. Całkiem zapomniała o jego obecności!

- Kto wie? Może spotka się pani z przyjaciółką, powiedzmy, w Calais, gdzie Brummell ma podobno swój dwór? Słowo daję, madame, wcale bym się nie zdziwił. Ostatnio wszyscy najbardziej interesujący ludzie udają się na wygnanie!

Childe Smyth uznał widać, że nadal niepokoiła się o Sarah. Tym lepiej! Był jedynym poważnym konkurentem, jakiego miała. Choć nigdy nie szczędzono Lydii komplementów ani nie brakowało jej partnerów do tańca, nikt jakoś nie pragnął niczego więcej prócz tańca czy chwili rozmowy z „Niezrównaną”. Lydia dobrze wiedziała, czemu tak było. Przez cały ubiegły miesiąc, a nawet dłużej, prawie zawsze pokazywała się w towarzystwie Neda. Jej słabość do kapitana została zauważona przez innych konkurentów, którzy ustąpili pola. Jedynie Childe Smyth wydawał się nieświadomy tej słabości Lydii. A może wcale mu nie przeszkadzała?

Teraz Ned zniknął, a sezon zbliżał się już do końca. Lydia bliska była desperacji.

Coś takiego nie mogło się przecież zdarzyć! Sarah miała swojego księcia... przynajmniej na razie. Ale ona, Lydia, bez swojej pozycji w towarzystwie i bez Neda nie będzie posiadała nic - była nikim. Wiedziała już z doświadczenia, jak to smakuje. To nie mogło się

powtórzyć! Straciła już Neda. Nie może utracić wszystkiego. I nie utraci!

Zajaśnieje jak słońce na balu maskowym u Spencerów i zaćmi wszystkich. Musi!

Odwróciła się do Childe'a i uśmiechnęła z dawną kokieterią.

- Ależ oczywiście, ma pan rację! Wszyscy się spotkamy w jakimś cieplejszym klimacie. - Rzuciła mu z ukosa szelmowskie spojrzenie. - Mam tylko nadzieję, że nie będzie to ogniste piekło, na które bez wątpienia zasługujemy!

Roześmiał się, oczarowany.

23

Była to jeszcze jedna paskudna noc, zimna i mokra. Prasa już wcześniej ochrzciła 1816 rok „rokiem bez lata”, a wszystko zdawało się potwierdzać tę opinię. Niebiosa były nieustannie przesłonięte ciemnymi chmurami; rzadko pojawiające się w tej zbitej, ponurej masie szczeliny sprawiały, że zachody słońca były przeważnie wyjątkowo jaskrawe. Niewielka pociecha po posepnych dniach i czarnych nocach! Teraz mieszkańcy Londynu mieli nadzieję, że wielka maskarada u Spencerów podniesie ich nieco na duchu i rozpędzi - choćby na krótko - chłód i mrok.

- Dobry Boże! Byłby to prawdziwy cud, gdybyśmy dotarły tam przed północą! - pożaliła się Lydia, zasłaniając szczelnie okna wynajętego powozu.

W książęcej karecie Eleanor akurat tego popołudnia musiała się złamać oś! A słynny powozik Lydii w zeszłym tygodniu poszedł pod młotek licytatora. Na szczęście bez rozgłosu.

Były już w drodze od ponad dwóch godzin, choć odległość między domem Eleanor a Spencer House wynosiła mniej niż trzy mile. Ciągłe postoje na drodze zapchanej powozami wpływały Lidii na nerwy.

- Potem będziemy czekać godzinami na schodach, nim dotrzemy do górnego podestu i zostaniemy zaanonsowane, a pięć minut później bal dobiegnie końca!

Mniej więcej w promieniu mili wokół rezydencji Spencerów na ulicach tworzyły się gigantyczne korki. Przyczyną tego były nie tylko setki powozów, wiozących gości na bal wydany na cześć wellingtona, ale i tysiące gapiów, wylegających tłumnie na ulice w nadziei zobaczenia przebierańców we wspaniałych kostiumach. Taki darmowy spektakl stanowił wielką atrakcję dla mieszkańców Londynu i odciągał ich myśli od biedy i zmartwień.

- Tym lepiej - odparła Eleanor. - Każdemu by wystarczyło pięć minut ścisku i rozpaczliwego poszukiwania wolnego kącika, gdzie można zaczerpnąć trochę powietrza!

Wzięła do ręki dziecinny mieczyk, stanowiący część jej przebrania, i wywinęła nim ostrzegawczo. Eleanor postanowiła zjawić się na balu jako Joanna d'Arc. Bardzo się nadawała do tej roli, dzięki smukłej sylwetce i klasycznie pięknym rysom twarzy. Zebrała włosy

w węzeł na karku i włożyła prościutką szatę z niczym nieozdobionego białego muślinu.

Kiedy Emily zauważyła, że nie wygląda w tym stroju na dziewczycę-bohatera, Eleanor odparowała, że chce ukazać Joannę tak, jak ją postrzega Kościół katolicki: raczej jako dziewczyną męczennicę niż dziewczuchę, bawiącą się w żołnierza. Księżna uzbroiła się jednak w niewielki srebrny mieczyk, choć utrzymywała, że nie jest to ustępstwo na rzecz militarnych aspektów legendy, lecz oręż, zabrany z myślą o tłoku i duchocie. Nie zawaha się go użyć, gdyby ktoś zagroził jej drogę do otwartego okna!

- Biorąc pod uwagę długą listę gości, nikt nie wydestanie się ze Spencer House przed świtem - uspokajała Lydię Emily, poklepując ją po ręku. Dama do towarzystwa uległa wreszcie prośbom Lydii i zgodziła się przerwać pustelniczą egzystencję, by towarzyszyć im obu na bal. - Ale choćby nawet nie trwało to tak długo, z pewnością nie znajdzie się ani jeden z zaproszonych gości, który nie wspominałby cię długo po zakończeniu balu!

Dzięki Ci, Boże, za Emily! - pomyślała Lydia.

Jej dama do towarzystwa rozumiała doskonale, jak bardzo denerwuje się Lydia. Czekał ją przecież występ, zupełnie jak na scenie. Poprzednio, gdy jechała na przyjęcie czy bal, myślała z przyjemnością o czekających ją rozrywkach i o ciekawej konwersacji, w której weźmie udział. Tym razem jednak było inaczej. Dziś czuła jedynie gorączkowy niepokój, który starała się ukryć.

Wzięła więc Emily za rękę i uścisnęła ją. Ta kobieta zastąpiła jej rodzinę. Miała być tylko wygodnym dodatkiem do tłumu domowników, a stała się ukochaną przyjaciółką i nieocenioną powiernicą. Choćby straciła wszystko, zostanie mi jeszcze Emily, myślała. Nie wyobrażała sobie, by cokolwiek mogło je rozłączyć. Gdyby utraciła swoją pozycję społeczną, majątek czy reputację, nie zmieniłoby to oddania Emily. Szkoda, że jej nie naśladowała i nie okazała się równie dobrą przyjaciółką dla Sarah.

- Dziękuję ci! - szepnęła.

Emily zarumieniła się i spuściła głowę, omal nie gubiąc peruki i monstrualnego czepka. Była przebrana za postać z dziecięcych baśni, Matkę Gąskę, w staromodnej sukni z czarnej bombazyny w obszytej koronką chustce, udrapowanej na pulchnych ramionach. Na głowie miała białą perukę z loczkami, do biodra zaś przytoczyła gęś z papier-mache. Ptak chybotął się niepokojąco, a Emily podtrzymywała go nieustannie ręką. Daj Boże, żeby gęś nie była pusta w środku! - zaniepokoiła się Lydia. - Trzeba by ją przed powrotem do domu opróżnić z „pamiątek”, które Emily zdoła wepchnąć jej do dzioba.

- Kto jak kto, ale Childe Smyth zostanie do samego końca! - mruknęła ze swego kąta Eleanor.

Tak, Childe z pewnością będzie na mnie czekał, przytaknęła w duchu Lydia. Tego ranka przysłał jej podarek: wachlarz ze złocistej koronki, rozpięty na prętach ze szczerego złota. Było to kosztowne cacko. Taki podarunek oznaczał uczucia cieplejsze od zwykłej przyjaźni, chociaż nic w zachowaniu ofiarodawcy nie wskazywało na

to. Lydia ani razu nie przyłapała Childe'a na wpatrywaniu się w nią z takim żarem jak Ned. Odwróciła wzrok, oczy nagle zaszyły jej łzami. Opanowała się jednak.

Gorąco pragnęła, by Ned pojawił się na balu. I równie gorąco, żeby go nie było.

Oczywiście Ned nigdy nie okazałby jej, że już się nią nie interesuje. Na pewno nie szczędziłby jej miłych słów. Byli w końcu dobrymi przyjaciółmi! Ona jednak poznałaby od razu, że nie jest już obiektem jego uczuć. Ze miejsce w jego sercu zajęła inna. Młodsza? Ładniejsza? Z pewnością bogatsza!

Dobry Boże! - modliła się w duchu, niechże go tam nie będzie!

- Jego dziadek podobno coraz bardziej podupada na zdrowiu - wycedziła Eleanor.

Lydia poczuła kompletny zamęt w głowie, póki nie pojęła, że przedmiotem ich rozmowy był przecież Childe Smyth. Niezwykle warunki testamentu jego dziadka omawiano w całym eleganckim świecie.

- Istotnie - przytaknęła Lydia. - Zdaje się, że jest w ciężkim stanie.

- Słyszałam pogłoski - ciągnęła dalej księżna ze spokojem, obserwując uważnie Lydię - że pan Smyth nosi zawsze przy sobie specjalną licencję, podpisaną przez arcybiskupa Canterbury, jego ojca chrzestnego, żeby móc po otrzymaniu wieści o zbliżającym się zgonie dziadka ożenić się z pierwszą lepszą niewiastą i dosłownie w ostatniej chwili pojawić się u starszego pana. - Eleanor pociągnęła dyskretnie

nosem. - Jakie to wygodne dla Childe'a Smytha, że ma tak wysoko postawionego ojca chrzestnego!

- Czemu się po prostu nie ożeni? Miałby z tym wreszcie spokój - odezwała się Emily, poprawiając opadający czepek.

Spojrzenie Eleanor pomknęło ku Lydii.

- Któż to może wiedzieć? Albo przez przekorę robi dziadkowi na złość, albo nie życzy sobie, by decydował o jego życiu. Słowo daję, można by się spodziewać, że mężczyzna w wieku pana Smytha nie będzie tak dziecinny! Każdy z nas musi czasem podporządkować się woli innych, czy to jednej osoby, czy opinii ogółu.

- Słyszałam, że się dotąd nie ożenił, bo jego kochanka zagroziła, że go opuści, jeśli to zrobi - wtrąciła Emily.

Lydia spojrzała na nią zaskoczona. Emily doprawdy wiedziała znacznie więcej od niej!

- Kochanka? - spytała z niedowierzaniem.

Po raz pierwszy dotarła do niej wieść o kochance Childe'a. Zerknęła pytająco na Eleanor, która wiedziała wszystko o wszystkich. Księżna rzuciła mordercze spojrzenie Emily, ale ta z niewinną miną wyglądała przez okno powozu.

- Childe Smyth ma kochankę? - nie mogła uwierzyć Lydia.

Emily skinęła głową potakująco.

- I to od dziesięciu lat tę samą, o ile mi wiadomo.

Lydia aż otworzyła usta ze zdumienia. Zwróciła się jednak znowu do drugiej ze swych przyjaciółek.

- Wiedziałaś o tym, Eleanor?

Eleanor z lekkim zniecierpliwieniem poprawiła się na siedzeniu.

- Oczywiście, że ma kochankę! Jak większość mężczyzn. To, że o niej nie słyszałaś, świadczy o nim jak najlepiej. Widzisz, jaki jest dyskretny? W odróżnieniu od pewnych osób, których lepiej nie wymienię!

Jednak Emily nie przejęła się gniewnym spojrzeniem księżnej. Rzuciwszy tę bombę, splotła ręce na krągłym brzuszku i przymknęła oczy.

- Co to za jedna? - dopytywała się Lydia, bardziej zaintrygowana niż urażona wieścią, że Childe Smyth od lat ma przyjaciółkę. - Jaka ona jest?

- Nikt tego nie wie - odparła Eleanor - bo nikt jej nie oglądał na oczy. Smyth trzyma ją w ukryciu. Kupił jej dom, wynajął służbę. Niektórzy mówią, że to hiszpańska dama szlacheckiego rodu, inni, że francuska emigrantka.

- Musi mu na niej zależeć!

Eleanor machnęła ręką.

- Dajże spokój, Lydio! Childe jest bardzo wybredny i tyle. Ma utrzymanie tylko dlatego, że tak jest wygodniej i bezpieczniej. Nie zarazi się w ten sposób żadnym paskudstwem.

Lydia poczuła, że płoną jej policzki, ale nie dała się zbić z tropu.

- Jeśli nie łączy ich szczerze przywiązanie, czemu miałyby grozić, że opuści Childe'a, kiedy się ożeni?

Księżna wzruszyła ramionami.

- To tylko sprytna sztuczka, Lydio! Ta dziewczyna pewnie się już ogląda za nowym opiekunem. Jeśli opuści Childe'a, zanim on się nią znudzi, będzie mogła udawać, że nigdy nie groziło jej porzucenie. Nie zwracaj uwagi na wysrane z palca pomysły Emily!

Obrzuciła Matkę Gąskę jeszcze jednym karcącym spojrzeniem.

- Niechęć Childe'a do ożenku nie ma nic wspólnego z jego kochanką, podobnie jak twój lęk przed zamążpójściem nie wiąże się z osobą Neda Locktona! Szkoda tylko, że zmarnowałaś w jego towarzystwie mnóstwo cennego czasu. Można było ten czas wykorzystać na bliższą znajomość z innymi dżentelmenami!

Eleanor przyjęła wieść o ubóstwie Neda ze świętym oburzeniem, na jakie Lydia nie mogłaby się zdobyć. Nazwała go kłamcą i oszustem, zapominając o tym, że jej chrześniaczka postępowała kropka w kropkę tak samo.

- Bliższa znajomość? Tak byś to określiła? - spytała Lydia. - Jeśli oceniamy bez ogródek postępowanie Childe'a Smytha, mówmy równie otwarcie o moim! Chciałaś powiedzieć: na uwodzenie ich wszelkimi sposobami, by skłonić któregoś z nich do małżeństwa!

- Istotnie.

Chwilowe oburzenie Lydii nagle znikło. Eleanor miała słuszość, zmarnowała wiele tygodni. Taka była zadowolona, taka pewna siebie! I Neda.

Powóz znów się zatrzymał, ale tym razem woźnica coś zawołał. Lydia wyjrzała przez okno. Skręcali właśnie na podjazd wiodący do Spencer House i czekali w długiej kolejce wehikułów, posuwających

się w żółtym tempie w kierunku bramy. Ogrodzenie otaczające rezydencję oblegał gęsty tłum gapiów, wykrzykujących do przebierańców w powozach, by ukazali się w oknie. Wielu z nich spełniło żądanie tłum; nagrodzono ich oklaskami i wesołymi okrzykami.

- Na litość boską, Lydio, zrób im tę przyjemność, może będzie choć trochę spokoju! - poleciła chrześnicy Eleanor.

Lydia wahała się, nie bardzo wiedząc czemu. Wielokrotnie bywała już w podobnej sytuacji i zawsze zachwyty tłumy pochlebiały jej. Dziś jednak irytowały ją żądania gapiów, a ich krzyki i wrzaski wydawały się dowodem bezczelności, a nie zachwyty. Przypominały zachowanie pospólstwa na wyścigach konnych albo widzów z jaskółki, kiedy pojawiły się baletnice.

- Proszę cię, Lydio! Nie uspokoją się, póki któraś z nas im się nie pokaże. A ja tego z pewnością nie zrobię!

Lydia bez zapału odciągnęła zasłonę w oknie i zsunęła kaptur z głowy. Tłum wybuchnął okrzykami zachwyty i pohukiwał z entuzjazmem, póki Eleanor nie zasłoniła znów okna.

- Dość tego! - oświadczyła.

Powóz minął bramę i wkrótce zatrzymał się przed głównym wejściem. Zakołysał się, gdy mały lokajczyk zeskoczył z kozła. Chłopak otworzył drzwi powozu i opuścił schodki, po czym stanął przy nich, by księżna pani, wysiadając, mogła się wesprzeć na jego głowie.

- Dziś szczególnie uważaj na reputację, Lydio! - ostrzegła ją Eleanor, zanim jeszcze opuściły powóz. - Nigdy nie wiadomo, z kim się rozmawia na maskaradzie. Dotarły już do mnie wieści, że kochanki niektórych dżentelmenów zamierzają się tu zjawić: maski i zasłony zapewniają im anonimowość. Bezczelne kreatury, ale można się tego spodziewać, skoro pozwalamy każdemu udawać kogoś innego, niż jest w rzeczywistości.

- Na tym przecież polega cała zabawa - zauważyła Emily, smętnie poklepując swoją gaskę.

Biedna Emily! Choć tak bardzo się starała, nie potrafiła ukryć obawy, że nękająca ją obsesja znów nią zawładnie.

- A więc zaczynamy! - mruknęła Eleanor, wysiadając z gracją z powozu.

Emily poszła za jej przykładem, ale Lydia pozostała w tyle. Obawiała się narazić na spotkanie z Nedom lub na rozczarowanie, gdyby go nie było.

Przyglądała się, jak Eleanor i Emily wchodzi do Spencer House przez wielkie, podwójne drzwi i wahała się, co robić. Wiedziała, że zachowuje się śmiesznie, kryjąc się we wnętrzu powozu. Nigdy dotąd nie była tchórzem. Nie okaże się nim i teraz!

Otuliła się szczelniej płaszczem i wysiadła z powozu. W ślad za Robin Hoodem i piękną Marion weszła na schody wejściowe, a następnie do urządzonego z przepychem głównego holu.

Eleanor i Emily witały się już z hrabią i hrabiną, którzy na widok każdego gościa uśmiechali się, udając zainteresowanie. Lydia stanęła

na końcu długiej kolejki, nadal otulona w czarny płaszcz z kapturem, całkowicie zakrywający jej strój i fryzurę. I oto stała już przed panem i panią domu, dziękując im za zaproszenie i grzecznie dygając.

- Jak miło, żeś zechciał nas odwiedzić Czarny Kapturku - odparł hrabia bez większego entuzjazmu, po czym zwrócił się do następnej osoby w niekończącym się szeregu gości.

Lydia dołączyła do przyjaciółek w jednym z pokoiów, przeznaczonych na gotowalnię dla dam. Cała armia służących w liberiach zbierała naręcza płaszczy i peleryn, spod których wylaniały się najdziwniejsze okazy fauny i flory oraz słynne postacie historyczne i literackie. Niektórzy goście nosili maski jak Lydia, inni mieli twarze niezasłonięte, lecz przybrane na przykład piórami lub dziwacznie pomalowane. Lydia doszła do wniosku, że osiągnie największy efekt, ukrywając się do ostatniej chwili pod czarnym płaszczem.

Podciągnąwszy spiesznie gęś, ciągle zsuwającą się z biodra Emily, trzy damy dołączyły do rozszczebiotanego tłumu i opuściły garderobę. Na Lydię, otuloną w czarny płaszcz, mało kto zwracał uwagę. Każdy poprawiał w ostatniej chwili własny kostium.

Wspięły się po wielkich schodach, których poręcze opleciono girlandami białych róż. Ich płatki opadały na marmurowe stopnie. Dotarwszy na górny podest, trzeba znów było stanąć w kolejce i czekać na chwilę, gdy każdy zostanie zaanonsowany przed wejściem do sali balowej.

Lydia niecierpliwie wspięła się na palce, by zajrzeć do wnętrza. Jej osłonięte maską oczy rozszerzyły się z podziwu. Salę balową przeistoczono w fantastyczną ogrodową altanę. Jedwabne draperie w różnych odcieniach soczystej zieleni okrywały ściany; jaśniejszą, bladozieloną mgiełką, wydymającą się lekko na wietrze, przesłonięto uchylone francuskie okna wychodzące na taras. Imponujące girlandy róż, gardenii i innych cieplarnianych kwiatów zwisały od sufitu, a marmurowe kolumny robiły wrażenie obrośniętych puszystym mchem, z którego wyłaniały się przebiśniegi i fiołki.

Stoły ustawiono w nieregularnych odstępach pod wewnętrzną ścianą, zdobną draperią z zielonego aksamitu. Pośrodku znajdował się znacznie większy stół, uginający się pod ciężarem fontanny, z której tryskał poncz; opadając, zasilał strumyk, płynący srebrnym korytem pomiędzy rozstawionymi półmiskami. Przygotowano na nich lekkie dania dla pokrzepienia gości, by nie zgłodnieli przed późnym obiadem. Setki lokajów krążyły po sali z tacami pełnymi kieliszków wina, dokonując cudów zręczności, by nie opryskać nikogo z ruchliwego tłumu.

Goście Spencerów, poprzebierani za łabędzie, pawie, lamparty czy jelenie, tworzyli imponującą menażerię, a tłum Otellów, Kleopatr, niecnych Medyceuszów i odzianych w purpurę kardynałów pochylał klasycznie piękne oblicza, wdając się w miłą rozmowę z postaciami mitycznymi i alegorycznymi.

Dźwięki orkiestry - muzykantów poprzebierano za króliki, jeże i lisy - z trudem przebijały się przez gwar rozmów. Mimo że wokół

kłębiły się tłumy, Lydia nigdzie nie dostrzegła złotej czupryny kogoś, kto górowałby wzrostem nad pozostałymi. Uczucie ulgi zmagало się w jej sercu z rozczarowaniem i ostatecznie ulga zwyciężyła.

Stojąc już niemal na progu sali balowej, Eleanor zatrzymała się i zmierzyła ją wzrokiem.

- Bardzo cię kocham - oświadczyła księżna - ale nie jestem jeszcze taka stara, by dać się zaćmić z kretesem! Wchodź pierwsza, moja droga. Ja wejdę na salę trochę później.

- Ale...

- Żadnych „ale”! Co powiesz na partyjkę wista, Emily? - spytała Eleanor. Obie przepadały za grą w karty. - Lydia doskonale obejdzie się bez nas!

- Zagrałabym z największą przyjemnością - odparła Emily. - Ale czy księżna pani nie woli pogawędzić z którąś ze swych przyjaciółek?

- Właśnie z nią rozmawiam, Emily - odparła Eleanor.

Emily aż pokraśniała z radości, słysząc ten komplement. Władcza twarz księżnej złagodniała.

- Spotkamy się nieco później, drogie dziecko - powiedziała do Lydii. - Do ataku! Powal ich wszystkich na kolana. - Umilkła na chwilę. - Ale nie zdradzaj swego nazwiska. Niech się wszyscy pogłowią, kim jesteś! Tajemnica ma ogromną siłę przyciągania.

Nim Lydia zdążyła zaprotestować, pomocnik mistrza ceremonii chylił się już przed nią w ukłonie, pytając, jak sobie życzy, by ją zapowiedziano. Lydia wyjaśniła mu, a przez ten czas Eleanor i Emily odeszły. Została sama. Słyszała, jak mistrz ceremonii anonsuje:

- Księżniczka Aurelia, córka króla Midasa. *In transitu!*

Lydia zrzuciła z głowy kaptur i odwiązała tasiemki płaszcza. Okrycie opadło na ręce lokaja, ona zaś wkroczyła do rześście oświetlonej sali balowej.

Wszyscy wokół niej zamilkli, a ich milczenie udzieliło się reszcie zebranych. I nagle ktoś zaczął entuzjastycznie bić brawo, ktoś inny mu zawtórował. Rozległy się okrzyki podziwu i zachwytu. Lydia podziękowała głębokim dygiem, kończąc tę nieco teatralną scenę.

Jaka szkoda, że panna Walter nie mogła być świadkiem triumfu swojej kreacji! To przecież ona zasłużyła na pochwały. To ona wyczarowała dla „Aurelii” luźną suknię ze złotej tkaniny, delikatnej jak bibułka, przybranej aplikacjami ze złotej lamy, układającymi się w subtelny deseń, na to zaś suknię wierzchnią ze złotej siateczki. To ona wycięła dekolt w głęboki szpic i obszyła go bursztynowymi i złotymi paciorkami. Jej także dziełem były bufiaste rękawki ze złotawej gazy.

Pokojówka Lydii splotła jej włosy w luźny warkocz i upięła z tyłu głowy, przeplatając ciemne loki wstążkami ze złocistego atłasu i błyszczącym złotym drutem. Zakrywająca trzy czwarte twarzy maska była wyklepana ze szczerego złota. Cień, jaki od niej padał na twarz Lydii, nie pozwalał dostrzec koloru jej oczu. Najbardziej jednak w tym przebraniu przyciągało uwagę nie to, co Lydia miała na sobie, lecz to, czego nie miała.

Nie włożyła żadnej biżuterii; zamiast tego posypała obficie ramiona, szyję i pierś złotym pudrem, który połyskiwał przy najlżejszym ruchu. Zamiast białych rękawiczek włożyła cieńsze, ze

złotej lamy, tak że jej ręce aż do łokcia zdawały się wykute ze szczerego złota. To zaś, w połączeniu z migotaniem złotego pudru na nagiej skórze, sprawiało wrażenie, iż „księżniczka Aurelia” istotnie przemienia się z żywej dziewczyny w złoty posąg.

Lydia doceniała ironiczną wymowę tego przebrania, nawet jeśli nikt prócz niej tego nie dostrzegał.

Gdy z gracją wkraczała do sali, towarzyszył jej szmer zachwyconych, pełnych ciekawości głosów:

- Któż to jest?

- Stawiam mego ulubionego wierzchowca, że to lady Anne Major-Trent!

- Według mnie Aurelia to Jenny Pickler!

- Za jasne włosy. I dekolci zbyt głęboki jak na debiutantkę!

- Pani Dallyworth?

- Lady Lydia?

- Ona nigdy nie zasłania oczu! To one przyniosły jej sławę!

- Któż to może być?!

A więc nie została rozpoznana!

Świadomość całkowitego incognito spadła na nią jak strumień czystej, chłodnej wody, jak niespodziany życiodajny deszcz. Nikt jej nie rozpoznał! Nikt niczego się po niej z góry nie spodziewał. Niezwykle interesujące przeżycie. I jakie podniecające!

Nie ciążyły na niej żadne zobowiązania. Nie musiała grać żadnej roli - prócz tej, którą sama sobie wybierze. Mogła być, kim tylko zechce - niemym posągiem, rozspiewanym słowikiem, sekutnicą,

przymilną kusicielką, uosobieniem pruderii albo rozpustnicą. Wszystkim, co jej przyjdzie do głowy! Mogła witać nieznanymi jak starych przyjaciół i kompletnie ignorować tych, którym winna okazać należne względy - i nikt nie mógł się na nią obrazić, gdyż nikt nie wiedział, kim jest, dopóki sama tego nie wyjawia.

Ogarnęło ją rozkoszne uczucie wyzwolenia, dotychczas jej nieznane, upajające. Właśnie szła ku niej pewna utytułowana dama. W zeszłym tygodniu siedziały obok siebie na proszonym obiedzie, teraz miała na twarzy niepewny uśmiech, który z każdą chwilą stawał się coraz bledszy. Nagle skręciła w inną stronę, doszedłszy widać do wniosku, że „Aurelia” nie należy do jej znajomych. Sympatycznie wyglądający mężczyzna skłonił się, gdy go mijala, a Lydia - ku własnemu zaskoczeniu - odezwała się do niego, zmieniając głos:

- O, pan Borton! Jakże się miewa pańska siostra?
- Doskonale, panno... to znaczy, lady...
- Wystarczy „Aurelia”, panie Borton.

Jakież to było podniecające! Może trochę niestosowne, ale rozkoszne! Nic dziwnego, że do tylu skandalicznych incydentów dochodziło na balach maskowych! Lydia brała nieraz w nich udział, ale nigdy dotąd nie zależało jej na tym, by jej nie rozpoznano - i wobec tego nie zakosztowała ani razu upajającej swobody, jaką zapewnia incognito. Przeszył ją dreszcz emocji z niewielką domieszką strachu. Co zdoła odkryć dzięki temu przebraniu? Na jakie słowa sobie pozwoli, odurzona własną nietykalnością?

Na co się odważy?

Przeciskała się przez tłum. Na zewnątrz było ciemno i mokro, ale tu panowały jasność i ciepło. Wiszące nad głowami żyrandole niemal oślepiały, powietrze aż parzyło rozgrzane ciepłem tyłu rozgorączkowanych ciał. Na parkiecie kończył się właśnie kadryl, podobny do jakiejś sennej fantasmagorii, dziwacznej mozaiki barw i lśnień. Niezwykłe nakrycia głowy - pióropusze i skrzące się diademy - głośne oklaski, zachęcające okrzyki widzów, coraz donośniejszy śmiech, topniejąca szminka na spoconej twarzy Arlekina, królewski ureus - święty wąż faraonów - zsuwający się z głowy Kleopatry...

Lydia spostrzegła Childe'a Smytha, wytwornego Mefistofelesa w czerni i szkarłacie. Już miała do niego podejść, gdy zbliżył się lokaj i wręczył mu list. Childe otworzył go i przeczytał. W ułamku sekundy jego beztroska znikła. Zmiał list w garści i opuścił salę balową w wyraźnym pośpiechu.

Ciekawe, co go skłoniło do nagłego wyjścia? W pewnym sensie Lydia była temu rada. Gdyby do niego podeszła, szybko przestałaby być kimś nieznanym, a nie zdążyła się tym jeszcze nacieszyć.

Zamierzała, oczywiście, wyjawić w końcu, kim jest. Przecież z myślą o takim zakończeniu zamówiła kosztowną kreację - chciała zwrócić na siebie uwagę wszystkich, być oglądana, podziwiana, pożądana. Ale jeszcze przez chwilę pozwoli sobie na luksus anonimowości.

Przetańczyła z pół tuzina tańców, między innymi walca z hiszpańskim grandem i kotyliona z hinduskim fakirem. Rozpoznała ich obu, ale żaden z nich nie odgadł, kim ona jest. Gdy fakir

odprowadził ją po tańcu, wszystko to - zapach perfum, mastyksu i szminki, natłok ciał, intensywność ludzkich głosów i dźwięków muzyki - przytłoczyło ją ciężarem nie do zniesienia.

Zgrzana i bez tchu opuściła salę balową: wślizgnęła się pod pajęczę draperie, osłaniające wielkie francuskie okna, za którymi widniał taras. Płonące pochodnie otaczały tę jego część, gdzie czuwała grupa lokajów. Nieco dalej otaczające rezydencję ogrody tonęły w mroku. Lydia rozejrzała się dokoła, wdychając głęboko zimne, wilgotne powietrze.

Inni także szukali tu wytchnienia, niekiedy parami, czasem większymi grupkami. Lydia jednak nie chciała jeszcze wyjawić kim jest, schodziła więc innym z drogi, kryjąc się w cieniu, jak najdalej od płonących pochodni, aż wreszcie znikła w mroku jednego z ogrodów. Z westchnieniem ulgi uniosła maskę i wystawiła twarz na zimne tchnienie nocy.

- Księżniczko Aurelio! - szepnął tuż za nią głęboki, męski głos.

W popłochu znów opuściła maskę na twarz i odwróciła się raptownie. Ujrzała wysoką postać, odzianą wyłącznie w czerń: czarny był surdut, obcisłe pantalony, wysokie lśniące buty, nawet koszula i jej koronkowe mankiety. Czarny trójgraniasty kapelusz i czarna wenecka maska, odsłaniała dolną część twarzy - mocny zarys szczęki, dołek w brodzie.

Ned!

Lydia zadrżała. Był to dreszcz strachu, ale przede wszystkim wywarła na niej wrażenie niepokojąca aura, która otaczała kapitana. Czyżby ją rozpoznał mimo przebrania?

- Nie wydaje mi się, byśmy zostali sobie przedstawieni - odezwała się gardłowym szeptem.

- Nie? Być może - odparł. Cofnął się o krok i zdjawszy kapelusz ukłonił się elegancko. Jakiś zbłąkany promyk światła zalśnił w jego złotych włosach. - Jestem Mrok.

Lydia przechyliła głowę na bok.

- Mrok? I to wszystko? Nic więcej?

- Cóż mogłoby być więcej?

- Król Mrok? Księżę Mrok? A może hrabia? - podsunęła.

Pokręcił głową.

- Przykro mi rozczarować cię, księżniczko. Nie mam, niestety, tytułu. Jestem, kim jestem, i tyle.

A więc ją poznał? Czy jego słowa miały podwójne, ukryte znaczenie?

- Czyżbym mówiła, że jestem rozczarowana? Wcale nie!

Uśmiechnął się, a jej serce zabiło gwałtownie. Głupie, łatwowerne serce!

- Bardzoś łaskawa, księżniczko, że tracisz czas na rozmowę ze mną. Mogłabyś przecież spędzić ostatnie godziny wśród królów i książąt, hrabiów i innych wielmożów, którzy są ci równi.

- Tracę czas? Ostatnie godziny? Cóż to ma znaczyć?

- Byłem w pobliżu, gdy zaanonsowano księżniczkę Aurelię *in transitu*. Pojąłem, że zbliża się chwila, kiedy bez reszty przemienisz się w złoto i nie będzie już dla ciebie odwrotu. Czyżbym się mylił?

Przysunął się bliżej, stanowczo zbyt blisko. Pochylił ku niej głowę. Szare oczy lśniły w półmroku jak cyna. Lydia czuła na szyi jego ciepły oddech. Nie była w stanie pozbierać myśli. Ani zaczerpnąć tchu.

- Czyżbym się mylił? - spytał znów szeptem.

Powiew jego oddechu poruszył drobne kędziorki na skroni Lydii. Była już teraz pewna, że jej nie poznał. Nigdy nie zachował się tak zuchwale w stosunku do niej!

- Nie - odparła ledwo dosłyszalnie.

- Jakie to smutne! - szepnął, stając za nią bezszelestnie jak prawdziwy mrok. - Czy będziesz żałowała, księżniczko, że nie jesteś już człowiekiem? Jak sądzisz?

- Wątpię, bym później pamiętała to, co utraciłam - odparła i nagle znieruchomiała.

Wydało się jej, że czuje pieszczotliwe dotknięcie... Coś leciutkiego jak mgiełka musnęło jej szyję.

- Jak myślisz, kiedy twoja przemiana dobiegnie końca? Za tydzień? Za dzień? - Jego głos był właściwie niskim pomrukiem. - A może za godzinę?

- Nie wiem.

Stał teraz tuż za Lydią i pochylał się nad nią, osłaniając ją od nocnego chłodu. Wyczuła lekki ruch, zerknęła w bok i ujrzała, że

ujmuje ją bardzo delikatnie za nadgarstek. Czerń jego rękawiczki ostro kontrastowała ze złotą lamą, okrywającą jej dłoń. Zrobił krok do tyłu i pociągnął Lydię za sobą tak, że stała teraz twarzą do niego.

- Spróbujmy to odgadnąć!

Spojrzenie jego szarych oczu zza czarnej maski splotło się ze spojrzeniem Lydii. Podniósł jej rękę na wysokość swego ramienia i delikatnie oparł o nie. Jego palce, okryte czarnym aksamitem, sunęły pieszczotliwie po wrażliwszej, wewnętrznej stronie ramienia, aż dotarły do brzegu złotej rękawiczki. Powoli, z rozmysłem, zaczął zsuwać ją z ręki Lydii, odsłaniając nagą skórę.

Lydia nie mogła wprost uwierzyć, że to Ned ściąga jej rękawiczkę z taką zmysłową powolnością. Niemożliwe, żeby to on był tym niepokojącym drapieżnikiem! Jego oczy ani na chwilę nie odrywały się od jej oczu, paliły ją swym żarem. Usta miał zaciśnięte. W ich kąciku drgał jakiś nerw.

Lydia nie mogła się poruszyć. Serce waliło jej tak mocno, że z pewnością Ned słyszał jego bicie. Ogarniał ją coraz silniejszy zawrót głowy, gdy powoli, ale uparcie ściągał jej rękawiczkę. Sfrunęła wreszcie na ziemię, jak proporczyk z roztopionego złota, a wówczas on podniósł rękę Lydii do ust.

- To nadal wygląda jak kobiece ciało - szepnął, muskając gorącymi wargami koniuszki jej palców.

Lydii zaparło dech. Starła się wyswobodzić rękę, lecz on jej nie puszczał. Co więcej, przyłgął rozchyłonymi ustami do wnętrza jej dłoni w długim, namiętym pocałunku.

- Czuję ciepło i miękkość kobiecej skóry - szepnął.

Lydię przebiegł dreszcz. Ned z pewnością nie wiedział, z kim ma do czynienia! Wziął ją za kogoś całkiem innego. Z pewnością! Nigdy nie zachowałby się w stosunku do niej tak niestosownie! Namiętnie! - poprawił ją szczyry głos wewnętrzny.

Powinna mu wyjawic, kim jest. I to natychmiast, zanim sprawy zajdą zbyt daleko... i żadne z nich nie zdoła już o tym zapomniec. To znaczy... wybaczyć. A właściwie...

Delikatnie odgiął jej rękę do tyłu i przycisnął rozchyłone usta do miejsca, gdzie puls trzepotał się jak spłoszony ptak. Lydia poczuła nagłą słabość w kolanach. Leniwie wodził językiem po delikatnym ciele. Nogi się pod nią załamały.

Bez wahania pochwycił ją na ręce.

- Smakujesz jak kobieta - stwierdził, wpatrując się w nią - pod całym tym złotem! A jeśli...

Nie dokończył zdania, tylko uniósł ją wyżej i przycisnął do piersi. Pochylił się nad nią i szepnął z ustami wtulonymi w jej szyję:

- Czy nadal masz kobiece serce? - Pocałował ją u nasady szyi. - Potrafisz czuć jak kobieta?

Bez pośpiechu sunął ustami wzdłuż jej obojczyka.

Pod osłoną maski ze złota powieki Lydii zatrzepotały i przesłoniły oczy. Wargi rozchyliły się, jakby piła odurzający napój, który pomieszał jej zmysły. Głowa Lydii opadła na ramię Neda, jej szyja wygięła się w łuk. Skorzystał z tego i przesunął wargami w gorącym, zmysłowym pocałunku wzdłuż szyi, od podbródka aż do pełnych

piersi przyprószonych złotym pudrem. Mroczny, pierwotny pomruk wzbierał w jego gardle, gdy poznawał językiem smak ukochanej.

Nie protestowała. Były to podniecające, grzeszne igraszki i całe ciało Lydii drżało w odpowiedzi. Ned podniósł głowę dopiero wtedy, gdy ona uświadomiła sobie nagle, że wczepiła się obiema rękami w jego gęste włosy, nie chcąc go puścić.

Nieoczekiwanie postawił ją na ziemi, nadal obejmując ramieniem w talii. Drugą ręką sięgnął do wstążek, przytrzymujących maskę „Aurelii”. W ostatniej chwili Lydia zrozumiała, co Ned zamierza zrobić. Chwyciła go za nadgarstek i odciągnęła jego rękę od wstążki.

- Nie!

Najwyraźniej uznał ją za jedną z ladacznic, o których wspomniała Eleanor. Za czyjąś porzuconą kochankę, poszukującą kolejnego opiekuna. Z całą pewnością! A ona zachowała się tak, że nie mógł o niej pomyśleć nic innego.

Pozwolił, by odciągnęła jego rękę od maski, choć spostrzegła po zaciśniętych wargach, że się zniecierpliwił.

- Dość tego, kochanie! Zdejmij tę maskę, wyzwól się z twardej skorupy, bądź znów kobietą!

- Pod tą maską znajdziesz tylko inną! - odpowiedziała przekonana, że Ned jej nie zrozumie.

Znieruchomiał.

- Cóż, jeśli to prawda, to widać nie ma żadnej nadziei - powiedział dziwnym głosem.

Nagle złękła się, że zaraz odejdzie.

- Nie!

Zarzuciła mu ręce na szyję, on zaś odruchowo przygarnął ją do siebie i trzymał mocno.

- Nie odchodź! Nie opuszczaj mnie!

- O Boże! - szepnął chrapliwie. - Co robić...?

- Kochaj mnie!

Zacisnął zęby i wszystkie jego mięśnie zeszywniały, gdy wpatrywał się w nią. Raz jeszcze uniósł rękę, by zdjąć jej maskę, ale Lydia znów ją odsunęła. Tym razem nie chodziło jej tylko o zachowanie incognito. Bała się, że gdy Ned ją rozpozna, znów będzie nieludzko opanowany.

- Kochaj mnie! - powtórzyła.

Jej słowa cięły jak miecz, przerabując barierę niepewności, która go powstrzymywała.

- A niech mnie wszyscy diabli! - wymamrotał zdławionym głosem i znów chwycił Lydię w ramiona.

Objęła go z całej siły za szyję i ukryła swoją zamaskowaną twarz na jego piersi.

- Kochaj mnie!

Więcej nie musiała już tego powtarzać. Wyczytała odpowiedź kochanka w kurczowym uścisku jego ramion, przyspieszonym rytmie jego serca, gwałtownym wznoszeniu się i opadaniu jego potężnej klatki piersiowej. Bez słowa zanurzył się wraz z nią w najgłębszą ciemność, gdzie wzrok całkiem zawodził, za to do głosu doszły wszystkie inne zmysły.

Wystarczyło kilka kroków i nie docierały już do nich żadne światła. Na czarnym niebie nie świecił księżyc, w gęstym mroku ledwie można było dostrzec zarysy drzew, pnączy czy krzewów. Lydia nie widziała już twarzy Neda.

Porozumiewali się zdławionymi pomrukami, westchnieniami, dotykiem. Lydia poczuła, że zeszli ze ścieżki, gdyż ich kroki stały się cichsze, żwir nie chrzęścił pod nogami.

Bogaty aromat wilgotnej, gliniastej ziemi i zmoczonych deszczem roślin unosił się wokół nich. Delikatne, zimne w dotyku pnącza i śliskie liście muskały ramiona Lydie, gdy Ned oddalił się jeszcze bardziej od wytyczonej drogi, stąpając po niewidocznym poszyciu.

Lydia wyczuwała grę mięśni na jego klatce piersiowej, siłę podtrzymujących ją ramion, aksamitne muśnięcia ręki, a także bijące od niego ciepło. Zatrzymał się znowu i tym razem, gdy poczuła, że ręka Neda szuka czegoś z tyłu jej głowy, nie powstrzymała go od zdjęcia maski, tylko trzymała się kurczowo jego szyi - jedynej ostoji wśród bezbrzeżnej nocy.

Chłodne powietrze owionęło jej rozpaloną twarz. Poczowała na niej delikatne dotknięcia aksamitnej rękawiczki. Ned badał jej rysy jak ślepiec, końcami palców obwodząc zarys jej oczu i policzków, prześlizgując się po nosie, muskając wargi. Lydia odpowiadała westchnieniem na te dotknięcia. Palce Neda objęły jej twarz, poczuła ciepło oddechu, a w chwilę później jego nienasycone usta na swoich.

Maska ze złota stanowiła znakomitą osłonę, ale mrok nocy okrywał ją jeszcze lepiej. Złota maska obiecywała swobodę, mroki

nocy kusiły wręcz do swawoli. Ośmielona tym Lydia poznała, jak gwałtowna bywa namiętność. Jej usta otworzyły się pod naporem jego ust, a gdy przyłączył się do igraszek także język Neda, rozchyliła wargi jeszcze szerzej, spragniona dalszych pieszczot. Niecierpliwie przeżyła się w łuk i przegarniała palcami włosy ukochanego, jedwabiste i wilgotne.

On zaś zdołał aż tak osunąć jej suknię, że Lydia poczuła chłodne powietrze na piersi. Sutek zacisnął się w twarde pąk, gdy pierś wychylną z krepującej ją osłony stanika. Usta Neda znaczyły palący ślad na jej szyi, ramieniu i jeszcze niżej, zatrzymując się nad samą piersią. Lydia słyszała jego wysiłony oddech i czuła na swojej nagiej skórze bijący od niego żar.

Dreszcz wstrząsnął jego ciałem, gdy przyciągnęła go do siebie, złąkniona dalszych, śmielszych pocałunków. Chciała, by całował ją tam, gdzie nigdy dotąd nie dotknął jej żaden mężczyzna. Ned wydał zdławiony pomruk, oznaczający równocześnie całkowitą kapitulację i nienasycony głód, rozchylonymi wargami zaatakował jej pierś i wciągnął sutek głęboko w usta.

Lydia czuła, jak tętni w niej odwieczna moc, pragnęła wciąż więcej i więcej. Pod wpływem rozkosznej męczarni zaparło jej w piersi, a potem z jej ust wydobył się jęk.

I on właśnie sprawił, że czar prysnął.

Ned podniósł nagle głowę, a Lydia zaprotestowała gwałtownie, bez tchu. Była nadal spragniona, on zaś nie chciał jej zaspokoić! Próbowwała znów przyciągnąć do siebie jego głowę, lecz on się opierał.

Usiłowała przebić wzrokiem otaczający ją mrok, ale nie mogła dostrzec wyrazu jego twarzy. Czowała tylko wyraźnie, że rośnie w nim napięcie, tak silne, że powietrze było jak naelektryzowane. W tym właśnie czasie maska Neda gdzieś się zawieruszyła.

Lydia słyszała, jak Ned z trudem wciąga powietrze w płuca i wyczuła lekkie drzenie, które, poczynając od ramion, objęło potem całe jego ciało.

- Nie! Nie możemy!

Do diabła z jego zasadami! Czowała, jak w jej ciele pragnienie zмага się z poczuciem bezsilności. Była jak ktoś, kto umiera z głodu o dwa kroki od suto zastawionego stołu, wyraziła swój protest gwałtownym ruchem głowy.

- Żałowałabyś potem.

- Nie!

- Tak! Wiem, że tak. Ja... wybacz mi.

Wybaczyć mu?! Znów doszło w nim do głosu zabójcze opanowanie! Dlaczego tak łatwo mu przychodziło opamiętanie, gdy ją trawiło nieznośne pożądanie, niczym palący ogień? Tylko jego pocałunki i pieszczoty mogły złagodzić cierpienia. Ale on nie chciał jej pomóc. I ona miałaby mu to wybaczyć?!

Nie wybaczy, i już! Za nic mu nie wybaczy tego, że rozbudził w niej taką namiętność, która teraz zaatakowała ją ze straszliwą siłą, a on nawet nie wiedział, jaki jest okrutny! Pewnie nie cierpi jak ona, bo gdyby cierpiał, spełniłby jej prośbę!

Nierówny oddech Lydii przeszedł w łkanie.

- Nie wiesz nawet, kim jestem! Skąd możesz wiedzieć, czego będę żałować, a czego nie?!

Ned znieruchomiał.

Była zbyt upokorzona, by dostrzec, jak bardzo nim wstrząsnęła. Zbyt zgnębiona, by zauważyć, że nie mógł w to uwierzyć. Powinna być mu wdzięczna, że zdołał się opanować, ale myślała tylko o tym, że nie pragnął ani niezrównanej lady Lydii, ani nieznajomej, spotkanej nocą.

- Puść mnie!

Głos jej drżał.

Gdy Ned nie zareagował od razu, pchnęła go w pierś i zaczęła się wyrywać.

- Puść mnie. Puszczaj natychmiast!

W jej głosie było tyle rozpacz, że Ned od razu postawił ją na ziemi. Opadła na kolana i najpierw poprawiła stanik sukni, potem zaś zaczęła po omacku szukać maski.

- Chyba nie myślisz... - zaczął tonem pełnym niedowierzania, ale przerwała mu bez ceremonii.

Z góry wiedziała, co zamierzał powiedzieć!

- Oczywiście, że nie wierzę, byś mógł się zapomnieć do tego stopnia!

Nie chciał jej. Ręka Lydii zacisnęła się na zimnej, metalowej masce.

Ned milczał, gdy podniosła się z klęczek i rozejrzała dokoła, usiłując wypatrzeć jakieś światełko w ciemności; coś, co by jej pomogło odnaleźć drogę do domu.

- Nie jestem pewien, czy dobrze cię zrozumiałem - powiedział Ned nieswoim głosem.

Dostrzegła wreszcie ledwie zauważalną poświatę nad wierzchołkami drzew i w tej samej chwili dotarł do jej uszu odległy gwar głosów i dźwięki muzyki.

- To chyba jasne: opamiętałeś się w samą porę, żeby nie skalać swojego honoru!

- Mojego honoru?

Wydawał się zdumiony.

Lydia nie czekała na odpowiedź. Ruszyła naprzód z ręką wyciągniętą przed siebie, by łatwiej znaleźć drogę.

- Pozwól, że cię odprowadzę - powiedział cicho.

Odprowadzić? Narazić na to, że Eleanor albo Emily zobaczą ich razem i wzburzone ujawnią, kim ona jest? Wykluczone!

- Nie! Bądź dżentelmenem i pozwól mi zachować tyle godności, ile jej jeszcze pozostało. Nie staraj się odgadnąć, kim jestem! Nie znasz mnie... - tym razem Ned nie protestował - i niech już tak zostanie!

- Nie będę się do ciebie odzywać, księżniczko - zapewnił sucho. - Ale musisz pozwolić, bym odprowadził cię przynajmniej do ścieżki. Kiedy już tam dotrzemy, przyrzekam, że nie będę ci się więcej narzucał.

Chciała zaprotestować, powiedzieć, że nigdy się jej nie narzucał, że to raczej ona narzucała się jemu! Zachęcała go do umizgów, a potem domagała się więcej on zaś odmówił. Płonęła rumieńcem upokorzenia i już miała sprzeciwić się tej propozycji, ale powstrzymał ją rozsądek. Mogła przecież potknąć się, uwięznąć gdzieś w krzakach... i choćby w końcu znalazła drogę powrotną, wygląd jej sukni, pantofli, włosów i rąk świadczyłby o przygodzie, której wcale nie chciała rozgłaszać. Przeżyła już dość upokorzeń jak na jeden wieczór!

- Niech i tak będzie.

Poczuła jego rękę na swoim łokciu. Ten dotyk tak się różnił od sposobu, w jaki dotykał jej przed chwilą, taki był bezosobowy i poprawny, że omal się nie rozpląkała. Zamiast tego jednak ruszyła sztywnym krokiem tuż za nim, on zaś usuwał z jej drogi zwisające gałęzie i wskazywał najdogodniejsze przejścia. Niebawem dotarli do ścieżki wiodącej na taras. Do tej pory już nie tylko złota maska znajdowała się na twarzy Lydii, ale i twarz, którą osłaniała, przeistoczyła się w nieprzeniknioną maskę.

Wierny danemu słowu Ned nie próbował iść za nią, lecz gdy dotarli do ścieżki, odsunął się i stanął w cieniu. Także i jego twarz - choć nieokryta już wenecką maską - nie zdradzała żadnych uczuć. Założył ręce do tyłu i skłonił się sztywno.

- Dobrej nocy, madame.

Nie odpowiedziała.

Ned spoglądał spod półprzymkniętych powiek za uciekającą Lydią. Obiecał jej, że nie będzie się więcej narzucał, a zwykł szanować dane słowo. A jednak stare jak świat instynkty - a wiele z nich doszło w nim do głosu tego wieczoru - wzywały do pościgu za nią. Ned był jednak z natury niezwykle opanowany.

Odczekał dziesięć minut, nim powrócił do Spencer House. Nie zauważył nawet spojrzeń, pełnych uznania i zachęty, jakie ścigały go do sali balowej.

Damy z bujną przeszłością, które spisały już Neda Locktona na straty (jako zbyt dobrze wychowanego, by mógł być interesujący), teraz zwróciły nań ponownie uwagę, dostrzegłszy drapieznika w czarno odzianym kapitanie. Młode panienki, które przedtem uznały Neda za wyjątkowo sympatycznego, drżały, czując, że budzą się w nich na jego widok rozkosznie niestosowne uczucia. Ned nie zauważył nawet deszczu koronkowych chusteczek, które padały mu do stóp, gdy w zadumie okrążał salę.

Nie miał wcale zamiaru pieścić ani całować Lydii! Chciał po prostu znów, jak najbardziej przyzwoicie, spotkać się z nią po dwóch tygodniach, które spędził w łóżku, rozgorączkowany i zły jak diabli. Choć niecelna kula Tweeda musnęła go zaledwie w przelocie, powierzchowna rana zaczęła się jątrzyć. Mimo to Ned starał się ukrócić plotki krążące na ten temat. Przyjaciele wyprawili czym prędzej Tweeda za granicę, zaś świadkowie wydarzeń nie życzyli

sobie, by łączono ich nazwiska z tak niehonorowym pojedynkiem, toteż ukrycie całej sprawy nie okazało się trudne.

List od Lydii dotarł do Neda wkrótce po pojedynku, mniej więcej wtedy, gdy zaczęła go nękać gorączka. W kilku zwięzłych, pełnych niepokoju zdaniach tego listu Ned odkrył coś, co można by nazwać załączkiem nadziei. Honor jednak wymagał, by zachował w tajemnicy całą sprawę (ze względu na świadków pojedynku), toteż spędził okropne dwa tygodnie, pragnąc gorąco skontaktować się z Lydią i nie mogąc tego uczynić.

Jedynym wtajemniczonym był George Borton. Tylko on wiedział dobrze, jaki jest stan zdrowia i serca kapitana Locktona. George odwiedził go zaraz po pojedynku. Dopytywał się o Mary (doprawdy, powinien zwrócić się raczej osobiście do zbyt grymaśnej siostrzenicy kapitana, skoro wciąż o niej myślał!), kłął w żywy kamień zarówno Harry'ego, jak i Pipa, którzy ani razu nie spytali o zdrowie swojego wybawcy, a tym bardziej nie okazali mu wdzięczności...

Potem zaś, ni stąd, ni zowąd, oświadczył:

- Warto, moim zdaniem, żebyś się oświadczył lady Lydii.

I w tych kilku słowach wyjawiał, że rozumie, iż Lydia i tylko Lydia króluje w sercu kapitana i że nigdy nie będzie tam miejsca dla nikogo innego.

Gdybyż sama Lydia okazała się równie domyślna! Ciemnoszare oczy Neda pociemniały jeszcze bardziej.

Przez cały wieczór dręczyła go nieznana mu dotąd zazdrość, gdy przyglądał się, jak Lydia tańczy to z tym, to z owym. Ze wszystkich

stron ściagały ją spojrzenia pełne podziwu - nie tylko z racji niezwyklej toalety, ale przede wszystkim dla jej piękności. Wszędzie towarzyszyły jej pochwalne szepty, wpatrywały się w nią zachwycone oczy. Przerywano rozmowy, by tylko popatrzeć na nią. Nawet kieliszki zastygały w pół drogi do ust.

Wszystko nagle jaśniało, gdziekolwiek się pojawiła, i tętniło radosnym podnieceniem. W każdym razie Ned nie mógł się pozbyć takiego wrażenia. Nawet wówczas, gdy złota maska zasłaniała jej twarz i oczy, Lydia była pełna blasku i świetlista jak promień słońca, który przybrał ludzkie kształty.

Co sprawiało, że aż tak się skrzyła i płonęła? Czyżby była bliska zakochania? A może już oddała komuś serce? Komu? Temu Ivanhoe, z którym tańczyła walca? A może tamtemu kardynałowi? Ned nie poznawał samego siebie. Czy to naprawdę on był owym zazdrośnikiem śledzącym każdy jej krok?

Śledził ją wzrokiem, gdy zeszła z parkietu. Kiedy zaś wymknęła się do ogrodu i poszła jakąś ciemną ścieżką, wówczas już nie zazdrość, lecz szczerą troską kazała mu iść za nią. Chciał tylko ostrzec ukochaną, by zważała na reputację, ale gdy zaczęła udawać, że go nie poznaje, dał się wciągnąć w grę.

Jej reguły zmieniały się z minuty na minutę, słowa nabierały innego znaczenia... i zanim Ned się zorientował, już całował Lydię, a potem? Szaleństwo, pulsujące namiętnością szaleństwo spadło na niego jak piorun z jasnego nieba i stanął w ogniu!

Przymknął oczy, tak żywe było to wspomnienie. Nigdy jeszcze nie przeszedł równie ciężkiej próby. Nic nie było dla niego aż tak trudne jak chwila, gdy się od niej oderwał. Bogu dzięki, że jej jęk przywołał go do przytomności, gdyż wziąłby ją bez zastanowienia, jak pierwszą lepszą.

A Lydia? Naprawdę sądziła, że jej nie rozpoznał! Ned położył rękę na zbolałym sercu. Jak mogła tak przypuszczać? Ten cios całkiem go ogłuszył. Uwierzyła, że mógłby pożądać innej kobiety?!

Nie może pozwolić, by nadal pozostawała w błędzie!

25

Lydia odnalazła Eleanor w jednym z pokoi sąsiadujących z salą balową. Księżna grała z Emily w wista. Lydia zaczekała do chwili, gdy karty zostały zebrane do przetasowania a Emily oddaliła się, by zdobyć szklaneczkę ponczu. Dopiero wówczas złota dama podeszła, jakby od niechcienia i stanęła za księżną. Pochyliła się nad siedzącą i powiedziała najcichszym szeptem:

- Wolałabym, żeby nikt się nie dowiedział, kim jestem. Nie pytaj czemu.

Eleanor pojęła od razu, jak się powinna zachować. Znała doskonale wszelkie sztuczki i podstępny, jakimi się od dawna posługiwano w wielkim świecie. Nawet nie spojrzała na Lydię, zachowała wobec niej wyniosłą obojętność.

Wszyscy wiedzieli, że Eleanor i Lydia są serdecznymi przyjaciółkami. Gdyby księżna poświęciła złotej damie choć trochę

uwagi, pewnie by się domyślono, że tajemnicza „Aurelia” to lady Lydia Eastlake. Gdyby zaś odjechały razem, podejrzania zmieniłyby się w pewność.

- Wynajmę powóz - dorzuciła Lydia szeptem.

- A co z Emily? - mruknęła Eleanor pod nosem, odwracając się do Lydii z pytającym wyrazem twarzy, jakby właśnie zauważyła, że ktoś się do niej odezwał. Każdy, kto by je teraz zobaczył, z pewnością pomyślałby, że obie damy widzą się po raz pierwszy w życiu.

- Powiedz jej, proszę, że spotkam się z nią na ulicy za pięć minut - szepnęła Lydia.

Eleanor kiwnęła głową, wstając od stolika. Odwróciła się i powiedziała głośno, karcącym tonem:

- Nie rozmawiam z nieznajomymi.

I nie zaszczyciwszy już rozmówczyni ani jednym spojrzeniem, z godnością opuściła pokój. Lydia poszła w przeciwnym kierunku.

Obok wejścia do sali balowej Eleanor przystanąła i poszukała wzrokiem Emily. W pierwszej chwili nie zobaczyła jej, spostrzegła za to niespokojnego kapitana, który pojawił się od strony dziedzińca i skierował do pokoju bilardowego. Księżna zmrużyła oczy. Nie uszły jej uwagi liście, które uwieźły w złotej siatce przy obrąbku sukni jej chrześniaczki.

A to się Eleanor nie spodobało. Kapitan nie miał dość pieniędzy, by zapewnić Lydii dostatnie życie, do jakiego przywykła. Nie miał prawa obracać się w tych samych kręgach co ona i Lydia. Mało kto zresztą był tego godny.

Ta dziewczyna chyba nie oszalała, żeby...

Usta Eleanor zacisnęły się w twardą linię. Ani to, czy Lydii ubrdało się, że jest zakochana, ani to, czy zapomniała o przyzwoitości, nie miało najmniejszego znaczenia, póki nikt się o tym nie dowie.

I nie dowie się!

Tłum, otaczający Spencer House, zaczął się przersedzać około drugiej nad ranem. Ci, którzy musieli zarabiać na życie, wrócili do domów i łóżek. Ich miejsce zajęli jednak inni: tłum karciarzy i młodych gogusiów z towarzyszącymi im chichoczącymi damulkami, znużone już nieco prostytutki oraz sporo elegantów w średnim wieku i jeszcze starszych. Cała ta ciżba zatrzymała się tu na chwilę w nieustannej pogoni za coraz to nową rozrywką.

Jakiś mocno zbudowany mężczyzna pod pięćdziesiątkę, opierający się o bramę rezydencji, usiłował przekonać młodziutką i śliczną prostytutkę, że ma wystarczająco dużo grosza, by zapłacić jej za kilka godzin wspólnej zabawy. Dziewczyna spoglądała nań nieufnie. Miał co prawda wielkopańskie maniery i mówił jak dżentelmen, ale bez wątplenia sam się golił, gdyż zaciał się kilka razy. A jego surdut, choć z dobrego materiału, był już nieraz nicowany. Poza tym jegomość miał typowy pijacki nos, pokryty drobnymi żyłkami i fałszywy uśmiech.

Ale zawsze...

- Najpierw pokaż pan te forszę, panie ładny! - nalegała ulicznica.

Oczy mężczyzny się zwęziły.

- Śmiesz wątpić, że mówię prawdę? - warknął.

Jego oczy, w których nie było już śladu uśmiechu, zmieniły się w paskudne szparki, tak pełne złości, że dziewczyna chciała uciec, gdy drzwi Spencer House otworzyły się nagle. Z wnętrza domu buchnęło światło, a dźwięki muzyki rozsypały się po trawniku, niczym szczerozłote monety. Na progu stanęły dwie kobiety - jedna przebrana za Matkę Gąskę i druga, wyglądająca jak złoty posąg, w sukni, która cała się świeciła, jakby ją obsiadły świętojańskie robaczki! Na twarzy miała maskę, też złotą.

Oczarowana prostytutka była jeszcze bardzo młoda, toteż zachwycała się jak dziecko, zapominając o podstarzałym amancie.

- Do diabła! - westchnęła z całego serca.

Mężczyzna odwrócił się, chcąc zobaczyć, co zrobiło na niej takie wrażenie, i ujrzał, jak obie kobiety wsiadają do powozu.

- Wiesz, ślicznotko, kto to taki? - zagadnął dziewczynę stojący w pobliżu przystojny, złotowłosy młokos.

Wskazał na powóz trzymaną w ręku butelką. Ulicznica spojrzała na niego... i nie mogła oderwać oczu. Był jak z obrazka!

- Skąd mam wiedzieć? - odparła zaczepnym tonem. - A pan wi, co to za jedne, milordzie?

Chłopak uśmiechnął się rozanielony. Nie miał pojęcia, że dziewczuszka zwraca się tak do każdego obiecującego klienta.

- To lady Lydia Eastlake - odparł, starając się jak najwyraźniej wymawiać każde słowo. - Nie tylko najwspanialsza kobieta w Londynie, ale i najbogatsza!

- Ale skąd pan wi, że to ona? - spytała dziewczyna, odsuwając się od podstarzałego klienta i podchodząc do znacznie przystojniejszego młodzieńca.

- Bo widziałem, jak wychodziła dziś wieczorem z domu lady Grenville na Cavendish Square. Akurat tamtędy było mi po drodze... - Urwał, rozejrzał się dokoła i przyłożył znacząco palec do nosa. Pochylił się do ucha dziewczyny i dokończył: - Do szulerni!

- No to opowiadaj pan! - zaciekawiła się dziewczyna. - Mogie łyknąć? - wskazała na butelkę.

Młody człowiek zmierzył wzrokiem najpierw flaszkę, a potem dziewczynę. Wręczył jej butelkę, a ona pociągnęła łyk.

- Czemu jeździ tym gruchotem, a nie karytą, jak z niej taka bogaczka? - spytała.

Młody piękniś był wyraźnie zbity z tropu.

- Nie mam pojęcia - przyznał w końcu, odbierając butelkę.

W tej chwili powóz, wiozący złotą damę i jej towarzyszkę, podjechał do bramy. Tłum gapiów stał tak blisko, że młodzieńca ulicznica mogła zajrzeć do wnętrza. Kobieta w masce, która według młodego eleganta miała być słynną lady Lydią, odwrócona plecami do ciekawskich, rozmawiała z Matką Gąską, ta zaś zdejmowała czepek. Wynurzyła się spod niego szopa kędzierzawych, rudych, siwiejących już włosów.

- A tamta druga? Ta stara? - dopytywała się dziewczyna.

- To krewniaczka lady Lydii. - Młodzian podkreślił te słowa energicznym skinieniem głowy. - Jej nieodstępna towarzyszka. Lady Lydia jest do niej bardzo przywiązana!

- A jak się nazywa? - spytał nieoczekiwanie zapomniany już niedoszły klient młodej prostytutki.

Chłopak wzruszył ramionami.

- Nie wiem - przyznał. Zaraz jednak poweselał, bo coś mu się przypomniało: - Podobno lady Lydia wyciągnęła ją z domu wariatów!

Starszy mężczyzna nie odezwał się więcej; po prostu odwrócił się i odszedł. Dziewczynie ulżyło, że nie będzie musiała słuchać jego przekleństw, gdyby mu odmówiła, albo - co gorsza - iść z nim do łóżka, gdyby rzeczywiście miał pieniądze. Rzuciła zalotne spojrzenie na nowego przystojnego adoratora.

- A jak panu na imię, milordzie? - spytała, bezceremonialnie odbierając mu butelkę, żeby znów z niej zdrowo pociągnąć.

Młokos popatrzył na dziewczynę z zachwytem.

- Harry! - przedstawił się.

26

Zgodnie z zasadami, którym zawsze był wierny, mocną ręką kierując życiem całej rodziny, dziadek Childe'a Smytha poprzysiągł sobie, że nie umrze, dopóki nie ujrzy swojego syna obdarzonego tytułem szlacheckim, nie wyda córki za markiza i nie pochowa własnej żony. Chodziło o jego trzecią żonę - dwie poprzednie wymknęły się już raz na zawsze spod jego kontroli.

Stary Smyth osiągnął to wszystko, a nawet jeszcze więcej, bo choć mu powtarzano raz po raz, że nie dożyje klęski Napoleona, nawet ten tyran dostosował się do jego życzeń, wszyscy byli posłuszni jego rozkazom - z wyjątkiem jednego, jedyne go Childe'a!

W bardziej beztroskich chwilach Childe zastanawiał się niekiedy, czy uparcie odżegnując się od małżeństwa, przedłużył istotnie staruszkowi życie ponad miarę, wyznaczoną mu przez naturę? wydawało się, doprawdy, że stary diabeł od dawna syci się jadem goryczy i świętym oburzeniem! Ale w końcu Martina Smytha nie obchodziło, jakie plany miała względem niego natura. Nigdy nie zważał na pragnienia i zamiary innych.

Teraz jednak - wreszcie! - wyglądało na to, że nawet Martin Smyth nie zdoła się wiecznie wymykać kostusze. Starzec był naprawdę jedną nogą w grobie. Nie uczyniło go to bardziej tolerancyjnym ani miłszym, nie skłoniło też do zastanowienia się nad swoją nieustającą manią dyrygowania wszystkimi. Skądże znowu! Z wiekiem jego najgorsze cechy raczej się potęgowały.

List, który ubiegłej nocy dostarczono Childe'owi do Spencer House podczas balu maskowego, był krótki i rzeczowy: jego dziadek znajduje się na łożu śmierci i domaga się obecności swego jedyne go wnuka. Childe opuścił natychmiast rezydencję Spencerów i udał się do domu dziadka. Zastał starszego pana w łóżku, podpartego stertą poduszek; szlafmyca opadała mu na uszy, wpadnięte oczy były zasnu te mgłą.

- Czy ten podły młodzik już tu jest? - spytał stary Smyth najbliższej osoby z imponującego zastępu medyków i lokajów, którzy trwali przy nim w milczeniu, bacznym na każde skinienie.

- Jestem, dziadku - odparł Childe, zmuszając się do tego, by podejść do łóżka.

- Ożeniłeś się już?

Słowa starca brzmiały jak stłumione krakanie.

- Nie, dziadku.

Martin Smyth groźnie machnął kościstą ręką.

- Nie sprzeciwiaj mi się, ty nadęty pęcherzu! Zbyt kochasz lekkie życie, lalusi, by znieść biedę!

Niestety, dziadek miał całkowitą słuszność. I właśnie dlatego Childe Smyth stał teraz, o pierwszej po południu, przed drzwiami londyńskiej rezydencji lady Lydii Eastlake i, kipiąc wewnątrz, przygotowywał sobie efektowną mowę, mającą przekonać tę damę, żeby została jego żoną.

Kitty będzie wściekła! Albo, co gorsza, zrozpaczona.

O Boże, daj, żeby się rozzłościła! Myśl o Kitty, wypłakującej sobie oczy, była dla niego nie do zniesienia. Miała przecież tyle rozsądku, ta jego mała kobietka: powinna go zrozumieć! Przecież nie chciał ślubu z lady Lydią. Ani trochę! No dobrze, lubił ją. Odznaczała się żywym dowcipem i bystrością. Miała też sporo uroku.

Ale nie była Kitty, jego kociątkiem! Nie mogłaby przelotnym uśmiechem przyprawić jego serca o gwałtowne bicie ani odpędzić od niego wszelkich trosk, dzieląc z nim skromny posiłek przy kominku.

Nie umiałyby sprawić, by zapomniał, kim jest i gdzie się znajduje, kładąc główkę na jego kolanach i dopraszając się, by karmił ją winogronami. Nie zdołałyby pobudzić go do śmiechu, mówiąc z przesadnie cudzoziemskim akcentem. Albo do jęków rozkoszy, gdy wprawnie masowała jego stopy.

A jednak to wszystko było bez znaczenia w porównaniu z pozycją, jaką Childe miał osiągnąć, zostając jednym z pięciu najbogatszych ludzi w Londynie.

Tak, Kitty po prostu musi się z tym pogodzić. Chodziło przecież o splendor imienia i pozycję Smythów, a żeby osiągnąć swój cel, Childe musiał spełnić żądania starego. Sądząc zaś z paskudnego kaszlu, którym zanosił się zgrzybiały podlec, gdy wnuk wychodził od niego, należało się spieszyć.

Childe zastukał energicznie do drzwi. Otworzyła mu pokojówka i grzecznie dygnęła. Zaprowadziła gościa do małego salonu, zadziwiająco skromnie umeblowanego i odebrała od Childe'a kapelusz i laskę.

- Jeśli zechce pan łaskawie zaczekać, dowiem się, czy lady Lydia jest w domu - powiedziała i wyszła.

Childe z zainteresowaniem rozejrzał się po pokoju. Jak na salon damy słynącej z oryginalności i bogactwa, zbyt mało tu było ozdób. Na ścianach wisiało kilka nie najlepszych malowideł - przeważnie portrety jakichś pradziadków. Na niewyróżniającym się niczym kominku tykał zegar. Także nic szczególnego. Nawet leżący na

podłódze dywan wydawał się dziwnie mały, niczym młodszy braciszek, który z konieczności zastępował starszego.

Pokojówka pojawiła się znowu i, dygnawszy, powiadomiła Smytha, że lady Lydia zaraz zejdzie. Spytała też gościa, czy nie chciałby się czymś pokrzepić. Childe podziękował za poczęstunek i pokojówka znikła, tym razem na dobre.

Nie musiał długo czekać na przybycie lady Lydii. Nie wyglądała najlepiej. Jej słynne fiołkowe oczy były podkrążone, a skóra tak blada (pewnie z bezsenności), że aż przezroczysta. Nawet twarz jej zeszcupiała, uwydatniając wysokie kości policzkowe. Zdobyła się jednak na nikły uśmiech.

Childe się skłonił.

- Lady Lydio, ogromnie żałuję, że nie miałem okazji zatańczyć z panią na wczorajszym balu. Musiałem wyjść w pilnych sprawach rodzinnych.

- Mam nadzieję, że nie było to nic przykrego? - spytała.

Leniwie machnął ręką, jakby chciał rozpędzić jej obawy. Lydia usiadła i złożyła ręce na podolku.

- Nic niespodziewanego, po prostu głos obowiązku oderwał mnie od przyjemności - powiedział lekko.

Nie odpowiedział na pytanie malujące się na jej twarzy. Jeśli mają się pobrać, powinna się nauczyć, że życie każdego z nich potoczy się innym torem. Żona nie będzie miała wglądu w jego sprawy i nie będzie mu zadawać kłopotliwych pytań. On zaś - z czystej grzeczności

- zamierzał odwzajemnić się jej tym samym, nie wtrącając się do jej życia.

- Doszły mnie słuchy, że maskaradę u Spencerów zaszczyliła swoją obecnością niejaka księżniczka Aurelia, równie tajemnicza jak olśniewająca - powiedział w końcu Childe. - Dama ta podobno z wdziękiem i wprawą posługiwała się wachlarzem ze złotej koronki.

Sądził, że ten komplement sprawi jej przyjemność i nawiąże się pomiędzy nimi zwykły flirt salonowy, ale w odpowiedzi lady Lydia uśmiechnęła się tylko z roztargnieniem.

- Tak - odpowiedziała. - Szkoda, że pana tam nie było. Spodobałby się panu mój kostium.

Była to odpowiedź zbyt bezpośrednia, bez żdźbła kokieterii. Lydia odwróciła wzrok i przytknęła palce do skroni. Nie szło tak gładko, jak się spodziewał! Zazwyczaj uroczo beztroska rozmówczyni gdzieś znikła, a pozostała zgaszona, pochłonięta własnymi myślami kobieta, którą chyba nużyła ta rozmowa.

Jakby jej brak zainteresowania udzielił się i jemu, Childe odkrył, że stracił całkiem ochotę do flirtów. Może to lepiej? Poważny interes - nawet między przyjaciółmi - należy omówić w rzeczowy sposób. Oczywiście dodając kilka komplementów na okrasę.

- Ogromnie panią podziwiam, lady Lydio. - Była to szczerza prawda. - I pochlebiam sobie, że w ciągu ostatnich kilku tygodni staliśmy się prawdziwymi przyjaciółmi.

To także powiedział szczerze.

Lydia nie wydawała się ani zaciekawiona, ani zaniepokojona. Raczej zrezygnowana.

- Istotnie, panie Smyth. Jesteśmy przyjaciółmi.

- Lady Lydio, byłbym najszcześniejszym...

- Nie mam ani grosza! - przerwała mu bez ceremonii.

Wpatrywał się w nią ze zdumieniem. I nagle uświadomił sobie, że ma otwarte usta. Zamknął je czym prędzej.

- Nim powie pan coś więcej, sądzę, że powinien pan wysłuchać tego, co ja mam do powiedzenia. Cała moja fortuna przepadła bezpowrotnie. - Lydia powiedziała to bez widocznego bólu czy niepokoju, ale z ogromnym znużeniem. - Flotyła Eastlake'ów wpadła w ręce piratów, obligacje straciły całą wartość, większość należących do mnie cennych przedmiotów została sprzedana, by umożliwić mi wzięcie udziału w obecnym sezonie. Moim ostatnim złotym sezonie - zakończyła, unosząc brwi z lekką ironią.

Brwi Childe'a natomiast zbiegły się nad jego nosem, gdy słuchał jej z całą uwagą. Nagłe zainteresowanie Lydii ewentualnym zamążpójściem - po całych latach odrzucania oświadczeń najbardziej wziętych kawalerów z wielkiego świata - stało się teraz dla Childe'a zrozumiałe. Rozważył sprawę i doszedł do wniosku, że to, czego się dowiedział, w niczym nie zmienia sytuacji.

- Nie zależy mi na pani fortunie, lady Lydio - wycodził w charakterystyczny dla niego sposób. - Kiedy się pobierzemy, będę w stanie zakupić dziesięć razy więcej statków.

- O...?

Zaczął krążyć po pokoju, tam i z powrotem, ze spuszczoną głową, starannie dobierając słowa.

- Była pani ze mną całkowicie szczerą, by ułatwić mi wycofanie się z propozycji. Czuję się za to ogromnie zobowiązany. Doceniam pani szczerą i odwzajemnię się tym samym.

Zamilkł, ale nadal wpatrywał się w nią.

- Jeśli się ożenię, zanim mój dziadek umrze, odziedziczę po nim olbrzymią fortunę. Jeśli tego nie uczynię, cały jego majątek zostanie rozdzielony między kilka uniwersytetów, między innymi w Edynburgu. - Childe uśmiechnął się nieco ironicznie. - Szkoda by było stracić taką fortunę, prawda?

Odkasznął i przyjął odpowiednią pozę.

- Lady Lydio, doszedłem do wniosku, że znakomicie do siebie pasujemy. Pochodzi pani z arystokracji, cieszy się zasłużonym rozgłosem, jest pani obdarzona dowcipem, doskonałymi manierami i znajomością świata.

Po raz pierwszy błysk rozbawienia pojawił się w jej mrocznych oczach.

- Nie wspomniał pan o mojej niezwyklej urodzie!

Do licha, całkiem mu to wleciało z głowy. Ale dla niego tylko jedna kobieta była naprawdę piękna.

- O, to się rozumie samo przez się, jest pani wyjątkowo piękna.

- Dziękuję za komplement.

Prawdę mówiąc, był nieco zbity z tropu jej brakiem entuzjazmu, lecz wytrwale dążył do celu, choć czuł, że brak mu lekkości, którą zwykł się szczyć.

- Ja również posiadam podobne zalety, z tym wyjątkiem, że nie wywodzę się z arystokracji, choć niewątpliwie z dobrej rodziny.

- Istotnie.

Skinęła głową potwierdzająco.

- Dlatego też, lady Lydio... - Odkaszlnął ponownie. - Wydaje mi się rzeczą nad wyraz rozsądną, by para tak dobrana jak my połączyła się świętym węzłem małżeńskim.

- Rzeczywiście, wydaje się to rozsądne - mruknęła. - Nawet bardzo.

Przytaknął i nagle poczuł, że ogarnia go przygnębienie.

- Jest tak w samej rzeczy, a ponieważ oboje zdajemy sobie z tego sprawę... - Wziął głęboki oddech. - Czy wyświadczy mi pani ten zaszczyt, lady Lydio, i zgodzi się zostać moją żoną?

Nie odpowiedziała na jego pytanie, tylko pochyliła się ku niemu i spytała:

- Naprawdę nie przeszkadza panu, że nie mam ani grosza? Nie ogarniają pana wątpliwości? Ja wcale nie przesadzam, panie Smyth, nie mam nawet szeląga!

Zatoczyła ręką krąg, jakby go zachęcała, by przyjrzał się dokładnie wnętrzu.

Childe rozejrzał się raz jeszcze po salonie i znów dostrzegł, jak było w nim pusto. No tak... zupełnie zrozumiałe. Lady Lydia sprzedała swoją słynną kolekcję *objets d'art*.

- Nie ma to dla mnie żadnego znaczenia. Może pani zatrzymać ten dom i urządzić go na nowo. Bez oglądania się na koszty.

- Nie mam innych nieruchomości.

- Nie zależy mi na nich. Potrzebuję żony.

- I ani grosza w banku!

- Będę miał dość pieniędzy, by zakupić połowę Londynu.

- Sprzedałam nawet powozik na złotych kołach. Prawdziwa szkoda!

Childe westchnął.

- Trzeba będzie kupić inny.

Opadła na oparcie fotela, jakby z niej powietrze uszło.

- Zgadza się pani? Zostanie pani moją żoną?

Rozejrzała się po pokoju, jakby szukała natchnienia, a w nim nadzieja rosła i nikła zarazem.

- Panie Smyth - powiedziała wreszcie. - Doceniam zaszczyt, jaki mi pan wyświadcza, ale wyrzuciłabym panu wątpliwą przysługę, przyznając się do uczuć, których nie żywię.

Childe wzruszył od niechcienia ramieniem.

- Podobnie jak ja. Nie oczekuję od pani miłości, lady Lydio, jedynie pani ręki i - mam nadzieję - przyjaźni, która powinna nam pomóc w pokonywaniu wszelkich wzlotów i upadków małżeńskiego życia.

Milczała przez chwilę z pochyloną głową i splecionymi dłońmi. Dwa razy miał wrażenie, że Lydia chce coś powiedzieć, ale w obu wypadkach wydała z siebie tylko drżące westchnienie. Nie nalegał. Przedstawił swoją propozycję. Na nic więcej nie było go stać.

W końcu podniosła głowę.

- Wiem, że czas ma dla pana ogromne znaczenie, panie Smyth, ale muszę to przemyśleć. Czy mogę dać panu odpowiedź jutro?

Cały dzień zwłoki! Dziadek może nie dożyć jutra. Z drugiej jednak strony, Childe miał zawsze przy sobie specjalną licencję. A zresztą, czy jest jakieś inne wyjście? Nie było w Londynie wielu kobiet, które by spełniały jego wymagania. A poza tym zalecał się tylko do lady Lydii. Żadna inna dama nie przyjęłaby jego oświadczyn w takich okolicznościach!

- Jeśli nie mogę namówić pani do szybszej decyzji.

- Chyba pan nie zdoła.

- W takim razie zgadzam się, oczywiście. - Skłonił się. - Pozwolę sobie pożegnać panią w nadziei, że odpowiedź pani uszczęśliwi nas oboje.

Dopiero gdy odebrawszy od pokojówki kapelusz i laskę wyszedł frontowymi drzwiami, ośmielił się przyznać w duchu, że nie wie, która odpowiedź Lydii mogłaby tego dokonać.

Lydia długo siedziała, rozglądając się po salonie, ogołoconym niemal ze wszystkich ozdób, podobnie jak pozostałe pokoje w jej

londyńskiej rezydencji. Porcelana z Limoges, kryształowe wazony, lustra w złożonych ramach, meble służące jedynie do dekoracji wnętrza, srebrne kandelabry, złota zastawa, posągi z brązu i marmuru oraz cenne obrazy, zdobne emalią tabakierki, mosiężne wilki przed kominkiem, perskie dywany - wszystko to zostało dyskretnie sprzedane przy pomocy pośredników wynajętych przez Terwilligera.

Kiedy jednak usunięto wszelkie błyskotki, większą uwagę przyciągał sam dom: wielkie okna, rozmieszczone w regularnych odstępach na kremowych ścianach, wysokie kasetonowe sufity z gipsowymi medalionami, posadzki, stanowiące wdzięczne połączenie różnych gatunków drewna. Nic już nie rozpraszało patrzącego, mógł należycie docenić walory tej pięknej budowli.

Childe Smyth dostrzegł jedynie to, czego zabrakło, a nie to, co pozostało.

Lydia sama nie wiedziała, czemu poprosiła go o dzień do namysłu. Przecież go przyjmie. Nie może mu inaczej odpowiedzieć! On sam - i słusznie - nazwał ich małżeństwo rozsądnym rozwiązaniem. Nie kochał jej, nawet nie udawał, że kocha, ale też nie oczekiwał od niej miłości. Zaproponował jej małżeństwo z rozsądku, obie strony zyskają na tym układzie.

Tak jak powiedział, byli przyjaciółmi. Co prawda nie przyjaciółmi od serca, takimi, którym się powierza najgłębsze tajemnice i skryte marzenia, wyznaje słabości i obawy, z którymi rozmawia się na wszelkie tematy, nie tylko o modzie i towarzyskich skandalach. Childe nie będzie takim przyjacielem jak tamten, którego uśmiech

przyprawiał ją o bicie serca. Tamten zawsze potrafił pobudzić ją do śmiechu! Childe nie będzie taki jak ten, którego szare oczy zagłębiały w głąb duszy, pieszczoty sprawiały, że słabła, głos potracał najgłębsze serca, a dotyk ust budził niegasnące pragnienie.

Nie, jej mąż nie będzie takim przyjacielem.

Lydia zakryła twarz rękoma, które wnet zwilgotniały od łez. Zatrzęsła się od bezgłośnego płaczu. O Boże, co począć?

Lekkie stukanie do drzwi sprawiło, że Lydia uniosła głowę i pospiesznie otarła załzawione policzki rąbkiem sukni.

- Proszę wejść!

Gościa wpuściła pokojówka, gdyż jedyny lokaj był zajęty czymś innym. Księżna Grenville nie czekała, aż ją zaanonsują, lecz weszła od razu do saloniku. Powierzywszy swój czepek i okrycie pokojówce, odprawiła ją słowami:

- To wszystko, możesz odejść.

Lydia potwierdziła to skinieniem głowy, a służąca dygnęła i wyszła, zamykając drzwi za sobą.

- Wyglądasz bardzo smętnie - stwierdziła Eleanor bez ogródek. - Co się stało? Powinnaś w końcu upajać się triumfem, odniesionym ostatniej nocy. Doprawdy, moja droga, nie zdawałam sobie sprawy z tego, co knujesz, gdy uparłaś się wyjść po kryjomu, ale rankiem okazało się, że obrałaś właściwą strategię - i szczerze ci gratuluję. Cóż za sprytne posunięcie!

Usiadła obok przyjaciółki i poklepała ją po rękę.

- Co masz na myśli? - spytała Lydia.

- W całym eleganckim świecie aż huczy: wszyscy usiłują odgadnąć, kim była tajemnicza Aurelia.

- Ktoś wkrótce dojdzie po nitce do kłębka - odparła Lydia bez większego zainteresowania. - Ostatecznie wszyscy widzieli, że przyjechaliśmy razem.

- Nie powiedziałabym - zaprotestowała Eleanor. - Ani ja, ani Emily nie pokazałyśmy się w oknie powozu. Tylko ty. A gdy podjechałyśmy pod dom Spencerów, miałaś na sobie czarne domino i pozostałaś w tyle, gdy my z Emily weszłyśmy do wnętrza. Kiedy zaś zaanonsowano cię jako Aurelię, nie było przy tobie żadnej z nas. Potem odjechałaś, nie zdradzając, kim jesteś. Genialne! Mówi się wyłącznie o złotej damie!

Księżna wstała i zaczęła żywo przechadzać się po pokoju. Na jej twarzy malowało się radosne oczekiwanie.

- Kiedy tylko wyjdzie na jaw, że to byłaś ty, Childe Smyth z pewnością zdecyduje się na oświadczyń! - Prychnęła ironicznie, choć bardzo nobliwie. - Zrozumie, że znalazł w końcu kobietę godną tego, by razem z nim zajmować główne miejsce na scenie!

- Na jakiej znów scenie? - spytała Lydia.

W jej głosie mimo woli zabrzmiała nutka goryczy. Czyżby całe jej życie sprowadzało się do odgrywania komedii?

Eleanor uniosła brwi.

- Ależ cały świat to scena, Lydio! Jakaś ty dzisiaj dziwna. Dobrze się czujesz? Jeśli nie, to pozwól, na litość boską, żeby mój doktor przyrządził ci jakąś miksturę! Nie możesz wyglądać tak jak teraz -

wypisz wymaluj potępiona dusza - kiedy Childe zjawi się z wizytą! A zjawi się niezawodnie. - Oczy jej zabłyły. - Jego dziadek umrze lada chwila!

- Cóż za radosna wiadomość! - odparła ostro Lydia.

Eleanor cofnęła się raptownie. Była zdumiona, że chrześnica pozwoliła sobie na taki ton. Lydia pojęła własną zuchwałość, lecz nie przeprosiła księżnej. Dzięki Nedowi zrozumiała, na czym polega różnica między dobrymi manierami a zwykłą przyzwoitością. Eleanor nie kępowała się okazać swojej radości z powodu bliskiej śmierci starego człowieka i płynących z niej korzyści.

- Przecież nawet nie lubisz Childe'a Smytha, Eleanor - powiedziała. - Czemu więc namawiasz mnie, bym przyjęła jego oświadczenia?

Eleanor skrzywiła się i odparła ze zniecierpliwieniem:

- Nie lubiłam mojego męża, ale przyjąłam jego oświadczenia. Przecież nie o to chodzi!

- A o co?

Eleanor westchnęła, siadła na wprost Lydii i zabrała się do zdejmowania rękawiczek. Był to wyraźny znak, że spodziewa się długiej, żartej dyskusji i że nie da się w niej pokonać. Ściągnąwszy rękawiczki, położyła je na kolanach i przeszła Lydię ostrym spojrzeniem.

- Chodzi o to, że możesz pozbyć się swych kłopotów w jeden tylko sposób: wychodząc za Childe'a Smytha. Nie masz innego

wyjścia. Jeśli się na niego nie zdecydujesz, stracisz to wszystko, co jest dla ciebie najcenniejsze.

Już to straciłam! - pomyślała Lydia i przed oczyma przemknęła jej twarz Neda.

- A cóż to takiego według ciebie? - spytała głośno.

- Bogactwo, niezależność, wysoka pozycja i uznanie w wielkim świecie.

Gdy Lydia odpowiedziała na tę uwagę jedynie pustym spojrzeniem, Eleanor zmieniła taktykę.

- Zdumiewasz mnie, Lydio! Czemu zachowujesz się tak, jakbyś nie zdecydowała się od początku na podobny krok? Zmuszasz mnie do tego, bym potraktowała cię ostro! - Popatrzyła Lydii prosto w twarz. - Od dzieciństwa przywykłaś do pewnego stylu życia, o którym większość ludzi nie może nawet marzyć. Nigdy nie poznałaś innego - stwierdziła. - Nie jest to tylko kwestia posiadania dostatecznej ilości pieniędzy na zaspokajanie kaprysów. Na to może sobie pozwolić wielu ludzi. Chodzi o pozycję w towarzystwie, jaką zapewniła ci twoja fortuna, a to jest coś, czego niczym nie da się zastąpić.

Bogactwu zawdzięczałaś także niezależność i to, że wielki świat zgodził się tę niezależność tolerować. Tylko dlatego, że byłaś niewiarygodnie bogatą lady Eastlake, wszystkie drzwi stały przed tobą otworem, choć nie zadbałaś o szacowną przyzwoitkę, która swoją nienaganną reputacją ręczyłaby niejako za ciebie. Zostałaś przyjęta do najlepszego towarzystwa, mogłaś otaczać się najwspanialszymi dziełami sztuki, podróżować jak królowa i korzystać z niezliczonych

przywilejów, które nigdy nie stałyby się twoim udziałem, gdybyś była po prostu jedną z dobrze urodzonych dam.

Liczy się nie tylko to, na jakie wino cię stać, ale i o to, w jakim towarzystwie je pijasz. Nie chodzi o to, czy możesz sobie pozwolić na podróż, lecz o to, z kim się podczas tych podróży stykasz. Mniej istotne jest to, że stać cię na zakup dzieła Rubensa, niż sam fakt, że masz dostęp do podobnych skarbów! Tylko nieliczni mogą się poszczycić znajomością świata, który ty znasz od urodzenia, Lydio. A jeszcze mniej jest takich, którzy zdają sobie sprawę z tego, jak życie w najwyższych kręgach kształtuje człowieka.

- A mianowicie? - spytała Lydia.

- Kształtuje ono nasz charakter pod każdym względem. Decyduje o naszych postępach i o wyborach, jakich dokonujemy. O tym, z kim się przyjaźnimy, co robimy, jak się ubieramy, co mówimy i myślimy. Ono czyni nas tymi, kim jesteśmy. I daje nam świadomość, kim bylibyśmy bez tej podpory. - Księżna usiadła wygodniej, absolutnie pewna swoich racji. - W tym właśnie rzecz i dlatego musisz przyjąć Childe'a, kiedy tylko ci się oświadczy!

- Już mi się oświadczył - powiedziała Lydia, zniżając głos. - Wyszedł kilka minut przed twoim przyjściem.

Oczy Eleanor pojaśniały z radości.

- Znakomicie! O co się w takim razie spieramy? Wielka szkoda, oczywiście, że wszelkie formalności przyjdzie nam załatwiać w takim pośpiechu, ale potrafimy przecież znieść drobne przeciwności z dobrą

miną! Wydam tak wspaniałe przyjęcie na waszą cześć, że nikt nie będzie pamiętał, jak krótkie były zaloty.

- Jeszcze go nie przyjąłem.

- Co takiego? - Brwi Eleanor uniosły się jak dwa znaki zapytania.

- Rozumiem, Lydio, że nie chcesz wydać się zbyt chętna, aby cię tym bardziej cenił, ale wiem z wiarygodnych źródeł, że jego dziadek jest już jedną nogą w grobie. To nie pora na udawanie skromnisi!

Gdybyż tylko o to chodziło! Nie potrafiła jednak okłamać Eleanor.

- I nie jestem wcale pewna, czy go przyjmę.

- A to dlaczego? - zdumiała się księżna.

- Pan Smyth nie kocha mnie.

- Tym lepiej! - odparła Eleanor z wyraźnym zniecierpliwieniem. - Nie będzie się wtrącał w twoje sprawy. O ile zachowasz dyskrecję, oczywiście!

- Nie biorąc przykładu z Sarah?

Lydia nie mogła powstrzymać się od tej uwagi.

- Właśnie! Nie biorąc przykładu z Sarah!

Nic z tego, co Eleanor powiedziała dotąd, nie wydawało się Lydii nieprawdą. Bogactwo i przywileje były istotnie jej chlebem powszednim. A wielki świat jedynym światem, jaki знаła. I rzeczywiście to on ją ukształtował.

Przez sekundę głęboko osadzone oczy Eleanor były twarde i zimne, Lydia nigdy chyba nie widziała u niej podobnego spojrzenia.

Zaraz jednak zmieniły wyraz, a księżna pochyliła się ku Lydii i wzięła ją za obie ręce.

- Musisz za niego wyjść! Rozumiem twoje wahanie. Do tej pory nie zwykłaś liczyć się z nikim i to cię zepsuło. Tak, moja droga, jesteś ogromnie rozpieszczona! Nie ma jednak powodu do obaw. Twoje życie nie zmieni się, gdy zostaniesz żoną Smytha. Być może będziesz musiała dać mu syna i spadkobiercę, ale nawet to nie jest pewne. Mnie to ominęło, jak wiesz. Wyjdiesz więc za mąż i będziesz się zachowywać tak samo, jak dotychczas. Nie zmieni się w twoim życiu prawie nic, w każdym razie nic ważnego. Nie trzeba będzie dokonywać żadnych zmian!

Nie, zaprotestowała w myśli Lydia. To nieprawda!

Po raz pierwszy nie tylko dostrzegła w słowach Eleanor fałsz, ale wydały się jej sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem. Wszystko bez przerwy się zmieniało. Rodzice umierali, dzieci także, nieraz jeszcze przed przyjściem na świat. Mężowie opuszczali swoje żony, a nawet pozostawiali je w miejscach tak strasznych, jak zakład dla obłąkanych. Przyjaciółki rujnowały sobie życie dla jakiejś miłości.

A Ned mógł się ożenić z inną kobietą.

- Będziesz żyła dokładnie tak, jak zawsze! - zapewniała ją Eleanor.

Czemu słowa, które kilka miesięcy temu uśmierzyłyby wszelkie obawy, zabrzmiały teraz jak nieubłagany wyrok?

- Childe Smyth będzie dla ciebie idealnym mężem. Pasujecie do siebie!

W głosie Eleanor słyhać było coraz wyraźniejsze naleganie, a nawet nutę desperacji.

Ona się boi, pomyślała Lydia. Okropnie boi się, że odrzucę jego oświadczyzny!

- Nie bądź niemądra, Lydio! Nie odwracaj się od świata, który cię ukształtował, i od wszystkich, których znasz! Nie odwracaj się ode mnie!

- Nigdy bym tego nie zrobiła! - zaprotestowała Lydia.

- Owszem, zrobisz to, jeśli nie wyjdiesz za Childe'a Smytha! - wybuchnęła Eleanor.

Z widocznym wysiłkiem wstała i podeszła do okna, żeby się opanować.

Rozległo się stukanie do drzwi. Lydia rzuciła przez ramię:

- Proszę wejść!

Do pokoju wślizgnęła się pokojówka, niosąc jakąś paczkę owiazaną sznurkiem.

- Najmocniej przepraszam, milady, ale akurat przynieśli to dla pani, a ten, co przyniósł, powiada, że musi mieć pewność, że trafiło w pani ręce.

Lydia ze znużeniem skinęła głową i wzięła od niej paczkę.

- Daj posłańcowi szylinga i podziękuj mu.

Eleanor odwróciła się od okna i zmierzyła wzrokiem przesyłkę.

- Od Smytha?

- Nie wiem. Nie załączono wizytówki.

Lydia odwiązała sznurek i podniosła wieko. Wnętrze skrzynki było wyścielone kilkoma warstwami bibułki. Zdjęła górną warstwę i serce jej podskoczyło do gardła. Rękawiczka ze złotej lamy. Jej rękawiczka!

Wiedział, że to ja!

Wpatrywała się w rękawiczkę, a myśli wirowały jej w głowie jak szalone, dopóki nie zdała sobie sprawy, że pod spodem jest coś jeszcze. Wyjęła więc i odłożyła rękawiczkę, nie zwracając uwagi na to, że Eleanor śledzi każdy jej ruch.

Pod spodem leżała błękitno-biała czara, olśniewająca, choć z upływem czasu pokryła się siateczką drobnych pęknięć. Czara Kangksi, którą znalazła w sklepie monsieur Roubalais. A zatem Ned musiał ją rozpoznać już wtedy... Wielkie nieba!

Lydia z trudem przełknęła ślinę, wypatując piękne naczynie ze zwojów bibułki. Wypadł przy tym na ziemię złożony arkusz papieru. Wzięła go do ręki i rozłożyła. Cienki papier drżał jej w palcach. Nie było nagłówka.

Eleanor coś mówiła, ale do Lydii nie docierały jej słowa. Pochłaniała wzrokiem list, skreślony stanowczym charakterem pisma.

Choć nie wypada przeczyć damie, nie mogę znieść myśli, że nadal trwasz w fałszywym przeświadczeniu, iż nie rozpoznałem Ciebie i wcale Cię nie znam. Pozwól, że odpowiem bez ogródek: nigdy nie pomyliłem Cię z nikim innym. I nigdy nie popełnię takiej pomyłki. Nie pomoże Ci żadna maska. Ani pod warstwą złota, ani zwykłego kurzu nie zdołasz ukryć się przede mną!

Objawiasz mi, kim jesteś, na tysiączne sposoby. Poznam Cię po ruchu ręki, którym podkreślasz jakąś szczególnie istotną kwestię... Po tym, jak przechyłasz główkę na bok, słuchając muzyki... Po nagłym wdechu, który zawsze poprzedza wybuch Twojej wesołości... A nawet po skupieniu, z jakim milczysz czy trwasz w bezruchu.

Wystarczy mi unieść rękę, by wyobrazić sobie, że dotykam Twoich ramion. Zamknąć oczy, by ujrzeć najdokładniej splot delikatnych żyłek na przegubie Twojej ręki. Wciągnąć powietrze, by poczuć Twój zapach. Mógłbym być znawcą, jeśli chodzi o miękkość i delikatność Twojej skóry, zmienne odcienie błękitu w Twoich oczach czy rytm Twego oddechu. Nie potrzebuję jednak oczu, uszu ani rąk, żeby Cię rozpoznać. Zakuty w kajdany, oślepiiony i pozbawiony słuchu poznałbym Cię mimo wszystko: słyszałbym Cię, widział i wyczuwał całym sobą.

Równie dobrze mogłabyś zarzucić niebiosom, że nie znają księżycy, gdyż tak jak on tkwisz niezmiennie na firmamencie mojego serca, i podobnie jak księżyc - czy zechcesz jaśnieć, czy też ukryjesz swój blask - pozostaniesz ze mną na wieki.

Proszę Cię więc, lady Lydio, nigdy już nie mów, że Cię nie znam!

Twój najpokorniejszy sługa, kapitan Edward Lockton

- Lydio! Lydio, co jest w tym liście? - dopytywała się Eleanor, podchodząc do niej. - To od niego, prawda? Od Locktona!

Księżna wymówiła to nazwisko z nienawiścią, spoglądając bacznie na przyjaciółkę, która siedziała ze spuszczoną głową zatopiona w myślach.

- Mogę się domyślić, co pisze! Jakieś romantyczne brednie. To Lockton sprawił, że masz głowę pełną naiwnych mrzonek, ale w rzeczywistości sprawa jest zupełnie prosta: oszukał cię, nadużył twego zaufania, wkradł się w twoje łaski, a teraz tęsknisz za nim!

Czy Eleanor nie widzi, ile hipokryzji jest w jej oskarżeniach?

- Czyż nie to samo można by powiedzieć o moim postępowaniu względem niego?

- Nie mów tak!

Księżna odwróciła na chwilę oczy, jakby nie mogła znieść spojrzenia Lydii.

- On mnie kocha, Eleanor!

- To łotr, który ma czelność prześladować cię, choć żadne z was nie jest dość bogate, byście mogli sobie pozwolić na małżeństwo! Nie rozumiem. O nie! Rozumiem doskonale! - obwieściła z pałającym wzrokiem. - Wiesz, co ten list oznacza? Kapitan już sobie przygotowuje grunt pod przyszły romans! Może ma więcej sprytu, niż sądziłam.

Czoło Lydii przecięła zmarszczka.

- Romans?

- Oczywiście! Twój kapitan liczy na to, że gdy wyjdiesz za mąż i minie trochę czasu dla przyzwoitości, znów zaczniecie ze sobą gruchać!

Nie, nie! Lydia pokręciła głową.

- Nie Ned!

Był na to zbyt uczciwy, zbyt honorowy. Takie intrygi byłyby dla niego równie odrażające jak dla niej!

W odróżnieniu od Eleanor, Sarah czy Emily, Lydia nie zważyła w możliwość szczęścia małżeńskiego. Dobrze pamiętała miłość swoich rodziców - najlepszy przykład wierności, oddania i uczciwości. Cóż za ironia losu, że właśnie ich związek uznano za „skandaliczny”!

- Jesteś w błędzie, Eleanor.

Raz jeszcze jej przyjaciółka, najserdeczniejsza przyjaciółka, wykonała ostry gest, pełen pogardy.

- Dość już o Nedzie Locktonie! Nie ma on większego znaczenia dla całej sprawy. Musisz się skoncentrować na osobie Childe'a Smytha!

- Nie!

- Do wszystkich diabłów, Lydio! - wybuchnęła księżna. - Nie potrafisz myśleć rozsądnie. Przestań zachowywać się jak dziecko! Możliwe, że ze Smythem nie zaznasz rajskiego szczęścia, ale nie będziesz z nim nieszczęśliwa. On ci nie złamie serca! Rozumiesz? - spytała, nieco zdyszana. - Childe dobrze zna twój świat, jego zwyczaje i rządzące w nim prawa. I ciebie zna jak nikt!

Gniew opuścił Lydię, pozostało jedynie uczucie pustki. Nie miała ochoty walczyć z Eleanor. Może naprawdę zachowywała się jak dziecko, nie chcąc pogodzić się z nieuniknionym? A Childe rzeczywiście ją znał, w każdym razie znał taką jej maskę, jaką przybierała przed całym światem. Czy w gruncie rzeczy istniało coś więcej prócz tej gry pozorów?

Tak, istniało! Dzięki Nedowi dostrzegła, że jest jeszcze kim innym. Przypomniało się jej, iż ubiegłej nocy oświadczyła mu, że nie zna jej, nie może więc ocenić, czego ona pragnie, a czego nie. Ale zarówno rękawiczka, jak i czara zadały kłam jej oskarżeniu. Ned ją znał naprawdę. Znał, ponieważ ją kochał.

Ned ją kochał! W tej sytuacji niewiele już było do powiedzenia.

- Co z tobą, Lydio? - spytała niespokojnie księżna. - Tak dziwnie wyglądasz... Czemu wstajesz? Dokąd się wybierasz?

- Ja...

Lydia pokręciła głową. Prawie nie pamiętała, czemu wstała, w jakim celu przyjechała do niej Eleanor, dlaczego ona sama nadal tu była? Ned ją kochał!

Odwróciła się raptownie i skierowała się ku drzwiom.

- Wybacz, proszę! - rzuciła na odchodnym i opuściła księżnę, nie obejrzawszy się ani razu.

Z błyszczącymi oczyma, bez tchu, wyminęła Emily stojącą pod drzwiami salonu. Starsza dama usłyszała ostatnią część rozmowy Lydii z księżną. Nie miała zwyczaju nadmiernie się spieszyć, a czasem poruszała się jeszcze wolniej niż zwykle, jeśli chciała usłyszeć to czy owo. Zwłaszcza gdy przypuszczała, że dowie się czegoś, co mogło zaważyć na jej losach. Lydia nigdy nie pojęła do końca, jak zawzięcie jej przyjaciółka walczy o przetrwanie.

- Kompletne szaleństwo!

Wykrzyknik księżnej dotarł do Emily w chwili, gdy wślizgnęła się do salonu.

- Słyszałam już kiedyś to określenie - zauważyła, zamykając za sobą drzwi.

Lekki rumieniec zabarwił policzki Eleanor.

- Nie miałam ciebie na myśli, Emily.

- Wiem - odparła Emily i usiadła.

Nigdy by sobie na to nie pozwoliła, gdyby ktoś jeszcze był w pobliżu albo gdyby Eleanor zdecydowanie nie życzyła sobie takiej poufałości. Emily wiedziała jednak, że księżnej to nie przeszkadza, byleby nikt tego nie widział. Lydia nie zdawała sobie również sprawy z tego, jaką snobką jest Eleanor. Nie znaczyło to jednak, że któraś z nich popełniała grzech nie do wybaczenia. Po prostu nie były takie dobre jak Lydia.

Emily chętnie by dodała, że były gorsze, gdyż życie ciężiej je doświadczyło. Wiedziała jednak, że to tylko wymówka: Lydia także walczyła z przeciwnościami losu. Nikt jej co prawda nie maltretował, lecz Emily doskonale wiedziała, że są inne sposoby zadawania bólu. Pełne miłości serce może na przykład obumrzeć, skazane na samotność w domu na odludziu.

Emily czekała, co Eleanor powie na jej zuchwalstwo. Dama do towarzystwa nie siada, póki nie usiądzie księżna! Emily dobrze знаła swoje miejsce i bardzo jej ono odpowiadało. Taki wybryk był rodzajem wyzwania: ośmieliła się przejąć na chwilę rolę i przywileje nieobecnej pani domu.

- Siadaj, proszę, Eleanor!

Księżna zawahała się przez chwilę. Jej spojrzenie pobiegło w stronę drzwi, a potem znów do Emily, która siedziała spokojnie, czekając, co z tego wyniknie. W końcu, machnąwszy ręką na książeczkę dumę, usiadła, co prawda dość sztywno.

- Bywają znacznie gorsze miejsca pobytu niż zakład dla obłąkanych w Brislington - zauważyła Emily tonem beztroskiej konwersacji. - Tamtejszych pensjonariuszy nigdy się nie wystawia na widok publiczny, ku uciechu lub zgrozie widzów. Poddaje się pacjentów przemyślanemu szpitalnemu reżimowi: przechadzki dla zdrowia, posiłki, odpoczynek, wszyscy są czysti i dobrze odżywieni. A jednak czułam się tam bardzo nieszczęśliwa.

- Nic dziwnego! - prychnęła Eleanor. - Nie należysz przecież do takiego świata!

Emily się rozpromieniła.

- Właśnie! Nie należałam do ich świata. Choć pewne osoby mogłyby mieć co do tego odmienne zdanie niż my. Lady Pickler, na przykład, jest przekonana, że Lydia popełniła błąd, zabierając mnie stamtąd. I nie tylko ona tak sądzi.

Eleanor otworzyła już usta, by wypowiedzieć jakąś wzgardliwą uwagę pod adresem takich osób, ale Emily ją uprzedziła.

- Rozumiem ich niepokój. W pewnym sensie nawet przyznaję im rację. Naprawdę trudno mi powstrzymać się od postępów, których większość ludzi nie akceptuje. - Pochyliła się z krzywym uśmiechem ku swojej rozmówczyni. - Choćby teraz mam w swoim pokoju kostkę mydła z odcisniętym na niej herbem Grenville'ów.

Eleanor, przyzwyczajona już do tego, że po wizycie Emily brakuje niektórych drobiazgów, przyjęła tę nowinę bez mrugnięcia okiem.

- A, przypominam sobie, dałam ci to mydełko w prezencie. Emily się roześmiała.

- Jesteś naprawdę dobra, Eleanor. I wielkoduszna! - Jej śmiech nagle umilkł, a uśmiech stał się dziwnie współczujący. - Nie zapominaj o tym i w tej chwili! Okaż Lydii tyle samo wielkoduszności, ile okazałaś mnie.

Oczy Eleanor spochmurniały.

- Pragnę tylko tego, co dla niej najlepsze!

- Pragniesz tego, co najlepsze dla ciebie - poprawiła ją łagodnie Emily. - Doskonale to rozumiem. Ze mną jest tak samo. To całkiem naturalne. Musimy jednak przewyciężyć swój egoizm, Eleanor! Lydia nie pasuje do naszego świata, tak samo jak ja nie pasowałam do Brislington.

Eleanor chciała zaprotestować, ale Emily powstrzymała ją.

- Kapitan Lockton może jej dać takie szczęście, jakie nie było sądzone tobie, mnie ani Sarah!

- Może ją tylko oderwać od przyjaciół i od świata, który Lydia zna od urodzenia! - oburzyła się Eleanor.

Ale Emily miała już za sobą wiele godzin zmagania z własnym egoizmem, gdy walczył on w niej z wielkodusznością, a wykręty same się nasuwały, by samolubstwo mogło się na nich wesprzeć w chwili

słabości. Mogła wyliczyć z góry wszystkie argumenty księżnej i wiedziała, jak je odeprzeć.

- Kapitan może jej zaoferować życie bardzo podobne do tego, jakie z własnego wyboru wiedli jej rodzice. Nie miałam wprawdzie przyjemności ich poznać, ale znam dobrze ich córkę, jej prawy charakter i pełne miłości serce, doszłam więc do wniosku, że było to wyjątkowo szczęśliwe i i dobrane stadło. Żadne z nich nie żałowało decyzji. Mam nadzieję, że tak samo będzie w przyszłości z Lydią i jej kapitanem.

- O nie! - odparła lekceważąco Eleanor. - To wcale nie byłoby to samo. Jej rodzice nadal zajmowali wysoką pozycję! A w małżeństwie z Locktonem Lydię czeka jedynie ubóstwo i zapomnienie.

- Z początku może będą biedni - przyznała Emily. - Ale on nie wygląda mi na takiego, który długo pozostanie biedakiem. Z pewnością skorzysta z każdej okazji poprawy ich losu. Co się zaś tyczy tego, że przestaną istnieć dla wielkiego świata... to Lydia zasługuje na to, żeby wreszcie przekonać się, ile jest naprawdę warta, nie tylko w oczach plotkarzy z wyższych sfer. Ty i ja najlepiej wiemy, jaka z niej wspaniała dziewczyna. I jakim skarbem jest jej dobroć i wielkoduszność. Sądzę, że kapitan Lockton również potrafi to docenić. On ją naprawdę kocha, Eleanor!

- Miłość, miłość... - powiedziała drwiąco księżna. - Jak długo trwa miłość? I jakim cudem on mógłby dać Lydii więcej niż ja? Lata miłości, szczerzej troski, dobrej rady. Całe lata, Emily!

- A co się stanie z tobą? - ciągnęła dalej księżna. - Czy myślisz, że wezmą cię do siebie, gdy im samym nie będzie starczało na życie? Zresztą, w jakim charakterze miałabyś przebywać w ich domu? Jako służąca? Niania?

- Bardzo bym chciała być nianią - wyznała Emily rozmarzonym głosem. Oczy jej złagodniały, pełne czułości.

Księżna wydała pomruk obrzydzenia. Emily dotknęła jej ręki.

- Eleanor, gdyby Lydia go nie kochała, nie stawiałabym sprawy na ostrzu noża. Ale ona naprawdę go kocha! A on ją. - Spojrzenia obu kobiet się spotkały. - Jeśli ją przekonasz, żeby wyszła za kogoś innego, stanie się w końcu jedną z nas: kobietą, która ucieka z kochankiem, by zaspokoić głód własnego serca, lub taką, którą mąż pozostawił w domu obłąkanych. Albo wreszcie kobietą tak zgorzkniałą po latach małżeńskiej niedoli, że przestała już wierzyć w miłość.

Eleanor, zaskoczona i przejęta bólem, westchnęła głęboko. Emily popatrzyła na nią ze współczuciem, ale nie ustąpiła.

- Czy tego właśnie chcesz dla Lydii? - spytała.

Eleanor wbiła wzrok w swoje ręce, leżące na kolanach i zaciśnięte aż do bólu.

- Nie - wyszeptała. - Nie!

28

- Przykro mi - stwierdził posepnym tonem Borton.

Tkwił z kapeluszem w ręku tuż za progiem biblioteki Neda. Po przekazaniu kapitanowi wiadomości zbierał się już do wyjścia. Prawdę mówiąc, Ned nie mógł się tego doczekać. Z trudem zdobywał się na to, by stać spokojnie i słuchać go.

- Nie chciałem, żeby ta wiadomość dotarła do ciebie bez ostrzeżenia. I pomyślałem, że najlepiej sam ci ją przekażę - tłumaczył się Borton.

Przybył tu, by donieść Nedowi, że Childe Smyth oświadczył się lady Lydii Eastlake i miał niemal pewność, że zostanie przyjęty, zanim dzień dobiegnie końca. George Borton dowiedział się o całej sprawie niespełna przed godziną w Klubie Boodle'a, z ust samego Smytha. Przyjaciele składali mu już gratulacje.

- Tak, wiem.

Ned usłyszał, że drzwi się otwierają, a potem zamykają za Bortonem. Odwrócił się do okna, wychodzącego na ogród za domem. Lydia była stworzona dla niego! Nie mógł sobie pozwolić na małżeństwo z nią. Nie powinien był do niej pisać! Przecież nie był z natury impulsywny.

Ale jak ona mogła pomyśleć, że byłby zdolny do zadawania się z inną kobietą? I uważać, że wcale jej nie zna? Musiał ją wyprowadzić z błędu! Kochał ją.

A ona miała zamiar poślubić Childe'a Smytha. Bogatego, zadowolonego z siebie Childe'a Smytha! Kochał ją...

A niech to wszyscy diabli!

Z całej siły walnął pięścią w ścianę, a potem przyłgął do niej czołem. Usłyszał, jak drzwi biblioteki znów otwierają się i zamykają. Czyżby Borton z kolejną hiobową wieścią?

- Odejdź, proszę - powiedział, nie otwierając oczu.

Dotarł do niego lekki szelest sukni, poczuł zapach kwiatu pomarańczy. Odwrócił się raptownie.

Lydia stała w jego bibliotece, tuż przy drzwiach. Otulona w pelerynę z kapturem. Bez słowa rozwiązała tasiemki pod szyją i okrycie zsunęło się na podłogę z głośnym szelestem, jakby protestowało. Ciemno-fioletowe oczy Lydii szukały jego oczu, koronkowa chusta na jej piersi falowała nad mocno bijącym sercem.

- Wychodzisz za Smytha - powiedział martwym głosem.

- Nie!

Pokręciła głową. Wpatrywał się w nią, a ona sięgnęła ręką za siebie i przekręciła tkwiący w zamku klucz. A potem upuściła go na podłogę.

Ned nie umiałby powiedzieć, jaka siła ruszyła go z miejsca i jak znalazł się na drugim końcu pokoju. W następnej chwili Lydia była już w jego ramionach. Całował ją namiętnie, zachłannie, rozpaczliwie, ona zaś tuliła się do niego i obejmowała go z całej siły. Podniósł ją jedną ręką, przygarnął do siebie i jak błędny cofał się w głąb pokoju, aż uderzył o biurko. Odwrócił się, pochylił i - nie przerywając pocałunku - wolną ręką zmiótł z biurka wszystko, co leżało na blacie.

Posadził Lydię na brzegu biurka i odsunął się nieco. Nie puszczała go, uczepiła się jego ramion. Pochylił się więc nad nią,

dotknął językiem jej języka i wsunął nogę między jej kolana. Rozchyliła ochoczo uda, co podnieciło Neda do szaleństwa, wsunął pod nią ręce i poczuł na dłoniach miękkie wzniesienia jej pośladków. Uniósł ją i przycisnął do swego pobudzonego ciała.

Gdy przesuwiał wargami po jej ustach, Lydia wydawała gardłowe pomruki. Upajał się tymi cudownymi dźwiękami. Ich języki pieściły się w zmysłowym tańcu, Ned rozkoszował się smakiem ukochanej. Wiedziona instynktem uniosła biodra i zakołysała nimi w najstarszym rytmie świata, przytulona do niego. Całe ciało Neda sprężyło się w odpowiedzi, rozsądek znikł. Pozostało już tylko pożądanie, nieznające granic ni miary.

Oderwał usta od jej ust i wznosił się nad nią, wsparty na drżących ramionach.

- Lydio... - wykrztusił chrapliwym głosem.

Otworzyła oczy i przyciągnęła go do siebie.

- O Boże, Lydio... Moja wytrzymałość ma swoje granice - ostrzegł przez zaciśnięte zęby.

- Naprawdę? A ja myślałam, że potrafisz znieść wszystko!

Plotła oczywiście głupstwa. Pokręcił głową. Namiętność sprawiała, że myśli mu się mąciły.

- Musimy się opanować...

- Nie! - zaprotestowała rwącym się szeptem. - Nie tym razem! Nie waż się odwrócić teraz ode mnie, bo przysięgam, że nigdy mnie już nie zobaczysz!

Przełknęła ślinę, a on pozeriał wprost wzrokiem jej uniesiony dekolt.

- Usiłowałam przekonać samą siebie, że nie jestem taka jak Caro Lamb - szepnęła. - Że nie kocham tak szaleńczo i że kieruję się rozsądkiem. Tak mi się zawsze wydawało.

Wpatrywał się w nią, rozdarty między dwoma sprzecznymi pragnieniami: pocieszania jej i kochania się z nią. Ciemnobrązowe włosy Lydii rozsypały się po blacie biurka, wargi nabrzmiały od jego pocałunków. Błagała go wzrokiem, żeby ją napoił.

- Nie jesteś ani trochę podobna do Caroline Lamb - zapewnił.

Drżała, jej oczy pełne były lęku. Wyciągnęła rękę, by pogłaskać go po policzku. Przymknął oczy. Ta pieśczoła była taka słodka!

- Z twojego powodu mogłabym się stać taka jak ona - szepnęła. - Kocham cię. Szaleńczo, dziko, bez opamiętania. Na śmierć i życie!

- O Boże! - wyszeptał ledwie dosłyszalnie.

- Kocham cię - powtórzyła. Nie odrywała oczu od jego twarzy, pełnej wątpliwości. - Ale wolę natychmiast odejść i nigdy do ciebie nie wracać, niż stać się ofiarą nierównej miłości! Szaloną dziewczyną, która zawsze domaga się zbyt wiele, aż wreszcie znudzi ci się to wieczne błaganie o coś, czego nie możesz dać, i opuścisz mnie.

- Nigdy! - zaklinał się chrapliwym głosem. - Nigdy cię nie opuszczę!

- Jak mam ci uwierzyć, kiedy to zawsze ty odsuwasz się ode mnie, odmawiasz sobie i mnie tego, czego oboje pragniemy?

Końcami palców przesunęła po policzku Neda, po jego ustach. Serce waliło mu coraz mocniej, mięśnie płonęły żywym ogniem, choć starał się zapanować nad sobą.

- Czego ty chcesz ode mnie, Lydio? - spytał bezradnie. Namiętność niemal wzięła nad nim górę. Wszystkie jego szlachetne postanowienia, że będzie postępował tak, jak się godzi, zawisły na wątej nitce. - Jak mogę cię zdobyć? Nie pozwalasz, bym to uczynił w honorowy sposób!

Przez długą chwilę wpatrywała się w niego. Potem pojawił się na jej ustach smutny, krzywy uśmiech. Oczy jej pociemniały z żalu.

- Masz słuszność - przyznała. - Nie dałam ci możliwości zdobycia mnie w honorowy sposób. A więc oboje przegraliśmy.

Uniosła się na łokciach. On także się podniósł, opierając ręce o blat biurka po obu jej stronach.

- Lydio...

Wyciągnęła rękę i delikatnie dotknęła jego piersi. Ned zadrżał.

- Pozwól mi odejść - powiedziała miękko.

- Nigdy! - mruknął i, schwyciwszy ją za nadgarstek, przyciągnął niemal brutalnie do siebie. - Nigdy!

Rozpaczliwie, żarłocznie spadł ustami na jej usta. Przez sekundę Lydia nie wiedziała, co począć. Potem jednak z cichym westchnieniem poddała się, zarzuciła mu ręce na szyję i rozchyliła usta pod naporem jego ust.

Ned zdarł z siebie surdut i rzucił go na podłogę, Lydia szarpnęła go za koszulę, aż guziki rozsypały się wokół. Zsunął jej z ramion

jedwabne rękawki i póty ciągnął za dekolt sukni, aż odsłonił piersi. Oderwał się wówczas od jej ust, zaniósł ją na drugi koniec pokoju i położył na obitej skórą kanapie. Aż syknął z rozkoszy, czując pod sobą jej delikatne piersi, przygniecione ciężarem jego nagiego ciała. I sutki, które stwardniały jak kamyki.

Pochylił głowę i znaczył językiem ślad na smukłej szyi Lydii. Zatrzymał się dłużej przy jej uszku, udając, że je obgryza. Przebiegł ją dreszcz, gdy ssał delikatnie płatek ucha, sunąc równocześnie ręką ku miękkiemu, ciepłemu wzgórkowi piersi. Ależ była słodka! Delikatna, uległa, smukła... Miód i koniak. Jedwab i aksamit. Płomień i wilgoć. Morska sól i czyste źródło. Połączenie wszystkich zmysłowych podniet.

Oddech mu się rwał, gdy wytyczał ustami ścieżkę wiodącą w dół - od szyi i ramion do pełnych piersi. Uniósł jedną z nich, by wziąć sutek do ust i ssać. Lydia krzyknęła i wygięła się w łuk; jej biodra zakołysały się lekko, instynktownie podejmując odwieczny taniec.

Ned rozpiął klapę z przodu spodni, wyzwalając członek, twarde i ciężki. Potem podgarnął spódnice Lydii aż do pasa. Żądza poganiała go, a namiętność sprawiała, że wszelkie opory znikły. Pragnął, nie, musiał poczuć ją przy sobie, wokół siebie, wziąć ją, zjednoczyć się z nią!

Uniósł jej nogę i przerzucił ją przez swoje biodro. Jakże podniecający był dotyk obejmującej go w pasie nóżki w gładkiej, jedwabnej pończoszcze! Lydia przesunęła ręce pod jego pachami i objęła jego szerokie barki. Jej palce wpiły mu się w ciało, wsunął rękę

pomiędzy siebie a nią i dotarł do miejsca u zbiegu jej ud. Jej ciało było tam delikatne, gładkie, gorące... Pod pieśczośliwym dotknięciem rozpalone fałdki rozchyliły się, a Lydia drgnęła gwałtownie, szeroko otwierając oczy. Nakrył ją ciałem. Jedną ręką podtrzymał jej nogę, tak żeby była otwarta dla niego. Drugą ręką dotykał jej i pieścił.

Obserwował uważnie reakcję Lydii, gdy zanurzał w niej ostrożnie palec. Widział na jej pięknej twarzy zaskoczenie, lęk, podniecenie, rosnące pożądanie. Już?

Jeszcze nie.

Z wolna jej ciało zaczęło odpowiadać coraz wyraźniej na każde drgnienie zagłębiającego się w niej palca. Cienka warstewka potu pokryła jej piersi i ramiona. Biodra się zakołysały. Pochylił głowę i spijał pocałunki z rozchylonych warg. Oczy miała zamglone i półprzytomne, gdy krok za krokiem wiódł ją na szczyt.

Coś jakby kwilenie wyrwało się z ust Lydii, wzrokiem poszukała jego oczu. Szepnęła bez tchu:

- Ned? Ned?

Nie mógł już dłużej czekać. Wysunął rękę, która zawędrowała pomiędzy nich, i zacisnął zęby, by nie zważać na krzyk protestu Lydii. Dobrze wiedział, jaką męczarnią jest niezaspokojona żądza. Znosił już te tortury od tygodni, nie, od miesięcy! Chwycił Lydię za drugie udo i skłonił, by objęła go obiema nogami w pasie.

Instynktownie zmieniła pozycję, zamykając go w ciasnym uścisku. Czuł jak zwierają się jej uda i ostrożnie, z niezwykłym

opanowaniem, zanurzył się w niej niezbyt głęboko, sądząc, że Lydia się cofnie.

Zamiast tego jednak wsunęła się jeszcze bardziej pod niego i chwyciła go z całej siły za ramiona. Jej biodra odnalazły właściwy rytm i zgodnie z nim wznosiły się i opadały. Wciągnęła go głębiej w siebie, aż dotknął dziewiczej błony. Przez twarz Lydii przebiegł skurcz, jej oczy stały się większe i ciemniejsze. Ned mruknął jakieś przekleństwo. Wygięła się łukiem ku niemu, a on ukrył twarz w zagłębieniu między jej szyją a ramieniem.

- Nie ruszaj się! - wykrztusił z trudem.

O Boże, nie daj, bym sprawił jej ból! - modlił się w duchu.

- Kiedy muszę! - zaszlochała Lydia, schwytna w pułapkę bólu i rozkoszy. Jej nogi zwały się jeszcze ciaśniej wokół Neda, unicestwiając resztki jego opanowania.

Wbił się w nią jednym potężnym, bolesnym pchnięciem, po czym zmusił się do bezruchu. Jej ciało zacisnęło się wokół niego jak aksamitna pięść. Ned zamknął oczy i zmagił ze sobą, by nawet nie drgnąć. Lydia odepchnęła się od jego piersi, tak że powstała między nimi wolna przestrzeń. Ned spojrzał w pełne bólu i niepokoju fiołkowe oczy. Tak bardzo chciała mu zaufać!

Musi sprawić, żeby poczuła się lepiej. Żeby zaznała choć trochę rozkoszy, jaką on odczuwał. Doprowadzi ją na szczyt! Wsunął pod nią ręce i podniósł się, nadal głęboko zanurzony w jej ciele. Spódnice miała podciągnięte do pasa, piersi wystawały z rozdartego dekoltu. Wyglądała tak zmysłowo z potarganymi, opadającymi na ramiona

włosami, ze sterczącymi sutkami i z rozchyłonymi ustami, zdyszana, półprzytomna i spragniona. Pojękiwała, gdy ją podnosił, nadal z nią złączony, klękając i odwracając się.

Tak dalece zmienił pozycję ich obojga, że siedziała teraz na nim okrakiem. Jej oba kolana opierały się o poduszki, on zaś opadł na wznak. Lydia spoglądała na niego niepewnie, gdy obejmował jej piersi, głaszcząc delikatne ciało i drażniąc kciukiem jedwabiste, nabrzmiałe sutki. Wygięła plecy w łuk i rozchyliła usta, z trudem wciągając powietrze. Głowa opadła jej do tyłu, długie brązowe loki muskały jego uda.

Bawił się z nią tak, póki z ust Lydii nie wyrwał się jęk. Wówczas zaczął głaskać ją długimi pociągnięciami ręki - od piersi po brzuch i uda, potem zaś zajął się trójkątem miękkich brunatnych kędziorków u zbiegu jej nóg. Odnalazł twardą grudkę między rozgrzаныmi, śliskimi fałdkami ciała i nacisnął ją kciukiem.

Lydia szarpnęła się gwałtownie i wsparła rozpostartymi rękoma na jego nagiej piersi. Znów zaczął ją głaskać. Spojrzała w dół, na niego; jej włosy opadły między nimi jak kurtyna. Ned ścisnął potężnymi dłońmi jej biodra i, wpatrując się w półprzymknięte oczy Lydii, powoli unióśł ją do góry. Rozgrzane, mocno zaciśnięte ciało ocierało się o jego członek, a to wprawiało w drzenie mięśnie piersi i ramion Neda.

- Ned?

Lydia zakołysała się, ciasno z nim złączona, a on zacisnął zęby.

- Spokojnie, kochanie - mruknął niewyraźnie. - Jestem znacznie mniej opanowany, niż sądzisz... A raczej niż powinienem być, jeśli mamy szczęśliwie zakończyć to, co zaczęliśmy!

Powoli wnikał w nią, aż utkwiał głęboko. Powieki Lydii zatrzepotały. Znow się wysunął i tym razem, gdy ściągał ją w dół, ku sobie, okazał nieco mniej delikatności, a jego kciuk drażnił coraz mocniej jej łechtaczkę. Lydia krzyknęła. Była tak mocno zaciśnięta... Zbyt mocno.

Ned zmusił się do panowania nad sobą. Jego ciało ma być jedynie narzędziem, które umożliwi Lydii przeżycie rozkoszy. A on, na Boga, jakoś to zniesie!

Lydia poruszała się coraz szybciej i szybciej. Jej biodra kołysały się w odwiecznym rytmie, włosy opadały na pierś Neda. Oczy miała półprzymknięte - fiołkowe światełka połyskujące zza zasłony rzęs. Znużony oddech przerywały od czasu do czasu zdławione piski - dowód niedosytu. Po każdym ruchu Lydii Ned wycofywał się i znow pogrążał w niej, coraz głębiej, szybciej i pewniej, podsycając w ten sposób płonący w niej ogień.

- Proszę, zrób coś! Tak bardzo cię proszę! - szeptała, gdy zlizywał słonawą rosę z jej ramion i szyi.

I nagle ciało Lydii przebiegł skurcz. Wygięła się w łuk, wciągając Neda głęboko w siebie. Kołysała biodrami i zataczała kręgi, z ciałem przy jego ciele. Krzyczała, wstrząsały ją dreszcze. Na widok ukochanej, która osiągnęła szczyt rozkoszy, Ned stracił ostatecznie panowanie nad sobą.

Z nieartykułowanym pomrukiem przewrócił ją na plecy, uniósł jej biodra i wbijał się w nią raz za razem, podczas gdy ona uchwyciła się kurczowo jego ramion i - prawie bez tchu - powtarzała jego imię po każdym wstrząsie.

- Kochaj mnie! - szeptała.

Te słowa pokonały go ostatecznie. Spłynął w nią potężnym deszczem, wypełnił ją swym nasieniem. Uwięziony wewnątrz niej, oddychał z wysiłkiem; drżały mu ramiona, na których opierał ciało, wznosząc się nad nią.

Gdy wieczność przeminęła i huragan ucichł, Ned mógł znów otworzyć oczy. Czule odgarnął wilgotne loki z twarzy ukochanej.

- Wyjdź za mnie, Lydio! Obiecuj, że zostaniesz moją żoną!

- Ale...

Nie pozwolił jej mówić dalej. W jego oczach i tonie głosu była taka desperacja, z jaką się nigdy dotąd nie zetknęła.

- Nie mam prawa prosić cię o to. Wiem, jak wielkiej żądam od ciebie ofiary. Nie mam majątku, a wkrótce nie będę miał również domu. Ale przysięgam ci, Lydio, żaden mężczyzna nigdy nie będzie pracował ciężiej i z większym zapamiętaniem niż ja, by ci zapewnić szczęście. Tak bardzo jesteś mi potrzebna! Wstrętny ze mnie egoista, ale tak cię pragnę. Zanim cię poznałem, świat był pozbawiony barw, dźwięków i woni. Ty sprawiłaś, że moje życie nabrało blasku!

Z ogromnym napięciem wpatrywał się jej w oczy. Wyciągnął obie ręce i objął twarz ukochanej wielkimi dłońmi.

- Kocham cię, Lydio! - wyszeptał. - Nie zdołam wyrzec się cię.
Nigdy!

- Nie będziesz musiał się wyrzekać. Nigdy! - zapewniła go.

29

Lydia obudziła się w łóżku Neda pod jego delikatnym dotknięciem. Uśmiechnęła się, nie otwierając oczu. Rozkoszowała się idealną gładkością lnianej pościeli, na której spoczywała całkiem nago, i dotykiem czułych warg, muskających jej skroń.

- Obudź się, kochanie! - szepnął głęboki męski głos. - Ranek już spieszy, by zażądać od nas zapłaty za ostatnią noc. Ktoś może cię zauważyć!

- Nie dbam o to! - Otworzyła oczy i ujrzała Neda: całkiem już ubrany, siedział na brzegu łóżka i spoglądał na nią z czułością. - Najlepiej ucieknijmy razem!

- Nie! - odpowiedział Ned tak szybko, że domyśliła się od razu, iż rozważał już taką ewentualność. Ujął delikatnie w palce pasmo jej włosów. - Zależy mi na twojej reputacji. Nie chcę, by mówiono, że niecznie wykorzystałem słabość dam do munduru, by skłonić cię do pospiesznego i nierozważnego małżeństwa.

- Nigdy cię nawet nie widziałam w mundurze!

- O to mniejsza - odparł. - Masz bujną wyobraźnię.

- Tego możesz być pewien! - zapewniła. Jej oczy błysnęły figlarnie. Wyciągnęła ze śmiechem ręce do Neda. - Jak ci powiem, co

sobie w tej chwili wyobrażam, może zdołam cię przekonać, żebyśmy pozostali tu trochę dłużej?

Jego zgłodniałe usta przypuściły szturm do jej ust. Lydia uniosła się ku niemu, okrywające ją prześcieradło opadło. Skóra zalsniła w blasku świecy. Ned z wyraźnym wysiłkiem oparł dłonie na jej ramionach i oderwał od niej wargi. Zaraz jednak zmienił zdanie: pochylił się znów ku niej i obdarzył ukochaną długim, płomiennym pocałunkiem, zanim odsunął ją łagodnie od siebie.

- Proszę cię, Lydio, pozwól mi zachować złudzenie, że jestem w stanie oprzeć ci się, jeśli muszę to uczynić. A teraz muszę, dla twojego dobra!

Wyczytała błaganie w jego oczach i pogładziła go po szczupłym policzku. Był co prawda szorstki, bo Ned nie zdążył się ogolić, ale w jego spojrzeniu malowała się bezbrzeżna czułość.

- Niech tak będzie - ustąpiła w końcu Lydia. - Jeśli musisz...

- Powóz czeka już na ciebie w parku po przeciwnej stronie ulicy. Mój lokaj wyprowadzi cię z domu bocznymi drzwiami, gdy tylko będziesz gotowa. - Pochwycił jej rękę i podniósł do ust, okrywając jej palce gradem pocałunków. - Nie chcę, byś stała się tematem plotek!

Jak szczerze dbał o to, o czym wielu potrafi tylko mówić! Był prawdziwym uosobieniem honoru. Załoga jego okrętu mogła polegać na takim kapitanie. Jego rodzina także. A teraz jeszcze ona... Poczucie honoru było istotną częścią jego charakteru. Bez niego Ned grałby tylko - jak wielu innych - rolę dżentelmena, dostosowując się do modnych obyczajów i przybierając efektowne pozy. On jednak

naprawdę był dżentelmenem. Do szpiku kości. Ciałem i duszą.
Znalazła swego rycerza bez skazy!

- Wybaczysz mi, że naraziłam na szwank twój honor? - spytała z pewnym niepokojem.

Spojrzał na nią zaskoczony.

- Ty? Mój honor?

- Naraziłam cię na wstyd. To przy mnie odkryłeś, że nawet twoje cnoty mają granice, prawda? - spytała, przypominając sobie, o czym mówili tej nocy.

Uśmiechnął się.

- Źle mnie zrozumiałaś, Lydio! Zależy mi na twojej reputacji tylko dlatego, że jest publicznym świadectwem twojej doskonałości. Zdumiewa mnie zaufanie, jakie mi okazałaś, składając swe dobre imię w moje ręce. Będę strzegł go pilnie, teraz i zawsze. Kocham cię. Jakim sposobem mogłoby narazić mnie na wstyd to, że zamknąłem w swoich ramionach coś, czego zawsze pragnąłem, o czym marzyłem, czego pożądam całym sercem?

Taka odpowiedź uszczęśliwiłaby każdą!

- Muszę teraz, na krótko, rozstać się z tobą. Pojadę prosto do Josten Hol na spotkanie z rodziną. Powiadomię ich, na co nie mogą już liczyć - wyjaśnił. - Nie chciałbym, żeby dowiedzieli się z gazet o naszych zaręczynach.

- Czy twój brat będzie bardzo zły? - zaniepokoiła się.

- Nie wiem - powiedział Ned. - Nigdy nie czułem się pewnie, odkąd spadła na jego barki tak wielka odpowiedzialność. Podejrzewam, że

wkrótce poczuje ulgę, pozbywszy się obowiązków, którym nie mógł sprostać. On i Nadine zawsze byli najszczęśliwsi tylko we dwoje. - Wziął Lydię za obie ręce i spojrzał jej w oczy. - Oni wcale nie są źli, kochanie. Tylko zbyt krótkowzroczni, jakby nie dorośli do tak wysokiej pozycji, jaką zajmują. Podobnie było ze mną, zaraz po powrocie z morza. Wierzyłem wtedy, że nie ma nic ważniejszego od utrzymania dawnych tradycji Jostenów z Josten Hol!

- A czemu teraz przestało to być ważne?

- Nadal jest ważne - odparł z powagą. - Zmieniłem tylko pogląd na moją rolę w tym przedsięwzięciu. Wróciłem do domu, myśląc wyłącznie o tym, by spędzić resztę życia na łonie rodziny w Josten Hol. Kiedy więc mój brat stwierdził, że powinienem znaleźć sobie żonę tak bogatą, by swoim posagiem uzdrowiła nasze rodzinne finanse, wydawało mi się to prośbą niezbyt trudną do spełnienia. Musiałem przecież w przeszłości poświęcać dla dobra sprawy coś znacznie cenniejszego: życie moich ludzi.

Przyglądała mu się uważnie. Tym razem nie zaczerwienił się zażenowany tym, że wyjawiał swe uczucia. Pewnie nigdy nie będzie mu łatwo mówić o tym, co nosi w sercu, ale w rozmowach z nią zdobędzie się na to.

- A poza tym - ciągnął dalej, patrząc jej w oczy - zgodziłem się bez oporów na plan Jostena, bo nie miałem nic do stracenia. Nie wydawało mi się wielkim poświęceniem zaręczenie się z kobietą, której prawie nie znałem, ponieważ nie znałem również własnego serca. Musiałem zdławić jego głos, gdy walczyłem na wojnie. Stało

się więc puste i nieczułe. Wojna utwardza męskie serca, Lydio - mówił cicho. - I musi tak być, gdyż bez tego nie zdołalibyśmy przetrwać tej zawieruchy. Potem jednak spotkałem ciebie i moje biedne serce nie zaznało już spokoju. Przebywając w twoim towarzystwie, nauczyłem się spoglądać na świat twoimi oczami. I twoim sercem, które tak żywo współczuje innym! Dzięki niemu zawarłem na nowo znajomość ze swoim.

Lydia spuściła oczy, a Ned uniósł palcem jej brodę i pochylił się, by musnąć pocałunkiem jej usta.

- Rozbudziłaś we mnie tęsknotę za radością, pięknem, szczęściem, wskrzesiłaś we mnie nadzieję. W tydzień po naszym spotkaniu w sklepie monsieur Roubalais wszystkie rachuby Jostena na to, że zawrę małżeństwo z rozsądku, rozwiały się.

Lydia jednak dobrze wiedziała, że Ned, żeniąc się z nią, sprawi ogromny zawód rodzinie, liczącej na odzyskanie utraconej fortuny.

- I co się stanie z twoim bratankiem i siostrzeńcem?

Na przystojnej twarzy kapitana odmalowała się bolesna rezygnacja.

- Mój bratanek i siostrzeniec mają, zdaje się, szczerzy zamiar zniszczyć samych siebie. Jeśli teraz nie dbają o to, co pewnego dnia stanie się ich własnością, a raczej - co miało się stać ich własnością, ja nie zdołam odmienić ich losu. Gdybym nawet uratował ich w tej chwili, sami by się zniszczyli nieco później.

- Ale co im powiesz?

Uśmiechnął się.

- Szczerą prawdę. Powiem, że nikogo prócz ciebie nie poślubię. Jestem zdobyty raz na zawsze, wręcz zauroczony! Żadna inna panna nie zgodziłaby się przecież na konkurenta, który świata nie widzi poza tobą i który chce patrzeć na ciebie nieustannie, z najwyższą miłością i zachwytem.

Pogładziła go po szorstkim policzku, wzruszona tymi słowami. Odwrócił głowę i ucałował pieszczącą go dłoń.

- Kocham cię! - szepnęła.

- Znowu zaczynasz? Burzysz wszystkie moje szcżytne postanowienia! - odparł zmienionym głosem. - Muszę przecież wyjechać: im szybciej spotkam się z bratem, tym wcześniej wrócę i będziemy mogli się pobrać. A zatem, choć bardzo mi przykro wypraszać cię z mojego łóżka, muszę to uczynić!

Skinęła głową potakująco. Postanowiła popierać wszelkie jego plany, żeby ich marzenia mogły się ziścić. Spuściła spieszenie nogi z łóżka. Niech Ned czym prędzej wyruszy i jak najszybciej wróci do niej!

Po raz drugi obudziła się tego ranka we własnym łóżku. Przewróciła się na wznak i przeciągnęła z bezwstydnym, kocim wdziękiem. Czowała się doskonale: miała pewność, że jest bezgranicznie kochana. Jakież to cudowne, upajające uczucie! Łatwo byłoby wpaść w nałóg kochania. Spodobał jej się ten pomysł, zaczęła więc wyobrażać sobie wspólną przyszłość z Nodem. Każdego ranka będzie

się budzić z taką samą radością jak teraz. Nie, z jeszcze większą, gdyż będzie miała Neda zawsze u swego boku!

Ned...

Sama myśl o jego pięknym ciele i gładkiej skórze, pod którą grały potężne mięśnie, o jego płaskim brzuchu i długich, silnych kończynach, wprawiała Lydię w podniecenie, wyraźnie wyczuwalne w zgoła niestosownych miejscach. Lydia zaczerwieniła się na wspomnienie wszystkiego, co robiła z Nodem. Przypomniała sobie jego duże dłonie sunące po jej ciele, jak odnajdywały na nim specjalne miejsca i dotykając ich, sprawiały, że brakło jej tchu albo wyginała się w łuk... Myślała także o tym, jak Ned cały drżał, kiedy wreszcie przestał się hamować. Ileż było napięcia, ile piękna w jego twarzy!

Odetchnęła głęboko i wstała z łóżka. Jeśli na samo wspomnienie pieścizn Neda bliska była omdlenia, to jak będzie się czuła, kiedy się już pobiorą? A w tydzień po ślubie? A po miesiącu? Czy namiętność oszołomi ją tak, że będą musieli wozić ją w fotelu inwalidzkim?

Lydia roześmiała się i zerknęła na zegar, stojący na kominku. Dziesiąta. Minęło sześć godzin, odkąd Ned wyjechał. Jego lokaj odwiózł ją do domu. Pewnie Ned jest teraz w połowie drogi do Josten Hol... a ona już za nim tęskni. Gdybyż mogła przespać wszystkie te puste godziny do jego powrotu!

- Mogę wejść, milady? - spytała pokojówka, pukając do drzwi sypialni.

- Wejdz, proszę.

Służąca otworzyła drzwi. Wyglądała na zaniepokojoną.

- Jest tu pewna osoba, która chce się koniecznie zobaczyć z jaśnie panią.

- Osoba? - powtórzyła Lydia. Było stanowczo za wcześnie na wizyty. - Co za osoba? Jakiś dżentelmen?

Nie mógł to być żaden z wierzycieli. Spłaciła prawie wszystkie długi, a lichwiarz mógł się upominać o procenty dopiero pod koniec miesiąca.

- Doprawdy nie wiem, proszę jaśnie pani. Mówi jak należy i jest ubrany jak dżentelmen, ale...

Pokojówka uniosła ręce w przeproszającym geście. Nie potrafiła wyjaśnić, co w tym człowieku tak się jej nie spodobało.

- Nie chce podać swego nazwiska, milady, ale upiera się, że ma bardzo ważne wiadomości i że jaśnie pani bardzo by żałowała, gdyby się o tym nie dowiedziała na czas. Nie bardzo wiedziałam, gdzie go poprosić, czeka więc w holu na dole...

Żałowałyby, gdyby się nie dowiedziała na czas? Cóż to miało znaczyć? Lydia zmarszczyła brwi. Czyżby ten człowiek miał dla niej wieści od Neda?

Wyprostowała się.

- Powiedz mu, że zaraz się z nim spotkam - powiedziała, ściągając spieszenie nocną koszulę.

Włożenie sukni i upięcie długich włosów w węzeł zajęło jej tylko kilka minut. Szybko zbiegła po schodach. U ich stóp spostrzegła mocno zbudowanego mężczyznę koło pięćdziesiątki. Niegdyś sztywny surdut obecnie z trudem się dopinał na potężnej piersi. Buty

- mocno znoszone, poobijane, bez połysku - również świadczyły o tym, że niegdyś dobrze mu się powodziło, ale potem coraz gorzej. Stroju dopełniał trzymany pod pachą cylinder z karbowanym brzeżkiem. Nieznajomy podniósł wzrok, dostrzegł lady Lydię i ukłonił się.

- Dzień dobry, milady - powitał ją.

Wyrażał się istotnie jak osoba dobrze wychowana. Przyjrząwszy mu się bliżej, Lydia uznała, że nie zetknęła się z nim nigdy w życiu. Krótkie, siwiejące włosy zaczesywał tak, by zakryć niewielką łysinę, wypaloną, być może, ostrym słońcem. Krzaczaste brwi opadały mu na oczy, ciemne i bystre. Ani worki pod oczami, ani głębokie zmarszczki po obu stronach ust nie dodawały mu uroku. Rzymski nos pokryty był siecią drobnych, czerwonych żyłek.

- Bardzo uprzejmie z pani strony, madame, że zgodziła się pani ze mną spotkać. Jestem pewien, że zainteresuje panią to, co mam do powiedzenia.

Lydia nie poczuła sympatii do nieznajomego. Budził w niej jakieś niedobre przeczucia.

- Zobaczymy. Zechce pan pójść za mną?

Nie czekając na odpowiedź, ruszyła w stronę małego salonu. Gdy znaleźli się tam, nie zatroszczyła się o to, by podano gościowi coś do picia. Wołała, żeby jego wizyta jak najprędzej dobiegła końca. Nie usiadła nawet, co zmusiłoby każdego dżentelmena do pozostania w pozycji stojącej. Nieznajomy jednak nie uszanował tej żelaznej zasady. Rozejrzał się po pokoju i usiadł z cylindrem na kolanach.

Lydia zdumiała się na widok takiego braku wychowania.

- Kim pan właściwie jest? I czemu tak panu zależało na rozmowie ze mną?

Nieznajomy skończył oględziny pokoju i skierował wzrok na panią domu.

- Nazywam się Bernard Cod. Mam wrażenie, że zna pani moją żonę, Emily.

Ręka Emily Cod zsunęła się z klamki drzwi wiodących do salonu. Uskoczyła w bok jak spłoszone zwierzę. Dźwięk tego głosu, jego głosu, był dla niej strasliwym ciosem, gorszym niż uderzenie maczugą. Nogi dosłownie załamały się pod nią. Oparła się o ścianę i zdołała jakoś opanować. Zamknęła oczy. Niemożliwe, żeby ten koszmar był rzeczywistością!

Przecież on nie żył. Nie żył!

Przełożona pielęgniarek w Brislington wyraźnie powiedziała, że Cod utonął podczas podróży morskiej i że trzeba będzie ją, Emily, odesłać do innego domu opieki, gdyż nie ma już nikogo, kto by płacił za jej pobyt. Chyba że okaże się pomocna...

Starła się więc pomagać, jak mogła. Aż dziw, że zadała sobie tyle trudu. W gruncie rzeczy było jej przecież wszystko jedno, czy odeślą ją do przytułku Bedlam, czy nie. Od dłuższego już czasu było jej wszystko jedno, co się z nią stanie. Właściwie od chwili, gdy Cod zepchnął ją ze schodów i straciła dziecko. Potem jej życie było już tylko niekończącym się pasmem cierpienia.

Jedyną ulgę stanowiły chwile, gdy dawała się ponieść fantazji i wyobrażała sobie dziecko o rudawych loczkach, małych rączkach i buzi jak pączek róży. Ale zawsze ogarniał ją potem paniczny strach. Serce biło jak szalone, wzrok się mgił, nie mogła złapać tchu, dopóki coś nie przełamało narastającej w niej hysterii.

Czasem pomagały drobne kradzieże.

Nie wiedziała czemu podkradanie drobiazgów sprawia jej ulgę. Nie miało to jednak znaczenia. Zrobiłaby wszystko, byle uwolnić się od straszego uczucia, że jest ścigana, więziona w jakiejś czarnej dziurze, pogrzebana żywcem.

Wkrótce po tym, gdy odkryła, że drobne kradzieże przynoszą jej ulgę, Cod odkrył tę jej słabość. Kazał zamknąć żonę w zakładzie dla obłąkanych, a sam wyjechał. Niebawem powiadomiono ją, że mąż nie żyje.

Nie żyje! A jeśli nie żył, nie mógł rozmawiać teraz z Lydią w małym salonie. To pewnie sen. Jeszcze jeden koszmar senny. To nie może być prawdą. Nie może! Tyle czasu trwało, zanim się trochę pozbierała. Ileż trzeba było wysiłku, cierpliwości i dobroci Lydii.

Powinna tam wejść, otworzyć drzwi i spojrzeć koszarowi w twarz. Ale nie mogła. Wiedziała, że on tam naprawdę jest, a ona nie mogła na niego patrzeć! Nie po tym wszystkim, co jej zrobił.

Mogła jednak podsłuchać, co mówi!

Emily wróciła na palcach pod drzwi saloniku i przycisnęła do nich ucho.

- Mówiono, że pan zginął - odparła chłodno Lydia. - wypadł za burtę i utonął.

A więc to był niegodziwiec, który pozostawił Emily w domu obłąkanych! Patrzyła na niego, mając nadzieję, że pod jej wzdrgniętym wzrokiem skurczy się i zdechnie niczym pijawka, posypana solą. On jednak wydawał się nieczuły na tę pogardę.

- To była pomyłka: utonął jakiś Belg. Zdarzyło się to jednak w niezwykle dogodnym dla mnie momencie - odparł, rozkładając szeroko ręce. - Mogłem dzięki temu zmienić nazwisko i rozpocząć nowe życie. Widzi pani, ludzie zaczęli zadawać kłopotliwe pytania na temat mojej działalności bankowej, mimo że moi pierwsi inwestorzy nieźle się dzięki mnie obłowili! To przede wszystkim oni polecili mnie swoim przyjaciółom.

Był najwyraźniej zadowolony z siebie, wręcz pochlebiało mu zaufanie tych, których oszukał.

- Niestety, następnej grupie inwestorów nie dopisało już szczęście. Gdyby zostawili mi więcej czasu na przekonanie trzeciej grupy zainteresowanych, by powierzyli mi swoje fundusze, mogłoby to trwać znacznie dłużej. Nie odznaczyli się jednak cierpliwością i dlatego moja śmierć okazała się najlepszym rozwiązaniem.

- Po co mi pan opowiada to wszystko? - przerwała mu Lydia.

- Chcę, żeby pani zrozumiała, dlaczego musi mi zapłacić pięćdziesiąt tysięcy funtów.

- Co takiego?!

- Niedawno powróciłem do Anglii na skutek pewnych kłopotów za granicą. Proszę sobie wyobrazić, jaki byłem rozczarowany, odkrywszy, że moi dawni klienci mają dłuższą pamięć, niż sądziłem! Obawiam się, że już mnie rozpoznali, mimo że noszę teraz całkiem inne nazwisko.

Skwitował westchnieniem niesprawiedliwość losu i ciągnął dalej:

- Ostatnio myślałem o tym, jak dobrze mi z początku szło z tymi inwestycjami, i doszedłem do wniosku, że najwyższy czas założyć nowy bank, w innym kraju, gdzie nikt mnie nie rozpozna. Ale tego rodzaju przedsięwzięcia wymagają kapitału i pani musi mi go dostarczyć.

- Nie ma mowy!

Zignorował jej słowa, jakby się w ogóle nie odezwała.

- Mam już bilet na statek, który wypływa z Portsmouth jutro wieczorem. Zamierzam wsiąść na pokład z pięćdziesięcioma tysiącami funtów, które mi pani wręczy. Może być zresztą czek Banku Angielskiego.

- Pan chyba oszalał!

Miała już dość Berniego Coda. Odwróciła się, by zadzwonić na lokaja. Jedyne, jaki jej pozostał, krzepkiego młodzieńca. Z dużą przyjemnością poleci mu, by wyrzucił tę nędzną kreaturę z jej domu!

- Na pani miejscu nie spieszyłbym się z tym - odezwał się Cod niemiłym tonem.

W jego głosie było coś takiego, że Lydia mimo woli się zawahała.

- Zapomina pani o mojej żonie. Emily jest nadal moją żoną, rozumie pani, a ja ponoszę za nią odpowiedzialność. Przyznam, że byłem zdumiony, dowiedziawszy się, że pani wzięła ją pod opiekę i traktuje jak ulubionego kotka czy pieska...

- Emily nie jest kotkiem ani pieskiem, tylko moją damą do towarzystwa! - odparowała Lydia, ale nie zadzwoniła na lokaja.

- Jak miło słyszeć, że pani tak się do niej przywiązała! Gdyby nie to, musiałbym znów oddać ją do zakładu... tym razem do Bedlam.

- Emily zostanie u mnie! - warknęła Lydia, czuła jednak narastające w niej przerażenie.

- Owszem - przytaknął. - O ile ja wyrażę na to zgodę. A nie wyrażę, jeśli nie da mi pani pieniędzy.

- Nie może pan tego zrobić!

- Zapewniam panią, że mogę.

Nie był nawet zły, jedynie zniecierpliwiony.

- Wyjawię wszystkim, kim pan jest. Skończy pan w więzieniu za długi! - oświadczyła Lydia.

- Wie pani co? - rozważał na głos Cod. - Przewidywałem to, ale mimo wszystko jestem rozczarowany. Tyle słyszałem o pani mądrości!

Nic nie odpowiedziała, stała sztywno wyprostowana, ogarnięta równocześnie przerażeniem i wściekłością.

- Niechże się pani zastanowi, madame! Moje ewentualne kłopoty sądowe nie mają żadnego wpływu na prawa, które mi przysługują jako mężowi Emily. W każdej chwili mogę odesłać ją do domu dla

oblakanych. - Ponieważ nic na to nie odpowiedziała, ciągnął dalej: - W eleganckim towarzystwie krążą plotki o dziwactwach Emily i o jej lepkich palcach. Zasięgnąłem języka. Jest z tego dobrze znana! Nikt się nie zdziwi, że odesłano ją do Bedlam. Jeśli zawiadomi pani przedstawicieli prawa, ja mogę zgnieć w więzieniu, ale Emily czeka to samo. Tyle że jej więzienie będzie trochę inne.

- Nie może pan być aż tak nikczemny!

- Nie jestem nikczemny. Myślę tylko jak człowiek interesu. To prosta transakcja, na której oboje skorzystamy. - Brzmiało to zdumiewająco rozsądnie. - Pani da mi pieniądze, a ja wyjadę. Jeśli obawia się pani, że będę się jej naprzykrzał w przyszłości, proszę się zastanowić! Byłbym przecież głupi, gdybym znów powrócił do Anglii, narażając się na uwięzienie. Zwłaszcza że wiem, iż wierzyciele nadal żywią do mnie urazę. A z drugiego końca świata trudno by mi było wydawać dyspozycje co do losu kochanej Emily.

Lydia patrzyła na niego i usiłowała podjąć jakąś decyzję. Co począć? Jak uniemożliwić mu spełnienie groźby? Ned wyjechał - a ona po cudownym śnie ocknęła się tego ranka w jakimś koszmarnym świecie.

- Nie mam pieniędzy! - rzuciła szorstko.

- Wielka szkoda! Diabło mnie pani zirytowała. - W głosie Coda nie było już ani śladu uprzejmości, na jaką się dotąd silił. Lydia zadrżała. - Uważa mnie pani za durnia, czy co? Jedna z najbogatszych kobiet w Londynie nie ma pieniędzy! Niech pani lepiej uważnie posłucha tego, co powiem! - Ton jego głosu był coraz bardziej wrogi.

- Te pieniądze są mi koniecznie potrzebne! Mam długi, i to nie tylko w Anglii. W innych krajach też. W dzikich, barbarzyńskich krajach, rozumie pani? Tam wierzyciele znają lepsze sposoby załatwiania porachunków z dłużnikami niż pakowanie ich za kraty! Z dwójga złego zdecydowanie wolałbym więzienie w Anglii od spotkania z którymś z tych zagranicznych wierzycieli, zwłaszcza że nie mam środków na ich ułagodzenie! Czy wyrażam się jasno?

- Owszem, ale powiadam panu, że straciłam cały majątek. Wszystko przepadło!

Cod prychnął pogardliwie.

- Mów to innym, milady! Widziałem twoją kieckę na balu u Spencerów. Ta maska ze złota, te klejnoty we włosach. W wielkim świecie nadal się mówi o złotej damie! Wiem, że to była pani. Widziałem na własne oczy! Stałem przy bramie, kiedyście odjeżdżały z Emily.

- To tylko pozory! - Zdesperowana Lydia podniosła głos. - Staralam się wyrzeć jak największe wrażenie, bo...

Zawahała się. Tak jej zależało na tym, by wieści o jej ruinie finansowej nie dotarły do osób niepowołanych! Jej przyjaciele i Terwilliger byli uosobieniem dyskrecji. Ale jeśli musi poświęcić swoją dumę, niech i tak będzie!

- Bo chciałam skłonić pewnego bogatego dżentelmena do oświadczyn.

Cod podniósł na nią oczy. Lydia wstrzymała dech. Modliła się w duchu, by łotr jej uwierzył.

- W porządku! - Podniósł się na nogi z lekkim stęknieniem i otrzepał kapelusz. - Niech Emily pakuje rzeczy. Choć, prawdę mówiąc, nie warto: i tak od razu zabierają im wszystko, co przywieźli.

- Nie! - krzyknęła Lydia.

Nie mogła pozwolić, by Emily odesłano do domu obłąkanych. To by ją zabiło! Wiedziała jednak, że Cod jest do tego zdolny, choćby nawet musiał zostać w Anglii, co groziło mu więzieniem za długi. Powiedział, że woli to od spotkania z którymś z zagranicznych wierzycieli.

- Proszę poczekać! Niczego nie mogę obiecać, ale spróbuję...

- Czegóż więcej można oczekiwać od życia, prawda? Ale koniecznie trzeba spróbować i przygotować się na przykre skutki, gdyby się nie udało. - Mówił znów gładkim, ugodowym tonem. Sięgnął do kieszeni i wyjął kawałek papieru, na którym zapisano kilka słów. - Spotkamy się tam jutro, o czwartej po południu.

Patrzyła na ten świstek papieru, ale nie mogła się przemóc i podejść do niego bliżej. Cod odgadł jej myśli i ubawiło go to. Z pogardliwym prychnięciem rzucił kartkę na podłogę. Skinął głową i włożył cylinder.

- A więc do jutra!

Gdy tylko drzwi się za nim zamknęły, Lydia opadła na fotel. Nachyliła się i podniosła kartkę z podłogi. Określono na niej wyraźnie miejsce w pobliżu londyńskiego portu.

Jutro o czwartej.

Nawet nie pomyślała o tym, by zwrócić się do sądu, który by rozstrzygnął, czy Emily Cod jest rzeczywiście szalona, i kto ma prawo decydować o jej losie. Już teraz знаła odpowiedź: mężowie - nawet kryminaliści - mieli prawo do swoich żon i dzieci. Mogli się o nie troszczyć albo je zniszczyć, jeśli to im bardziej odpowiadało.

Owszem, istniały przepisy mające chronić kobietę przed brutalnym traktowaniem, ale w zasadzie ona sama i wszystko, co stanowiło jej własność, a także jej wolność zależały od widzimisie męża. Mógł odebrać jej dzieci, tak jak uczynił to mąż Sarah, albo pozbawić ją pieniędzy. Mógł ją porzucić, wypędzić z domu lub oddać do zakładu dla umysłowo chorych - nawet bez powodu.

Najgorsze było to, że Cod wiedział, iż ma w ręku kartę atutową. Dziwactwa Emily stanowiły wystarczający pretekst, by ją odesłać „na leczenie”. Prawdę mówiąc, znalazłoby się dość dowodów, pozwalających na aresztowanie jej i skazanie, a może nawet na deportację Bóg wie dokąd. Prawo zezwalało, na przykład, na zesłanie małego chłopca do Australii za kradzież chustki do nosa. Tym bardziej mógł więc przypaść taki los kobiecie znanej z tego, że ciągle podkrada drobne przedmioty. Dopóki Emily przebywała pod opieką Lydii, była bezpieczna. Któż by się ośmielił zdrzeć z lady Lydią Eastlake?

Lydia pochyliła się, oparła głowę na rękę i przymknęła oczy. Usiłowała znaleźć jakiś sposób wyzwolenia się z tego koszmaru.

Ned!

Mogła wezwać na pomoc Neda.

Ale iskierka nadziei szybko zgasła. W jaki sposób Ned mógłby jej pomóc?

Nie miał więcej pieniędzy niż ona i jeszcze mniejsze szanse na zdobycie ich w tak krótkim czasie. Nawet gdyby dotarł do niego list, wysłany na adres Josten Hol, i gdyby zdążył przybyć do Londynu nazajutrz, przed czwartą po południu, co przekraczało ludzkie możliwości, nie mógłby uczynić nic, co zmieniłoby sytuację... chyba że zabiłby Bernarda Coda. Pewnie zresztą tak by uczynił.

Mógłby wyzwać go na pojedynek, a w razie odmowy zabić. I stanąć przed sądem za zabójstwo. Gdyby zaś Cod przyjął wyzwanie, kto wie, czy Ned nie zostałby ranny, albo nawet zginął? Nie! Nawet dla ocalenia Emily nie mogła narażać jego życia. Nie mogła!

A może zabrać stąd Emily i uciec? - myślała. Tylko co by to dało? Opóźniłoby tylko nieuchronny bieg wydarzeń. Dopóki Cod był w Anglii (choćby nawet w więzieniu), mógł w każdej chwili odebrać jej Emily i wysłać ją do Bedlam.

Lydia miała przyjaciół, wpływowych przyjaciół, których mogłaby skłonić, by stanęli w obronie Emily. Obowiązywały jednak prawa stawiające przywileje mężczyzn wyżej niż dobro kobiet - i tych praw broniłaby zażarcie większość mężczyzn w Anglii. Pokonanie Coda w procesie i pozbawienie go prawa decydowania o losie żony mogło mieć daleko idące następstwa, których - być może - niektórzy przyjaciele Lydii wcale by sobie nie życzyli.

Zresztą, nawet gdyby ich przekonała, nie znaczyło to wcale, że wygrają. Emily zaś przez cały ten czas musiałaby przebywać w

Bedlam. Na samą myśl o miejscu, o którym krążyły przerażające opowieści dotyczące sposobów leczenia i traktowania pacjentów, Lydię przechodziły dreszcze.

Pięćdziesiąt tysięcy funtów to ogromna suma, prawie nie do zdobycia, zwłaszcza w tak krótkim czasie. Znała jednak człowieka, który mógłby jej pomóc.

Lydia wiedziała, że musi zwrócić się do Childe'a Smytha z prośbą o pożyczkę. Wiedziała też, że uzyskanie tej pożyczki jest po prostu niemożliwe: Childe wiedział, że Lydia nie jest w stanie zwrócić mu pieniędzy. A był trzeźwo myślącym człowiekiem!

Odetchnęła z trudem. Tylko w jeden sposób mogła zrewanżować mu się za tę przysługę: wyjść za niego za mąż. A to oznaczało wyrzeczenie się Neda raz na zawsze. Zamknęła na chwilę oczy i łza spłynęła jej po policzku. Cóż innego mogłaby uczynić? Nie była lojalną przyjaciółką Sarah. Nie wolno jej zawieść również Emily! Być może przed miesiącem czy dwoma płakałaby i wahała się, ale w końcu nie zdobyłaby się na taką ofiarę dla Emily. Tyle że teraz nie była już tą samą Lydią; zaszła w niej zmiana. Od Neda nauczyła się, czym jest prawdziwe poczucie honoru i odpowiedzialności.

Nigdy by nie zaznała spokoju, gdyby nie zdobyła się na to poświęcenie! Stałaby się pusta jak muszla, pozbawiona żywej treści, jak bezduszna kukła bez serca. Ned znienawidziłby ją, gdyby się tak zmieniła. Ona też znienawidziłaby samą siebie!

Lydia wstała i podeszła do biurka. Nie siadając przy nim, chwyciła za pióro i pospiesznie skreśliła kilka słów. Pociągnęła za

sznur od dzwonka i zapieczętowała liścik. Kiedy zjawiała się pokojówka, Lydia poleciła jej:

- Proszę to jak najszybciej doręczyć panu Smythowi. Posłaniec niech zaczeka na odpowiedź!

Emily usłyszała słowa Lydii i od razu pojęła, że przyjaciółka spodziewa się od pana Smytha pomocy w zdobyciu kwoty, która zaspokoiliby żądania szantażysty. Nerwowo zaciskała ręce i zastanawiała się, co robić. Lydia mogła zwrócić się do Childe'a tylko w sprawie pożyczki, ale Emily znała Smytha i wiedziała, w jakiej jest sytuacji. Mógł zażądać czegoś w zamian za tę przysługę. Na przykład ręki Lydii. A ona wyrazi na to zgodę.

Gdyby tego nie zrobiła, Cod wysłał Emily do Bedlam. Nie zawaha się, tak samo jak wtedy, gdy zepchnął ją ze schodów, by poroniła - tylko dlatego, że nie życzył sobie dodatkowych wydatków na „jej bachora”.

Emily nie chciała trafić do Bedlam. Przerazała ją sama myśl o pobycie w takim miejscu. Nieustanny bełkot obłąkanych, ich wycie lub szaleńczy śmiech, smród nigdy niemytych ciał, a co najgorsze - martwe spojrzenia tych, którzy wkraczając tu nie byli chorzy na umyśle, lecz z czasem zamknęli się w sobie, nie mogąc znieść otaczającej ich rzeczywistości.

Nie! Nigdy więcej! Nie zniosłabym tego! - powtarzała w duchu.

Przypominała sobie wszystko, co mówiła do Eleanor, by przekonać ją, że Lydia powinna wyjść za kapitana Locktona. Ale mówiła to wczoraj, zanim się zjawił Cod! Teraz...

Czy to byłoby takie złe, gdyby Lydia poślubiła Childe'a Smytha?

Wszystko można by ułożyć tak, by nikt nikomu nie zawadzał, tak jak mówiła Eleanor. Życie płynęłoby dalej tym samym torem co poprzednio, od chwili, gdy Lydia wyciągnęła ją z Brislington. Mogłyby dyskutować o tym, w co Lydia powinna się ubrać na przyjęcie, wymieniać najświeższe ploteczki, zastanawiać się, który spektakl wzbudzi najwięcej podziwu, a który okaże się klapą. Chodziłyby do wypożyczalni książek, do muzeum, na zakupy... Planowałyby dłuższe podróże między jednym a drugim londyńskim sezonem i zastanawiały się, dokąd pojechać na wieś w okresie polowań.

Ich życie znów toczyłoby się zgodnie z dobrze znanym, choć urozmaiconym rytmem wielkiego świata.

A Lydia byłaby nieszczęśliwa.

Kochała przecież kapitana Locktona.

Emily bezszelestnie wróciła na górę, do swego pokoju. Był piękny, miły i wygodny. W szafie wisiał tuzin sukien i kilka wieczorowych toalet. Broszka z perłą spoczywała w hebanowej szkatułce, inkrustowanej kością słoniową. I klejnot, i puzderko były podarkami od Lydii.

Emily usiadła w fotelu obitym różowym atłasem. Gdyby nawet Cod się nie pojawił, przyszłość Emily nie zapowiadała się zbyt promiennie. A gdyby Lydia wyszła za kapitana Locktona, w ich małym - z konieczności - domku mogłoby zabraknąć miejsca dla

damy do towarzystwa. Terwilliger wspominał o tym. Zdana tylko na własne siły Emily chyba nie umiałaby sobie poradzić.

Lydia zawsze ratowała ją od konsekwencji jej kleptomanii. To prawda, że Emily udało się ograniczyć swoją obsesję, ale to dlatego, że lepiej się czuła. Ilekroć coś ją zaniepokoiło, pokusa przywłaszczenia sobie jakiegoś drobiazgu stawała się nieodparta. Pozbawiona bezpiecznej przystani w domu Lydii, prędzej czy później rozbije się o przybrzeżne skały.

Bez wątpienia dla Emily byłoby lepiej, gdyby Lydia poślubiła Childe'a Smytha! A także dla Eleanor. A może nawet dla samej Lydii?

Nie była w stanie - wbrew własnym interesom - przekonywać Lydii, by zrezygnowała ze swych szlachetnych zamierzeń i nie wychodziła za pana Smytha! Życie i tak już zmusiło Emily do zbyt wielu wyrzeczeń! Pozbawiło dawnych marzeń, wolności, upragnionego dziecka. Zrobiło z niej wariatkę!

Ukryła twarz w dłoniach i się rozplakała.

31

Droga do Josten Hol zajęła Nedowi szesnaście godzin. Podróżował dyliżansem. Choć nie odbiło się to na jego pokierszowanej nodze aż tak, jak z pewnością zaszkodziłaby mu podróż wierzchem, stara rana zaczęła jednak pobolewać. Po przyjeździe do rodzinnego domu kapitan dowiedział się, że Nadine i Beatrice pojechały z Mary do Brighton, a Josten bawi w Portsmouth i nie wróci stamtąd przed wieczorem.

Ned pokuśtykał więc do swego pokoju, wziął kąpiel, przebrał się i czekał na brata. Marcus bez wątpienia będzie wściekły. Ned nie przypuszczał jednak, by jego małżeństwo z Lydią doprowadziło do nieodwołalnego zerwania stosunków z resztą rodziny.

Josten był bardzo młodym człowiekiem, gdy brzemie odziedziczonego po przodkach Josten Hol - nienasyconego potwora, narażającego właściciela na ustawiczne wydatki - spoczęło na jego barkach. W dodatku nowy hrabia nie miał pojęcia o zarządzaniu majątkiem i brakowało mu rozsądnego doradcy. Spędził więc kilka następnych lat, starając się zaimponować wysoko urodzonym przyjacielom - dogadzając sobie i innym, obsypując wszystkich dokoła kosztownymi, acz mało przydatnymi upominkami, a także urządzając wyjątkowo huczne przyjęcia.

To wszystko jednak wynikało nie z jego charakteru, lecz z chęci dorównania innym złotym młodzieńcom. W głębi serca był wyjątkowo czułym i wrażliwym chłopcem. Może niezbyt byстрыm, za to od urodzenia nieuleczalnie romantycznym. Nic więc dziwnego, że po przetańczeniu jednego tańca z Nadine zakochał się w niej do szaleństwa i na całe życie, podobnie zresztą jak ona w nim, dzięki Bogu! Poślubił ją i czym prędzej wrócił na wieś, gdzie nie musiał już udawać światowca ze względu na ludzi, których niezbyt dobrze znał i których towarzystwo, szczerze mówiąc, nigdy mu zbytnio nie odpowiadało. Powrót do skromnego wiejskiego życia nie był wielkim poświęceniem ani dla niego, ani dla Nadine. Beatrice też to lubiła.

Josten z pewnością nie miał ochoty rozstawać się z Josten Hol, siedzibą rodu Locktonów. Winiłby się niewątpliwie za to, że nie upilnował odziedziczonego po przodkach majątku.

Godziny wlokły się niemiłosiernie, Ned myślał o Lydii, wspominając jej ramiona wyciągające się ku niemu, oczy - płomienne, pełne życia fiołkowe gwiazdy, uśmiech, na którego widok czuł, że znalazł wreszcie miejsce na ziemi. Nawet powrót do Josten Hol nie nappełnił go taką pewnością co do dalszego losu. Jego serce zostało zdobyte szturmem przez piękną piratkę, która rozpanoszyła się w nim na dobre. Nigdy nie będzie tam miejsca dla nikogo innego!

W końcu wyszedł na spacer. Przez otaczające Josten Hol ogrody dotarł do skał nad brzegiem morza, a gdy w końcu odwrócił się, by spojrzeć na wspaniały stary dom, nie oglądał go już oczyma rannego wojownika, który szuka bezpiecznej przystani w świecie ulegającym groźnym przeobrażeniom.

Teraz Ned widział wyraźnie, że powrót do rodzinnego domu był nierealną próbą cofnięcia się do kraju dzieciństwa, z góry skazaną na porażkę. Nie istniało w świecie nic niezmiennego. Zmieniały się warunki życia, dzieci dorastały, a czas nie stał w miejscu. I bardzo dobrze, pomyślał. W dalszą drogę pragnął przecież wyruszyć razem z Lydią. I marzył tylko o tym, by znaleźć się znów przy niej.

Wrócił do domu i zaszył się w bibliotece. Czekał niecierpliwie, ciągle spoglądając na zegar. Minęła pora obiadu, wybiła dziewiąta... Była już dziesiąta, gdy wreszcie z frontowego podjazdu doleciał donośny głos Jostena:

- Ned przyjechał? Gdzież on jest?

Kapitan pospieszył do holu na spotkanie brata. Kilka sekund później ujrzał Jostena. Hrabia wyglądał wspaniale, naprawdę imponująco. Otaczający go nimb pana i władcy, arystokraty o błękitnej krwi, nigdy jeszcze nie był tak wyraźny. Przy nodze hrabiego dreptał posłusznie irlandzki seter. Na widok jego lordowskiej mości lokaj wyprężył się i zastygł w postawie na baczność, choć Josten ledwie rzucił na niego okiem.

No, no! - pomyślał Ned z rozbawieniem, a zarazem z pewnym znużeniem, nawet służba daje z siebie wszystko! Marcus naprawdę odgrywa swoją rolę po mistrzowsku.

- Wielki Boże, Ned! - huknął Josten na widok brata. - Wyglądasz na całkiem wykończonego, mój chłopcze! Coś ty wyprawiał, u licha?! Nie przejąłeś chyba paskudnych nałogów od Pipa i Harry'ego? - spytał podejrzliwie.

- Ależ skąd! Przybywam tylko z wieścią, która - jak się obawiam - niezbyt cię ucieszy.

Słyszając to Josten, który pochylił się, by podrapać wielkie psisko za uchem, podniósł wzrok na młodszego brata. Widząc z wyrazu twarzy Neda, że mówi poważnie, westchnął.

- Musimy o tym mówić?

- Obawiam się, że tak.

- No dobrze. Ale chodźmy do biblioteki. Możesz już odejść - zwrócił się do lokaja, wyprzedził Neda i wkroczył pierwszy do pokoju. Opadł na obity skórą fotel i, wyciągnąwszy przed siebie

długie nogi, zapatrzył się posepnie na noski butów. - Chodzi o Harry'ego, tak? Przekazałeś go werbownikom, żeby wysłali go na morze?

- Co takiego? - zdumiał się Ned. - Skądże znowu, dobry Boże! Josten popatrzył na niego z wyraźną ulgą.

- Naprawdę tego nie zrobiłeś?

- Nie! Skąd ci to przyszło do głowy?

- Ja bym to zrobił - odparł szczerze Josten. - Dowiedziałem się wszystkiego od Pipa. Wpadł do domu pod koniec zeszłego tygodnia. Nie potrafi niczego utrzymać w tajemnicy przed matką, a Beatrice powiedziała mnie, wezwałem go więc na dywanik!

- Wypaplał wszystko o Tweedzie i o tym, jak przegrali z nim w karty. I o tym, żeś nie przyjął wyzwania tego łajdaka, a Harry - dureń nad durniami - uznał, że rodzinny honor został splamiony, wyzwiał więc go na pojedynek. A wtedy ty znów się zjawiłeś i zająłeś jego miejsce. I z winy mojego rodzzonego syna ten łobuz cię zranił! - Spojrzał spode łba na Neda. - Tak to było?

- Tak. Ale dlaczego od razu uznałeś, że rzuciłem Harry'ego na pożarcie werbownikom?

- Bo kiedy Nadine nachodziła cię w Londynie, żebyś jej pomógł w sprawie tej ich gry w karty... Tak, wiem i o tym! Od samej Nadine. Nikt w tej rodzinie nie potrafi trzymać języka za zębami! Podobno wspomniałeś wtedy, że chłopcom przydałaby się surowa dyscyplina taka, jaką by poznali na okręcie. Nie widziałem Harry'ego od tamtej

pory. Co tu gadać, sam nie postąpiłbym inaczej! - powtórzył posepnym tonem.

- Ale nie ja. Nie mam pojęcia, gdzie się twój syn podziewa. Choć sprawa, o której muszę z tobą pomówić, w pewnym sensie dotyczy także jego.

Josten wydał policzki i przygotował się na najgorsze.

- No dobrze, mów!

- Lady Lydia Eastlake wyświadczyła mi najwyższy zaszczyt i zgodziła się zostać moją żoną.

Samo wypowiedzenie tych słów napełniło Neda radością, choć okoliczności nie sprzyjały takim uniesieniom.

Josten podniósł zwieszoną głowę. Na jego przystojnej twarzy zajaśniał szeroki uśmiech. Hrabia zerwał się na równe nogi i klepnął brata po ramieniu.

- Brawo, Neddie, mój chłopcze! Dobra robota! Lady Lydia Eastlake... - Zatarł ręce, bardzo zadowolony. - Nie znam osobiście tej damy, ale jej piękność słynie w całej Anglii, a fortuna...

- Nie ma żadnej fortuny.

- Co? Powtórz to jeszcze raz!

- Nie ma żadnej fortuny.

- Przecież ona siedzi na pieniądzech!

- Nie siedzi. - Ned pokręcił głową. - Jest w gorszej sytuacji niż my. Nie ma grosza przy duszy.

Josten opadł na fotel, jakby stracił władzę w nogach. Oparł głowę o poduszki i zapatrzył się w sufit.

- No cóż, to przykre.

Ned spodziewał się znacznie gwałtowniejszej głośniejszej wypowiedzi, uznał więc taką powściągliwość hrabiego za pomyślny znak.

- Bardzo żałuję...

- Co? - Josten popatrzył na brata. - No, dobrze... Nie mogłeś nic na to poradzić, prawda?

- Nic a nic. Zakochałem się w niej.

Josten pokiwał głową. Nawet się nie zdziwił.

- Rozumiem. Jeszcze jak! Tak to bywa z miłością u Locktonów. Wielka szkoda, ale nic się nie da zrobić. Musisz się z nią ożenić i tyle.

- Przez chwilę na jego twarzy odbiło się wspomnienie własnej młodości i jej upojenia. - Nie ma rady, kiedy się człowiek zakocha. W dodatku trwa to u Locktonów aż do śmierci, żebyś wiedział!

- Tak, wiem. - Ned uśmiechnął się skrycie. - Muszę przyznać, że przyjąłeś to spokojniej, niż się spodziewałem.

- A co miałem począć? Znam cię przecież, Ned! Jesteś moim bratem. Znam cię jak samego siebie i wiem, że na to nie ma rady. Trzeba się z tym pogodzić i tyle.

- I co teraz zrobisz? - spytał Ned, nieco zbity z tropu spokojem Jostena, zgoła dla niego nietypowym.

- Co zrobię? Sprzedam każdy kawałek ziemi, na której nie ciąży prawo majoratu. Nie powiem, żebym się tym zbyt martwił. Nigdy nie rozumiałem tych wszystkich akrów, buszli i całej reszty, o której

wiecznie gadają zapaleni rolnicy. Prawa łowieckie zachowam, ma się rozumieć! - oznajmił takim tonem, jakby to było najważniejsze. (Cóż, dla niego pewnie to naprawdę jest najważniejsze - pomyślał Ned). - Sforę też, oczywiście! I kilka koni.

- Postarasz się zatrzymać Josten Hol?

Tym razem w oczach hrabiego błysnął prawdziwy żal.

- Zatrzymać Josten Hol? Bardzo wątpię. Fortuna kołem się toczy, Ned, raz się coś zdobywa, potem traci. Czasem w ciągu jednego pokolenia, czasem trwa to dłużej. - Uśmiechnął się. - Wiesz, że my, Locktonowie, odebraliśmy kiedyś dom Bortonom?

Ned się zdumiał. Nie wiedział o tym. Zawsze sądził, że to jego przodkowie wybudowali siedzibę i stąd jej nazwa - Josten Hol.

Josten pokiwał głową.

- Kiedy dobry książę Karol usiłował się wepchnąć na tron, Bortonom zabrakło wyczucia i opowiedzieli się za pretendentem¹. - Hrabia nachylił się do brata i szepnął konfidencjonalnie: - Bortonom nigdy karta nie szła w grubej grze. Kiedy ich rodzina wzięła się do polityki i musiała na jakiś czas opuścić Anglię, kupiliśmy ich dwór za bezcen i przenieśliśmy go na Josten Hol.

Na jego twarzy pojawił się chytry uśmieszek.

1 Książę Karol Edward Stuart wszczął rebelię przeciw dynastii hanowerskiej w 1745 roku i został ostatecznie pokonany w bitwie pod Culloden (1746) przez armię pod dowództwem księcia Cumberland, syna króla Jerzego II (przyp. tłum.).

- Wiesz co, wcale bym się nie zdziwił, gdyby Bortonowie chcieli odzyskać tę starą rudere! - Zastanowił się przez chwilę. - Może by tak w posagu?

- Roi ci się małżeństwo Mary z George'em Bortonem? Myślałem, że już się oświadczył i dostał kosza. Poszło im, zdaje się, o jego siostrę? - zauważył Ned.

- Masz rację. Ale to było dwa lata temu, kiedy Mary debiutowała w towarzystwie. Miała wtedy wielkie nadzieje i czuła się bardzo pewna siebie. Teraz już nie jest taka wybredna, a chyba jeszcze spokojnie, kiedy będzie musiała ograniczyć wydatki.

- Ale co z siostrą Bortona?

- Mam pełne zaufanie do mojej siostrzenicy: Mary potrafi się pozbyć z domu nie jednej szwagierki, ale sześciu! Nie dodam nic więcej. - Hrabia filozoficznie pokiwał głową. - Najtrudniej będzie przekonać Bortona, żeby spróbował szczęścia jeszcze raz! No cóż, zobaczymy. Zrobi się, co w ludzkiej mocy.

Josten klepnął się po udach i wstał.

- Dziękuję ci, Marcus - powiedział Ned. - Dzięki tobie wszystko poszło znacznie łatwiej.

- No, jeszcze się nie ciesz, mój chłopcze! - odparł starszy brat z posepnym uśmiechem. - Nadine i Beatrice długo ci będą wypominały to, o czym ja nawet nie wspomniałem. Z pewnością rozłoszczą się na ciebie. Na twoim miejscu nie spodziewałbym się zbyt prędko zaproszenia na rodzinny obiadek!

- Postaram się jakoś to przeżyć.

Ta uwaga sprawiła, że Josten spojrział na brata podejrzliwie.

- Chyba nie powiedziałeś tego z ironią, Neddie?

- Ależ skąd! - wyparł się w żywe oczy Ned.

Nie było sensu niepokoić Marcusa myślą, że wcale nie zna tak dobrze swego młodszego brata, jak mu się zdawało. Po co sprawiać mu przykrość?

- Tak myślałem! To nie w stylu Locktonów. A teraz kładź się i śpij, chłopcze! Wyglądasz na zmęczonego.

Tuż przed trzecią nad ranem obudziło Neda stukanie do drzwi sypialni. W mgnieniu oka całkiem oprzytomniał. Stary, dobry nawyk z długich lat służby na morzu w czasie wojny teraz też okazał się przydatny. Poleciał wejść intruzowi, kimkolwiek był.

Na progu pojawił się Josten, ze świecą w ręku i szlafmycą na głowie. Był na bosaka i - rzecz jasna - nieogolony.

- Co się stało? - spytał Ned i podniósł się z łóżka.

- Konny posłaniec obudził cały dom dziesięć minut temu. Powiada, że ma list do ciebie i musi ci go oddać do rąk własnych.

- Gdzie teraz jest?

Hrabia odwrócił się i skinął ręką. Ubłocony i śmiertelnie zmęczony wyrostek wszedł, ledwie powłócząc nogami i miętosząc w rękę włóczkową czapkę.

- Kapitan Lockton? - spytał.

Ned potwierdził skinieniem głowy. Chłopak podszedł do niego, pogrzebał w skórzanej torbie, którą miał na szyi, i wydobyl z niej

cienką kopertę. Podał list Nedowi, odwrócił się na pięcie i wyszedł z sypialni.

Josten chwycił chłopca za ramię i polecił mu:

- A teraz do kuchni! Znajdą tam dla ciebie coś do zjedzenia i miejsce do spania.

Chłopak skłonił się niezgrabnie i znikł. Ned otworzył list.

Panie kapitanie,

lady Lydia zamierza jutro poślubić, za specjalną zgodą, Childe'a Smytha. Robi to tylko dlatego, żeby mnie ratować. Piszę w pośpiechu i nie mogę nic więcej wyjaśnić. Powtarzam: podjęła tę decyzję wbrew sobie, w wyjątkowo trudnej sytuacji. Błagam, niech jej pan nie pozwoli zniszczyć waszego szczęścia ze względu na mnie!

Emily Cod

Krew odpłynęła Nedowi z twarzy, gdy miotał się po pokoju, pospiesznie chwytając różne części ubrania, które niedawno zrzucił z siebie.

- O co chodzi, Ned? Co się stało? - dopytywał się zaniepokojony Josten. - Jak ci mogę pomóc?

Ned zdążył już włożyć bryczesy i mocował się z rękawem koszuli.

- Każ osiodłać najszybszego konia z całej stajni!

Josten huknął na służbę, która pospieszyła wypełnić rozkaz. Nim minął kwadrans, Ned siedział już na końskim grzbiecie i gnał z powrotem do Londynu.

Pędził tak w mroku nocy, zatrzymując się tylko po to, by zmienić konia na którejś ze stacji pocztowych lub ugasić pragnienie. Galopował z kamienną twarzą, gnany strachem, choć jego noga gwałtownie protestowała. Serce biło mu na alarm, w tym samym rytmie, w jakim kopyta jego konia waliły o ziemię. Nie! Nie! Nie!

Czerwony blask jutrzeńki rozlewał się coraz szerzej po niebie, niczym krew z rozciętej tętnicy, a on pędził dalej jak opętany, myśląc tylko o jednym: musi zdążyć na czas, żeby ją powstrzymać!

32

Childe Smyth nie okazał się bezinteresownym przyjacielem, zgodnie z nieśmiały mi nadziejami Lydii, lecz trzeźwym człowiekiem interesu, czego się obawiała. Na jej prośbę o pożyczkę w wysokości pięćdziesięciu tysięcy funtów odpowiedział najpierw spojrzeniem godnym sfinksa, potem zaś wybuchem śmiechu. Gdy zapewniła go, iż mówi poważnie, odparł, że - niestety - nie może pożyczyć jej tak wielkiej sumy, gdyż nigdy nie zdołałaby zwrócić mu tych pieniędzy, o czym wie doskonale.

Zapewnił jednak Lydię, że otrzyma tę kwotę, gdy tylko zostanie jego żoną. Co więcej, gotów był zagwarantować jej to w kontrakcie ślubnym, który mogą podpisać jeszcze tego samego dnia. Pięćdziesiąt tysięcy Lydia otrzyma zaraz po tym, jak arcybiskup ogłosi ich mężem i żoną i potwierdzi to własnoręcznym podpisem na świadectwie ślubu.

- Ja potrzebuję żony - tłumaczył jej Childe z całą powagą - i to jak najszybciej. Pani zaś trzeba, jeszcze rychlej, pięćdziesięciu tysięcy funtów. Powinniśmy zatem dojść do porozumienia.

Tak się też stało.

Lydia przeczuwała, że tak będzie, ale żywiła jeszcze nadzieję.

Podczas ceremonii czuła się jak postronny obserwator, który śledzi rozwój wydarzeń z jakiegoś odległego, wysoko położonego miejsca - powiedzmy, z kościelnego chóru. Spoglądała więc z wyżyn na siebie samą, jak idzie główną nawą do ołtarza, gdzie czekał ojciec chrzestny Childe'a, arcybiskup Canterbury.

Childe podszedł do niej i kroczył dalej u jej boku. Choć twarz jej stężała, a wargi miała całkiem sztywne, Lydia wydawała się doskonale opanowana. W jej sercu protestował rozpaczliwie jakiś głos, udawała jednak, że go nie słyszy. Nie może przecież pozwolić, by Cod umieścił znów Emily w domu dla obłąkanych!

Będzie silna. Ułoży sobie jakoś życie w granicach tego, na co się zdecydowała. Inne kobiety wychodziły za mąż ze znacznie mniej ważnych powodów! Inne kobiety także miały ukochanych i nie mogły ich poślubić! Inne kobiety...

O Boże, Boże! Stali już przed ołtarzem i arcybiskup mówił coś do niej. Przez szum w uszach słyszała jedynie głos Neda i jego słowa:

- Kocham cię...

Arcybiskup popatrzył na nią badawczo i Lydie zabrakło nagle powietrza.

- No, moja droga! - ponaglił ją szeptem.

- T...tak.

Miała nadzieję, że to wystarczy. Na nic więcej nie było ją stać.

Znów jakieś słowa Childe Smyth potwierdzał coś zniżonym głosem, stojący za nią świadkowie też coś mamrotali.

Gdzie był Ned? Co sobie o niej pomyśli? Że nie potrafiła wyrzec się bogactwa? Że dlatego zmieniła zdanie? O Boże...

Ogarniał ją zawrót głowy, ale ze wszystkich sił starała się zachować przytomność. To przecież najlepsze wyjście! - mówiła sobie. Jedyne wyjście!

Arcybiskup obwieścił, że są odtąd mężem i żoną.

33

Lydia siedziała przy ozdobnej toalecie w sypialni, do której Childe kazał przenieść wszystkie jej rzeczy. Emily ulokowano gdzie indziej, w pokoju, który Childe - na nalegania nowo poślubionej małżonki - przeznaczył dla jej damy do towarzystwa. Lydia była więc teraz sama. Z korytarza doleciał jakiś dźwięk, spojrzała więc w tamtym kierunku. Childe pojawił się w drzwiach łączących sypialnię z garderobą. Odwróciła się znowu i drżącą ręką odłożyła pióro. Przed chwilą usiłowała skreślić kilka słów do Neda.

Przymknęła oczy. Myślała, że będzie miała więcej czasu na oswojenie się z nową sytuacją, że przynajmniej załatwi sprawę z Codem, zanim Childe... Nie była jeszcze na to gotowa! Nigdy nie będzie gotowa. Nigdy!

Przygryzła mocno wargę i poczuła, że plecy jej sztywnieją, jakby jej ciało ogarniał już *rigor mortis*.

- Przepraszam - szepnął Smyth.

W jego głosie był smutek, może nawet rozpacz. Lydia otworzyła oczy i spojrzeli na siebie nawzajem w lustrze.

Lydia zauważyła, że jej mąż płacze. Łzy spływały mu z oczu, dolna warga drżała. Widać było, że z najwyższym trudem usiłuje się opanować.

Zaskoczona, odwróciła się i spojrzała mu prosto w twarz.

- Panie Smyth, czyżby pański dziadek...?

- Nie, nie! Ten stary łotr jeszcze żyje. Chodzi o to...

Urwał i wszedł do sypialni. Z ociąganiem zbliżył się do wysokiego łóża z baldachimem, stojącego - niczym ołtarz ofiarny - pośrodku pokoju. Przysiadł na brzegu, ręce mu zwisały między rozstawionymi kolanami. Wydał z siebie długie, drżące westchnienie. Oczy wbił w dywan.

- Nigdy jej nie zdradziłem - powiedział smutno. - Ani razu przez te wszystkie lata!

Lydia nie wiedziała, co o tym sądzić. O czym on właściwie mówił... ? Czuła jednak instynktownie, że jakimś cudem uzyskała odroczenie wyroku: nie grozi jej - zdawałoby się nieuchronna - katorga obowiązków małżeńskich! Poczucie nagłej ulgi, choćby krótkotrwałej, przyprawiło ją o drzenie. Nie mogła sobie wyobrazić najmniejszej poufałości z tym mężczyzną. Był jej tak obcy... Jakże by mogła złączyć się z nim całkowicie, ciałem i duszą, jak z Nedom?

- Będzie taka nieszczęśliwa - mruzczał do siebie Childe, a łzy kapwały mu z oczu. - Nie zrozumie...

- Obawiam się, że i ja nie rozumiem, panie Smyth - odezwała się Lydia, starannie dobierając słowa. - O kim pan mówi i czego ta osoba nie rozumie?

- Mówię o Kitty - odparł z bolesnym wyrazem twarzy. - O moim ślicznym, małym kociątku!

Lydię ogarnęło zdumienie. Czy naprawdę mówił o kocie? Czyżby poślubiła szaleńca?... O Boże!

- O... o kociątku, panie Smyth? - spytała ostrożnie.

On jednak jej nie słuchał. Pokręcił zdecydowanie głową, wysuwając dolną wargę, jakby czemuś gwałtownie zaprzeczał.

- Nie ma mowy! Nie mogę iść z panią do łóżka.

- Och! - odetchnęła z ogromną ulgą i wstała, trzymając się stolika.

- Taka jestem panu wdzięczna! - Jej także napłynęły łzy do oczu, ale otarła je stanowczym gestem. - I temu wspaniałemu kotu również!

Ciemne brwi Childe'a Smytha zbiegły się nad nosem.

- Jakiemu kotu?!

- No, Kitty. Pańskiemu ślicznemu kociątku!

- Kitty to nie kot, tylko kochanka - wyjaśnił zbity z tropu.

- Do... doprawdy?

Pokiwał głową. Znow ogarniało go przygnębienie.

- Jest nią od jedenastu lat i przez cały ten czas ani razu jej nie zdradziłem. Wcale mnie nawet nie kusiło! A ona była mi równie wierna przez te wszystkie lata... - Pociągnął nosem. - Właśnie

przyjechałem do Londynu. Prosto z Eton. Nie miałem pieniędzy. Jeszcze nie odezwała się wtedy we mnie odziedziczona po ojcu żyłka do interesów. Byłem po prostu złotodziobem, w dodatku ze skazą, bo mój ojciec parał się handlem. - Podniósł na nią wzrok, by przekonać się, jak Lydia przyjmuje te wynurzenia. Jego uśmiech stał się wyzywający. - Ale, tak samo jak dziadek, nie pozwoliłem nikomu spoglądać na mnie z góry! Moja ciotka wyszła za markiza. Ojciec przed śmiercią otrzymał tytuł szlachecki. A ja? Ja poślubiłem lady Lydię Eastlake! Zdobyłem niezachwianą pozycję w wielkim świecie!

Przechwalał się, miał wojowniczą minę, ale Lydia widziała w nim jedynie chłopca - nisko urodzonego, żadnego aprobaty.

- Mówił pan o Kitty! - przypomniała.

Uśmiechnął się, twarz mu złagodniała.

- Tak... o Kitty - powtórzył. - Miała zaledwie szesnaście lat, dopiero co przybyła z Hiszpanii. Była najcudowniejszą istotą, jaką kiedykolwiek widziałem! Nadal nią jest. Mogła przebierać w opiekunach i znaleźć sobie kogoś znacznie bogatszego i ze znakomitszego rodu niż ja. Ale wybrała mnie - oświadczył z wyraźną dumą - bo mnie kocha!

- A pan ją? - domyśliła się Lydia.

Zerknął na nią podejrzliwie, żeby sprawdzić, czy nie kpi sobie z niego. Widząc jednak, że wcale tak nie jest, westchnął:

- Tak, chyba tak.

- I zawsze pan ją będzie kochał?

- Myślę, że tak. I dlatego bardzo przepraszam, ale będziemy małżeństwem tylko z nazwy, bo - słowo honoru! - nie mógłbym zdradzić mojej najwierniejszej i najdroższej kobietki!

Przez chwilę patrzyła na niego, ale potem cały ból, wściekłość i rozpacz złamanego serca, a także udręka ostatnich dwunastu godzin zakipiały i wyrwały się z jej ust w okrzyku:

- To dlaczego, do wszystkich diabłów, ożenił się pan ze mną, a nie z nią?! - Mówi pan, że ją kocha i że musiał się pan ożenić. A nie było... - Zabrakło jej tchu. - Nie było absolutnie żadnej przeszkody, ani prawnej, ani moralnej, która by zabraniała panu poprosić ją o rękę! A pan tego nie zrobił! Na litość boską! - prychnęła ogarnięta nieznaną jej dotąd furją. - Jeśli ta kobieta jest aż tak głupia i ma tak mało własnej godności, że gotowa będzie po tym wszystkim zostać z panem, to... to zasłużyła sobie na takie niewybaczalne traktowanie!

- Proszę nie mówić takich rzeczy! - krzyknął Childe, zrywając się na równe nogi.

- Dlaczego nie? To szczerą prawdą!

- Nie mogłem się z nią ożenić. Przecież, przecież to moja kochanka!

- Też coś! Jakby nikt nigdy nie ożenił się ze swoją kochanką. - Lydia z pogardą odrzuciła jego wymówkę. - Jeśli chce pan dorównać najwyższemu kręgom naszej arystokracji, to niechże pan udowodni, że nie brak panu fantazji! Wszyscy wybitni ludzie tym się przede wszystkim wyróżniają!

- Kitty...

- Dba pan o swoją Kitty tyle, co o bezpańskiego kota, sądząc z tego, ile ma pan dla niej względów!

- To kłamstwo! - krzyknął z furją. - Ja ją kocham!

Lydia odrzuciła głowę do tyłu i przeszła Childe'a morderczym spojrzeniem.

- Znacznie bardziej kocha pan swoją pozycję! A niech pan ją sobie zachowa, wraz z całą pańską fortuną, bo w końcu nic innego panu nie zostanie!

Przez dłuższą chwilę mierzyli się wzrokiem: Lydia z dumnie podniesioną głową, Childe czerwony z oburzenia i głęboko urażony. I nagle opuściła go cała żądza walki. Lydia miała wrażenie, że mąż kurczy się i rozpada na jej oczach. Zwiesił głowę i zakrył twarz drżącymi rękami.

- Co ja teraz pocznę?

Spoglądała na niego i czuła jedynie litość. Mógł ożenić się z miłości i nie zrobił tego. Co za głupiec! Podniósł na nią oczy, zaczerwienione i zmętniałe.

- Co ja teraz pocznę?

Zegar na kominku zaczął bić i Lydia ze znużeniem spojrzała na jego tarczę. Wpół do czwartej.

Opuścił ją cały gniew. Gwałtowny atak wyrzutów sumienia Childe'a sprawił, że zapomniała na chwilę o tym, co ją czeka.

Pora jechać!

- Proszę mi dać obiecany czek na pięćdziesiąt tysięcy funtów - powiedziała martwym głosem.

W holu na dole wybuchło jakieś zamieszanie. Dochodziły stamtąd krzyki i odgłos zbliżających się kroków. Rozległ się brzęk rozbitego szkła i głuchy stuk, jakby upadło coś ciężkiego.

Do Childe'a to wszystko prawie nie docierało. Siedział przy toalecie z twarzą ukrytą w dłoniach. Co on najlepszego uczynił? Boże, zlituj się, co on uczynił?

Coraz bliżej trzaskały drzwi, otwierane z impetem i zaraz potem zamykane. Childe uniósł wreszcie głowę. W końcu drzwi sypialni otworzyły się tak gwałtownie, że omal nie wypadły z zawiasów.

Na progu stał Ned Lockton, ciężko dysząc. Surdut miał niezapięty, koszulę rozchełstaną. Zmięte poły surduta walczyły o gorsze z oplakany stanem bryczesów. Buty zabłocone, włosy rozczochrane, policzki nieogolone. Przede wszystkim jednak przyciągały uwagę oczy. Te jasne, łagodne, szare oczy płonęły teraz żądzą mordu, jak u szaleńca. Poruszał się rozchwianym marynarskim krokiem, jakby stapał po pokładzie okrętu podczas sztormu.

- Dobry Boże, człowieku! - odezwał się Childe, parskając niewesołym śmiechem. - Powinieneś stanowczo odprawić lokaja!

W kilku krokach Lockton już był przy nim. Chwycił go za klapy, podniósł do góry i potrząsnął, jak pies zdobyczą.

- Gdzie ona jest?

Childe nie musiał pytać, kogo kapitan ma na myśli.

- Wyjechała.

Z groźnym pomrukiem Ned puścił wroga i odepchnął go na bok.

- Dokąd? - warknął.

Childe usiłował zachować zimną krew i resztkę godności. Jak ten typ śmie go napastować w jego własnym domu?

- Nic cię to nie obchodzi!

Ze wściekłym pomrukiem kapitan znów go pochwycił. Childe nie czuł strachu. Wszystko, co ten człowiek mógł mu zrobić, było niczym w porównaniu z nieszczęściem, które sam ściągnął na własną głowę. Kitty...

- Jeśli będziesz ukrywał ją przede mną - warknął Lockton przez zaciśnięte zęby - zabiję cię!

Mówił całkiem serio. Childe mógł to wyczytać z jego płonących oczu i znekanej twarzy. Czuł emanującą z kapitana wściekłość i ból. A on uważał tego człowieka za niezdolnego do gwałtownych uczuć! Dreszcz nagłego przerażenia przedarł się przez zaćmiony rozpaczą umysł.

- Zaczekaj! - krzyknął, gdy Lockton chwycił go za gardło. - Potrzebowała pieniędzy. Pięćdziesięciu tysięcy funtów. Miała się dziś spotkać z Codem. O czwartej po południu. W pobliżu portu, u podnóża Tower Stairs.

Lockton puścił go, odwrócił się na pięcie i popędził do drzwi.

34

Okrycie Lydii nie stanowiło dostatecznej osłony przed gwałtownymi podmuchami wichru, który wiał od Tamizy, niosąc ze sobą zapach ryb i słonej wody. Nieczystości zrzucane ze statków, zakotwiczonych na rzece, zalewały najniższe stopnie starych

kamiennych schodów, Towers Stairs, prowadzących od ulicy w dół, na nabrzeże. W brudnej wodzie falowały zielone wodorosty. W górze z przeraźliwym wrzaskiem krążyły mewy. Zabiedzony kot przemknął obok Lydii, spoglądając na nią podejrzliwie, jak na niepożądanego gościa z innego świata.

Lydia z drzeniem rozglądała się na wszystkie strony. Ani śladu Coda! Powiedział, że spotka się z nią u podnóża Tower Stairs o czwartej po południu. Było już piętnaście po czwartej.

Emily pod opieką stangreta czekała na górze. Powóz zatrzymał się na ulicy, w pewnej odległości od schodów. Lydia nie zamierzała zabierać przyjaciółki ze sobą, kiedy jednak wychodziła z domu, czekała już na nią w holu na dole. Smętny bukietek szkarłatnych prymulek, przypięty z okazji ślubu, wiązał na jej piersi. Oczy miała zaczerwienione od płaczu.

Lydia zabrała ją ze sobą, gdy stało się jasne, jak strasznie źle czuje się Emily w tym obcym domu. Przyjaciółka musiała jednak przyrzec, że nie ruszy się z powozu. Lydia nie wyjaśniła jej, dokąd jadą i w jakim celu. Nie chciała, żeby Emily dowiedziała się o powrocie Coda i o jego knowaniach.

- Najmocniej przepraszam, że kazałem na siebie czekać.

Lydia odwróciła się raptownie. Cod nadchodził, stąpając po oślizgłych kamieniach nabrzeża. Zatrzymał się w końcu obok niej i uchylił kapelusza.

- A więc zdobyła pani pieniądze?

- Tak.

- To proszę mi je dać.

Bez słowa sięgnęła do woreczka, wyciągnęła czek wypisany przez Childe'a i podała go Codowi.

- Cóż to jest?

- Czek na moje nazwisko, wypisany własną ręką przez Childe'a Smytha. A ja trasowałam już tę sumę na pana.

Wpatrywała się w dokument oczyma pełnymi bólu. Gdy Cod podejmie pieniądze, warunek zostanie spełniony, a ich kontrakt małżeński nabierze mocy prawnej.

Cod wziął do ręki papier i z uśmiechem zadowolenia przyjrzał mu się dokładnie pod światło. Wysunął koniec języka i oblizał wargi. Z sadystycznym uśmieszkiem popatrzył na Lydię

- No i co? Nie było tak trudno, prawda? Następnym razem będzie jeszcze mniej bolało!

Lydia zeszywniała.

- Cóż to ma znaczyć?

Wzruszył ramionami.

- Tylko tyle, że gdybym wpadł w jakieś tarapaty, dobrze wiedzieć, że mam przyjaciół, na których mogę liczyć. Z pewnością mi pomogą!

- Powiedział pan, że nie będzie następnego razu - przypomniała. -
Przyrzekł mi pan!

- Doprawdy? - spytał z miną niewiniątka. - Co też mi przyszło do głowy?

- Nie może pan tego zrobić!

- Jasne, że mogę.

Uśmiechnął się znowu.

Oczywiście, że mógł. Zrobi to z pewnością. Okłamał ją. Nikt nie dybał na jego życie w obcych krajach. Nikt go nie rozpoznał w Anglii. Mamił ją bajeczkami, żeby poczuła się bezpiecznie. Żeby wierzyła, iż jeśli da mu to, czego zażądał, raz na zawsze zniknie z jej życia. I z życia Emily. Ale on nigdzie nie wyjedzie. Zawsze tu będzie, jak miecz wiszący nad ich głowami.

A co by się stało, gdyby Childe kiedyś odmówił płacenia? Nie! Co się stanie, kiedy Childe odmówi?

Nie odrywała wzroku od Coda. Przecież on naprawdę popełnił przestępstwo w Anglii. Co do tego nie było wątpliwości. Mogła więc postarać się o to, by go aresztowano. Ale ten jego bezlitosny uśmiech... Nie, nie może tego uczynić, gdyż Cod z pewnością spełni wówczas swoją groźbę i odeśle Emily do Bedlam!

Nie uwolniły się od niego. Cała jej ofiara była daremna. Wyszła za Childe'a - i nic to nie dało! A Ned...

Ciemność przesłaniała jej oczy, w głowie zakręciło się na myśl o wszystkim, co jeszcze się wydarzy. Wyrzekła się Neda jedynie po to, by wpaść w szpony tej kreatury! Ogarniał ją gniew, jakiego nigdy dotąd nie czuła. Drżała na całym ciele, czarna mgła przesłaniała wszystko... Nie mogła pozwolić, żeby do tego doszło! Nie mogła stracić Neda tylko po to, by stać się ofiarą podłego szantażysty!

- Powiesz mi coś miłego na do widzenia? - spytał Cod i zachichotał.

- Żebyś zgnił w piekle! - odparła głosem drżącym z gniewu.

Uśmiech zadowolenia Coda zmienił się w paskudny grymas.

- No cóż, tym razem starczy, jeśli dasz mi buzi na pożegnanie. I lepiej nie protestuj, dobrze? Nie, z pewnością się nie ośmielisz!

Cofnęła się raptownie ogarnięta wstrętem. Cod nie ustępował, zmuszając Lydię do dalszego cofania się aż wreszcie poczuła za plecami kamienny mur. Przybliżył twarz do jej twarzy i wetknął złożony czek pod brodę Lydii, zmuszając ją do odchylenia głowy. Spojrzała na niego z nienawiścią i odrazą. Jego oddech cuchnął podłym dżinem.

- To tylko mała zaliczka na przyszłość!

Wyrwała mu czek z ręki, przedarła na pół, zmieła w dłoni i rzuciła do rzeki, zanim Cod uświadomił sobie, co zrobiła. Z rozdziawionymi ustami wpatrywał się w kawałki papieru, unoszące się na ciemnej powierzchni wody i odpływające coraz dalej. Lydię owładnęło poczucie triumfu. Naprawiła przynajmniej jeden ze swoich błędów!

Nie odrywał oczu od podartego czeku. Strumień odrażających przekleństw bluznął z jego zaślinionych ust. Widziała wyraźnie żyłą pulsującą na jego szyi.

Nie zdradzi się przed nim, że się boi!

- Co się stało, panie Cod? - rzuciła szyderczym tonem. - Nie umie pan pływać?

- Ty podła suko!

Uderzył ją na odlew, powalił na ziemię, twardo ubitą u podnóża schodów. Lydia zobaczyła nagle wszystkie gwiazdy i poczuła w głowie przeszywający ból. Spojrzała nieprzytomnym wzrokiem na

Coda. Miał zaciśnięte usta - jak cienką, krwawą ryś. Płonął wściekłością. Zrobił znów krok w jej stronę, lecz nagle co innego przykuło jego wzrok. Musiało to być coś przerażającego, gdyż cała krew odpłynęła z jego czerwonej twarzy.

Lydia oparła się o kamienny stopień i odsuwając ogarniającą ją falę mdłości, rozejrzała się dokoła. Ktoś wysoki i barczysty pędził po nabrzeżu w ich stronę. Poły surduta powiewały, z rozchełstanej koszuli wyzierała naga pierś. Na złotych włosach nie było kapelusza. Rysy ściągnęły się w groźnym grymasie. Wiatr rozwiewał mężczyźnie włosy i szarpał na nim ubranie... Był już dość blisko, by mogła zobaczyć oczy - lśniące jak płynne srebro, równocześnie gorące i lodowato zimne.

Ned!

Takim go widzieli wrogowie, myślała półprzytomnie. Tak wyglądał, wiodąc ludzi do boju! Piękny i przerażający...

Już był przy niej. Chwycił ją w ramiona i postawił na nogi.

- Na litość boską, powiedz, że nic ci nie jest! - błagał zdławionym głosem.

Skinęła głową, opierając się o oślizgły kamienny mur. Ned przesunął drżącą dłońią po jej głowie i ramionach. I nagle się odwrócił.

Lydia nie widziała tego, co ujrzał Cod. Cofnął się o krok... dwa kroki... odwrócił i rzucił do ucieczki. Za późno!

Ned natarł na niego jak piekielna machina, długie nogi pokonały dzielącą ich przestrzeń w niewiarygodnym tempie. Buty stukały o

kamienie jak młot o kowadło. Nie zatrzymując się, wyciągnął rękę i chwycił Coda za kark. Z groźnym pomrukiem uniósł go i z rozmachem uderzył nim o kamienny mur.

Trzymał zwiotczalego Coda jedną ręką, a drugą okładał po twarzy. Krew trysnęła Codowi z nosa. Usiłował odepchnąć rękę przyciskającą go do muru, drapał, wyrywał się, kopał Neda po nogach.

Kapitan wydawał się nie czuć bólu. Bił dalej na odlew, wymierzał karę z zajadłym pomrukiem. Wola walki wyraźnie opuszczała Coda, jego ruchy stawały się coraz słabsze.

- Ratunku! - wycharczał wreszcie, a gdy pomoc nie nadchodziła, zaskomlał: - Na litość boską, zabije mnie!

Lydia uświadomiła sobie nagle, że Cod mówi prawdę: Ned zaraz go zabije. Z tego właśnie powodu nie zwróciła się do niego o pomoc! Chciała uniknąć koszmaru, który teraz miała przed oczami. Ned zatłucze tę gnidę, zabiją go za to, a ona straci go na zawsze!

Lydia rzuciła się ku walczącym i chwyciła za stalowe ramię, które utrzymywało Coda w pionie.

- Nie, Ned, nie! Nie możesz tego zrobić! Błagam cię! Przestań!

Usiłowała jakoś rozdzielić obu mężczyzn. Zarzuciła Nedowi rękę na szyję i płakała, tuląc się do niego.

- Przestań, Ned! On nie jest tego wart! Przestań!

Poczuła, jak z wysiłkiem zaczerpnął powietrza. Dreszcz wstrząsnął jego potężnym ciałem. I nagle Cod był znowu wolny.

Krztusił się i oddychał z trudem, ale uciekał. Wspinał się jakoś po kamiennych stopniach Tower Stairs.

Ned odepchnął Lydię od siebie i ruszył za nim w pościg, gdy nagle ze szczytu schodów dobiegło wołanie. Lydia odwróciła się i spojrzała w górę, w stronę ulicy. Na najwyższym stopniu schodów stała Emily. Oczy miała nieprzytomne, z twarzy odpłynęła jej cała krew.

Cod brutalnie chwycił żonę. Z otwartych ust Emily dobył się bezgłośny krzyk. Odepchnęła od siebie zwalistego mężczyznę z całą siłą rozpacz i nienawiści.

Przez sekundę Cod chwiał się na górnym stopniu i, młóćąc dziko rękami, usiłował odzyskać równowagę. Sięgnął na oślep, ale poczuł w garści tylko cienki materiał. Żakiet Emily. Gdyby złapała męża za rękę, pociągnęła go ku sobie, mogłaby ocalić mu życie.

Czas nagle się zatrzymał. Emily wpatrywała się w zbielałe palce, zaciśnięte na klapie jej żakietu, ozdobionej przywiedłym bukiecikiem. A potem - czy to z całym rozmysłem, czy w odruchu instynktownej odrazy, Lydia nigdy nie dowiedziała się, jak to było - Emily się cofnęła. Cod stracił ostatecznie równowagę i z okrzykiem wściekłości runął w dół.

Lydia jęknęła, słysząc, jak jego głowa uderza o kamień. Ned pociągnął ją za sobą, jak najdalej od schodów, z których spadł Cod. Tylko przez sekundę Lydia widziała jego głowę, wykręconą pod nieprawdopodobnym kątem, wytrzeszczone oczy i mały czerwony kwiatek, który nadal zaciskał w palcach. Potem Ned odciągnął ją

jeszcze dalej i odwrócił, by nie patrzyła już na nic okropnego. Spojrzał ukochanej prosto w twarz.

- Musisz stąd odejść. Natychmiast!

- Ja nie...

- Musisz! - syknął przez zaciśnięte zęby. - Pozwól, żebym uchronił cię od skandalu! Ale zdołam to uczynić tylko wtedy, gdy natychmiast opuścisz to miejsce. - Odepchnął ją od siebie. - Uciekaj!

Miał słuszość. Lydia z płaczem, potykając się, wspięła się znów na Tower Stairs. Na ich szczycie czekała na nią Emily. Była bardzo blada, półprzytomna, ale wyczuwało się w niej pewne odprężenie. Wyglądała jak ktoś, kto budzi się z koszmarne go snu. Tak zresztą było naprawdę. Bez względu na to, czy Emily cofnęła się wówczas odruchowo, czy świadomie, czy może sama nie umiałaby powiedzieć, jak to się stało, Lydia żywiła jedynie gorące współczucie dla swojej przyjaciółki. Dla Coda zaś trudno byłoby obmyślić bardziej stosowny koniec!

W oczach Emily czaiły się niepokój i lęk. Spojrzała badawczo w twarz przyjaciółki. Nie musiała się jednak obawiać. Lydia nie powiedziała ani słowa, tylko objęła Emily ramieniem i odciągnęła ją jak najdalej od schodów.

35

W prywatnym saloniku Klubu Boodle'a Ned kazał zasłonić okna przed jaskrawymi promieniami słońca, którego nagłe pojawienie - prawdziwa rzadkość tego lata! - wydawało mu się złośliwym żartem

niebios. Ned siedział skulony w głębokim fotelu, z rękoma zaciśniętymi na poręczach i z brodą na piersi. Na stoliku obok niego stała karafka, napełniona w trzech czwartych koniakiem. Ale prawie nic z niej nie ubyło od chwili, gdy kapitan tu przybył, czyli od ubiegłego tygodnia.

Ned nawet nad tym ubolewał. Z pewnością trunek przyniósłby mu pociechę, on jednak nie skorzystał z niej. Żadna ilość koniaku nie mogłaby wymazać z jego pamięci promiennej istoty, która tańczyła z nim, śmiała się, a nawet okazywała mu miłość. Zamiast niej miał teraz przed sobą wlokące się nieznośnie godziny i bezgraniczną pustkę.

Lydia była mężatką.

Do tej pory powinien oswoić się z tą myślą. Ale nie mógł. Bolesna świadomość rozrastała się w jego wnętrzu jak rak, uniemożliwiając mu skupienie się na czymkolwiek i wszelkie działanie. W ciągu jednego krótkiego dnia Lydia została mu odebrana tak nieodwołalnie, jakby zatonała w otchłani oceanu. Tylko że to, co go spotkało, było jeszcze gorsze: choć na wieki ją utracił, nadal znajdowała w pobliżu. Mieszkając w Londynie, mógł być pewny, że przeczyta w gazetach o niej i o tym Smythie. Że ją zobaczy.

A tego, Bóg świadkiem, nie zdoła znieść!

Dlatego też - po raz pierwszy w życiu - Ned Lockton zachował się jak tchórz i ukrył się przed tym wszystkim, co było nie do zniesienia. Wiedział, że jest silnym mężczyzną. Wytrzymałym. Opłynął przecież Przylądek Dobrej Nadziei i ścigał piratów. I to z zimną krwią, przytomnością umysłu i zdecydowaniem, dzięki którym zyskał

przydomek „Ned Nieulekłe Serce”. A jednak Lydia Eastlake powaliła go na kolana.

Splótł ręce, oparł na nich brodę i spoglądał w zadumie na stosik nierozpieczętowanych listów. To były listy od niej, a on nie mógł się zmusić ani do przeczytania ich, ani do ciśnięcia ich w ogień. Leżały tu więc, niepokojąc go, kusząc i dręcząc.

Czy próbowała w nich jakoś się wytłumaczyć? Nie chciał słuchać jej usprawiedliwień, gdyż i tak nie wybaczyłby jej tego, co uczyniła.

A może przepraszała go? Jeszcze gorzej!

Albo żałowała swojej decyzji?

Tego by nie zniósł.

Gdyby choć jednym słówkiem zdradziła, że cierpi, wdarłby się przemocą do domu Smytha, by ją zobaczyć. I nic by go nie powstrzymało - ani poczucie honoru, ani względy moralności, ani wszelkie obowiązujące prawa, boskie czy ludzkie!

Tak więc listów było coraz więcej. Przysyłano je dzień po dniu. Przeważnie lokaj kładł je na stole, ani słówkiem nie napomykając, że kapitan żadnego nie rozpieczętował. Nikogo innego Ned nie wpuszczał do swojej kryjówki. Odgrodził się zamkniętymi drzwiami od towarzystwa.

Wkrótce opuści Klub Boodle'a. Może jutro, może pojutrze. Napisał do towarzystwa okrętowego, które już wcześniej zaoferowało mu stanowisko kapitana na jednym ze swoich dalekomorskich statków. Przyjął tę ofertę. W Anglii niczego już nie mógł się spodziewać - prócz bólu.

Jakieś zamieszanie wybuchło w klubie, w pomieszczeniach od frontu. Zapewne czyjś koń wygrał wyścig albo odkryto skandal, związany z osobą jakiegoś polityka. Ned nalał sobie koniaku... odstawił nietknięty kieliszek. Hałasy dobiegające zza drzwi z pewnością nie były okrzykami triumfu. Brzmiało w nich podniecenie, zdumienie i najwyższe oburzenie.

Ned przyjął postawę wyczekującą. Gotów był wyjść i przekonać się, co zagraża jego bezpieczeństwu - choć tymczasowemu - schronieniu. Zapewne schwytano złodzieja, albo jakiś podpity naśladowca Dżentelmena Jacksona² chciał koniecznie pokazać, co potrafi.

- Im prędzej powiecie mi, gdzie on jest, tym prędzej się stąd wyniosę! - dotarł do Neda władczy kobiecy głos.

Czyżby trafiła tu kobieta? I to ta jedna jedyna. Lydia!

Ned zerwał się na równe nogi i w ciągu sekundy był już przy drzwiach, i otworzył je szeroko. Lydia stała na końcu korytarza, otoczona wianuszkiem dżentelmenów i lokajów. Mężczyźni podskakiwali i powarkiwali jak sfora psów, które obiegly szczególnie niebezpieczną lwicę. Jakaż była imponująca w swojej pogardzie, gdy z nonszalancją ściągała rękawiczki, ignorując ich polecenia.

- Czy pani nie chciała się zobaczyć ze mną, madame? - spytał Ned, stając w drzwiach.

2Słynny mistrz bokszerski, potem instruktor we własnej szkole, bardzo popularnej wśród pięściarzy amatorów (przyp. tłum.).

Na dźwięk jego głosu uniosła raptownie głowę, a uśmiech radości rozpromienił jej piękną twarz i Nedowi zaparło dech w piersi. Jakże mógł pozwolić odejść jej teraz, gdy ujrział ją znowu? Czy wiedziała, na co się naraża, przychodząc tutaj? Nie tylko na utratę reputacji.

Gdy dostrzegła wyraz jego twarzy, radość w jej oczach zniknęła. Zaczepnęła tchu i dumnie uniosła głowę.

- Owszem, kapitanie Lockton. Szukam właśnie pana.

W odpowiedzi odsunął się na bok i skłonił głęboko. Szerokim gestem zaprosił ją do pokoju. Uniosła głowę jeszcze wyżej i popłynęła w jego stronę, niczym statek pod żaglami. Mężczyźni, wzbraniający jej wstępu, nadal się gorączkowali.

- Musi pani wyjść stąd natychmiast, lady Lydio! W tej chwili!

- Kapitanie Lockton, kobiety nie mają wstępu do klubu!

- Proszę uważać, jeśli nie chce pan utracić członkostwa klubu!

Ani Lydia, ani Ned nie zwracali uwagi na rozsierdzonych dżentelmenów ani na lokajów. Lydia prześlizgnęła się koło Neda i weszła pierwsza do pokoju. On podążył w jej ślady i zamknął drzwi za sobą.

- Co panią tu sprowadza, madame? - spytał z lekkim ukłonem.

To, co wyczytała z jego twarzy, sprawiło, że zarumieniła się i straciła nieco pewności siebie.

- Czemu nie odpowiedziałeś na żaden z moich listów? - spytała z pretensją w głosie.

- Proszę o wybaczenie, jeśli to, co w nich było, wymagało odpowiedzi. Jeszcze ich nie przeczytałem - odparł.

O Boże, ależ była piękna! Seledynowy czepek okalał twarz o delikatnych rysach, skośne oczy jaśniały nawet w przyćmionym świetle jego celi. Wargi miała bledsze niż dawniej, cerę niemal przezroczystą. Czy Smyth dobrze ją traktował? Ned nie śmiał o to spytać.

- Nie przeczytałeś ich? - powtórzyła zdumiona.

- Nie, madame.

- Dlaczego? - Podeszła bliżej.

Nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Dlatego że ból i bez tego był nie do wytrzymania? Czy takie wyznanie pomogłoby któremuś z nich? Zwiesił więc tylko głowę i odparł:

- Proszę o wybaczenie, pani Smyth. Spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Chyba nie zwraca się pan do mnie? To nazwisko innej damy!

Zmarszczył brwi, nie pojmując, co ma na myśli.

- Wybacz pani, nie rozumiem...

- Gdybyś przeczytał moje listy - odparła, a w jej fiołkowych oczach wyraźnie zanosilo się na burzę - wiedziałbyś doskonale, o czym mówię, kapitanie! Nie jestem panią Smyth, tylko w dalszym ciągu lady Eastlake. Moje małżeństwo z panem Smythem zostało unieważnione.

Był silnym mężczyzną, naprawdę! Ona jednak powaliła go już raz na kolana, a teraz zdołała dokonać tego po raz wtóry. Powietrze z sykiem uciekło Nedowi z płuc, jakby otrzymał potężny cios.

- Jak to? - spytał, nie odrywając od niej oczu. - Jakim cudem?

- Zanim wzięliśmy ślub za specjalnym pozwoleniem arcybiskupa, pan Smyth podpisał w obecności świadków kontrakt ślubny, w którym obiecał przekazać mi kwotę pięćdziesięciu tysięcy funtów do czwartej po południu w ubiegłą środę. Pan Smyth nie uczynił tego, a przynajmniej tak oświadczył swemu chrzestnemu ojcu, arcybiskupowi Canterbury. Ponieważ zaś czek na tę sumę rzeczywiście nie został zrealizowany, arcybiskup unieważnił nasz związek z racji niedopełnienia warunków umowy małżeńskiej...

Po dłuższej przerwie uśmiech pojawił się znów na twarzy Lydii. Szelmowski uśmiech, któremu Ned nie potrafił się oprzeć.

- ...W zamian za okazałą dotację na jakieś zbożne cele!

Ned milczał. Obawiał nawet się poruszyć. Był przekonany, że nie ma już żadnej nadziei i oto dowiaduje się, że wcale tak nie jest! Serce tłukło się boleśnie w piersi, gardło miał ściśnięte z emocji.

Lydia zmarszczyła brwi i przełknęła ślinę. Widać było, że jest poruszona.

- Pan Smyth mógł sobie bez trudu pozwolić na taką szczodroblivość, gdyż został właśnie spadkobiercą ogromnej fortuny, spełniwszy wreszcie warunek swego świętej pamięci dziadka, niech mu ziemia lekką będzie! Pan Childe Smyth zawarł związek małżeński przed śmiercią starszego pana Smytha. - Tu Lydia spojrzała znacząco na kapitana. - Nie mam oczywiście na myśli ślubu ze mną! Jak dobrze wiesz, zdaniem Kościoła unieważnione małżeństwo po prostu się nie liczy. Młody pan Smyth poślubił pannę Kitty La Grasa.

Z twarzą tak pozbawioną wyrazu jak oblicze pokerzysty Lydia mówiła dalej:

- Ciekawe, ile gotówki pan Smyth wyłożył za tę kolejną specjalną usługę arcybiskupa? - Zerknęła na Neda. - Jak myślisz?

- Czemu nie zwróciłaś się o pomoc do mnie? - zdołał wykrztusić ochryplym szeptem. - Dlaczego mi nie zaufałaś? Gdy ujrzałem z daleka, jak Cod zamierza się na ciebie, omal mi serce nie pękło z rozpaczy. Nie było mnie przy tobie, bym mógł wziąć na siebie ten cios! Nie mogłem cię chronić i osłaniać. Nie dałaś mi prawa do tego. Gdyby on...

Urwał, gdyż nie był w stanie mówić dalej.

Z twarzy Lydii znikł beztroski uśmiech. Pojawił się na niej ból.

- Nie było czasu... Nie odważyłam się... Tak bardzo się bałam, że go zabijesz!

Pokręcił głową, jakby nic nie rozumiał.

- Napisałam do ciebie. Wyjaśniłam ci wszystko. Powiedziałam, że złożyliśmy prośbę o unieważnienie małżeństwa. Zawiadomiłam cię, gdy oficjalnie uznano je za niebyłe. Przesyłałam ci wiadomości przez posłańca, pocztą, przez specjalnego kuriera! A do tej... - zatoczyła ręką wielkie koło - twierdzy męskiej solidarności nie wpuszczają kobiet, choćby nie wiem co się działo! - Zacisnęła wargi. - Aż do dziś, bo dzisiaj nie mieli innego wyjścia. Chyba żeby użyli fizycznej przemocy wobec damy!

A on tak dalece nie miał do niej zaufania, że nie chciał nawet czytać jej listów! Nie wierzył w nią, nie ufał jej. Przez długi czas stali

bez ruchu, spoglądając na siebie. Lydia czekała na jakiś znak, dowód jego uczucia. Ale Ned zawsze potrafił ukryć swoje emocje.

I nagle poczuła, że ma tego dość.

- Na litość boską, Ned! - wybuchnęła. - Dlaczego zawsze ja muszę cię atakować? Czemu to ja nierozważnie wyjawiam uczucia, które ty tak starannie ukrywasz? Jak mam cię skłonić, żebyś to ty postarał się dotrzeć do mnie?

Gniew Lydii rósł. W miarę jak się zapalała, jej policzki nabierały koloru, a oczy blasku.

- Najpierw w labiryncie, potem na maskaradzie u Spencerów. Jeszcze później odwiedziłam cię w twoim domu, a teraz przyszedłam aż tutaj! Jestem gorsza od Caro Lamb, sto razy gorsza! Ale nie będę się dłużej kompromitować. Ja także mam swoją dumę, kapitanie Lockton, toteż skończyłam z tobą raz na zawsze. I z twoim osławionym honorem!

Zagroził jej drogę, zagarnął w objęcia, przytulił do piersi. Jednym kopnięciem otworzył drzwi i ruszył przez nieskalane dotąd kobiecą stopą korytarze, mijając osłupiałych członków Klubu Boodle'a i rozbawioną służbę. Lydii zaparło dech w piersiach. Z całej siły trzymała Neda za szyję, gdy otwierał kopniakiem następne drzwi. I oto byli już na zewnątrz, a on kroczył po St. James Street, tuląc ją w ramionach.

Konie się płoszyły, woźnice tracili głowy ze zdumienia, przechodnie wpadali jeden na drugiego, a każdy starał się zobaczyć jak najwięcej. Właściciele sklepów i ich klienci wylegli na chodniki.

Ulicznicy ustawiali się jeden za drugim, towarzysząc młodej parze w triumfalnym pochodzie, śmiejąc się i pokrzykując wesoło. A w słynnym oknie wykuszowym w klubie White pojawili się dandysi i bili im brawo.

Kapitan kroczył dalej przez St. James Street, trzymając Lydię w mocnym uścisku i zmierzając prosto do rezydencji arcybiskupa Londynu, którego matka, nawiasem mówiąc, była *de domo* Lockton. Zatrzymał się tylko raz, by popatrzeć na ukochaną, i tym razem na jego twarzy malowały się wyraźnie wszystkie uczucia.

- Kocham cię, moja panno - oznajmił. - I już nigdy się mnie nie pozbędziesz!